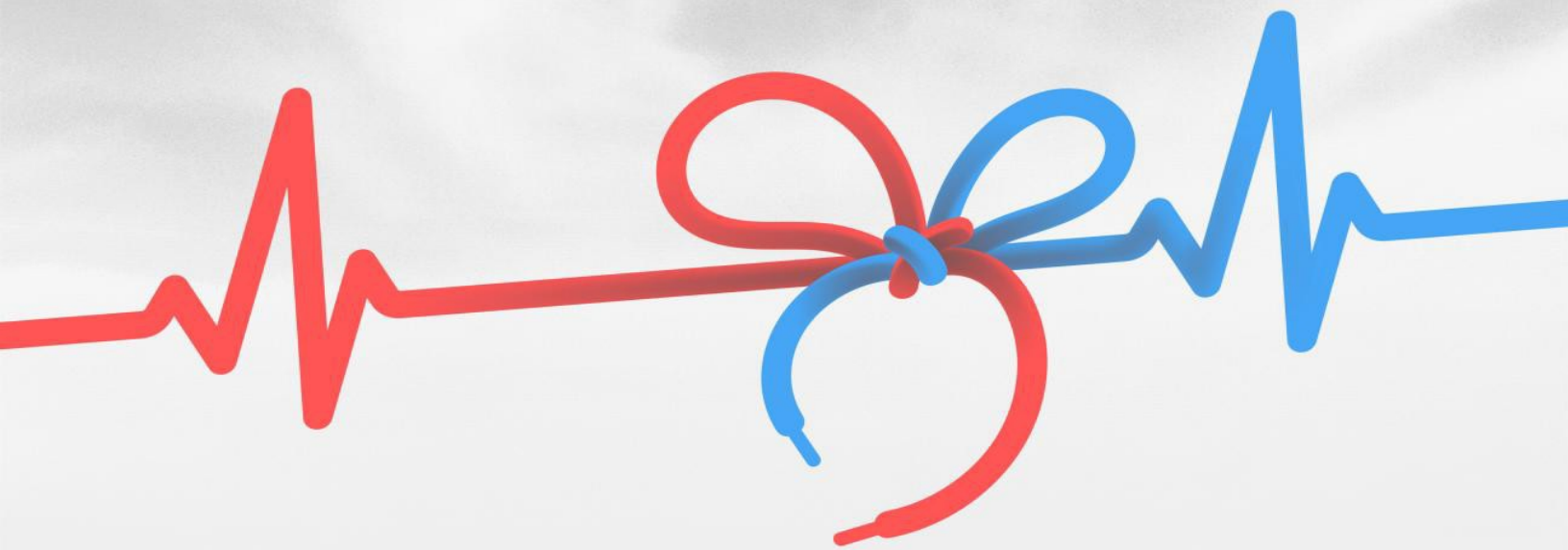


13-go w Piątek



a n a n i r w a n a

ananirowana

13-go w Piątek



Wydawnictwo Psychoskok
Konin 2016

ananirwana
„13-go w Piątek”

Książka oparta na faktach

Copyright © by Wydawnictwo Psychoskok Sp. z o.o. 2016

Copyright © by ananirwana, 2016

Wszelkie prawa zastrzeżone. Żadna część niniejszej
publikacji nie
może być reprodukowana, powielana i udostępniana w
jakiegokolwiek formie bez pisemnej zgody wydawcy.

Skład: Agnieszka Marzol

Projekt okładki: 1989

Korekta: Izabela Miszczyk

Redakcja i korekta: Tomasz Janicki

ISBN: 978-83-7900-648-9

Wydawnictwo Psychoskok sp. z o.o.
ul. Spółdzielców 3, pok. 325, 62-510 Konin
tel. (63) 242 02 02, kom. 695-943-706

wydawnictwo.psychoskok.pl

e-mail:wydawnictwo@psychoskok.pl

*Niektóre imiona i nazwiska,
a także nazwy miejsc i instytucji
zostały zmienione*

PODZIĘKOWANIA

Chciałabym podziękować znajomym za wsparcie, jakie od nich otrzymałam. Przyjaciołom dziękuję za to, że byli ze mną. Rodzinie – za to, że nie pozwoliła mi się poddać, czuwała nade mną i nadal jest dla mnie oparciem. Dziękuję pani Danusi, która koi zawsze moją duszę dobrą rozmową. Pani Janeczce i panu Zdzisławowi – za wsparcie, gdy tracę nadzieję. Równie ogromne podziękowania składam Izuni, Basi, Tomaszowi, Grzegorzowi, Piotrowi, Radosławowi, Robertowi, panu Karolowi oraz Emilii, jak i mojej Mamie za to, że pomagali mi w przygotowaniu tej książki. Nie poradziłabym sobie bez nich. Chciałabym podziękować również Bohunowi, że po dwóch latach odezwał się w końcu i wyjaśnił mi swoje zachowanie. Dziękuję mu za wsparcie i obecność.

Trzeba doceniać ludzi, bo zasługują na to. Dobroć ludzka jest skłonnością do czynienia dobra dla drugiego człowieka. Ja otrzymałam dobro od tych ludzi, zatem zasługują oni na to, aby znaleźć się w mojej książce na samym jej początku.

Dziękuję Wam, kochani, z całego serca

Ana

OD REDAKTORA

Niniejsza książka trafiła do mnie przypadkiem i początkowo wydawało mi się, że moja rola ograniczy się do sprawdzenia błędów i ewentualnie wygładzenia kilku niezgrabnych zdań. Wiedziałem od Autorki, że tekst był poprawiany przez kilka osób (których nie miałem okazji poznać), ale żadna z nich nie wprowadzała zmian w całym tekście. Po pierwszej lekturze całego tekstu zdałem sobie sprawę z faktu, iż trzymam w dłoni coś w rodzaju zbioru notatek z zaburzoną chronologią, co samo w sobie nie jest żadnym problemem, ale już w połączeniu z powtórkami wątków może wzbudzić w Czytelniku wrażenie chaosu w najgorszym przypadku, zaś w najlepszym – odczucie typu *ja chyba to już czytałem*. Aby je zminimalizować, zdecydowałem o usunięciu duplikatów, chyba że faktycznie takie powtórki miały miejsce, jak np. silny kaszel Zuzi, którą Czytelnik wkrótce pozna.

Starałem się, aby książka była napisana poprawną polszczyzną, ale nie za wszelką cenę, dlatego też Czytelnik trafi tu i ówdzie na kolokwializmy – proszę wówczas pamiętać, że jest to celowy zabieg redakcyjny. Oprócz tego,

dialogi są ważnym elementem niniejszej książki i w pewnych przypadkach nie są poprawne stylistycznie lub zawierają zwroty charakterystyczne dla środowiska pracy Autorki czy też takie, które są używane na gruncie prywatnym. Aby umożliwić Czytelnikowi dokładniejszy *odbiór* postaci pojawiających się w tekście, postanowiłem wprowadzić w dialogach jedynie kosmetyczne zmiany.

W tym miejscu chciałbym podziękować Żonie za to, że zgodziła się być *recenzentką recenzenta*. Wspólne śledzenie i korygowanie tekstu po zmianach, które uprzednio wprowadziłem, pokazało, że usuwanie błędów to przysłowiowy ciężki kawałek chleba, ale i świetna zabawa. No, nie zawsze...

Mam nadzieję, że byłem pomocny, a mój wysiłek był owocny. I proszę, jest rym!

A teraz już zapraszam do lektury.

RODZINA

13-tego w piątek – dla większości ludzi to pechowy dzień lub dzień niemiłych niespodzianek. To są dwadzieścia cztery godziny, w trakcie których wszystko może się wydarzyć i na które można zrzucić wszelkie niepowodzenia.

13-tego w piątek jest dla mnie dniem szczęśliwym, ponieważ tego dnia powróciłam do życia. Ze wsparciem bliskich, przyjaciół i rodziny było mi o wiele łatwiej. Los wiedział, że mam silne barki i przejdę każdą próbę. Będę o tym uparcie opowiadać, mierzyć się z niezrozumieniem, analizować trudne do wyjaśnienia sytuacje. Staram się udowodnić, że mówię prawdę. Gdy nie jestem czegoś pewna, nie poruszam tematu.

W chwili, gdy piszę te słowa, wypada moja osobista rocznica. Właśnie minęło trzynaście lat od wypadku, 13-go we wtorek otworzyłam oczy, a w piątek odzyskałam świadomość. Zatem *13-go w piątek* wybudziłam się ze śpiączki i 13-tego właśnie w piątek zaczynam opisywać moją historię. Chcę podzielić się ze światem tym, co przeżyłam. Przekazać, co jest ważne dla mnie, niewyjaśnione dla bliskich i znajomych. Pragnę, aby jak najwięcej osób uwierzyło, że jest coś więcej poza „tu i teraz”. Ciało jest tylko nośnikiem duszy człowieka, a dusza – siłą napędową. Nasze istnienie nie kończy się wraz ze śmiercią. A ja dostałam drugą szansę.

Dlaczego akurat ja? Dużo o tym myślałam. Przypuszczam, że On wybrał właśnie mnie, ponieważ zawsze chciałam być blisko Niego. Czasem rozmawiałam z nim i to nie są regułki wyuczone na lekcjach religii, tylko szczerłość. On nie odpowiadał, ale wiedziałam, że słucha i pomaga. Trzeba obnażyć serce, bo On wie wszystko. Kiedyś rozliczy mnie z całego życia. Jeżeli okaże się ono wypełnione złem i byle jakie, poniosę konsekwencje, a za uczynione dobro spotka mnie nagroda. Podświadomie zadaję sobie pytanie i zaraz intuicyjnie otrzymuję odpowiedź. Jest mi wtedy łatwiej i szukam innego rozwiązania. Teraz bardziej w to wierzę. Gdy byłam nastolatką, nie rozumiałam tego wszystkiego na tyle, by uwierzyć, że istnieje życie po życiu.

W wielodzietnych rodzinach zwykle brakuje pieniędzy, nie na wszystko wystarcza. Moi rodzice starali się zapewnić nam dobre życie. Nie było to łatwe, bo mam sześciu braci i siostrę. Każde z nich jest inne. Jedno ma swoje zasady, innym zaś trzeba pokierować, ale wspieramy się i pomagamy sobie wzajemnie do dziś.

Oto my:

Chojrak – najstarszy z mojego rodzeństwa. Zawsze lubił wyglądać jak Clint Eastwood. Przez jakiś czas miał długie włosy i nosił szerokie spodnie. Kocha muzykę. Był DJ-em na dyskotekach w naszej wiosce.

Miernik – to ksywa nadana przez ciocię. Śmialiśmy się długo z tego i tak już zostało.

Orzeł – stanowczy, pracowity, ale cichy. Zawsze robił wszystko sam i nie chciał, by ktoś mu pomagał.

Ana – czyli ja. Bliscy mówili do mnie czasem Justyna. W mojej wiosce była koleżanka o tym imieniu, bardzo otwarta, spontaniczna i odważna. Może dlatego?

Hiena - zawsze zjawiał się pierwszy i brał najwięcej. Śmieszny, zwariowany. Wszyscy go lubili.

Zybi – był zaprzyjaźniony ze wszystkimi zwierzętami w okolicy.

Wiewióra – moja jedyna siostra. Tata nadał jej tę ksywę, bo miała długie włosy związane w kitę.

Donatan – ciocia go tak nazwała. Chudziutki, malutki, ostatni z rodzeństwa. Najbardziej kochany i pracowity.

Prawie przez cały czas używaliśmy pseudonimów, rzadko mówiliśmy do siebie po imieniu, chyba że sytuacja zmuszała nas do tego.

Mój tata jest silnym i wspaniałym człowiekiem. Los go nie oszczędzał, tata pracował ciężko na naszą rodzinę ze świadomością, że ciągle będzie czegoś brakowało. Tata pracował wiele lat w kółku rolniczym mając jednocześnie swoje pola i dzięki tej pracy mógł uprawiać swoją ziemię. Liczyliśmy się z jego zdaniem. Gdy wracał zmęczony z pracy, miał już obiad na stole. Lubił, gdy przynosiłam mu kaptcie i uśmiechał się, gdy wsuwałam mu je na stopy. Kocham go. Tata uwielbia konie. Obecnie pracuje w stadninie i opiekuje się dwudziestoma sześcioma końmi. Zna każdego z osobna. Gdy przyglądałam się jego pracy, zauważyłam, że gdy zawołał jednego konia ze stojącego stada na łące, to właśnie to zwierzę wyłaniało się ze stada, by do niego podejść. Słuchały go tak, jak my, jego dzieci. To ciężka fizyczna praca,

ale kontakt ze zwierzętami dodawał mu sił.

Moja mama to najukochańsza kobieta chodząca po Ziemi. Mamusia. Nie znam silniejszej osoby. Urodziła i wychowała ośmioro dzieci. Mieliśmy kiedyś świnie, kaczki, kury, króliki, więc musiała sobie z nimi radzić z naszą pomocą. Ale nie ma się co oszukiwać, dzieci za bardzo nie pomogą. Pamiętam wiele codziennych rodzinnych chwil. Zawsze po kąpieli była kolacja: kopiaste sterty chleba na dwóch talerzach, do tego dwa dzbanki gorącej herbaty. Po kolacji mama prowadziła nas do pokoju, w którym stało łóżko piętrowe, a przy nim jeszcze wersalka. Najstarszy brat – Chojrak – miał swój pokój, a Donatan – łóżeczko przy łóżku mamy. Gdy wszyscy już leżeliśmy w swoich łóżkach, mama śpiewała nam pieśni kościelne, a my jej wtórowaliśmy. Po czterech pieśniach już wszyscy spali. Byłam starszą córką, więc pomagałam mamie sprzątać dom i opiekowałam się młodszym rodzeństwem. Niewielka to pomoc, a jak cieszy! Robiłam to z przyjemnością.

Dzieciństwo pamiętam bardzo dobrze. Którejś zimy, przed Świętami Bożego Narodzenia mama leżała w szpitalu, gdy rodziła Donatana przez cesarskie cięcie. Wystąpiły powikłania, wdało się zakażenie krwi i pojawiły się problemy z nerkami. Baliśmy się wtedy, że stracimy mamę. W tamtym czasie opiekowała się nami babcia Jasia. Ja zajmowałam się domem, a starsi bracia – piecem centralnym i gospodarką. Dzięki Bogu, po długim leczeniu i pomocy profesora z Poznania mama wróciła do zdrowia. Zawsze była moim aniołem, brałam z niej przykład i do dziś tak zostało. Gdy los

rzucał jej kłody pod nogi, ściągała buty i przechodziła po nich bosymi stopami. Tak podążała do celu. Robiła to dla nas. Największy szacunek mam właśnie do mamy. Kocham ją najbardziej na świecie.

W tym samym czasie tata pracował jako kierowca w Gorzowie. Mama miała pracę w prywatnej firmie w naszej wsi. Skończyłam szkołę podstawową, a następnie wybrałam szkołę zawodową. Kształciłam się na sprzedawcę. Taki zawód chciałam mieć, by wesprzeć rodziców i aby pracować w przyszłości w miejscowym sklepie. Zostało mi w pamięci, jak mama główkowała, co przyrządzić na obiad. Potrafiła ugotować dla nas wszystko, zrobić coś z niczego. Sklepy w niedzielę były zamknięte, więc trzeba było zaopatrzyć się na dwa dni. Kupowaliśmy 10 bochenków chleba, 2 duże kostki masła, 4 butelki mleka i coś do kanapek. Podziwiam tę kobietę za to, że umiała wszystko zaplanować. Zawsze była pomysłowa, nie okazywała przed nami, że jest załamana, ciągle parła do przodu. Cudowna kobieta, wspaniała matka. Kocham ją bardzo mocno. Ona jest moim mentorem, poradzi sobie ze wszystkim. Mimo wielu operacji, złego stanu zdrowia i matczynych obowiązków jest zawsze uśmiechnięta i gotowa wesprzeć innych.

Mój rodzinny dom to budynek stojący na rogu dwóch ulic. Tam też stoją latarnie, które oświetlają dom. Teren domu zaczyna się od dużego ogrodu. Wcześniej były tam warzywa, owoce, a teraz – drzewka owocowe i kwiaty. Moi rodzice uwielbiają spędzać czas w ogrodzie, zachwycać się każdą roślinką. Posadzili je własnymi rękami, a teraz patrzą

w zachwycie, jak rosną. W moich oczach są prawdziwymi gospodarzami. Budynek mieszkalny stoi w głębi ogrodu. Znajdują się w nim trzy pokoje, łazienka z toaletą, mała kuchnia i korytarz z wyjściem na podwórko. Na piętrze, w części z osobnym wejściem, mieszkała moja babcia Janina, mama taty. Podwórze oddzielone jest jeszcze terenem gospodarczym. Jest tam skład drzewa na zimę, garaż i obora, w której dawniej trzymało się zwierzęta.

Babcia Jasia miała już swoje lata. Miała słaby słuch, choć czasem wydaje mi się, że ona słyszała to, co chciała usłyszeć. Z babcią zawsze mieliśmy bardzo dobry kontakt, to kochana kobieta. Przez jej problemy ze słuchem, chcąc nie chcąc, co niedzielę byliśmy zmuszeni do słuchania katolickiej radiostacji. Babcia słuchała radia na cały regulator; msza święta płynęła w eter, a mieszkańcy wioski mijający nasz dom z uśmiechem spoglądali w jej okno. Zanim starość odebrała jej resztki sił, sprzątała kościół w naszej wsi i dzwoniła na mszę. Czasem pomagaliśmy jej, gdy gorzej się czuła. Lubiliśmy z chłopakami chodzić do kościoła, by dzwonić na mszę, gdy babcia nam pozwoliła. Mogliśmy wtedy kołysać się na sznurach wielkich dzwonów.

Najpierw sama należałam do chóru kościelnego. Śpiewałam z koleżankami pieśni religijne, psalmy lub czytałam Pismo Święte w kościele. Potem prowadziłam scholę dla dziewcząt.

Gdy miałam piętnaście lat, skończyłam Szkołę Podstawową; chciałam jak najszybciej zdobyć zawód i zacząć pracować, by pomóc rodzicom. Dostałam się do Szkoły

Zawodowej, żeby kształcić się na sprzedawcę i musiałam sama znaleźć praktyki. Duże miasto, mnóstwo sklepów, nie wiedziałam od którego zacząć. Postanowiłam pojechać do cioci, jednej z sióstr taty, i poszukać na jej osiedlu. Przy bloku cioci był duży dom handlowy. Pomyślałam, że zacznę od tego miejsca. Poszłam i pytałam się na każdym stoisku odzieżowym, kto by mnie przyjął na praktyki u siebie. Tylko jedna pani miała uprawnienia do tego, by nauczać młodych pracowników. Tak poznałam Panią Alę, która przyjęła mnie jako uczennicę na swoim stoisku z odzieżą. Wspaniała kobieta. Już na początku zauważyła, że żadnej pracy się nie boję. Powtarzała mi, że muszę się wszystkiego nauczyć, by być obeznaną w każdej dziedzinie. Jej syn Marcin miał sklep z upominkami i bateriami do zegarków na tym samym obiekcie. Z Krisem, który tam pracował, wymienialiśmy baterie w zegarkach na czas i on zawsze wygrywał. Pani Ala miała też rożen na mieście. Pamiętam, jak byłam tam kilka razy, by zobaczyć jak się przygotowuje jedzenie na takim stoisku. Pokazano mi, jak się czyści kurczaki. Czasem były przywożone prosto z chłodni, więc trzeba było i takie patroszyć. Pamiętam, jak ręce sztywniały mi z zimna. Potem ogrzewałam je przy grillu.

Na Dzień Kobiet sprzedawałam razem z koleżanką Julią – też praktykantką – kwiaty na ulicy, a latem sprzedawałyśmy w upale okulary słoneczne lub znicze na Wszystkich Świętych. Nie narzekałam, bo jestem pracowita. Najmilej wspominam, jak z panią Alą jeździłyśmy na Międzynarodowe Targi Pogranicza. Podziwiam tę kobietę, gdyż nauczyła mnie

bardzo wiele. Poznałam w owym czasie fajnych ludzi: panią Basię, panią Tereskę, pana Andrzeja i Przemka, a także innych bardzo miłych sprzedawców, lecz w tej chwili nie pamiętam wszystkich imion.

Tak minęły dwa lata. Był to dla mnie ważny okres. Dojeżdżałam do szkoły, uczyłam się samodzielności, a nie było to łatwe.

Gdy byłam już w drugiej klasie, miałam praktyki trzy razy w tygodniu. Pod koniec listopada pani Ala powiedziała, że likwiduje swoją działalność i wyjeżdża do swojej córki do Anglii. Obiecała, że nie zostawi mnie na lodzie i załatwi mi praktyki u znajomych. Dotrzymała słowa i załatwiła kontynuację praktyk u pana Władysława i pani Zosi. Był to sklep z pasmanterią w centrum miasta. Cieszyłam się, bo miałam bliżej do autobusu. Pani Ala poprosiła mnie, bym ostatni raz towarzyszyła jej na Targach Pogranicza w Gorzowie Wlkp. Cieszę się, że pojechałam z nią na te targi, bo to było miłe zakończenie naszej współpracy.

Od stycznia 2001 rozpoczęłam praktyki u państwa T. To mili ludzie z dwójką dzieci. Miałam przyjemność spędzić z nimi kilkanaście tygodni, więc mieliśmy dużo czasu, by się lepiej poznać. Niestety 2. marca 2001 miałam wypadek i już nie wróciłam do nich. Wiem, że odwiedzali mnie w szpitalu, gdy byłam w śpiączce i wspierali duchowo moich rodziców.

Przed wypadkiem, w listopadzie poznałam chłopaka, który był o rok ode mnie starszy. Pamiętam, że poznaliśmy się w autobusie, gdy jechałam na praktyki. Autobus zatrzymał się na przystanku, na którym wsiadłam, i wtedy go

zobaczyłam. Siedział na środku, a ponieważ siedzenie przed nim było wolne, zajęłam je. Idąc do wybranego przeze mnie miejsca, spoglądałam na niego. Miał piękne oczy. Obserwował mnie, a gdy nasze spojrzenia się spotkały, delikatnie się uśmiechnął. Usiadłam przed nim, więc już nie mogłam mu się przyglądać. Autobus zatrzymał się na następnym przystanku, gdzie wsiadła moja przyjaciółka Wioleta i od razu się przysiadła. Żartowałyśmy całą drogę. Od czasu do czasu czułam na sobie spojrzenie chłopaka. Autobus dojechał do miasta, większość osób wysiadła, w tym moja koleżanka i siedzący za mną chłopak. Wymieniliśmy spojrzenia przez szybę, a on posłał mi rozbrajający uśmiech. Miał piękne białe zęby. To mnie właśnie urzekło. Następne nasze spotkanie – na dyskotecę – również było przypadkowe. Podszedł do mnie i spytał, czy go pamiętam i szeroko się do mnie uśmiechnął, a gdy zobaczyłam te piękne, białe zęby, od razu wiedziałam, że to znajomy z autobusu. Na imię miał Paweł. Miał jasne włosy. Przez cały czas na dyskotecę bawiliśmy się razem. Był zafascynowany tym, jak się poruszałam na parkiecie. Pamiętam, że ktoś z moich znajomych powiedział:

– Ana, jedziemy.

A Paweł nalegał, abym została. Pytał mnie, czy przyjadę tu jeszcze.

– Jak Bóg da, to będę – odpowiedziałam na wpół żartem.

Nie pamiętam, po jakim czasie znowu się tam pojawiłam. Paweł był wtedy na dyskotecę i powiedział do mnie:

– Przychodziłem tu z myślą, że znów cię spotkam.

Bawiliśmy się razem. Poznałam jego siostry, brata,

kuzynów, kuzynki. Pół dyskoteki to była jego rodzina. Potem przyjeżdżał do mojej wioski specjalnie do mnie. Zaproponował mi, bym spędziła z nim Sylwestra. Spędziliśmy go sami we dwoje u jego wujka w hotelu. Było bardzo romantycznie. Od tamtego wieczoru byliśmy już parą, wspólnie wkroczyliśmy w Nowy Rok 2001. Paweł ma wspaniałych rodziców i prawie tak liczne rodzeństwo, jak moje. Zawsze uwielbiałam do nich jeździć. Gdy moi rodzice poznali Pawła, nabrali do niego zaufania i pozwalali mi czasem nocować u niego, ale mówili jednocześnie – pamiętaj: najpierw szkoła.

Zapamiętałam ten ważny dla mnie okres. Pracowałam i byłam już dorosła. Poznałam mnóstwo fajnych ludzi i świetnie się razem bawiliśmy, a świat był kolorowy.

Na początku marca miałam mieć wolną sobotę. Cieszyłam się z wolnego weekendu i planowałam zrobić porządki w domu. Miałam też nadzieję, że rodzice pozwolą mi pojechać do Pawła na całe dwa dni.

WYPADEK

Był piątek. Sklep, w którym miałam praktyki, otwierano o dziesiątej, więc musiałam się dostać do miasta przed otwarciem. Autobus miałam o siódmej pięć rano. Następny był o jedenastej dwadzieścia, więc w mieście byłabym o dwunastej, czyli za późno. Nie chciałam podpaść swojemu

pracodawcy, więc musiałam jechać tym pierwszym i kręcić się po mieście bez żadnego celu, do czasu, aż ktoś otworzy sklep. Wstałam jak zwykle wcześnie. W trakcie porannej toalety dostałam okres i jak na złość nie mogłam znaleźć tamponów, bez których czuję się niekomfortowo, ale po gruntownym przetrząśnięciu łazienki w końcu znalazłam. Zawsze wstawałam wcześniej, żeby nie robić niczego na ostatnią chwilę. Bardzo dbałam o siebie i lubiłam dobrze wyglądać, tym bardziej, że byłam sprzedawcą i musiałam ładnie wyglądać za ladą.

Mama moja miała tego dnia drugą zmianę. Wychodząc z domu zawołałam do niej:

– Co będziesz mama dziś robić na obiad?

a ona odpowiedziała, że pierogi. Ucieszyłam się, bo je uwielbiam, więc krzyknęłam już w drzwiach:

– Mamuś, proszę Cię, schowaj mi kilka, bo mi zjedzą!
Dzięki, pa!

Na dworze był mróz, a na jezdni leżał ubity śnieg. Martwiłam się, że mi buty przemokną, a jeżeli się przeziębę, to nici z wyjazdu do Pawła. Do przystanku dotarłam dziesięć minut przed czasem. Wolę już marznąć niż się spóźnić, tym bardziej, że przez naszą wioskę przejeżdżały tylko cztery autobusy przez cały dzień, więc spóźnialscy mieli pecha. Czekałam na koleżanki, które również dojeżdżały do miasta, i tak przez czterdzieści pięć minut jazdy autobusem zawsze rozmawiałyśmy ze sobą. Zatem stałam i trzęsłam się z zimna pomimo ciepłego płaszcza, a buty miałam wprawdzie modne, ale nogi strasznie mi w nich marzły. Gdy tak sterczałam

coraz bardziej przemarznięta, podjechał mój kolega Oskar. Jechał Fiatem 126p. Otworzył drzwi i zaproponował:

– Wsiadaj, też jadę do Gorzowa, będę miał towarzystwo.

Zimno mi było, autobus się spóźniał, więc skorzystałam z zaproszenia. Usiadłam na miejscu pasażera, próbowałam zapiąć pas bezpieczeństwa, ale coś się zacięło. Oskar i ja próbowaliśmy je naprawić, ale po kilku próbach powiedział mi, żebym je zostawiła i że spróbuje ponownie po powrocie do domu.

Dodał:

– Na chwilę tylko staniemy jeszcze, pogadam z Valdim tylko, gdy nadjedzie. Muszę umówić się z nim na ryby. Chyba jeszcze nie jechał?

– Pewnie, nie ma problemu – odpowiedziałam z uśmiechem.

Ucieszyłam się, bo lubiłam Valdiego, a już dawno się nie widzieliśmy. Darzyłam tego chłopaka większą sympatią, niż innych moich kolegów. Miał cudowny uśmiech i był starszy ode mnie o trzy lata. Nigdy nie chciałam się wiązać z chłopakiem z mojej miejscowości, więc nie groziło nam zostanie parą, mimo to zawsze była chemia między nami. Bardzo lubiłam droczyć się i flirtować z nim. Zawsze sobie dogryzaliśmy, ale tylko dla żartu. Valdi jako jedyny z okolicy miał naprawdę wypasiony samochód.

Po chwili wspólnej jazdy Valdi wyprzedził nas, a Oskar zaczął na niego trąbić. Valdi zwolnił, my dogoniliśmy go, a on przyspieszył i zaczął nam uciekać, po czym ponownie zwolnił,

my znowu go dogoniliśmy i znowu nam uciekł. Tak się z nami bawił przez jakieś trzy kilometry. Rozpędziliśmy się do osiemdziesiątki. Śmiałam się, bo wiedziałam, że Valdi widzi mnie, jak siedzę obok kierowcy, i zapewne się popisuje. Jechaliśmy, przed nami prosty odcinek drogi, niedaleko do wzniesienia, widoczność była dobra. Nic nie jechało przed jego samochodem, my byliśmy tuż za nim, a za nami było pusto. Na jezdni były tylko nasze dwa pojazdy. Przed nami wzniesienie na delikatnym łuku, a po lewej stronie stał cmentarz. Chcieliśmy pokazać Valdiemu, by zjechał na parking: chwilka rozmowy, oni umówią się na ryby, a ja podroczę się troszkę z kumplem. Około sto pięćdziesiąt metrów przed wzniesieniem jego samochód zwolnił, niemal się zatrzymując. Oskar upewnił się, że na przeciwnym pasie nikt nie nadjeżdża, i rozpoczął manewr wyprzedzania pojazdu Valdiego. Nie wykonałby tego manewru wiedząc, że coś jedzie z naprzeciwka. Mam do niego żal o coś innego, bo kierowcą jest dobrym. Miał być tylko krótki kontakt wzrokowy, znak ręką, by Valdi zjechał na parking za cmentarzem. Tylko tyle i aż tyle.

Ułamki sekund.

Oboje – Oskar i ja – patrzymy na samochód Valdiego, na okno od strony kierowcy. Widzę już zarys kierownicy, wychylam się bardziej, by zobaczyć twarz kierowcy, ale mam dziwne wrażenie, że za kierownicą nikogo nie ma. Jeszcze tylko kilka centymetrów. Zamiast tego przerażający pisk opon i głośny dźwięk klaksonu.

Boże! Skąd się tam wziął samochód?

Czas zwalnia, zamiera...

Niczym klatka po klatce – widzę, jak samochód z naprzeciwka zderza się z naszym, zaczyna wbijać się w nasz samochód, przednia maska zgniata się niczym papier. Miejsce, gdzie trzymałam nogi, zaczyna wciskać się do środka. Ogromna siła uderzenia wbija mnie w fotel. Lewa noga odskakuje na drążek skrzyni biegów, kość piszczelowa przebija skórę, a następnie spodnie. Odbijam się od fotela i wpadam na deskę rozdzielczą, uderzam w tapicerkę dwa razy prawą stroną twarzy w momencie, gdy patrzę na to, co się dzieje z moją lewą nogą. Czuję, że coś ścieka mi po twarzy i zalewa oko. Coś niedobrego dzieje się z moją szczęką, bo nie mogę nią ruszyć. Nie czuję bólu. Nic nie czuję! Samochód odbija się do tyłu jak piłka. Spoglądam na Oskara, który rękoma kurczowo ściska kierownicę, pięści ma zaciśnięte, a głowę ma pomiędzy rękoma. Po chwili kieruję wzrok na prawą stronę i widzę samochód Valdiego, z którego nikt nie wysiada. Po prostu stoi. Chcę krzyknąć, ale nie mogę. Krzyczę w myślach – Valdi pomóż mi, proszę!



NIEBO

Po chwili czuję ciepło, rozluźnienie, ogarniającą mnie lekkość. Nagle znalazłam się w innym miejscu! Stoję w tłumie nieznanym mi osób, szukam wśród nich znajomych

twarży. W oddali dostrzegam wielką bramę otoczoną murem, który nie ma końca ani początku. Moją uwagę przyciągają masywne wrota zdobione kolumnami, na których siedzą posągi białych skrzydlatych lwów. Lwy mają zamknięte oczy, są bardzo dostojne. Siedzą na tylnych łapach i opierają się na przednich. Skrzydła mają złożone. Dokoła panuje półmrok, jedynie brama jest oświetlona. Jest zbudowana z ciemnoczerwonej cegły. Zastanawiałam się, kiedy zdążyli coś takiego wybudować? Jakim cudem komukolwiek udało się ukryć takie miejsce przed mieszkańcami wsi? Jestem w szoku, kompletnie nie wiem, co się będzie działo. Czemu to ma służyć? Skąd się wzięło tyle ludzi? Nie znam ich.

– Co to w ogóle za akcja? – pomyślałam.

Nagle wrota zaczęły się otwierać. Przez powiększającą się szczelinę wydobywało się światło. Lwy strzegące bramy otworzyły oczy i rozpostarły skrzydła. Wszyscy ludzie łącznie ze mną, zaczęli ustawiać się jeden za drugim. Ja ustawiłam się w rzędzie, choć nie wiedziałam dlaczego, ale czułam, że tak trzeba. Przede mną stanęła kobieta, która po chwili odwróciła się i spojrzała na mnie. Miała ciemną karnację, niebieskie oczy, a zęby tak białe, że aż bił od nich blask. Miała na sobie jasnofioletową garsonkę z haftowanym kołnierzem. Kobieta powiedziała do mnie:

– Ale będziemy mieli fajnie!

– Tak? – odpowiedziałam jej ze zdziwieniem, bo nie wiedziałam o co chodzi. Będzie jakiś festyn? Będą coś rozdawać? Mieszkańcy mojej wsi o niczym nie mówili, nie było też żadnych ogłoszeń. Co tu się dzieje?

Nasza kolumna bardzo wolno poruszała się do przodu. Radość rosła w miarę zbliżania się do jasnego światła, podobnie pragnienie wkroczenia w nie. Światło mieniło się różnymi kolorami i sprawiało, że czułam spokój. Byłam coraz bliżej, aż w pewnej chwili ujrzałam w tym świetle stojącą postać. Był to mężczyzna w wieku około pięćdziesiąt lat. Miał na sobie luźną szarą szatę z obszernym kapturem i bardzo szerokimi rękawami. Lewą rękę trzymał na piersi, a prawą kierował kolejne osoby do światła w głębi bramy. Spojrzał na kobietę przede mną i dał znak, by przeszła dalej, mówiąc do niej:

– Idź!

Kobieta minęła go i zatrzymała się po chwili. Widziałam, jak odwróciła się w moim kierunku i z uśmiechem czekała na mnie. Ja czekałam na komendę, aby przejść dalej. Nagle mężczyzna powiedział do mnie stanowczym tonem:

– Ana, stój! Ty nie przejdiesz!

Spojrzałam na niego z zaskoczeniem. Miał delikatną twarz, spokojne oczy i lekki zarost.

– Dlaczego? – zapytałam zaskoczona.

– Bo mi się to nie opłaca. Jeżeli wezmę jedną duszę, będę musiał wziąć jeszcze jedną – odpowiedział.

– I co teraz? – zaczęłam się głośno zastanawiać, co będzie ze mną.

– Teraz pójdziesz na dół.

– Gdzie? Którędy? Są tu jakieś schody, winda?

Czułam, że blokuję kolejkę, ale nie chciałam wywoływać

zamętu. Usłyszałam tylko potężny śmiech, ale taki przyjemny, radosny. Mężczyzna pstryknął palcami i znalazłam się w prawym górnym rogu pod sufitem na sali w szpitalu, na OIOMie. Zobaczyłam siebie z góry.

Nie widziałam swojej twarzy, tylko czubek głowy. Byłam przykryta białym, szpitalnym płótnem, miałam zaplecione dwa warkoczyki i byłam przywiązana do łóżka. Zobaczyłam też Pawła, który stał z mojej prawej strony i trzymał mnie za jedną odwiązaną rękę. I nagle: koniec, nic, ciemność.

SZPITAL

Moi rodzice dowiedzieli się o wypadku od sąsiada z mamy pracy. Przybiegł do nas do domu, gdy mama właśnie kończyła lepić pierogi. Nie mógł wydusić z siebie słowa, gdyż nie wiedział, jak ma to przekazać. W końcu wyrzucił to z siebie:

– Basiu, zdarzył się wypadek i musisz szybko jechać do szpitala, bo to chyba była Ana!

Mama z tatą pożyczili samochód od wujka i pognali do szpitala. Nikt nic nie wiedział, tylko że przywieźli z wypadku dziewczynę lat osiemnaście, ale nie znają jeszcze jej danych, bo jej rzeczy zabrała policja. Mama zapytała funkcjonariusza, czy dziewczyna, która właśnie walczy o życie to ja, bo nikt nie wie, jak nazywa się ranna z tego wypadku. Policjant spojrzał na nich i powiedział:

– Wiem, jak będzie szybciej. Proszę za mną.

Zaprowadził rodziców do szpitalnej piwnicy, by rozpoznali rzeczy rannej, bo na salę operacyjną nie ma wstępu, a moje rzeczy były już w depozycie. Mama zobaczyła mój rozdarty płaszcz, rozszarpane buty i rozcięte spodnie. Wszystko było we krwi. Wśród moich rzeczy był nawet głośnik samochodowy. Policjant wyjaśnił:

– Strażak wrzucił go do karetki, bo miała go na kolanach, więc myśleli, że to jej.

Nie wyobrażam sobie bólu i rozpacz moich rodziców. Boże uchron, bym nigdy nie musiała przeżywać czegoś takiego...

Rodzice wpadli w rozpacz, bo już wiedzieli, że to ja. W międzyczasie prosto z pracy dojechał najstarszy brat. Lekarze walczyli o moje życie, a operacja trwała kilkanaście godzin. Moi bliscy byli przez cały czas przy bloku operacyjnym i czekali na dobre wieści. Gdy w końcu wyszedł lekarz, wyglądał na załamanego i jakby zawiedzionego, jak twierdzi moja mama. Podeszedł do niej i zaczął wyjaśniać:

– Pani córka miała uraz jamy brzusznej z pęknięciem torebki wątroby i torebki śledziony oraz krwiaka na opłucnej prawej. Usunęliśmy krew, zamknęliśmy ją, ale Ana nadal krwawi i nie znamy jeszcze przyczyny. Wszystko sprawdziliśmy, ale krew nadal się w niej zbiera. Może pani wie, czy córka nie miała czasem miesiączki?

Moja mama o wszystkim wiedziała, ponieważ mówiłam jej o wielu sprawach, zatem od razu potwierdziła:

– Tak, Anusia miała okres i używała tamponów.

Lekarz odetchnął z ulgą i ruszył z powrotem na blok

operacyjny, gdzie wyciągnęli ze mnie tampon. Nie wiem, ile godzin dokładnie trwała operacja. Tamowali krew, zszywali, ale skąd mogli o tym wiedzieć? Miałam go w sobie tyle godzin, że wdało się zakażenie i potem miałam przez to kłopoty. Po udanej operacji zawieźli mnie nieprzytomną na Oddział Intensywnej Terapii. Mama opowiadała mi później, że to było najgorsze kilka minut w jej życiu, gdy patrzyła na swą córeczkę obłożoną masą przewodów, z igłami wbitymi w dłonie i z rurkami w ustach, opuchniętą twarzą pełną szwów. Rozpacz moich rodziców była nie do opisanania.

Lekarz ich pocieszał:

– Wszystko będzie dobrze, teraz tylko trzeba czekać. Ana jest młoda i silna, na pewno da sobie radę, ale teraz musi odpoczywać. Dużo przeszła, więc będzie lepiej, jeżeli nikt na razie nie będzie jej odwiedzać.

Ale moja mama chciała mnie tylko wycałować i powiedzieć mi do ucha, że bardzo mocno mnie kocha i że jest przy mnie; żebym się nie bała; że jest przekonana o tym, że wszystko będzie dobrze; że wierzy we mnie. Chciała mi powiedzieć, że nie mogę odejść. I prosić, bym walczyła, nie poddawała się. Lekarz pozwolił, ale tylko rodzicom i tylko na pięć minut.

Potem pielęgniarki kazały mojej rodzinie opuścić blok operacyjny, abym mogła odpoczywać, zatem moi bliscy pojechali do domu, ale po drodze rodzice wstąpili na plebanię. Mama chciała zamówić mszę, prosząc Matkę Boską o opiekę nade mną, uzdrowienie i dodanie mi sił do walki. Ksiądz spojrział w kalendarz i oświadczył:

– Dobrze, ale mam wolny termin dopiero w przyszłym

tygodniu.

Ale mama nie odpuszczała:

– Proszę księdza, Ana teraz potrzebuje wsparcia. Miała dziś wypadek i nie wiadomo, czy wybudzi się ze śpiączki, czy przeżyje. Musimy teraz prosić o pomoc dla niej.

Ksiądz zaproponował:

– Chyba, że w innym kościele odprawimy mszę dla Anny.

Mama się zgodziła:

– Może być gdziekolwiek, byleby tylko została odprawiona w jej intencji.

Uzgodnili, że msza odbędzie się za godzinę w Nowym Polichnie. Rodzina pojechała do kościoła pomodlić się wspólnie o moje ocalenie. Z tego, co mi wiadomo, w kilku kościołach naszej parafii odbyły się msze w mojej intencji, a nawet wiem o mszach za moje zdrowie i opiekę dla mnie, które odbyły się w Gorzowie. Podobno za każdym razem, gdy była odprawiana msza za moje zdrowie, ze mną było coraz lepiej.

Nadal leżałam nieprzytomna. Lekarze poinformowali rodziców, że mam krwiaka na mózgu, więc będą podawać leki i obserwować, czy krwiak się zmniejsza. Jeżeli jednak będzie się powiększać lub długo nie będzie poprawy, będą musieli mi zrobić trepanację czaszki. W pierwszych dniach nie było zmian. Miałam co drugi dzień robione EEG i prześwietlenie głowy. Chodziło o moje życie i lekarze robili wszystko, bym go nie straciła.

Gdy człowiek jest nieprzytomny, zmysły funkcjonują

normalnie, szczególnie narząd słuchu. Lekarze przypuszczali, że słyszę, więc zachęcali bliskich, by do mnie mówili. Pacjentowi to pomaga, bo wtedy organizm się broni i dzieją się cuda. Można było mnie odwiedzać, ale tylko]dwie osoby jednocześnie – takie było zarządzenie szpitala.

Codziennie było u mnie kilka osób. Odwiedzający zmieniali się co godzinę. Chcieli, bym czuła, że nie jestem sama, że mnie potrzebują, abym się nie poddawała i ich nie opuszczała. Każdy, kto czuwał przy moim łóżku, mówił do mnie. Opowiadali, co się dzieje w domu. Obserwowali i czekali na mój najmniejszy gest, jakiś znak, że walczę, że ich słyszę – cokolwiek. Leżałam bez ruchu, ale gdy Paweł przywiózł walkmana, włożył mi do uszu słuchawki i puścił piosenkę Celine Dion z filmu *Titanic*, zobaczył, że po policzkach popłynęły mi łzy. W tym momencie wszedł mój najstarszy brat Chojrak i gdy to zobaczył, powiedział do niego:

– Co ty jej puszczasz? Ana nie lubi takich smętów, włącz szybką muzykę.

Wybrał jakiś szybki kawałek i wkładając mi słuchawki w uszy, stwierdził:

– Ona to uwielbia!

Brat wybrał mój ulubiony utwór, przy którym wariowałam na parkiecie w dyskotekach. On doskonale wiedział, co mi się podoba, bo chodziłam na dyskoteki, które on prowadził. Obaj zauważyli, że palce mojej dłoni zaczęły stukać lekko w poręcz łóżka w rytm melodii. Z radości zaczęli się ściskać. Umocniłam ich wiarę w to, że będzie dobrze, że walczę, że

jeszcze trochę i otworzę oczy.

Opowiadali o tym każdemu. Wiedzieli, że ich słyszę i rozumiem, że reaguję i lada moment obudzę się. Swoją drogą, po wypadku lubiłam, jak mi opowiadali, co robiłam i jak się zachowywałam w śpiączce, która trwała jedenaście dni. Niektórzy uśmiechali się na wspomnienie tych chwil, zaś inni nie chcieli o tym w ogóle ze mną rozmawiać. Chcieli zamknąć ten zły dla nich okres w życiu i zapomnieć o tym.

Następny mój wyczyn, o którym mi opowiadano, wydarzył się podczas odwiedzin Wojtka, na którego mówiliśmy Diabeł. Wojtek złapał mnie za dłoń i poprosił:

– Ana! To ja, Diabeł. Jeżeli mnie słyszysz, to ściśnij mi dłoń.

A ja słyszałam i zareagowałam. Ścisnęłam jego dłoń z taką siłą, że prawie zmiażdżyłam mu palce. Gdy Wojtek opowiadał mi o tym po moim powrocie ze szpitala, to nadal widziałam w jego oczach ból, który mu sprawiłam.

Z opowieści mojej mamy dowiedziałam się, jak bardzo się wystraszyła, gdy przyjechała do mnie do szpitala i zobaczyła mnie bez przewodów i aparatury. Pierwsze, co jej przyszło do głowy to, że powyrywałam przewody, że coś popsułam i zabrali sprzęt. Podbiegła do pielęgniarki:

– Jezu! Co się stało?

– Spokojnie pani Basiu, Ana oddycha już sama. To już nie jest jej potrzebne.

Ta wiadomość tak uszczęśliwiła mamę, że z oczu popłynęły jej łzy radości. Jeszcze bardziej uwierzyła, że teraz już

będzie tylko lepiej. Dodało jej to sił.

Jakiś czas po tym zdarzeniu miał miejsce mój kolejny szczęśliwy dzień. Był wtorek, trzynasty dzień miesiąca. W odwiedzinie do mnie przyszła mama moich przyjaciółek – Dziary i Gosi – ciocia Asia (Kozula). Mówiła do mnie przez łzy rozpacz, że takie nieszczęście mnie spotkało. Zawsze powtarzała, że jestem jej trzecią córką, taką przyszywaną. Prosiła, bym się nie poddawała, bym walczyła – i nagle moje powieki się uniosły. Otworzyłam przy niej oczy, a ona popłakała się ze szczęścia, że akurat przy niej to się stało. Nie mogła się odważyć, by przyjść, a gdy w końcu zebrała się, to taki cud się wydarzył. Na początku otwierałam tylko oczy i zamykałam. Lekarze powtarzali, że już będzie tylko lepiej:

– Ana wybudziła się ze śpiączki.

Przez pierwsze dni byłam bezwolna jak roślina. Wykonywałam polecenia, nie mówiłam, karmiono mnie łyżeczką, nadal musiałam używać pieluch i przez cały czas czułam senność. Byłam zupełnie bez sił i robiłam wszystko bardzo powoli, patrząc szeroko otwartymi oczami na otaczający mnie świat. Potem zostałam przeniesiona na inną salę, gdzie miałam dochodzić do siebie nadal pod całodobową opieką i gdzie miałam robione kolejne badania. Moi rodzice cieszyli się, że wybudziłam się ze śpiączki, ale martwili się, że jestem jak roślina. Lekarze uspokajali, że to z czasem może minąć i że gojenie ran i czas potrzebny na powrót do zdrowia zależą od mojego organizmu. Jestem młoda, więc organizm mam silny i powinno być dobrze.

Oto lista obrażeń, jakich doznałam podczas wypadku:

- rany okołoczołowe z otarciem naskórka prawej strony głowy,
- rany około podbródkowe,
- złamanie obu kości podudzia lewego,
- uraz czaszkowo-mózgowy z utratą przytomności i obrzękiem mózgu,
- rana szarpana pod kolanem lewym,
- uraz jamy brzusznej z pęknięciem torebki wątroby i torebki śledziony,
- krwiak opłucnej prawej.

Mój powrót ze świata snu pamiętam dokładnie. Próbuje otworzyć oczy, udaje mi się i pierwsze, co widzę, to ściana. Przebiegam wzrokiem po niej i jednocześnie wsłuchuję się w dźwięki dobiegające zza uchylonych drzwi. Słyszę kobiece głosy – rozmowę, chichot. Zaczynam się rozglądać po pokoju. Czuję, że mam ciężką głowę, nie mogę jej unieść, tylko kręcę nią na boki. Jestem bez siły, nogi mam jak kołki, nie potrafię ich unieść, ale na szczęście mam czucie. Trochę się boję. Zaczynam rozumieć, gdzie jestem. Łagodne światło słoneczne wpada przez okno. Dociera do mnie, że jest dzień. Nic nie pamiętam. Dlaczego jestem w szpitalu? Co ja tu robię? Przecież mam jechać do Pawła na weekend. Po lewej stronie widzę uchylone drzwi i słyszę, jak ktoś chodzi korytarzu. Po prawej stronie widzę okno. W mojej głowie rodzi się mnóstwo pytań: Co się stało? Dlaczego tu jestem? Gdzie są wszyscy? Boże, NIC NIE PAMIĘTAM! Zaczynam się bać, nie mogę

nikogo zawołać. Nawet nie wiem, kogo. Czuję lęk i staram się cokolwiek sobie przypomnieć. Nic, pustka. Pamiętam tylko, że Paweł zabiera mnie do siebie na weekend. Chcę krzyknąć, ale nie mogę wydobyć z siebie żadnego dźwięku. Czuję kluchę w gardle, ale nie mogę jej odkrztusić. Co się dzieje? Niech ktoś mi pomoże! BŁAGAM! Zaczynam wpadać w panikę, łzy napływają do oczu, broda zaczyna drżeć. Zaczyna się gonitwa myśli: Boże, gdzie jest moja mama? Tata? Gdzie jest Paweł?

Nagle do sali wchodzi mama, a za nią tato. W tym momencie czuję ogromną ulgę i radość, bo widzę mojego anioła – moją mamę. Chcę wtulić się w nią jak najprędzej i poczuć jej matczyne ciepło. Chcę czuć się bezpiecznie i mam mnóstwo pytań, ale mama nie patrzy mi w oczy, unika mojego wzroku. Niby się uśmiecha, ale widzę, że za tą maską ukrywa się smutek, załamanie. Mówi do mnie:

– Dzień dobry, moja kochana córeczko.

Ale nie patrzy na mnie. Widzę, że stara się nie wybuchnąć płaczem. W głowie kotłują mi się myśli:

– Co ja jej zrobiłam? Czemu jest na mnie zła? Co się stało? Dlaczego jestem w szpitalu?

W końcu spojrzała na mnie prosto w oczy. Wydałam z siebie dźwięk, a właściwie bełkot, który mnie samą przeraził. Na szczęście zrozumiała mnie i krzyczy do mnie:

– Córeczko moja!

a po chwili:

– Siostro! siostro!

i znowu do mnie:

– Ana, kochana moja, córeczko, serce moje!

I zaczęła mnie całować po rękach i po twarzy. Była oniemiała z radości!

Pielęgniarka przybiega i wita mnie, ale ja nie znam tej kobiety. Chcę coś powiedzieć, ale wciąż nie mogę wydobyć z siebie głosu. Mama zauważa, że chcę coś wydusić z siebie, ale z tej niemocy zaczynam się denerwować. Pyta mnie:

– Ana, chcesz coś powiedzieć?

Jestem bardzo słaba, ale udaje mi się skinąć głową. Po chwili siostra przynosi kawałek kartonu i coś do pisania i razem z mamą piszą kolejne litery alfabetu. Pytają mnie, czy pamiętam, jak wygląda literka A, B, C itd., po czym proszą mnie, bym pokazała palcem, jak mama ma na imię, a potem – jak tata ma na imię. Mama podtrzymuje moją rękę, a ja wodzę palcem po kartonie pokazując pierwsze litery imienia każdej osoby, o którą mnie pytają. Potem przychodzi czas na imiona mojego rodzeństwa. Pytają mnie, jak na imię ma moja siostra. Patrę na mamę z przerażeniem.

– Przecież mam jeszcze sześciu braci! Wiem, jak każdy ma na imię, mamo! – krzyczę w myślach, bo już się zdenerwowałam.

Ale one tylko sprawdzają moją pamięć. W końcu udaje mi się szarpnąć mamę za rękę i pokazuję kolejno litery: C, O, J, A, T, U, R, O... Mama już się domyśla pytania, spogląda na tatę, a on na nią. Pielęgniarki już nie było. Poczułam lęk,

ponieważ nie znałam odpowiedzi.

Mama zaczyna:

– Ana, miałaś...

W tym momencie tata się wtrąca:

– Baśka, co ty robisz? Nie mów jej jeszcze.

Mama patrzy na niego i odpowiada:

– Jest w szpitalu, zobaczymy co powie?

I rozmawiają przy mnie, a ja leżę i przysłuchuję się rozmowie. Mówię w końcu do siebie w myślach:

– Jezu, co ja zrobiłam? Co się stało?

Nagle mama odzywa się do mnie:

– Ana...

na chwilę zawiesza głos i po chwili dodaje:

– Miałaś wypadek samochodowy, Ana. Nie pamiętasz?

Nie bardzo wiem, o czym ona mówi. Jaki wypadek? Przecież miałam jechać do Pawła na weekend, ale dopiero jutro. Wybełkotałam przerażona:

– Paweł?

Mama zrozumiała, ale bardziej z ruchu warg, i odpowiedziała:

– Nie, nie z Pawłem, z Oskarem.

Pomyślałam o kuzynie Pawła, który tak samo miał na imię, ale nie widziałam go ostatnio. Mama spytała ponownie:

– Ana, z Oskarem. Pamiętasz coś?

Staram się przypomnieć sobie cokolwiek. Mrużę oczy ze skupienia, błędzę w myślach, ale wszystko na nic. Mama to

zauważa i zagaduje mnie, żeby zmienić temat. Nie chce, bym teraz nad tym myślała.

Potem odwiedzają mnie lekarze i pielęgniarki. Leżę w sali przy samej dyżurce, mam dzwoneczek i pielęgniarki zawsze powtarzają mi, że gdy będę czegoś potrzebowała, to mam dzwonić.

Strach, który towarzyszył mi przez ostatnich kilka dni, minął. Poczułam, że chcę już wyjść ze szpitala, wrócić do domu, do rodziny i znajomych – do mojego życia. Każdego dnia pobytu w szpitalu, gdy pielgrzymki – tak personel szpitala nazywał wizyty mojej rodziny i znajomych – dobiegały końca, zostawałam sama. Nie lubię i nie chcę być uzależniona od kogokolwiek, dlatego podjęłam samodzielną próbę podniesienia się z łóżka, ponieważ chciałam udowodnić sobie i innym, że już wszystko ze mną w porządku i mogę już wrócić do domu. Odczepiłam kroplówkę i usiadłam na łóżku. Myślę sobie:

– Ok, jest dobrze.

Postawiłam stopy na podłodze, przeniosłam ciężar ciała z łóżka na stopy. Krzyczę w euforii do siebie w myślach:

– Jezu, stoję!

Ale nogi po chwili zaczęły trząść się, jakby były zrobione z galarety. Nie utrzymałam się na nich, opadłam z hukiem na łóżko, na co przybiegła pielęgniarka. Podniosła mnie szybko i zwymyślała mnie:

– Ana!!! Co ty robisz? Dokąd ty chciałaś iść? Co się stało, kobieto?

Posadziła mnie na łóżko, ujęła w dłoniach moją twarz i patrząc mi w oczy zapytała:

- Co ty chciałaś zrobić, dziewczyno?

Patrzyła na mnie ze złością, więc przyszła mi do głowy tylko jedna myśl. Wyszepiałam jej:

- Nic, chciałam siusiu...

Zadziałało. Pielęgniarka złagodniała, spojrzała na mnie i powiedziała:

- Kochanie, masz pieluszkę nałożoną, ale jak czujesz, że chcesz siusiu to już ci przynosimy kaczuszkę.

Jezu! Masakra! Myślałam, że się załamie, płakać mi się chciało.

Pewnego dnia odwiedziła mnie grupa uczniów z mojej szkoły, razem z moją wychowawczynią. Często były u mnie moje przyjaciółki. Raz przyszła z nimi dziewczyna, której nie znosiłam. Poczułam złość, gdy podeszła do mojego łóżka. Ona zapewne myślała, że skoro jestem chora, to nie będę pamiętała mojego nastawienia do niej, i nie pytając o zgodę zabrała się z nimi na wizytę do mnie. Tak czy inaczej, Dziara z Gosią zauważyły moje zdenerwowanie i wyprosiły tę dziewczynę na korytarz. Ponadto Dziara powiedziała do mnie:

- Łeee... kochanie moje, jak ty pamiętasz, że jej nie lubisz, to znaczy, że będzie dobrze! Już niedługo na balety razem pójdziemy.

Testowała mnie? Było mi przykro, ale nie umiałam na nią się gniewać.

W porze kolacji pielęgniarki wypraszają odwiedzających z sal i już nie można przebywać na oddziale. Wtedy moi bliscy całują mnie w czółko, mówiąc, że będą tu jutro z rana, po czym grzecznie wychodzą, a ja znowu zostaję sama. Każdego wieczoru lekarze robią obchód. Pytają:

– Jak się dziś czuje Ana?

A ja kiwam głową, że dobrze, i z ruchu warg odczytują, że chcę już do domu. Wtedy z uśmiechem odpowiadają:

– Już niedługo Ana, jeszcze troszkę.

po czym życzą mi zdrowia i wychodzą.

POWRÓT DO DOMU

Potem leżałam jeszcze na oddziale chirurgii ogólnej kilka dni, może tydzień, nie pamiętam. Nadal miałam wizyty gości i znajomych. Lekarze stwierdzili, że zagrożenia już nie ma i że będzie lepiej, jeżeli będę wracała do zdrowia w domu. Lekarza wyznaczyli dzień wypisania mnie ze szpitala i pozostało tylko zorganizować transport do domu. Szalałam ze szczęścia, że już wychodzę, i okazywałam to tak, jak umiałam, czyli szeptem i powolnymi ruchami. Od rana nie mogłam się doczekać, kiedy po mnie przyjadą. Siostry żegnały mnie czule, a lekarze na porannym obchodzie życzyli mi powodzenia.

W końcu przyjechali po mnie rodzice. Nie miałam na tyle siły w nogach, by sama wyjść z budynku. Czułam je,

poruszałam nimi, ale nie utrzymywały ciężaru ciała. Lekarze mówili, że to minie po rehabilitacji. Mama z uśmiechem dziękowała siostrą za opiekę nade mną i mówiła jednocześnie:

- Byśmy tylko tu szybko nie musiały wracać.
a pielęgniarki się śmiały i potakiwały.

Tato posadził mnie na wózku inwalidzkim. Pomachałam ręką wszystkim na pożegnanie i skierowaliśmy się do windy. Mama powiedziała do mnie:

- Pojedziemy jeszcze w jedno miejsce pożegnać się.

Pojechaliśmy na OIOM. Mama pokazała mi miejsce, gdzie leżałam będąc w śpiączce. Podeszła do mnie jakaś pielęgniarka i zaczęła mnie całować, potem pielęgniarz z daleka krzyknął:

- Zdrówka, Ana!

ale nie wiedziałam, kto to był, nie znałam tych osób. Mama pochyliła się nade mną i szepnęła mi do ucha, że on mnie mył i zmieniał mi pampersy, gdy spałam. Opowiedziała mi, że gdy któregoś dnia przyjechała do mnie i akurat on mnie przebierał, powiedziała do niego żartem:

- Gdyby Ana wiedziała, że ją rozbierasz, to byś miał kłopoty, bo trenowała kiedyś karate. Chodziła na kurs samoobrony.

Teraz zobaczył mnie prawie zdrową i się wystraszył. Mama spytała pielęgniarkę o Agnieszkę, która leżała na łóżku obok, gdy leżałam w tej sali. Aga uwielbiała jazdę konną. Los sprawił, że spadła właśnie z konia i uderzyła głową o beton.

Miała trepanację czaszki. Długo leżała w śpiączce. Do szpitala trafiła przede mną, była nieprzytomna, ale za to wybudziła się dwa dni przed moim wybudzeniem. Wiem, że jej rodzice zbliżyli się z moimi. Obie nasze rodziny czekały na nasze przebudzenie. Gdy wybudziłyśmy się ze śpiączki, mnie odłączyli od respiratora, a Aga nadal była podłączona, ponieważ miała jeszcze trudności z samodzielnym oddychaniem. Jej stan po przebudzeniu jeszcze się nie poprawiał. Ona – podobnie jak ja – była karmiona łyżeczką. Szpital nie mógł nic więcej dla niej zrobić, więc jej rodzice zdecydowali się na dalsze leczenie Agnieszki w klinice w Poznaniu.

Wychodziłam ze szpitala w dniu, w którym Aga czekała na transport do Poznania ambulansiem specjalnie wynajętym przez rodziców. Szpital nie chciał udostępnić im karetki, więc sami musieli ją wynająć i zapłacić za transport. Mama chciała pożegnać się z nimi i życzyć im powodzenia. Ustawiła mój wózek tak, by Agnieszka mnie widziała. Jej łóżko było wysokie. Aga spojrzała na mnie swoimi dużymi oczami i wyciągnęła do mnie rękę. Patrzyłam na lewy bok jej głowy. Chwyciłyśmy się za dłonie. Nasze mamy rozmawiały ze sobą, a my nie umiałyśmy mówić. Ja przez afazję, zaś Aga nie odzyskała w pełni świadomości. Patrząc w jej oczy słyszałam jej myśli. Nie wiem jak to możliwe, ale ona mówiła do mnie. Powiedziała:

– Ja już nie mam siły, wszystko mnie boli. Nie mogę patrzeć, jak rodzice czekają, aż będzie dobrze. Ja wiem, że już nie będzie ze mną dobrze.

Patrzyłam w jej oczy i słyszałam w myślach to, co ona mówiła do mnie. Powiedziałam do niej:

– Aga walcz!

Odpowiedziała mi:

– Już nie mam siły, wszystko mnie bardzo boli.

Wtedy moja mama, żegnając się z rodziną Agi, zaczęła odciągać mnie od niej. Nasze dłonie się puściły, ale nadal patrzyłyśmy sobie w oczy. Patrzyłam na nią do momentu, gdy nie zniknęła za ścianą. Ostanie zdanie, jakie usłyszałam od Agnieszki, to:

– Żyj.

Do dziś pamiętam jej duże i ciemne oczy, do tego ciemne włosy i chudą twarz. Po lewej stronie głowy miała widoczną bliznę tuż nad uchem, ale nierówno ścięte włosy ją zakrywały.

Niestety nie wiem, co się potem działo z Agnieszką.

W szpitalu w mojej sali był jeszcze dziesięcioletni chłopczyk, którego samochód potracił na przejściu dla pieszych. Miał ręce i nogi unieruchomione na szynach. Nie pamiętam go, ale wiem o nim od mamy. Mówiła mi, że chciałam mu pomagać, podawać picie i dlatego odłączałam sobie kroplówki.

Tak zapamiętałam długo oczekiwany dzień mojego wyjścia ze szpitala. Planowałam go od momentu, kiedy powiedzieli mi, że wyjdę. Cieszyłam się, że jadę do domu, miałam dość szpitala. Wracając do domu nadal niczego nie pamiętałam. Gdy przejeżdżaliśmy przez miejsce mojego wypadku, tata

zatrzymał samochód i spytał mnie:

– Ana, pamiętasz to miejsce? Tu miałaś właśnie wypadek, w tym miejscu.

Rozglądałam się, ale nie mogłam sobie niczego przypomnieć. Rodzice nie pytali o nic więcej i pojechaliśmy prosto do domu. Gdy wjechaliśmy na podwórko, tata zaparkował jak najbliżej drzwi wejściowych. Przed dom wyszła babcia ze łzami w oczach. Jedną rękę trzymała na piersiach, a drugą tłumiła płacz. Cieszyła się, że już jestem w domu. Wyciąłowała mnie, gdy siedziałam jeszcze w samochodzie, mówiąc:

– To dzięki Panu Bogu kochana żyjesz!

– Tak, wiem, babciu – odpowiedziałam jej szeptem kiwając głową.

Próbowałam wysiąść sama z samochodu, chciałam podejść do drzwi, by nikt nie musiał mnie dźwigać. Szarpnęłam się do wyjścia, ale bezskutecznie. Nawet tata stwierdził, że nie dam rady. Uniosłam rękę, co miało znaczyć *Ja chcę sama*. Tata spojrzał z uśmiechem na mnie, po czym dodał:

– Kombinuj córuś, kombinuj.

I odszedł, ale zerkał na mnie przez ramię. Chciałam pokazać, że umiem, że poradzę sobie. Staralam się, ale nie wychodziło. Tata nadal mnie obserwował. Widział, że wiercę się i kręcę. Tata na mnie spojrzał, ja na niego. Uniosłam znowu rękę. Usłyszałam tylko, jak się zaśmiał. Odetchnęłam głęboko i podjęłam kolejną próbę. Chciałam im pokazać, że już nie muszą skupiać się tak na mnie, że już dam sobie radę

sama. Zmęczyłam się, ale za wiele nie wskórałam. Czułam, że będę musiała znowu prosić o pomoc. Jedną nogę udało mi się wyciągnąć na zewnątrz, więc zabrałam się za drugą. Nie mogłam swobodnie obrócić się w fotelu. Łzy napłynęły mi do oczu, ale chęć walki była ogromna.

Chwyciłam chorą nogę i starałam się ją przełożyć przez próg auta. Wszyscy poszli otworzyć drzwi w pomieszczeniach domowych, by było im łatwo mnie wnieść, a ja nadal mocowałam się ze sobą w samochodzie. Wtedy przybiegł do mnie mój kochany piesek – Reksiu. Stał blisko mnie, patrzył na mnie i merdał ogonem. Wyczułam, że chce mi pomóc. Nagle znieruchomiał. Wykorzystałam moment, położyłam chorą nogę na jego grzbiecie i w tym momencie swobodnie udało się obrócić, a Reksiu nawet się nie zachwiał. Tata, gdy to zobaczył, krzyknął cicho, by go nie spłoszyć:

– Baśka, patrz na Reksia, szybko!

Miałam obie nogi na zewnątrz. Reksiu wskoczył mi na kolana, a ja mocno go uściskałam. Psiak zeskoczył na ziemię, a któryś z chłopaków podbiegł do samochodu, wziął mnie na rękę i wniósł do domu.

Miałam już przygotowany pokój. Był dość mały: dwa łóżka, moje pod oknem, a obok drugie. Wnieśli mnie i położyli na moje łóżko, obok którego stała szafka, na której leżał kołeczek. Gdy czegoś chciałam, miałam zastukać kołeczkiem, a jeden z braci, zajmujący drugie łóżko, wstawał i pomagał mi. Najczęściej pilnował mnie Miernik albo Orzeł. Na całej ścianie była meblościanka, więc było ciasno, ale to ułatwiało mi poruszanie się, bo mogłam się chwycić czegokolwiek, gdy

traciłam równowagę. Dzięki temu czułam się bezpieczniej.

Po godzinie czy dwóch, gdy już leżałam wygodnie na łóżku, pojawili się moi przyjaciele, koleżanki i sąsiadki: Hela, Szafa, Sarna i Drapałka. Przyjechał także Paweł ze swoimi siostrami, bratem i kuzynem. Wszyscy ci, którzy nie mogli dojechać do szpitala, przybyli, by mnie zobaczyć i uściskać. Teraz już byłam u siebie.

Rodzice zebrali moje rodzeństwo i przekazali im to, co powiedział lekarz, gdy opuszczałam szpital, czyli że nie wolno mnie pytać o wypadek ani nakłaniać mnie, bym starała się przypomnieć sobie cokolwiek odnośnie wypadku. Nie można było mi o nim opowiadać ani opisywać szczegółów. Trzeba było czekać, aż sama sobie coś przypomnę. Nic na siłę, bo mogę doznać traumy, zamknę się w sobie i znowu stanę się rośliną. Po prostu w domu był ZAKAZ poruszania tematu wypadku, zatem nikt nie poruszał tego tematu. Nawet koleżanki czy koledzy nie mogli o to pytać, bo zawsze ktoś z rodziny był przy nas. Pamiętam, jak odwiedzili mnie Misiu z Kaziem. Misiu zapytał mnie ze zdziwieniem:

– Ana, ty naprawdę nic nie pamiętasz?

Spojrzałam na niego i zaczęłam się zastanawiać. Mój brat siedział obok. Powiedział coś szybko do Misia, po czym od razu zmienili temat zadając mi nowe pytanie, bylebym tylko zapomniała o wcześniejszym. Nie wiem, czy rodzeństwo uświadamiało przed wejściem każdego odwiedzającego, że nie wolno mnie pytać o wypadek. Jeżeli ktoś chciał się dowiedzieć, czy coś pamiętam, to zwracał się z tym pytaniem do rodzeństwa. Rodzina i znajomi bali się o moje zdrowie.

Wszyscy chcieli, bym szybko doszła do siebie. A mnie męczyło, że nic nie pamiętam.

Przed wypadkiem zawsze byłam samodzielna i nie potrzebowałam niczyjej pomocy. Wszystko starałam się robić sama, niestety po wypadku bardzo się to zmieniło. Nie miałam siły, by funkcjonować sama. Miałam kłopoty z mową, więc gdy odczuwałam potrzebę fizjologiczną, pukałam w szafkę kołeczkami i czekałam na pomoc.

Pewnego dnia któryś z braci zaniósł mnie do łazienki. Gdy siedziałam na muszli, dotarło do mnie, że zaniedbałam depilację. Chwyciłam pierwszą lepszą maszynkę i zaczęłam od nóg. Mamę zaniepokoił mój długi pobyt w łazience, więc przyszła do mnie, żeby sprawdzić, co robię, a ja już zdążyłam pociąć sobie skórę na nogach. Nie były to głębokie rany, ale krew sączyła się z nacięć.

Mama się przeraziła:

– Dziecko! Boże, co ty robisz?

Wyrwała mi z ręki maszynkę. Szepnęłam do niej:

– Mamuś, ja tylko chciałam nogi ogolić, zobacz jak ja wyglądam.

I dostałam niezły ochrzan...

Pamiętam też, że któreś nocy Miernik zaniósł mnie do łazienki, usiadłam na muszli klozetowej i zaczęłam przeproszać go za to, że musi mnie nosić do łazienki. Tak mi było głupio, że przeze mnie spać nie może. A on spojrzał wtedy na mnie i powiedział:

– Oj Justyna, ty naprawdę jesteś chora. Przecież to jest

normalne, że będziemy ci pomagać we wszystkim.

Kilka tygodni po wyjściu ze szpitala dostałam pismo z Zakładu Ubezpieczeń Społecznych w celu stawienia się na badanie kontrolne przed komisją lekarską. Nie wiem, o co im chodziło. Chcieli sprawdzić, czy nie udaję? W wyznaczonym dniu tata pożyczył auto od sąsiada i zawiózł mnie do Gorzowa. Usztywniłam nogę bandażami, bo jeszcze nie była na tyle sprawna, by utrzymać się na niej. Gdy dotarliśmy na miejsce, musieliśmy czekać na korytarzu na swoją kolej. Bardzo się męczyłam, bo byłam zbyt słaba, by wysiedzieć w jednym miejscu. Tata w końcu nie wytrzymał, wszedł do gabinetu i zapytał:

– Przepraszam, ale przywiozłem tu do kontroli córkę, która jest po wypadku samochodowym. Nie czuje się najlepiej, więc czy Pan doktor mógłby ją zbadać w pierwszej kolejności?

Lekarz poprosił mnie do gabinetu. Był dość młody. Wstałam z krzesła i z niemałym trudem weszłam o kulach do gabinetu. Usiadłam na krześle, a choć pokonałam zaledwie kilka metrów, zmęczyłam się tak, jakbym biegała wokół budynku. Lekarz spojrzał na mnie i powiedział:

– Matko, co tu się dzieje? Przecież to dziecko jest chore!

Tata spojrzał na niego i powiedział:

– Tak, przecież to widać. Dostaliśmy wezwanie, że mamy się stawić, to przyjechaliśmy.

Lekarz spojrzał na tatę i odrzekł:

– Niech pan tę bidulkę zabiera stąd. Miałem upewnić się, czy nie symuluje.

Lekarz wypełnił stosowne dokumenty, postawił pieczętki i kazał tacie udać się po zwrot kosztów za dojazd. Tata powiedział, że przywiózł mnie samochodem.

Lekarz spojrzał na niego:

– Niech pan idzie się dowiedzieć, co trzeba i wróci do mnie. Jeżeli będzie potrzebne jakieś oświadczenie, to ja wystawię.

Lekarzowi było bardzo wstyd, że wzywają chorą osobę, ale przecież to nie była jego wina. Bardzo źle się czułam po tej wizycie. Wszystko mnie bolało tego dnia.

Mijały tygodnie, a ja zbierałam siły. Już mogłam siadać na łóżku i powoli wstawać bez niczyjej pomocy. Umiałam utrzymać się na nogach przez kilka minut i trzymając się mebli, chodzić po pokoju. Pewnego wieczoru przyjechał do mnie Paweł. Zaprowadził mnie do pokoju rodziców i tam w czwórkę siedzieliśmy przy stole i po prostu rozmawialiśmy, ale myślami byłam gdzieś indziej. W głowie pojawiały mi się różne obrazy: szpital, sala, ktoś leży na łóżku, a ktoś inny stoi obok. Skupiłam się bardziej: znów szpital, sala, widok z góry. Widzę siebie na łóżku. Patrzę na siebie z góry, ale nie widzę twarzy, tylko czubek głowy i włosy zaplecione w warkoczyki. Przypomniałam sobie jeszcze więcej detali: lewa ręka przywiązana do łóżka; obok stoi Paweł i trzyma mnie za odwiązaną prawą rękę; jestem okryta cienkim prześcieradłem. Wszystko to było tak wyraźne, że aż zeszywniałam z zimna. Obrazy zniknęły, poczułam ból głowy i zaczęłam szybciej oddychać. Znowu siedzę przy stole w pokoju u rodziców, trzymam w dłoniach kubek z herbatą. Wiem, że to wydarzyło się naprawdę. Nie jestem pewna, czy

oni zauważyli, że przez chwilę mnie tu nie było. Zwariowałam? Przecież nie powiem im o obrazach w mojej głowie, bo pomyślą, że jednak zwariowałam. Mama spanikuje i pomyśli, że z moją głową jest coś nie tak. Zastanawiam się, jak zacząć, by ich nie wystraszyć? O co pytać? Minęła długa chwila. Wiem, że to wydarzyło się naprawdę, widziałam to i przypomniałam sobie.

Mama zaczęła mi się przyglądać. Widziałam jej skupienie na twarzy. Zapytała mnie:

– Wszystko dobrze, córuś? Co się dzieje? Boli cię coś? Co taka gorąca, spocona jesteś? Ana, co się dzieje?

Spojrzałam w jej oczy. Pytać czy lepiej nie?

– Mamuś, powiedz mi, dlaczego miałam warkoczyki, jak spałam?

Mama zerwała się na równe nogi i zapytała nerwowo:

– Który Ci powiedział? Hiena, Zybi? Który?

Powiedziałam do niej:

– Mamuś, nie denerwuj się tylko, proszę.

Mama patrzyła na mnie w milczeniu, więc dodałam:

– Powiedz, czemu przywiązaliście mnie do łóżka? Mamo, ja widziałam siebie z góry.

Mama zesztyniała na chwilę, po czym usiadła powoli i ochłonęła trochę. Miała łzy w oczach. Czuła, że zaczynam sobie przypominać, bo nie mogłam tego wiedzieć od innych. Łamiącym głosem zapytała:

– Tak Ano, miałaś warkoczyki, jak spałaś, to było zaraz po wypadku. Miałaś włosy całe we krwi, nie można było myć ci

od razu głowy, więc pielęgniarki splotły ci te twoje długie włosy w warkocze. Zrywałaś z siebie kabelki od respiratora. Dlatego cię wiązali. Widocznie piekło cię, gdy miałaś je na klatce piersiowej.

Każdy, kto mnie odwiedzał, odwiązywał mi jedną rękę i mnie za nią trzymał.

Spojrzałam na Pawła, który już stał na równych nogach. Słuchając moją rozmowę z mamą, zaczął chodzić po pokoju szybkim krokiem i przysłuchiwał się nam. Gdy nasze spojrzenia się spotkały, miał tak samo jak ja, łzy w oczach. Spytałam:

– A ty czemu stałeś z prawej strony?

Paweł usiadł na krześle, chwycił mnie za rękę i odpowiedział:

– Bo z lewej strony stał respirator, Ana.

Nagle zapadła głucha cisza. Nikt nie wiedział, jak ma się zachować. Tata palił jednego papierosa za drugim, pociągając przy tym nosem ze wzruszenia. Rozboliła mnie głowa, bardzo mocno bolał mnie czubek głowy. Poprosiłam mamę o tabletkę. Mama wystraszyła się i od razu podbiegła do szafki z lekami, szukała jednocześnie nowego tematu do rozmowy, bym się skupiła na czymś innym, bym już nie myślała o tym, co właśnie sobie przypomniałam.

O to, co się wtedy wydarzyło, rodzice i Paweł nigdy potem mnie nie pytali. Ale mnie to nie dawało spokoju. Zamęczałam Pawła pytaniami o różne szczegóły, np. czy aparatura nie przestała działać na moment? Czy nie było przez chwilę

takiego *tttttiiiiitttt*.

Najpierw mówił, że nie pamięta. Może i było? Ale po chwili dodał:

– Zaraz na początku, gdy stałem pierwszy raz koło ciebie, to myślałem, że się aparatura zepsuła, zaczęła piszczeć, ale po chwili już się naprawiła i znowu zaczęła działać. To tylko kilka sekund było, no może minutę lub dwie. Nie mówiłem nikomu, bo się naprawiła sama.

Prosił mnie, bym już nie pytała o nic, bo on chce zapomnieć o wszystkim, co było. Mam teraz żyć, cieszyć się, że jestem z powrotem. Powiedział mi bardzo stanowczo, że ja nie wiem, co oni przeżywali, jakie to było dla nich trudne, i że po prostu nie będzie ze mną o tym już rozmawiał. Odpuściłam sobie, ale tylko na jakiś czas, bo ciekawość mnie zżerała. Czy to jest możliwe, żebym umarła i potem wróciła do żywych? Gdy zbierałam informacje na ten temat, upewniłam się, że to się stało naprawdę.

Paweł zabierał mnie do siebie, kiedy tylko mógł. Uwielbiałam spędzać czas z jego rodziną. A gdy potrzebował przerwy od pracy na swoim gospodarstwie, bywał u mnie. Powtarzał często:

– U ciebie, kochanie, mogę odpocząć.

Zdarzało się, że przyjeżdżał i ze zmęczenia zasypiał na moim łóżku. Nie dziwiłam mu się, gdyż jako najstarszy z rodzeństwa miał całe gospodarstwo na głowie.

NIEPROSZONY GOŚĆ

Pewnego wieczoru Paweł został u mnie do późna. Siedzieliśmy i rozmawialiśmy jak zwykle. Miernik już spał obok mojego łóżka. Paweł musiał już wracać do domu, więc chciałam go odprowadzić do okna w korytarzu i pokazać, jaki postęp już zrobiłam. Byłam dumna z każdego małego kroczku. Usiadłam na łóżku, nałożyłam sama kapcie i wstałam. Powoli doszłam do mebli i trzymając się nich podeszłam pod drzwi. Mój chłopak oczywiście szedł za mną dla asekuracji.

Stałam przy oknie przy wejściu do domu. Paweł miał zaparkowany samochód wprost pod oknem. Wsiadł do niego, zapalił światła i machnął ręką, bym już wróciła do pokoju. Przesłaliśmy sobie buziaki. Zaczekałam, aż wyjedzie z podwórka, przesłałam mu ostatniego buziaka. Gdy już weszłam do pokoju, zamknęłam za sobą drzwi i ruszyłam w kierunku mojego łóżka. Wtedy zauważyłam postać stojącą na zewnątrz budynku. Widziałam tylko zarys postaci, ponieważ była od tyłu oświetlana przez latarnię, ale wiem, że ten ktoś stał bokiem do okna. Byłam całkowicie przekonana, że to Paweł chciał się upewnić, czy doszłam do łóżka i czy nie zrobiłam sobie krzywdy po drodze (opiekun mój). Nagle spostrzegłam, że obok tej postaci w ogrodzie, coś wskakuje z ziemi na stół stojący na zewnątrz, a potem ze stołu na parapet, a następnie zeskakuje na ziemię – i tak w kółko. Te stworzenia wyglądały jak jakieś pieski albo raczej kózki,

i zaczęły wydawać odgłosy beczenia Mówię *kózki*, bo dostrzegłam na ich głowach rogi. Byłam zszokowana, ale nie tym, że widzę coś takiego, tylko tym, że Paweł tego nie widzi i nie reaguje, tylko stoi. Zaczęłam się wpatrywać w tę postać, bo już nie byłam pewna, czy to na pewno Paweł. Oceeniłam, że mam trzy kroki do łóżka i cztery-sześć kroków do okna. Nagle postać odwróciła się w moją stronę, tak, bym ją dostrzegła. Najpierw zauważyłam ogromną fajkę, z której buchał dym, a potem wielkie rogi! Postać przypominała olbrzymiego byka. To, co miał na głowie, przeraziło mnie! Niewiele myśląc wskoczyłam do łóżka i skryłam się pod kołdrą. Nakryłam się nią cała, tylko odsłoniłam usta, by móc oddychać. Wyszeptałam *Jezu mój*, śpiewałam pieśni religijne i psalmy, które śpiewaliśmy z dziewczynkami w kościele – wszystko, co tylko przyszło mi do głowy. Nagle usłyszałam potężny głos – jakby dochodził z potężnego głośnika:

– A mogłaś trafić do mnie!

Ze strachu zmoczyłam łóżko. Zmówiłam wszystkie znane mi modlitwy, wyśpiewałam pieśni. Nie wiem, jak długo leżałam, ale chyba półtorej godziny, i dopiero, gdy wyczerpałam repertuar znanych mi modlitw, to wtedy odważyłam się wyrzeć z mojej kryjówki. Niczego już nie było. Zniknęła przerażająca postać, zniknął dym, ucichły odgłosy. Za oknem był zwyczajny ogród. Nocne wydarzenie potwierdzało jedynie mokre prześcieradło, które wcisnęłam pod łóżko. Zmówiłam jeszcze pacierz i zwróciłam się do Niego:

– Boże, dlaczego pozwoliłeś mu przyjść do mnie? Przecież

mógł mnie skrzywdzić. Nie mam jeszcze sił. Proszę, następnym razem bądź przy mnie.

Po tych słowach poczułam się bezpieczniej, ale trudno było mi zasnąć. Obawiałam się, że gdy znowu otworzę oczy, to rogaty stwór wróci, i już nie próbowałam ich otwierać. Po jakim czasie zasnęłam. Gdy się obudziłam, za oknem już było jasno, a brat właśnie budził się w łóżku obok. Pamiętałam co się zdarzyło, więc uniosłam kołdrę. Na łóżku nie było prześcieradła. Znalazłam je pod łóżkiem, czyli to wszystko zdarzyło się naprawdę.

Nikomu nie powiedziałam o tym, bo nikt by mi nie uwierzył. Zastanawiałam się, dlaczego to się wydarzyło. Może mi się zdawało albo przyśniło, ale w chwili, gdy to miało miejsce, nie doszłam jeszcze do łóżka. Zadzwoiłam do Pawła z pytaniem, o której wyjechał ode mnie. Powiedział, że późno bardzo, około trzeciej w nocy, bo przed czwartą był już w domu. Wieczorem spytałam mamę, czy mogą spać ze mną Hiena, Wiewióra i Zybi, a mama się zgodziła. Może wyczuła, że się czegoś boję lub że zaczynam sobie przypominać wypadek, ale wtedy jeszcze go nie pamiętałam. Mama zauważyła prześcieradło pod łóżkiem i zapytała mnie, co ono tam robi i dlaczego jest mokre. Odpowiedziałam, że nie wiem. Mama o nic więcej nie pytała, za to bardziej zaczęła okazywać mi, że mnie kocha. Całowała, przytulała i mówiła mi, jaka jestem dla niej ważna. Potrzebowałam tego, bo tak bardzo się bałam. Ale o tym, co mnie spotkało, nie powiedziałam. Nie uwierzyłyby mi i chciałyby to pewnie skonsultować z lekarzem, a ten zamknąłby mnie w szpitalu

dla psychicznie chorych, choćby na obserwację. Więc milczałam. Tej nocy spałam z rodzeństwem. Gniatliśmy się, bo nie było miejsca na cztery osoby, ale przynajmniej byłam bezpieczna. Bałam się, że nieproszony gość znowu przyjdzie. Na szczęście tak się nie stało.

REHABILITACJA

Mijały dni, potem tygodnie. Moje przyjaciółki Sarna i Szafa przychodziły czasem pomagać w rehabilitacji. Motywowały mnie, a ja robiłam postępy. Chodziły przy mnie, jedna z jednej strony, a druga z drugiej. Mówiły, że w razie upadku złapią mnie w locie. Dziewczyny widziały moje postępy: że poruszam się po mieszkaniu sama, bez kul, trzymając się czegoś. Odważniej poruszałam się o kulach. Wychodziłam już sama przed dom i do bramy wyjazdowej. Byłam gotowa na dłuższy dystans – odległość większą, niż od domu do bramy. Pewnego dnia koleżanki powiedziały mojej mamie, że *dziś idziemy na spacer*. Kazała im tylko na mnie uważać, a one zapewniały, że dadzą sobie radę. Szłyśmy powoli, ja w środku, a one po bokach. Przeszłyśmy już jakiś kilometr i dotarłyśmy do przystanku naprzeciwko sklepu, gdzie stały dwie starsze dewotki – świętoszkowate, przesadnie religijne. Rozmawiały dość głośno, prawie krzyczały do siebie, bo obie miały problem ze słuchem. Słyszałam co mówiły.

– Zobacz, idzie ta o kulach. To ta, co miała ten straszny

wypadek, obcięto jej nogi. Zobacz, jakie ładne protezy teraz robią, nie widać, że to sztuczna noga.

Gdy to usłyszałam, to usiadłam – tak mnie to dotknęło. Dziewczyny też to usłyszały i zaczęły krzyżeć na te stare dewoty. Rozpłakałam się, bo zabolalo mnie to, że choćbym starała się ze wszystkich sił, by wrócić do sprawności sprzed wypadku, to ludzie i tak będą widzieć we mnie kalekę. Nie ukryję nic przed nimi. Nie chciałam już walczyć, poddałam się. Pomyślałam wtedy, że to nie ma sensu.

Sarna zatrzymała kolegę, który przejeżdżał autem. Kolega podwiózł nas pod mój dom. Byłam bardzo zmęczona i chciałam się położyć. Słyszałam, jak dziewczyny zdawały relacje mamie, a mama tak się wściekła, że zaczęła wyzywać dewotki. Mówiła, że pójdzie do nich i powie im, co o tym myśli. Szafa mówiła mamie, żeby się tym nie przejmowała, ale ona martwiła się o mnie i o to, jak ja sobie z tym poradzę. Sarna powiedziała, że one mi nie pozwolą się poddać, że będą mnie zawsze wspierać. Słyszac to, wiedziałam, że głupio byłoby tak się poddać. Nadal muszę walczyć. Jestem twarda, zawsze taka byłam.

Wszyscy chwalili moje postępy. Ja sama byłam dumna z siebie. Umiałam już chodzić po mieszkaniu, a gdy jeździłam z tatą po lekarzach, poruszałam się o kulach – powolutku i z asekuracją. Dziewczyny żartowały, że czekają, aż znowu pójdziemy na dyskotekę. Bałam się, że to długo może potrwać, upadnę na ziemię i będzie wstyd, ale nie mnie, tylko tym, którzy będą ze mną, że nie zdążyli mi pomóc. Głupie, prawda? Ale tak wtedy myślałam. Martwiłam się

o innych. Do dziś taka jestem. Najważniejsi są dla mnie bliscy.

Mam żal do rodziców Oskara. Moi bliscy opowiadali, że gdy leżałam w śpiączce, zanim jeszcze lekarze poznali dobrze moich rodziców, rodzice Oskara byli na tyle bezczelni, że podali się za moich rodziców i wyciągali od lekarza informacje. Chcieli się upewnić, że nie będę oskarżać Oskara o coś, co nie było prawdą. Potem jego matka rozповідаła po wiosce, że to moja wina, że złapałam za kierownicę, bo chciałam go pocałować. Najgorsza dla mnie była wizyta u naszego miejscowego lekarza. Siedziałam w poczekalni, byłam o kulach. Tato poszedł zapalić na zewnątrz. Chciałam, żeby został, bo obok była matka Oskara. Tata mnie uspokajał mówiąc, że nic mi nie zrobi, i zostawił mnie. A ta kobieta wyczuła moment i podeszła do mnie, usiadła z boku i mówi:

– Po co tu przyszłaś?

– Do pani doktor po tabletki, bo mnie wszystko boli – odpowiedziałam.

A ona na to:

– Nie kłam, ja wiem co ci jest, wszystko mi lekarze powiedzieli. Przestań ściemniać, dobrą jesteś aktoreczką.

Po czym wstała i odeszła. Matko! Myślałam, że uduszę tatę, że tego nie widział, że mnie zostawił! Byłam twarda, bo znałam ich wcześniej, przed wypadkiem, więc się nie przejęłam tak bardzo jej gadaniem, ale tym, że była zdolna posunąć się do tego przy ludziach. Miałam w oczach łzy. Było mi przykro, bo najwidoczniej jej syn musiał tak mówić, a przecież ja nic nie zrobiłam. Nie przyznałam się tacie, że

podeszła. Powiedziałam to mamie, a ona wściekła się na ojca, że mnie zostawił wiedząc, że ona jest z boku. Mówiła, że mam się nią nie przejmować, że to wredny babsztyl.

ODSZKODOWANIE

Miałam pretensje do Oskara. Nie odwiedził mnie ani w szpitalu ani w domu. Ani razu! W pamięci mam jakieś urywki, że odwiedził mnie jego brat Ignacy, ale on – nie. Mija mnie teraz na ulicy, tak jakby mnie nie znał. Nie rozumiem dlaczego? Pamiętam jego zachowanie w Sądzie Okręgowym. Mieliśmy sprawę o ustalenie sprawcy. Na salę rozpraw weszła pani sędzia, wszyscy wstali, ja próbowałam, ale nie mogłam sobie poradzić z kulami i zaczęłam się motać. Mama krzyknęła do mnie z głębi sali sądowej:

– Ana, siedź!

Sędzia spojrzała na mnie i powiedziała:

– Pani nie musi wstawać.

Siedziałam całą sprawę. W pewnym momencie sędzia zadała mi pytanie. Nie wiedziałam, o co chodzi, wszyscy na mnie patrzyli. Sędzia powtórzyła:

– Proszę tylko odpowiedzieć *TAK* lub *NIE*.

Odpowiedziałam *TAK* nadal nie rozumiejąc pytania. Wszyscy zaczęli wychodzić, nawet mama. Krzyknęłam głośno:

- Nie!

Wystraszyłam się, że mnie zostawią samą. Patrzyłam z przerażeniem na mamę, która wychodzi z ławki. Spojrzała na mnie i wyczytałam z jej ust:

- Ana, nic się nie stało, my poczekamy przed drzwiami.

Po chwili moja pani mecenas zaczęła odczytywanie moich obrażeń. Oskar stał i słuchał, ale w ogóle na mnie nie patrzył, ja chciałam, by nasze spojrzenia się spotkały. Zapadł wyrok dla Oskara: półtora roku pozbawienia wolności w zawieszeniu na trzy lata oraz grzywna w wysokości siedmiuset złotych na rzecz fundacji dla poszkodowanych w wypadkach samochodowych w naszym mieście.

Potem odszkodowanie i zadośćuczynienie. Nie pamiętam, jak to się odbywało. Pamiętam tylko, że pojechałam z mamą i dałam pełnomocnictwo mecenasowi. Nie byłam jeszcze w pełni sił i niczego nie rozumiałam. Mecenas pytał mnie o wypadek, ale wtedy jeszcze nic nie pamiętałam.

Któregoś dnia tato powiedział, że pójdziemy na pocztę, żeby odebrać przekaz pieniężny z ubezpieczenia po wypadku. Kasjerka długo zbierała pieniądze do wypłacenia. Brakowało końcówki do pełnej wypłaty, więc kasjerka powiedziała, że jeśli ma tata konto w banku, to można zrobić przelew - wtedy będzie pełna kwota wypłaty i będzie mogła ją dziś przelać. Tata nie miał konta bankowego, więc podał numer konta mamy i cała kwota została przelana. Nie pamiętam dokładnie ile, ale chyba około siedemdziesiąt pięć tysięcy złotych. Na owe czasy dla nas to było bardzo dużo. Miałam trzydzieści jeden procent uszczerbku na zdrowiu. Wydaje się

mało, ale Zakład Ubezpieczeń Społecznych tak wyliczył. Za samą lewą nogę przyznali pięć procent. Noga miała trzy zabiegi: najpierw składali mi wystającą kość wkładając w nią pręt z trzema śrubami, potem dolne wkręty połamały się i trzeba było końcówki powyciągać operacyjnie, a na końcu wyciągnęli pręt z nogi po zrośnięciu się kości.

Bardzo się cieszyłam widząc szczęście moich rodziców. Mama, tata i ja usiedliśmy w pokoju. Tata wyłożył stół banknotami. Mama się popłakała, bo pierwszy raz widziała tyle pieniędzy. Potem mnie zaczęła całować i powiedziała:

– Kochanie, te pieniądze nie są warte tego, co przeżyłaś, ale pozwolą nam wszystkim odczuć trochę komfortu.

Potem tata wziął jeden banknot i pobiegł do sklepu kupić lody.

Naprawdę nie zależało mi na pieniądzach. Mama trzymała wszystko. Później rodzice kupili samochód – białego Forda Oriona. Uwielbiałam gosprzątać – włączałam głośno muzykę i pucowałam go. Któregoś dnia zabrałam wszystkich na jednodniową wycieczkę nad morze, bo nigdy wcześniej nigdzie razem nie wyjeżdżaliśmy. Było nas chyba z tuzin: moje rodzeństwo, kuzynka – Kulfonik, Hela, Misiu no i nasza mama. A tym, co nie mogli z nami jechać, zrobiłam prezenty. Świetnie się bawiliśmy nad morzem. Miałam na sobie strój dwuczęściowy, więc było widać bliznę, którą mam przez cały brzuch od klatki piersiowej aż do pępka. Ludzie zwracali na to uwagę. Widziałam, że patrzą na bliznę, ale nie przejmowałam się.

Tej wycieczki nigdy nie zapomnę i oni pewnie też. Ważna

dla mnie była ich radość. Byliśmy tam całutki dzień, wróciliśmy wszyscy opaleni i szczęśliwi. Jeszcze tego samego wieczorku poszłam na dyskotekę ze świeżą opalenizną. Ubrałam się na biało. Na zabawie były lampy ultrafioletowe, które podkreślały moją piękną czekoladową karnację. Czułam się piękna, byłam podziwiana przez kolegów i koleżanki. Czułam się wyjątkowo.

Następnego dnia wszyscy opowiadaliśmy sobie z przejęciem, jak się bawiliśmy nad morzem. Potem tego samego dnia mama zawołała mnie do pokoju. Byłyśmy same. Usiadłyśmy obok siebie, mama spojrzała na mnie i spytała:

- Co ty byś córuś chciała, ale takiego tylko dla siebie.
- Marzy mi się, mamuś, mieć własny pokój. Swój własny, tylko mój.

Obiecała, że porozmawia o tym z tatą. Na dole był nieużywany pokój, który należał do babci. Tata porozmawiał z nią i kochana babunia zgodziła się oddać mi ten pokój. Chłopaki wyremontowali mi go, pomalowali ściany i położyli kasetony na suficie. Babcia mieszkała na górze, a ja na dole. Miałyśmy wspólne wejście. Do mieszkania rodziców było inne wejście od strony podwórka.

Gdy pokój był już gotowy, rodzice zabrali mnie do sklepu meblowego, gdzie wybrałam meble do pokoju. Mówiłam tylko, gdzie maja stać. Nikt nawet nie dyskutował, miało być tak, jak chciałam. Miałam też komputer, ale bez internetu (wtedy jeszcze nie był tak dostępny, jak dziś). Tak pięknie sobie urządziłam pokój, byłam taka podekscytowana! Na kawałku pustej ściany zawiesiłam na kolorowych kartkach

fotografie, które były dla mnie ważne. Gdy na nie patrzyłam, wspominałam cudowne chwile z moimi bliskimi. Miałam swój własny pokój, moje miejsce, byłam taka szczęśliwa. Tyle że musiałam przygarnąć siostrę. Z początku byłam niechętna, ale zgodziłam się. Ktokolwiek wchodził do mojego pokoju, musiał buty ściągnąć przed wejściem. Jeżeli ktoś nie zdjął, to dostawał miotłę do ręki i zamiatał. Szybko się nauczyli zdejmować buty.

WSPOMNIENIA POWRACAJĄ

Uwielbiałam siedzieć wieczorami przy komputerze. Pisałam pamiętnik, grałam w pasjansa. Już wtedy zapisywałam wydarzenia z mojego życia. Chciałam to mieć zapisane, by po kilku dniach lub miesiącach móc do nich wrócić. Pewnego wieczoru zaczęłam opisywać swoje plany sprzed wypadku. Zaczęłam pisać i przeżywać to na nowo. Co wtedy czułam, jak myślałam, co planowałam. I tak bez wyraźnej przyczyny zaczęłam sobie wszystko przypominać. Rozmowę o pierogach, przystanek, zimno, Oskara, pościg za samochodem Valdiego, zderzenie, pogiętą blachę, kość piszczelową wystającą z nogi, Oskara na kierownicy, słowa *Bo mi się to nie opłaca, jak wezmę jedną duszę, będę musiał wziąć jeszcze jedną*, szpital, sufit, mnie i Pawła obok. Wszystko pamiętam, widzę te obrazy. Zaczęłam krzyczeć cicho, choć bardziej przypominało to jęki, skomlenie:

- Boże...POMÓŻ MI, BŁAGAM CIĘ!

Czułam na przemian zimno i ciepło. Serce zaczęło mi walić tak, że usłyszałam jego bicie w uszach. Siedziałam na krześle, potem wstałam, potem znowu usiadłam. Czułam, jak mi mózg pulsuje, nie mogłam tego ogarnąć. Miałam masę obrazów przed oczami. Próbowałam się uspokoić. Lampka w meblach błysnęła i zgasła, chyba się przepaliła. Nie patrzyłam na okno, bo bałam się, że za chwile ktoś stanie za nim. Skuliłam się w kącie. Nie wiedziałam co się dzieje. Czułam taki lęk, jak nigdy wcześniej. Pierwsza myśl, jaka mi przyszła do głowy, to że jestem medium i dusze zmarłych teraz będą do mnie przychodzić i będę je widzieć. Byłam tam i wróciłam. Wydarzyło mi się to, co nie jest możliwe.

Obrazy zniknęły, poczułam spokój.

Teraz był tylko mój pokój, włączony komputer. Jezu, skończyło się, jestem z powrotem! To było jak scena z horroru. Ale to wydarzyło się naprawdę, mogę wrócić do obrazów w głowie. Pamiętam je. Siedziałam w pokoju przez dłuższy czas, bałam się wyjść, bo było ciemno. Myślałam, że spotkam kogoś na drodze i nie będzie to żywa osoba. Bałam się ciszy. Nasłuchiwałam jakichś dźwięków, ucieszyłam się, gdy usłyszałam szczekanie psa sąsiadów i samochód przejeżdżający za oknem. Nagle usłyszałam, że ktoś idzie do mnie, spojrzałam na drzwi. Wsłuchiwałam się w te kroki, myślę sobie:

- Mamusiu, jak teraz wejdzie jakaś dusza do mnie, to umrę na zawał!

Ale te kroki były zbyt szybkie, zbyt głośne. Ktoś podchodził

szybko do drzwi. Pomyślałam, że duchy nie chodzą tak szybko, tylko żółwym krokiem – jak na filmach. Nagle usłyszałam, jak otwierają się drzwi, te główne. Ktoś nacisnął klamkę i wszedł do budynku, potem złapał za klamkę do mojego pokoju.

To był mój brat Miernik. Nagle zeszło ze mnie całe to napięcie. Jezus, dziękuję! Ucieszyłam się, że to już koniec. Nie byłam już sama. Unikałam tylko jego spojrzenia z obawy, że zauważy, jaka jestem spłoszona. Wybiegłam szybko do łazienki, ogarnęłam się trochę i uspokoiłam. Poszłam do pokoju rodziców pooglądać telewizję i zająć myśli czymś innym.

Wieczorem zaproponowałam Miernikowi, że jeżeli chce się położyć na rozkładanym fotelu, to proszę bardzo, i nawet na komputerze może grać, ile tylko chce. Pamiętam, jak się ucieszył. Z tej radości zaczął żartować. Udawałam, że wszystko jest w porządku, nikt się nie domyślił. Nie chciałam za dużo o tym myśleć. Miernik cieszył się, że pozwoliłam mu mieszkać kilka dni z nami w pokoju. A ja czułam lęk jeszcze przez jakiś czas.

Zaczynałam sobie przypominać coraz więcej. Oswajałam się ze strachem, chciałam zrozumieć. Miałam potwierdzenie niektórych zdarzeń. Widziałam siebie z góry, a mama potwierdziła warkocze, o których nie mogłam wiedzieć będąc w śpiączce. Diabeł za oknem, zmoczone prześcieradło pod łóżkiem, moja potrzeba spania ze wszystkimi następnego dnia w jednym łóżku podyktowana strachem. Wszystko to było bardzo dziwne. Za dużo tych przypadków. Przez to

wszystko bałam się, że będę miała kontakty ze zmarłymi. Nie chciałam być jakimś medium; nie chciałam, by dusze do mnie przychodziły. Co wieczór przed zaśnięciem prosiłam – skoro mam być łącznikiem pomiędzy światem żywych i umarłych – żeby do mnie przychodzili we śnie, skoro już tego potrzebują. Na szczęście nic takiego się nie działo i miałam zazwyczaj spokojne sny.

Zaczęłam co niedzielę chodzić do kościoła. Stałam tam i zadawałam sobie pytania. Mówiłam do Niego, ale nie dostałam żadnej odpowiedzi, nie słyszałam Go tam. Potem po prostu nauczyłam się z tym żyć.

Zapisywałam swoje myśli na dyskietce 1,44 cala, aż do momentu przypomnienia sobie wypadku. Później zepsuł się napęd do odczytu dyskietek i nie dało się go naprawić, zatem przestałam pisać. Wieczorami zawsze przed spaniem kąpałam się w łazience u rodziców. Po kąpieli narzucałam na siebie ręcznik bądź gruby sweter i przebiegałam od rodziców do swojego pokoju. Biegłam przydomowym chodnikiem i dopadałam mocnych poniemieckich drzwi wejściowych. Niestety zamek był uszkodzony, wobec czego zamykałam zawsze na klucz drzwi wewnętrzne – do mojego pokoju. Po prawej stronie były schody prowadzące do góry do mieszkania babci. Włącznik światła był na środku ściany. Aby zapalić światło, trzeba było odszukać go po omacku. Gdy biegłam sama, to zawsze się bałam. Musiałam dokonać wyboru: albo na ślepo wyszukać ręką zamek, po czym włożyć klucz, albo po omacku szukać dłonią włącznika światła w zimnej ciemności. Wybierałam macanie zamka w drzwiach,

tak było bliżej. Strach mnie paraliżował, gdy miałam wysunąć rękę przed siebie w tę ciemność. Otwierałam drzwi i migiem zapalałam światło. Musiałam być szybsza od swojej świadomości, bo moja wyobraźnia nie zna granic. Przekonałam się o tym któregoś wieczoru. Dobiegam do tych ponemieckich starych drzwi, złapałam za klamkę i pchnęłam je, by wejść, ale coś je blokowało od środka. Pchnęłam z całej siły, ale jakaś siła nie pozwalała mi wejść. Wystraszyłam się, bo byłam sama, i w tej panice zamiast uciekać, waliłam w drzwi coraz silniej. Nie wiem, ile minut siłowałam się z nimi. Pchnęłam mocniej przesuwając coś razem z drzwiami. Otworzyłam na oścież i z rozpędu wpadłam na leżącą osobę. Mój mózg pracował pełną parą przywołując straszne obrazy – duch, może trup albo jeszcze jakieś inne dziadostwo. Zapaliłam światło i zobaczyłam pijanego kolegę. W sumie byłam z siebie dumna, że nie uciekłam, tylko stawiałam czoło lękom. Po tym zdarzeniu opuścił mnie strach przed ciemnym korytarzem. Wygrałam!

Pewnego wieczoru nie mogliśmy z Wiewiórą zasnąć. Gadałyśmy o wszystkim przy zgaszonym świetle. Łóżko stało pod oknem, a światło lampy wpadało do środka. Panował półmrok. Zerkałam na okno, ale widziałam tylko budynek sąsiadów na przeciwko. U nich światła były pogaszone. W pewnej chwili usłyszałam bardzo głośny dźwięk. Brzmiał jak organy sakralne. Spytałam siostrę:

– Słyszysz to? Boże, ale ktoś sobie imprezę zrobił, ale żeby organy? Co to za muzyka? Kto takiej słucha? Stypa jakaś czy co?

Wiewióra zdziwiona mówi:

– Ana! Co ty mówisz, jakie organy? Ja nic nie słyszę.

– Co ty gadasz? Jak można tego nie słyszeć? Proszę cię, nie ściemniaj!

– Ty, ja naprawdę nic nie słyszę! Uspokój się, bo już się boję!

Zrozumiałam, że ona faktycznie nic nie słyszy. Wystraszyła się, więc odpuściłam, bo bałam się, że zechce, abym zaprowadziła ją do mamy. A ja nadal słyszałam te organy. Były tak głośne, że bałam się ich. Melodia była tak poważna, że przechodziły mnie dreszcze i bałam się jej słuchać. Ten dźwięk był przerażający, taka mroczna, głośno grana melodia. Słyszałam, jak ktoś uderza w klawisze. Chciałam, by to się już skończyło. Znowu zaczęłam się modlić do Boga. Krzyczałam w myślach:

– Ojcze, nie pozwól mu mnie straszyć, nie pozwól mu! Moja dusza należy do Ciebie, a nie do niego.

Wiedziałam, że coś się znowu dzieje. Takiej muzyki organowej w życiu nie słyszałam. Zakryłam uszy rękoma, wtuliłam się w poduszkę i zaczęłam się modlić:

– Ojcze Przedwieczny, ofiaruję Ci ciało i krew, Duszę i bóstwo najmilszego Syna Twojego, a Pana naszego Jezusa Chrystusa na przebłaganie za grzechy nasze i całego świata. Dla jego bolesnej męki, miej miłosierdzie dla nas i całego świata.

Potem powiedziałam w myślach, by siostry nie przerazić:

– Zostaw mnie, szatanie, moja dusza nie należy do ciebie!

Po tych słowach melodia ucichła. Spytałam siostrę, czy śpi. Odpowiedziała mi:

– Jeszcze nie, ale zaraz zasnę.

Wiedziałam, że to zdarzyło się naprawdę: jestem w pokoju, słyszę te organy, tylko że Wiewióra tego nie słyszy. Zaczęłam dociekać dlaczego? Czemu tak się dzieje? O co znowu chodzi? Czego ciemność chce ode mnie? Nachodziły mnie myśli, które zdawały się odpowiadać na moje pytania. Ojciec wyjaśniał mi, że *Anioł ciemności, Lucyfer, nadal walczy ze mną o twoją duszę*. Po tym zdaniu nabrałam pewności, że Bóg mój mnie nie opuścił, jest przy mnie! Więc od razu powiedziałam głośno w myślach: *Nie odwrócę się od Boga, więc nie masz co się starać, wujku Lucyferze*. Po tych słowach poczułam się taka spokojna, taka wyciszona, a zarazem odważna w tym, o czym mówię. Wiedziałam, że oboje z Ojcem wygraliśmy tę walkę. Byłam z siebie taka dumna; uspokoiło mnie to. Zasnęłam ze spokojem.

Żyłam z jeszcze większą świadomością istnienia Dobra i Zła. Mijały dni i miesiące. Moje życie nabierało kolorów. Stałam się bardziej szalona, spontaniczna, robiłam co chciałam. Dostawałam wszystko, o co prosiłam. Nikt się nie sprzeciwiał temu, co wyczyniam. Tylko jedna osoba próbowała mnie poskromić – był to Paweł. Nalegał, abym się uczyła do zbliżającego się egzaminu, a ja chciałam się bawić i na nowo korzystać z życia. Domówki, jakiś tani alkohol, papierosy i szalona zabawa. Paweł prosił, namawiał, a czasem nawet groził. Między nami były wojny, kłóciliśmy się. Było źle. Uparcie protestowałam wobec ograniczeń. On

w gniewie odjeżdżał do domu, aż opony piszczwały. Robił to specjalnie, abym słyszała, że jest zdenerwowany.

Zaliczenia miałam mieć na koniec sierpnia – pięć miesięcy po wypadku. Byłam w drugiej klasie zawodówki, gdzie kształciłam się na sprzedawcę. Miałam wtedy trzy dni zajęć lekcyjnych oraz dwa dni zajęć praktycznych w tygodniu. W kolejnej klasie miałam mieć cały rok praktyk i na koniec egzamin. Byłam na ciągłym zwolnieniu lekarskim, więc musiałam być postawiona przed egzaminem zaliczeniowym. Trochę się uczyłam, gdy już Paweł obrażał się na mnie. By nikt nie miał do mnie pretensji, starałam się skupić na tej nauce, ale i tak miałam trudności z zapamiętywaniem.

W końcu poszłam na egzamin. Pamiętam, że w komisji egzaminacyjnej byli: moja wychowawczyni, pani od Organizacji Towaru, pan od Przynależności Obronnej i pani dyrektor. Pani dyrektor zadała mi pytanie, którego w życiu nie zapomnę:

– Czy można spożywać masło pozostawione na oknie przy bardzo wysokiej temperaturze na zewnątrz, gdy się już roztopi?

– Nie, bo może nabrać kwasu – odpowiedziałam.

A pani dyrektor na to:

– Tak, można.

Inni zasiadający przy komisyjnym stole nie zgadzali się z nią. Ona powiedziała, że lekarze teraz nakłaniają do spożywania roztopionego masła. Wybuchł spór, ale mniejsza o to, bo nie zdałam, więc wyszłam z sali. W poczekalni

siedział Paweł. Wybiegłam z tego pokoju wściekła, ruszyłam korytarzem. Paweł podążył za mną i zapytał:

– Co się dzieje? Zdałaś?

Obróciłam się i odpowiedziałam:

– Jedziemy stąd, bo nie wytrzymam tu ani chwili dłużej!

Wsiedliśmy do samochodu i zaczęłam mu opowiadać, jak było na egzaminie, jakie pytanie mi zadali i że nawet nauczyciele posprzeczczyli się w kwestii odpowiedzi. Paweł wkurzył się i zaczął krzyczeć:

– Co za chamstwo! Co im by szkodziło cię przepuścić? Przecież został ci tylko rok praktyk. Nic nie rozumiem!

PAWEŁ

Paweł zawiódł się na mnie. Nie wracaliśmy już do tego. W tym czasie zmienił nastawienie do mnie. Myślę, że postawił sobie jakieś cele życiowe i zapewne chciał mieć dobrze wykształconą żonę. Ja nie zdołałam nawet ukończyć zawodówki, więc nie nadawałam się na jego wybrankę. Bardzo wiele zmieniło się od mojego niezdanego egzaminu. Zawaliłam szkołę, ale i tak się tym nie przejęłam. Było mi to obojętne, nie myślałam wtedy o swojej przyszłości. Jak będzie ona wyglądać, co z moim wykształceniem? Miałam dopiero dziewiętnaście lat i sądziłam, że zdobywanie wykształcenia może jeszcze poczekać i że teraz jest czas na szaleństwo.

Moje relacje z Pawłem całkiem się popsuły. Najpierw zaczęły się kłótnie. Paweł zarzucał mi, że skupiam się na koleżankach i imprezach, a nie na nauce. Powtarzałam mu bez przerwy:

– Człowieku, ja zaczynam drugie życie, nie chcę spędzać całych dni nad książkami. Życie mi ucieka, a co ma być, to będzie.

Ale gdy nie udało mi się zaliczyć szkoły, oddalił się ode mnie całkowicie. Przestał przyjeżdżać. Gdy dzwoniłam, to mówił, że nie ma czasu, bo ma dużo roboty itd. Dwa razy pojechałam do niego, bo chciałam sprawdzić, co się dzieje. Nie miałam jak dotrzeć do niego autobusem, więc pojechałam autostopem z moim bratem Hieną. Gdy dotarliśmy do niego do domu, Paweł ucieszył się na mój widok. Widziałam, że chce mnie mocno przytulić i nawet ruszył w moim kierunku, ale po chwili zatrzymał się, przestał się uśmiechać, odwrócił się na pięcie i odszedł. Coś mu nie pozwalało na zbliżenie się do mnie. Zastanawiałam się, co się dzieje i dlaczego on tak się zachowuje, ale byłam twarda i mówiłam sobie:

– Jeżeli mu zależy, to sam przyjdzie.

Pytałam go:

– Paweł! Czy to już koniec między nami?

Spojrzał na mnie i powiedział:

– To nie tak, mam dużo roboty i nie mam czasu, by jeździć do ciebie. Muszę załatwić coś ważnego i zobaczymy potem, co będzie. Ana, daj mi czas, muszę sobie to poukładać w głowie. Nie wiem, ile to potrwa, ale nie mogę teraz do

ciebie przyjeżdżać.

Nie umiał się określić. Oddalał się ode mnie, a ja nie lubię się narzucać. Zrozumiałam, że to koniec. Jeździłam na dyskoteki, bawiłam się, piłam, szalałam. Chciałam, by o tym wiedział; chciałam mu pokazać, że wytrzymam bez niego. Po rozstaniu umówiłam się z jego siostrami, że pójdziemy razem na dyskotekę u nich w wiosce. Może robiłam to specjalnie, bo wiedziałam, że on tam będzie. W ten wieczór bawiłam się z przyjaciółmi i jego rodzeństwem, a on był wtedy z jakąś dziewczyną. Zabolało mnie to, bo chyba chciałam, by było jak do tej pory. Trudno jest tak po prostu zapomnieć. Miałam nadzieję, że może on chce, bym o niego walczyła, ale gdy przypadkiem dowiedziałam się od Pawła siostry, że on zostanie ojcem, mój świat się zawalił.

Jak to? Dlaczego? Z nią? To nie może być prawda!

Czułam się strasznie. Zaczęłam myśleć: ciąża w tak krótkim czasie od naszego rozstania?

Zapytałam jego siostrę:

– Czyli on mnie zdradzał?

Nie umiała mi odpowiedzieć. A ja chciałam go odnaleźć i dać mu w twarz z całej siły.

Wbiegłam na salę i wypatrzyłam go. Był tam, a jego partnerka wtulała się w niego. Gdy spojrzał na mnie, pokazałam mu środkowy palec. Łzy popłynęły mi po policzkach. Paweł wyglądał na zdezorientowanego. Nie wiedział, co się dzieje? Wskoczyłam na parkiet. Szukałam ukojenia w tańcu, ale co rusz spoglądałam na Pawła, a on

patrzył na mnie, gdy jego partnerka go całowała. On odwzajemniał jej pocałunki, ale patrzył mi prosto w oczy. Widząc to, miałam ochotę wskoczyć na stół, przy którym siedzieli, i kopnąć go w twarz. Nie mogłam tego zrobić, bo zakazałby mi widywać się z jego rodzeństwem i rodzicami, których tak uwielbiałam. Wybiegłam z dyskoteki. Znalazłam chłopaków, którzy wcześniej proponowali mi inną dyskotekę. Bardzo chciałam wydostać się stamtąd, by już dłużej nie patrzeć na Pawła. Za bardzo bolało.

Jeden z nich krzyknął:

– Dawajcie, jedziemy do Skwierzyny na balety, zbierajcie się!

Kierowca zawołał do drugiego kolegi:

– Wołaj tych, co mieli jechać!

Nagle znalazła się grupka moich znajomych. Było nas sześcioro. Nie wiedziałam tylko, jakim samochodem chcą jechać, ale zbytnio mnie to nie interesowało. Gdy zobaczyłam, że to Fiat 126p, zaniemówiłam, ale i tak wsiadłam. Tak, weszło do niego pięć osób i kierowca. Troje z tyłu, dwoje na miejscu pasażera z przodu i kierowca. Miałam to wtedy gdzieś, wszystko było mi jedno. Na niczym tak mi nie zależało, jak na tym, by stamtąd uciec. Gdy odjeżdżaliśmy, siedziałam na kolanach kolegów z tyłu. Spojrzałam za siebie przez szybę i widziałam, jak Paweł wybiega z dyskoteki – widocznie ktoś mu doniósł o tym, co robię. Widziałam wybiegającego z klubu, roztrzęsionego mojego narzeczonego. Tak! Był nim już, bo ofiarował mi wcześniej pierścionek. Oświadczył mi się w banalnie prosty

sposób. Było to zaraz przed egzaminem, ale wkrótce potem zgubiłam pierścioneł w jeziorze podczas kąpieli.

Gdy zobaczyłam go przed dyskoteką, nagle poczułam ucisk w klatce piersiowej i zaczęło mi brakować tchu. Nie wiedziałam, co się ze mną dzieje. Ale samochód już ruszył i nie chciałam panikować, bo w końcu trochę czasu zajęło nam zajmowanie miejsc w samochodzie. Ból narastał, zrobiło mi się gorąco i duszno. W pewnym momencie nie wytrzymałam i zaczęłam krzyczeć:

– STOP! Jezu! Stać! zatrzymajcie się! Nie mogę oddychać!

Byliśmy za zakrętem i już nie było widać dyskoteki. Chłopcy, z którymi jechałam, znali mnie i wiedzieli o moim wypadku, więc się wystraszyli i kierowca szybko zjechał na pobocze. Od razu wszyscy wysiedli i pomogli mi się wydostać. Oparłam się o samochód i zaczęłam łapać powietrze pełnymi płucami. Serce waliło mi jak opętane, czułam jak mi chce wyskoczyć z piersi, aż sprawiało mi to ból. Nogi miałam jak z waty, nie mogłam się na nich utrzymać, więc kucnęłam. Cała się trzęsłam. Chłopaki zaczęli panikować, chcieli wracać. Po chwili jeden kolega zaczął krzyczeć na mnie:

– Ana! Boże, co ci? Wracamy już, szybko może karetkę trzeba wezwać? Ana! Co ci, Boże? Co my robimy?

Widziałam, że ma strach w oczach, więc tylko odpowiedziałam:

– Uspokój się, wszystko gra, zaraz mi przejdzie, spokojnie.

Nie chciałam tam wracać, nie chciałam już patrzeć na Pawła, a tym bardziej nie chciałam go widzieć w objęciach tej

kobiety. Miałam do niego szacunek, że mnie nie zostawił, gdy miałam wypadek, pomagał moim rodzicom. Woził ich do mnie do szpitala, bo przecież oni nie mieli auta. A stało się, jak się stało, tylko dlaczego nie umiał mi tego powiedzieć? Może zrozumiałabym i nie bolałoby mnie to tak bardzo. I tak tkwiłam w cierpieniu przy samochodzie, ale nie chciałam zawieść moich towarzyszy. Minęło około pół godziny. Przeszło mi i przekonałam chłopaków, że możemy jechać dalej. Zaczęłam żartować z tego, co się stało; mówiłam, że na tylnym siedzeniu było mi za ciasno, że jednak muszę siedzieć z przodu. Chłopaki posadzili mnie na miejscu pasażera, na kolanach kolegi. Pojechaliśmy dalej.

Potem szalałam na parkiecie w innej dyskotecie. Starłam się zapomnieć i z przyjemnością poddałam się muzyce. Robię to chyba dobrze, skoro mam zawsze wielu widzów patrzących na mnie z podziwem.

Przestałam jeździć na dyskotekę, na której mogłam trafić na Pawła, ale nadal chodziłam co sobotę na imprezy, które prowadziła nasza pani Ela. Skarb, nie kobieta! Rozumiała młodzież bez słów. Moja *Laguna* – to nazwa tego miejsca. Tam czułam się najlepiej, to był mój azyl. Tam mogłam się wyszaleć i wyrzucić wszystkie emocje na parkiecie.

Na jednej z dyskotek spotkałam Valdiego. Musiałam z nim porozmawiać, poznać jego wersję wydarzeń z wypadku i nie tylko. Pytałam go, jak to było. Mówił, że wyjechał z domu, jechał do pracy i nagle zobaczył, że jest korek. Stanął za autobusem, ale nie wiedział, co się dzieje. Wyszedł z samochodu, by sprawdzić, co się stało, i zobaczył, że

zdarzył się jakiś wypadek. Im bliżej był miejsca zdarzenia, tym bardziej rozpoznawał samochód swojego kuzyna. Gdy upewnił się, do kogo należy samochód, pobiegł w jego kierunku. Otworzył drzwi od strony kierowcy i zaczął wyciągać go. Gdy już Oskar był na zewnątrz Valdi cofnął się jeszcze, by sprawdzić, czy nie zostawił w nim papierosa. W tym momencie złapał mnie za nogę. Gdy doszło do niego, że to ja, doznał szoku, ale był na tyle świadomy, że ruszył szybko z drugiej strony. Chciał wyrwać drzwi, za którymi leżałam nieprzytomna, ale zablokowały się, bo w przypiływie nadludzkiej siły wygiął blachę szarpiąc się z drzwiami. W tym momencie podbiegł kierowca z pojazdu nauki jazdy, która zatrzymała się w korku zaraz za samochodem Valdiego. Kierowca był instruktorem i miał doświadczenie w udzielaniu pierwszej pomocy, więc nie pozwolił mi ruszać, bo nie było wiadomo, czy nie doznałam urazu kręgosłupa. Spojrzeli na mnie: miałam opuszczoną głowę ku klatce piersiowej, byłam nieprzytomna, ale zaczęłam się dławić i charczeć. Instruktor nauki jazdy szybko uniósł mi głowę, a wtedy splunęłam krwią i zaczęłam swobodnie oddychać. Wtedy oznajmił Valdiemu:

– Karetka jest w drodze, zaraz tu będą.

Valdi chodził w kółko, krzyczał i łapał się za głowę. Wpadł w szal – wiem to z opowiadań koleżanek z autobusu. Był bezradny, nie mógł nic zrobić i nie wiedział, jak mi pomóc. Teraz, gdy mi to opowiadał, powiedział:

– Ana, jak złapałem cię za tą nogę i doszło do mnie, że to ty, poczułem paraliż. Zrobiło mi się gorąco i zimno

jednocześnie, ale wiedziałem, że muszę Ci pomóc i ruszyłem od razu.

Gdy Valdi opowiadał mi o wypadku, łzy mu płynęły po policzkach. Uspokajałam go powtarzając cichutko:

– Już spokojnie, jestem tu.

Mówił dalej, a gdy skończył, powiedziałam:

– Jestem, wróciłam Valdi. Teraz już wszystko będzie jak przedtem, zobaczysz. Nadal jestem tą wariatką, jaką znałeś przed wypadkiem, Valduś.

Valdi od razu podniósł głos, spojrzął na mnie z oburzeniem i powiedział stanowczo:

– Ty nie jesteś wariatką, Ana, nigdy tak nie mów, słyszysz? Nigdy!

Mówiąc to, tak mocno ścisnął mi dłoń, aż mnie to zabolowało.

Odpowiedziałam szybko:

– Dobra już! Uspokój się!

Po chwili w nieco lepszym nastroju wróciliśmy do grona znajomych i bawiliśmy się do rana. Ale ja już zakodowałam sobie, że gdyby nie instruktor nauki jazdy, udusiłabym się własną krwią.

Przez pewien okres byłam buntowniczką, chciałam schwytać każdą sekundę mojego życia. Na wszystko byłam obojętna. Paweł – po tym, jak odsunął się ode mnie – stał się w moich oczach nieodpowiedzialny. Jak on mógł? Odpuściłam, to nie było to. Widocznie moje życie nie miało tak wyglądać, nie on miał mi w nim towarzyszyć. Nie powiedziałam nikomu, nawet mamie – za bardzo go lubiła i nie uwierzyłaby mi.

Można powiedzieć, że Paweł jakoś się przyczynił do mojej przyszłości. Bardzo chciałam mu pokazać, że jestem w stanie zdobyć dobre wykształcenie. Chciałam, by wiedział, że potrafię, że jestem w stanie i aby do końca życia żałował tego, co zrobił. Mógł być ze mną, a ja w końcu uspokoiłabym się. Tak oto zawzięłam się po stracie Pawła. Zdecydowałam się pójść do szkoły wieczorowej i postawiłam sobie cele życiowe. Pierwszym z nich było ukończyć Liceum Ogólnokształcące. A co! Udowodnię wszem i wobec, na co mnie stać. Chciałam również uporządkować swoje życie. Powiedziałam sobie, że muszę kierować się tylko wyznaczonymi celami i do nich dążyć. Uwierzyłam, że potrafię.

CELE ŻYCIOWE

Wybrałam cele długoterminowe. Miałam świadomość, że ich realizacja zajmie mi kilka lat. Powiedziałam sobie, że muszę się tego trzymać, a będę miała w życiu dobrze. Na początku były to marzenia, ale gdy zaczęłam je realizować, stały się moimi celami.

Oto one:

1. Ukończyć szkołę.
2. Zdobyć pracę.
3. Zamieszkać w Gorzowie.
4. Zdobyć prawo jazdy.

5. Wyjść za mąż.
6. Urodzić dziecko dopiero w wieku 27-29 lat.
7. Żyć zawsze w zgodzie z bliskimi.
8. Podróżować ze rodziną własnym samochodem.
9. Mieć dużo wolnego czasu.
10. Organizować spotkania rodzinne.
11. Dożyć starości i cieszyć się szczęściem z dziećmi i wnukami.
12. Gdy umrę, żeby wbili mi nóż w serce, bym się nie obudziła w trumnie.

W momencie pisania tej książki już udało mi się dojść do siódmego etapu w moim życiu. Moje cele zostały osiągnięte, udało mi się je zrealizować, z czego jestem bardzo dumna.

Po tym wszystkim powiedziałam sobie, że nikt nie będzie mnie ograniczał. Nadal byłam kochaną córeczką. Miałam swoje obowiązki, pomagałam rodzicom. W wolne wieczory nie lubiłam siedzieć sama w domu, dlatego zawsze albo ktoś u mnie był albo ja wychodziłam z domu. Znajomi przyjeżdżali na pogaduszki przy kawie.

Jestem duszą towarzystwa, a moja szczerość jest doceniana. Chłopaki zawsze pytali mnie o rady sercowe. Teraz, gdy pomyślę, jak nieodpowiedzialnie i niebezpiecznie się zachowywałam, to aż mi głupio. Wtedy myślałam jak nastolatka. Nieodpowiedzialna i nieświadoma konsekwencji gówniara. Weźmy na przykład moje szaleństwa na dyskotekach, na które przyjeżdżała młodzież z innych wiosek. Oczywiście były spięcia jak to wśród młodzieży –

sama uczestniczyłam w kilku. Szarpałam się z chłopakami lub dziewczynami, ale robiłam to tylko po to, by pokazać innym, że nie warto było ze mną zaczynać. Gdy trzeba, to potrafię przywalić. Sama nigdy nie zaczynałam bójki, ale też nie dałam sobie obrażać. Gdy któraś z dziewczyn obrażała mnie czy plotkowała na mój temat – czego bardzo nie lubię – to wychodziłam z nią na zewnątrz i wyjaśniałam. Pytałam, dlaczego tak o mnie mówi, padały mocne słowa, były szarpaniny, a że zawsze wychodził z obstawą znajomych i widzów, więc musiało to groźnie wyglądać. Jednakże to była rzadkość.

Pewnego wieczoru na dyskotecie był konkurs tańca na rurze, w którym oczywiście wzięłam udział. Nie mogło mnie zabraknąć! Zatańczyłam jako pierwsza, potem koleżanka, no i mniej lubiana przeze mnie dziewczyna. Zająłam drugie miejsce dlatego, że aż tak bardzo mnie nie poniosło, jak tę, która wygrała.

Zdarzały się śmieszne i groźne akcje. Raz stanęłam w obronie podrywanej przez kolegę mojej kochanej kuzynki – Kulfona. Nasz wspólny kolega uniósł ją do góry, a ta zaczęła krzyczeć, więc ruszyłam ją ratować. Dopadłam do niego, a był już pijany. Postawił ją na podłodze i w zamian chwycił mnie. Złapał mnie w pasie i uniósł mnie do góry nogami. Wisiałam głową w dół, a on trzymał mnie za nogi, po czym stracił równowagę i rzucił mnie na parkiet. Spadłam na głowę, a on jeszcze obalił się na mnie. Poczułam, że coś mi strzeliło w kręgu szyjnym. Przez dobrą godzinę nie mogłam ruszać głową i myślałam, że mam skręcony kręgosłup szyjny.

Wyglądało to niebezpiecznie, ale nie przejęłam się tym tak bardzo, bo odzyskałam pełną ruchomość szyi.

Miałam też przyjaciół, którzy ćpali – zażywali różnej maści narkotyki, używki, dopalacze. Palili blanty – papierosy skręcane zwykle z tytoniu i marihuany – lub nawet wciągali kokainę. Ja nie brałam, ale zawsze mnie to ciekawiło. Dopytywałam ich, jaka jest po tym reakcja, jak się wtedy człowiek czuje. Nie znam się na tym, poza tym to jest karalne i można stracić panowanie nad sobą i robić rzeczy, których normalnie by się nie zrobiło. Miałabym się potem wstydzić, bo nie wiadomo, co by mi odbiło? Nie, to nie było dla mnie, ale każdy ma swój wybór, prawda? Jak chcą i sprawia im to frajdę, to niech się trują. Choć przyznaję, że raz dałam się namówić. Pojechaliśmy wtedy w piątkę na boisko i zapaliliśmy blanta. Koledzy tłumaczyli mi, jak mam się zaciągnąć. Wszyscy chcieli zobaczyć, jak zareaguję. Czekali, aż zaskoczę, więc po zapaleniu fajki i ja się zaciągnęłam. Pamiętam, że paliliśmy wspólnie, skręt krążył pomiędzy nami i każdy brał po jednym machu trzymając przez moment dym w płucach. Kumpel nakazał, bym skupiła się tylko na jego głosie. Między mną a nim siedział jeszcze jeden kolega. Kazał mi położyć dłoń na jego plecach, ale miałam nie dotykać jeszcze ciała, tylko trzymać rękę bardzo przy jego ciele. A on mówił hipnotycznym tonem do mnie:

– Skup się na swojej dłoni i na jego plecach, ręka – plecy, plecy – ręka. On to człowiek-guma, a teraz już połóż rękę na jego plecach.

O cholera! Wchłonęło mi rękę do środka jego ciała!

O matko! Wydarzyła się rzecz niemożliwa, nierealna! Przestraszyłam się... może niedosłownie, ale byłam w szoku, że jest to możliwe, normalnie czary! Wtedy bardzo ciekawiło mnie, jak to mogło się stać. Szukałam wyjaśnień, ale nie znalazłam.

Nasz samochód był ukryty za drzewami, niedaleko jezdni. Byliśmy już wszyscy w upojeniu narkotykowym, więc któryś powiedział głośno:

– Policja jedzie, zamkną nas, znajdą blanty. Pójdziemy wszyscy siedzieć.

Zaczęliśmy się z tego śmiać. Ale ja zaczęłam myśleć o tym, co będzie, jeśli naprawdę nadjadą i znajdą nas. Będziemy mieli kłopoty, a rodzice dadzą mi zakaz na wszystko, gdy się o tym dowiedzą. Nie chciałam ich zawieść i przeraziło mnie to trochę, dlatego zaczęłam namawiać chłopaków, że lepiej będzie, jeśli już wrócimy. Chłopaki uznali, że mam nieciekawą nastrój, bo wkręciłam sobie fazę i już nie odpuszczę, więc zakończyliśmy na tym. Potem jakoś dziwnie się czułam. Po prostu nie bawiło mnie to i było mi niedobrze. Spróbowałam i koniec. Już więcej się nie odważę.

Koledzy zaakceptowali moja decyzję. Oni robią ze swoim życiem, co chcą i sami będą za nie odpowiadać. Zawsze mówiłam:

– Umiem bawić się bez tego świństwa, chłopaki.

Pamiętam również mój kolejny szalony wybryk. Któregoś dnia pod mój dom podjechali moi koledzy i chcieli mnie zabrać na ognisko, ale ja nie chciałam jechać, bo na wieczór miałam już inne plany, a poza tym była tam osoba, z którą

nie umiałam rozmawiać. Po prostu nie lubię ludzi, którzy kłamią. Z ich gestów i sposobu mowy od razu wiem, że postępują tak, by wszystko było po ich myśli. Koledzy nalegali, a w końcu zaczęli mi dogryzać w stylu *ty nas już nie lubisz, wolisz innych* i takie tam, więc zrobiło się nieciekawie. Chłopaki na siłę zapakowali mnie do samochodu na przednie siedzenie obok kierowcy. Samochód ruszył. Wiedziałam, że mnie tam zawiozą. Szybko oceniłam sytuację: co ja powiem tym, z którymi już byłam umówiona? A poza tym miałam na sobie stare kapcie, w których wyszłam przed dom. Samochód już się rozpędził, byliśmy na mocno ubitej zwykłej drodze. Nie zastanawiałam się zbyt długo i otworzyłam drzwi, po czym wyskoczyłam. Zrobiłam kilka fikołków i tyle. Samochód gwałtownie się zatrzymał, oni nawet nie wysiedli, tylko spojrzeli na mnie, a ten za kierownicą powiedział:

– Ty wariatka jesteś, z tobą coś jest nie tak!

Po czym zamknął drzwi i odjechał. Chłopaki byli w szoku, że niczego się nie boję. Teraz, gdy na to patrzę, wiem, że to był bardzo głupi wyczyn, ale z drugiej strony inaczej się nie dało. Oni zabraliby mnie tam i musiałabym wracać w kapciach autostopem. Na razie nic nie może mi się stać, więc moja pewność siebie po takim wybryku urosła jeszcze bardziej. Nawet postanowiłam odstawić wszystkie leki. Nie mówiłam mamie, ale po prostu czułam, że ze mną wszystko w porządku. Nie miałam już ataków. Chciałam być taka, jak przed wypadkiem. Taką samą Aną, jaką byłam. Wiedziałam, że ataki omdlenia przychodzą tylko na skutek dużego wysiłku, więc wystarczy tego unikać i tyle. Będzie dobrze.

Z boską pomocą dam radę.

Po wypadku miałam dużo kolegów, w tym kilku partnerów, jednak nie chciałam się wiązać na stałe. Nie chciałam, by mnie ktoś ograniczał. Może i lubiłam się przytulać, być sam na sam z chłopakiem, ale tylko przez chwilę. Chciałam jeździć na imprezy, być wszędzie tam, gdzie zabawa. Zawsze powtarzałam:

– Ja korzystam z życia, bo nie znam dnia ani godziny, kiedy zejdę z tego świata, więc muszę zapamiętać każdą sekundę. Muszę mieć co wspominać, gdy już będę w niebie.

Bardziej zaprzyjaźniałam się niż wiązałam. Skupiałam się na tym, czego inni mogą mnie nauczyć albo jak ja mogę im pomóc. A co ma być, to będzie. Nigdy nie wypowiadałam szczerze słowa *kocham*, a jeżeli mówiłam je, to nie miało ono wielkiego znaczenia –czasem trzeba było je wypowiedzieć, by było milej. Tak się mówi, by okazać uczucie. Dla mnie to puste słowa.

Inaczej wyobrażałam sobie prawdziwą miłość. Chciałabym patrzeć na niego z ciągłym pożądaniem. Nie widzieć świata bez niego, przeżywać wszystko tylko z nim. Chciałabym, by znał mnie lepiej, niż ja sama siebie, by mnie zaskakiwał, wyprzedzał moje myśli. Byśmy fascynowali się tymi samymi rzeczami. Znał odpowiedź, zanim zadam pytanie. Bym pragnęła stawiać z nim każdy mój krok życiowy. By jego dotyk wywoływał u mnie drżenie ciała, bym miała przy nim nogi jak z waty. By się w niego wtulać i czuć się bezpiecznie. By być potrzebną i być tylko dla niego. Tęsknić za nim, gdy tylko wyjdzie za drzwi. Czuć jedność, ale mieć też swoje

zdanie i umieć rozmawiać o tym. Umieć oddać swoje życie, jeśli będzie trzeba, za jego życie Tak moim zdaniem wygląda miłość.

Ale jej nie spotkałam, więc by nie zawieść się, nie czuć bólu, po prostu czułam pożądanie, fascynację, przyjaźń. Mówiłam sobie, że jak stanie przede mną, będę wiedziała, że to on. Ale z wiekiem moje myślenie i wyobrażenie się zmieniało. Chciałam, by po prostu był dla mnie wszystkim. By pomagał sięgnąć marzeń choćby w małym stopniu. By był moim przyjacielem, który zrozumie wszystko i będzie umiał rozmawiać ze mną o trudnościach, jakie napotykam na swojej drodze i wspólnie ze mną przez nie przechodził. By doradzał czy imponował swoim nastawieniem i był moim przewodnikiem przez życie. Wspierał dobrym słowem, był oparciem w trudnych chwilach. Imponowali mi mężczyźni starsi, którzy znają życie. Mają stałą pracę, są odpowiedzialni, wiedzą, czego chcą i dążą do realizacji swoich marzeń.

Faktem jest, że każdy partner mnie czegoś nauczył. To ja miałam podjąć decyzję, czy resztę życia chciałabym spędzić właśnie z nim. Gdy poznawałam chłopaka, nie od razu znałam jego świat, ale szybko się uczyłam i potrafiłam przewidzieć, jak będzie wyglądała moja przyszłość z nim. Nie byłam nigdy zaślepiona miłością. Zwykle najpierw była chemia, fascynacja osobą, a potem przychodziło poznanie. Nie mówię, że od razu oceniałam osoby. Jednak nie wytrzymałam nawet roku, bo nie znalazł się taki, z którym czułam się bezpieczna i spokojna o swoją przyszłość. Czy

moja rodzina będzie daleko czy blisko mnie? – to też brałam pod uwagę. Dla mnie ważne było zdanie mojej rodziny o nim: jak go widzą rodzice czy bracia. I choć nie było to najważniejsze, to chciałam, by rodzeństwo zaakceptowało mojego wybranego partnera, by mieli ze sobą dobry kontakt. By mógł należeć do mojej rodziny. Mój partner musiał mieć w sobie coś, czym mogłabym się chwalić przed nimi. By przedstawić mojego chłopaka moimi bliskim, sama musiałam go najpierw ocenić. A gdy czułam, że w przyszłości będę miała z nim źle, starałam się, by zmienił życiowy kierunek. Nieraz się udawało, a innym razem nie pozwalał mi na to. Rozstawałam się zawsze w dobrych relacjach, chyba że miałam przez niego jakieś nieprzyjemności. Wtedy unikałam go, ale nie zrywaliśmy kontaktów. Każdy związek uczył mnie czegoś.

Poznałam chłopaka: ciemne oczy, ciemne włosy, dobrze zbudowany i wysoki. Każda mogłaby mi go pozazdrościć, nawet u kilku koleżanek widziałam w oczach zazdrość. To było miłe uczucie. Myślałam sobie, że mogłabym spędzić z nim kilka lat, ale myślałam zawsze trzeźwo: uroda to nie wszystko. Gdy poznałam go bliżej, stwierdziłam, że nie możemy być razem, bo był lekkomyślny, a to problem, którego ja nie mogłabym nigdy zaakceptować. Uwielbiał szybko i łatwo zdobywać pieniądze. Ignorował fakt, że to przestępstwo. Zawsze robił tak, że wszystko uchodziło mu na sucho. Nikt go za rękę nie chwycił i zawsze miał wytłumaczenie. Kiedyś przyjechał do mnie, mieliśmy razem spędzić wieczór. Podjechał samochodem pod mój dom, a ja

już czekałam na niego. Powiedziałam mamie, z kim wychodzę oraz o której mniej więcej wrócę.

Wsiadłam do samochodu, przywitaliśmy się. Zapytałam:

– Co będziemy robić? Gdzie jedziemy?

Odpowiedział mi, że musimy jechać w jedno miejsce jeszcze. Pojechaliśmy do lasu. Spytałam go:

– Co ty chcesz zrobić?

– Kolega mnie prosił, by mu zabrać drzewo. Zapłaci mi za tą przewózkę. Tak się z nim umówiłem – odpowiedział.

Przyjechaliśmy busem, więc zapakował dużą ilość drewna na pakę. Zajechaliśmy pod dom jakiegoś kolegi. Kazał mi poczekać w samochodzie. Jego kolega doszedł do furtki i zaczęli rozmawiać. Słyszałam niewiele, ale mogłam się reszty domyśleć. Usłyszałam, że nikt go nie widział, że robi to jeszcze raz i jeżeli chce, to niech szuka kupców. Kolega powiedział, że rozliczy się z nim. Od razu domyśliłam się, że to drewno, które mu sprzedał, było kradzione, a byłam przy tym, jak pakował drzewo na pakę. Przecież gdyby nadjechała policja, byłabym współodpowiedzialna. Nie mogłam mu pozwolić na to więcej. Nadal chciałam z nim być, ale nie po to, by pomagać w kradzieży. Chciałam, by on sam zrozumiał, że robi źle. Gdy wsiadł do samochodu, powiedziałam do niego:

– Co ty człowieku zrobiłeś, ukradłeś z lasu komuś drzewo? To ktoś narobił się ścinając to drzewo, szykując, by mieć dla siebie. Na pewno musiał za to zapłacić, a ty to tak po prostu wzięłeś?

Powiedział mi, że się mylę i dopowiadam sobie. Tłumaczył się tym, że kolega mu pozwolił z tą ścinką, że mu jest niepotrzebna. Mówiąc to patrzył mi prosto w oczy. Powtarzał, że nie potrafię ocenić sytuacji. On *taki nie jest*, dodawał zawsze:

– Dlaczego mi nie wierzysz? Ja nie jestem zły.

Wiem, co widziałam. Zebrałam wnioski i wyszło mi na to, że kradnie. Najgorsze było to, że kłamał patrząc mi w oczy. Postanowiłam, że poczekam i przyłapię go na gorącym uczynku nie dając po sobie poznać, że coś jest nie tak.

Nie wierzyłam już mu, ale też nie byłam pewna. Zaczęłam go obserwować, dopytywać. Gdy udałam, że jestem po jego stronie, nabrał do mnie zaufania. Zaczął mówić, że dostanie za to kupę kasy. Opowiadał mi o swoich innych wybrykach, ale nie mogłam dłużej słuchać, więc ucięłam jego przechwałki:

– Słuchaj, chciałam dać ci szansę, ale widzę, że w życiu się nie zmienisz. To drewno mogło należeć do mojego taty. Nie zmienisz się, ale pamiętaj, kiedyś role się odwrócą i to ciebie będą okradać.

Uświadomiłam sobie, że on to lubi, że podoba mu się łatwe zarabianie pieniędzy. Podjęłam decyzję: koniec ze złodziejem, życia z nim nie będę mieć. Rozstaliśmy się.

Minał jakiś czas. Poznałam przez koleżankę chłopaka. Był bardzo przystojny, ale od razu było widać, że nie radził sobie z alkoholem. Chciałam go z tego wyciągnąć. Nie byliśmy parą. On dzwonił i przyjeżdżał, kiedy tylko miałam wolną chwilę. Powiedziałam mu, że albo alkohol albo ja.

Przypuszczałam, że nie wygram z alkoholem, ale byłam motywacją dla niego. Gdy był przy mnie, to nie pił albo raczej nigdy go nie przyłapałam. Spotykaliśmy się na stopie koleżeńskiej przez kilka miesięcy. Była chemia między nami. On chciał ze mną być, ale ja, wiedząc, z czym ma problem, przypuszczałam, że nie wygram. Bardzo mu zależało na mnie, więc chciałam być kobietą, dla której skłonny będzie do zmiany w swoim postępowaniu. Wiele rozmawialiśmy, chciał z tym skończyć, ale nie potrafił. Zawsze znalazł powód, by wypić.

Mieliśmy jechać do niego z jeszcze jednym kolegą. Miał mieszkanie w mieście. Chwalił się mną. Przedstawiając mnie kolegom mówił: to na razie koleżanka. Rzucałam mu wymowne spojrzenie, a on widząc moją reakcję, dodawał:

– Na razie.

a ja odpowiadałam:

– Zobaczymy.

Tego dnia miał przyjść jego kolega, więc czekaliśmy na niego. Zostawiłam u niego swoje rzeczy, bo mieliśmy jeszcze wrócić do jego mieszkania. Gdy kolega się zjawił, pojechaliśmy do ich wioski oddalonej kilkanaście kilometrów od miasta. Ruszyliśmy w drogę. Myślałam, że będzie wszystko w porządku, bo był trzeźwy. Spotkaliśmy kumpli i siedzieliśmy sporo czasu z nimi. Miał nie pić, ale po pewnym czasie zauważyłam, że zaczyna się kołysać i bełkotać. Mówię do niego:

– Ty pijany jesteś człowieku? Co ty zrobiłeś? Jak teraz wrócimy?

A on odpowiedział, że da radę i mam się nie martwić.

Jego koledzy mówili do mnie w żartach:

– On lepiej jeździ po pijaku niż jak jest trzeźwy.

Mówili mi, bym się nie bała. Do jego mieszkania było około dziesięć kilometrów. Byłam uzależniona od niego i nie miałam jak się dostać po swoje rzeczy. Nie musiałabym jechać z nim, mogłabym rzeczy odebrać innym razem, ale w torebce miałam dokumenty i bilet miesięczny, więc poprosiłam, żeby dał mi klucze od domu. Chciałam pojechać z kimś innym po moje rzeczy i przywieźć mu klucze z powrotem. W tym momencie zrobił się agresywny:

– Zapomnij, nie dam ci kluczy! W żadnym wypadku! Czego panikujesz? Będiesz wracać ze mną i koniec albo zostawię Cię w tej wiosce!

Zebrani wmawiali mi, że on nie jest aż tak pijany, na jakiego wygląda i że nic się nie stanie, mam mu zaufać.

Powiedziałam do niego:

– Człowieku, ja zaufałam ci, że pić nie będziesz, a teraz popatrz na siebie.

Sama zachowałam się nieodpowiedzialnie, po prostu głupio, bo wsiadłam z nim i wzięliśmy jeszcze jego kolegę, który też był pod wpływem alkoholu. Zbliżaliśmy się do wawozu. Jechaliśmy szybko, bo dziewięćdziesiątką lub nawet szybciej. W pewnym momencie zauważyłam, że jedzie prosto na wysoką barierę. Spojrzałam na niego i zauważyłam, że śpi! Miał zamknięte oczy, głowa mu opadła w dół. Szybko złapałam za kierownicę i w ostatniej chwili odbiłam w drugą

stronę. Przebudził się i zaczął krzyczeć na mnie:

– Kurwa, co ty robisz! Przecież widzę! Nie rób tak!

Powtarzał, że wszystko kontroluje. Zaczęliśmy się kłócić i wyzywać. Zażądałam, żeby się zatrzymał, bo chciałam wysiąść, a on warknął, że nie zrobi tego, bo tu jest zakaz zatrzymywania się. Zaczęłam na niego krzyczeć, że jest nieodpowiedzialny, że jest pijakiem. Krzyczałam, że zabiłby nas. Odpowiedział tylko, że to nieprawda i że wszystko ma pod kontrolą. Nie chciał się zatrzymać, ja zaczęłam całą dygotać ze strachu, a wtedy on jeszcze przyspieszył. Wystraszyłam się, bo za chwilę mieliśmy wjechać do miasta. Teraz mogłam się wszystkiego spodziewać. Nie bałam się już o siebie, ale o przechodniów. Modliłam się po cichu, by nie przydarzyło się nic złego, by nikt nie ucierpiało i aby nie doszło do wypadku przez tego wariata. Prosiłam jego kolegę, żeby mu coś powiedział, żeby mu przemówił do rozumu, ale on był obojętny. Jeszcze mi powtarzał, żebym się nie denerwowała, bo zaraz dojedziemy na miejsce. Dzięki Bogu dojechaliśmy bez żadnej tragedii. Weszłam do mieszkania, wzięłam swoje rzeczy i powiedziałam, że wychodzę. Nie chciał mnie wypuścić, stanął przed drzwiami błagając:

– Kochanie, to się już nigdy nie powtórzy, już zrozumiałem. Nie zostawiaj mnie, proszę.

Spojrzałam tylko na niego i powiedziałam stanowczo:

– Żebyś dożył dnia, kiedy twoje dzieci i rodzina nie będą musiały się za ciebie wstydzić!

Odepchnęłam go i wyszłam. Powiedziałam moim braciom, że mają go nie wpuszczać do domu. Potem jeszcze

przyjeżdżał do mnie kilka razy, ale bracia stawali po mojej stronie.

Nikomu nie mogłam nic powiedzieć. Rodzice mieliby do mnie pretensje, że wsiadłam do samochodu z pijanym kierowcą, a koleżankom, przyjaciółkom też nie chciałam mówić, bo było mi wstyd, że dałam szansę alkoholikowi.

Jeździłam na dyskoteki. Nie wiązałam się z nikim na stałe. Nadal imprezowałam, ale bardziej odpowiedzialnie, bo miałam dosyć szaleństw. Po rozstaniu z Pawłem nadal zastanawiałam się, jakie były jego oczekiwania odnośnie mojej przyszłości i mojego życia. Po wypadku miałam tylko wykształcenie podstawowe i było mi z tego powodu wstyd, więc zaczęłam się zastanawiać nad dalszą edukacją, by udowodnić sobie i światu, że potrafię. Mój sposób myślenia był wtedy inny, nie byłam jeszcze na tyle sprawna, by poradzić sobie w szkole dziennej. Myślałam nad płatną szkołą i czułam, że jeżeli będę płacić za edukację, to na pewno podołam. Poza tym chciałam pomóc rodzicom finansowo, a lepsze wykształcenie daje większe możliwości zawodowe, a zatem i finansowe.

Moja koleżanka sprzed wypadku – Papsio – wybrała tę samą szkołę, co ja, i razem było nam różnie. Musiałam przyłożyć się do języka polskiego i angielskiego oraz matematyki, bo nie do końca radziłam sobie z takim nauczaniem. Zajęcia były trzy razy w tygodniu, a w pozostałe dni spędzałam u mnie w domu lub u mojej przyjaciółki Agnieszki.

WYPAD DO NIEMIEC

Mąż mojej przyjaciółki Agnieszki pracował w Niemczech, budując wesołe miasteczka dla dzieci. Tam zaprzyjaźnił się z chłopakiem z Polski. Tak poznałam Tomasa. Biegle mówił w języku angielskim. Akurat potrzebowałam korepetycji, więc poprosiłam, by mi pomógł. Odpowiedział, że z miłą chęcią. Najpierw skupiliśmy się na dialogach i słówkach. W międzyczasie pisaliśmy do siebie smsy o życiu. On pytał mnie, dlaczego tak musi być, że człowiek robi dla kochanej osoby wszystko, haruje na rodzinę, a potem dowiaduje się, że żona, którą kochał, odeszła do innego i zabrała mu syna. Pocieszałam go i starałam się, by jakoś sobie poukładał w głowie, że to nie jest jego wina. Wspierałam go tak, jak tylko umiałam. Zrodziła się między nami prawdziwa przyjaźń. Tomek był ode mnie starszy o osiem lat. Był dojrzałym mężczyzną, a ja byłam gówniarą. Pisaliśmy do siebie bardzo często. Zawsze mi tłumaczył, że jestem pełna energii, trochę nadpobudliwa. Muszę trzeźwo myśleć i skupiać się nad tym, co mówię, ale ja wcale tego nie chciałam. Lubiłam ryzyko, szaleństwo i zabawę.

Po kilku tygodniach Aga wpadła na pomysł, żeby pojechać do nich do Niemiec na weekend. Pomysł mi się spodobał. Ona powiedziała mężowi, że przyjedzie, ale sama. A ja – dopiero kilka godzin przed wyjazdem – powiedziałam Tomasowi, że ja też przyjadę. Bardzo się ucieszył i nie mógł się doczekać.

Z tego, co pamiętam, cała trasa to bite osiem godzin jazdy.

Ja i Aga jesteśmy palące, więc w każdym pociągu, do którego wsiadaliśmy szukaliśmy przedziału jak najbliżej palarni.

Musiałśmy być już wcześniej zauważone przez kilku mężczyzn. Była już szósta godzina jazdy, byłam senna. Oprócz nas nikogo nie było w tym przedziale. Położyłam się zajmując całą długość siedzenia i zasnęłam. Gdy się ocknęłam, zobaczyłam Agę siedzącą naprzeciw mnie, a obok niej siedział jakiś facet dużej postury, o ciemnej karnacji, elegancko ubrany i z delikatną bródką. Kilka dni przed naszym wyjazdem oglądałyśmy z Agą komedię, w której była postać drugoplanowa, homoseksualista o takim samym wyglądzie. Uśmiechał się do wszystkich mężczyzn, wręcz kusił i zachęcał do seksu. Wypowiadał zawsze słowo *buongiorno* z kuszącym i zabawnym akcentem. Tak właśnie nazwałyśmy z Agą tego bohatera filmu, bo był bardzo śmieszny, najlepszy w całym filmie, więc gdy otworzyłam oczy i zobaczyłam sobowtóra tego aktora, gwałtownie usiadłam:

– Matko! przecież to Buongiorno!

Myślałam, że Aga zaraz udusi się ze śmiechu. Widziałam, jak robi się czerwona, a przecież nie mogła zaśmiać się przy nim, bo nie wiadomo, jakby zareagował. Odpowiedział mi grzecznie:

– Buongiorno.

Po chwili przyszedł kontroler biletów. Buongiorno wyciągnął portfel i zrobił to tak powoli, byśmy zobaczyły, że ma w nim gruby plik banknotów. Widział, że patrzę mu na ręce, i spojrzał na mnie z szyderczym uśmiechem. Chciał

nam pokazać, że jest bogaty i że my też możemy mieć tyle banknotów, co on. Mówię do Agi:

– Chodź stąd, bo nie mogę patrzeć na takich ludzi.

Potem miałyśmy przesiadkę. Buongiorna już nie było widać. Śmiałyśmy się z Agą z tej akcji. Mówiła mi, że nie mogła doczekać się, kiedy się przebudzę i go zobaczę. Na samą myśl nie mogła wytrzymać ze śmiechu. Czekaliśmy półtorej godziny na kolejny pociąg, który miał zawieźć nas do Osterwaldu, gdzie miałyśmy znaleźć taxi i – mając na kartce potrzebne informacje – dogadać się po niemiecku z kierowcą, by zawiózł nas do miejscowości oddalonej dwanaście kilometrów, a tam chłopaki mieli zapłacić za kurs.

Tymczasem nasz pociąg przesiadkowy wjechał na dworzec. Wsiadając, zauważyłyśmy, że Buongiorno wsiada do ostatniego przedziału. Zaśmiałyśmy się i weszłyśmy z Agą do środka wagonu. Miałyśmy doskonały nastrój, bo przecież byłyśmy coraz bliżej naszych chłopaków. Nawet przez chwilę nie myślałyśmy, że może nam zagrażać niebezpieczeństwo. Znalazłyśmy sobie odpowiednie miejsce. Ja siedziałam przodem do kierunku jazdy, a Aga – naprzeciw mnie. Za nią, twarzą do mnie, usiadł młody chłopak w wieku około dwadzieścia sześć lat. Musiał być z tej miejscowości, z której ruszał właśnie pociąg, bo nie miał ze sobą żadnego plecaka, torby ani bagażu. Siedział i nie spuszczał ze mnie wzroku, więc zaczęłam bawić się z nim w grę wzrokową, by patrzył tylko w moje oczy. Polega to na tym, że patrzymy się prosto w oczy i nie mrugamy, a kto pierwszy spuści wzrok – przegrywa. Zatem patrzę na niego i mówię do Agi:

- Nie gap się tylko, ale właśnie gram w grę wzrokową z jakimś ciasteczkiem z tyłu za tobą.

Po chwili koleś odwrócił wzrok. Wygrałam! Po chwili podszedł do nas i zadał pytanie w jakimś obcym języku, gestykulując, co miało oznaczać:

- Czy mogę się przysiąc?

Odpowiadamy:

- Proszę.

Zaczął nas zagadywać. Trochę rozumialiśmy. Zaczął nam pokazywać w swoim telefonie jakiś numer telefonu i zauważyłam, że na początku jest 0048. Powiedziałam do niego:

- I speak a little English.

ale on rozłożył ręce, że nie zna angielskiego. Potrafił tylko pokazać, że *to moja* i powiedział po polsku *kobieta*. Zwróciłam się do Agi:

- Chodź może na fajkę, bo się z nim nie dogadamy.

a potem do niego, mówiąc *my idziemy zapalić* wykonałam ręką gest obrazujący palenie papierosa, a on zapytał nas, czy może iść z nami. Dodał, że lubi polskie cygara, zatem kiwnęłam ręką, co miało znaczyć *chodź*. Weszliśmy do oszklonej palarni i zauważyliśmy przed sobą znajomą twarz. To był Buongiorno. Nie patrzył na nas, bo czytał czasopismo. Spaliłyśmy papierosa i wtedy usłyszałyśmy komunikat po niemiecku, w którym padło słowo *Osterwald*, czyli zbliżyliśmy się do stacji, na której wysiadamy, więc kiwnęliśmy chłopakowi, że wysiadamy tutaj. Pożegnaliśmy

się z nim i skierowałyśmy się do wyjścia. On ustawił się za nami, po czym ktoś do niego podszedł i zaczęli rozmawiać. Obróciłam się i zobaczyłam Buongiorno. Mówię do Agi:

– Boziu, zobacz, oni się znają, rozmawiają ze sobą!

Nie rozumialiśmy rozmowy, ale zrozumialiśmy słowa *sex, womeni Polen*. Spojrzałam na Agę, a ona na mnie. Pociąg zaczął zwalniać, Aga wpadła w panikę, chwyciła mnie za rękę i ścisnęła ją. Powiedziałam do niej szeptem:

– Słuchaj, otwierają się drzwi i rura, biegiem do wyjścia! Trzeba znaleźć szybko taxi! Aga, spokojnie, damy radę.

Pociąg wjeżdża na stację i zatrzymuje się, drzwi otwierają, wychodzimy. Szybko się orientujemy, gdzie jest wyjście, po czym zbiegamy po schodach, a następnie biegniemy długim tunelem do wyjścia. Obracam się z siebie i widzę, że biegną za nami Młody, Buongiorno i jeszcze dwóch dobrze zbudowanych mężczyzn. Przeciskamy się przez ludzi, którzy idą na nas. Wybiegamy przed dworzec, szukamy postoju taksówek. Jest! Podbiegamy do kierowcy, pokazujemy kartkę i mówimy, że chcemy tam dojechać. Mężczyzna rozkłada ręce i kiwa głową, że nie rozumie. Aga jest przerażona i zaczyna płakać, bo tamci mężczyźni stoją przed wejściem na dworzec i czekają. Buongiorno założył rękę na rękę i z szyderczym uśmiechem gapi się na nas. Podchodzimy do drugiego kierowcy, który bierze kartkę do ręki, patrzy na Agnieszkę całą we łzach i przytakuje głową zgadzając się na kurs.

Boziu, nasza radość była ogromna. Spojrzałyśmy na naszych niedoszłych oprawców przed wejściem. Buongiorno machnął na nas ręką, odpuszczając sobie, ale i tak czekali do

chwili, gdy odjechałyśmy. Aga na koniec pokazała im środkowy palec. Powiedziałam do niej:

– Ty się nie rozpędzaj, bo pojutrze będziemy wracać.

Aga od razu schowała rękę i zaczęłyśmy się śmiać. Byłyśmy radosne i już spokojne, bo jechałyśmy do naszych chłopaków. Kierowca pędził co najmniej dziewięćdziesiątką. Nie to, co u nas. Gdy dotarliśmy do Osterwaldu, razem z taksówkarzem szukałyśmy wesołego miasteczka, bo tam właśnie byli nasi chłopcy. Mieszkańcy wskazali nam drogę. Już z daleka widziałam Kristofa, ale Tomka nie było. Krzysiek wyszedł po nas, a Tomek obsługiwał Niemców na strzelnicy. Podeszłam do budki, którą wskazał mi Kristof, i odezwałam się do mężczyzny za ladą:

– Dzień dobry, chciałabym taką broń, by móc dostać się do serca pewnego chłopaka!

A mężczyzna na to:

– O proszę, piękna Polka, nie ma tu takiej broni, a co do strzały, nie musi pani mieć dużego karabinu, bo już jedna część serca należy do pani. Tylko serce to nie wszystko, trzeba słuchać także rozumku.

To była nasza pierwsza wymiana zdań w cztery oczy. Świetnie nam się rozmawiało. Wszystko o sobie wiedzieliśmy, w końcu rozmawialiśmy ze sobą już kilka miesięcy, prawie codziennie, o wszystkim. Tomas podszkolił mnie z języka angielskiego. Tłumaczył mi, że jestem szalona i mam do tego prawo, bo jestem młoda, ale on wie życie samotnego wędrowca i to mu odpowiada. A ja, gdybym miała być z nim na stałe, nie przeżyłabym rozłąki ze swoją rodziną.

ŚWIĘTA POZA DOMEM...

Chciałam zobaczyć, jak by to wyglądało, więc spytałam czy mogłabym przyjechać do niego na święta do jego domu rodzinnego w Tomaszowie Mazowieckim. Pisaliśmy do siebie, gdy pracował w Niemczech, a potem przyjechał do Polski na tydzień przed Świętami, zaś ja miałam sama dojechać pociągiem na dzień przed Wigilią. Dla niego pojechałam tak daleko na święta Bożego Narodzenia – pierwsze Święta bez mojej rodzinki. Tomas mieszkał z mamą. Tata zmarł na raka w 2001 roku. Tomek nie chciał mówić o ojcu, więc nie nalegałam. Wspomniał tylko, że bardzo mu go brakuje. Podróż pociągiem dłużyła się, ale mieliśmy ze sobą kontakt przez sms. Ja pisałam mu gdzie jestem, a on sprawdzał na mapie i podawał mi odległość. Gdy już dojechałam, było ciemno, ale czekał na mnie na dworcu. Bardzo się cieszył i mówił, że żadna dziewczyna jeszcze nie zrobiła dla niego czegoś tak zwariowanego. Miałam wtedy dwadzieścia jeden lat. Gdy dotarliśmy do domu, jego mama czekała na nas. Przywitałam się i poszliśmy spać. Następnego dnia była Wigilia. Rano, gdy wstaliśmy, Tomas zrobił kawę. Jego mama też już wstała i zaczęła się kręcić po kuchni, więc podeszłam do niej i zapytałam:

– Pani Ewo, dziś święto. Jest Wigilia, ja pomogę pani przygotować kolację, tylko musi mi pani powiedzieć, co mam

robić.

Widziałam na jej twarzy uśmiech, ale odpowiedziała mi:

– To nie jest takie ważne, zrobię tradycyjną zupę grochową, mam kilka sałatek rybnych kupionych w sklepie, ulepię pierogów i tyle i to nie będzie kolacja, a obiad.

Zrobiło mi się przykro, bo zrozumiałam, że nie robią dwunastu tradycyjnych potraw – ale zupa grochowa? U mnie tata tego zawsze pilnował, robiliśmy barszcz czerwony. Myślałam, że tak jest wszędzie. Brałam pod uwagę, że gdzie indziej może być inaczej, bo bywają różne tradycje. A dla Tomka i jego mamy święta straciły sens. Bolał mnie trochę ten widok, ta tęsknota do świąt. Kilka razy tylko pani Ewa wspomniała, jak Tomek się zachował, gdy był młodszy i tata jeszcze żył. Ale to były tylko krótkie dwa zdania. Widziałam, że te słowa sprawiały ból. Tęsknota jest straszna, ale trzeba z nią żyć. Zmieniłam temat. Powiedziałam, że nie umiem kleić pierogów. Spojrzała na mnie i uśmiechnęła się. Potem razem lepiliśmy pierogi. Mama Tomka kazała mu wyciągnąć grzyby suszone z metalowej puszki. Nie miały zapachu grzybów, tylko brudnych skarpet. Chyba się zepsuły, a skoro innych nie mieliśmy, wykorzystaliśmy te, ale to był kiepski pomysł. Te pierogi były okropne!. Ale co tam, były też inne potrawy. Zupa grzybowa była smaczna, sałatka rybna ze sklepu też. Mama Tomasa miała opłatek, który przełamała na trzy części i podzieliła się nim z nami mówiąc głośno:

– Wszystkiego dobrego kochani.

Zjedliśmy kolację, a raczej wigilijny obiad. Posprzątałismy po posiłku i położyliśmy się na chwilę, by odpocząć. Mama

Tomka poszła do siostry, a Tomek powiedział do mnie:

– Ubieraj się pójdziemy na spacer.

I wyszliśmy z domu.

Tomas zaprowadził mnie na cmentarz. Stanęliśmy przed grobem jego ojca. Pamiętam, jak powiedział:

– Tato, to jest Ana, moja dziewczyna. Jest bardzo młodziutka, więc nie zna życia. Niedługo mnie zostawi i nadal będę wędrowcem.

Spojrzałam na niego z uśmiechem i odpowiedziałam:

– Przestań, jak ty się zachowujesz przy grobie ojca, Tomas?

Tomas odwzajemnił mój uśmiech.

Gdy wracaliśmy ze spaceru do domu, zdarzyło się coś, w co nie mogłam uwierzyć. Otóż szliśmy sobie chodnikiem, gdy nagle stanęłam. Spojrzałam na Tomasa i powiedziałam do niego;

– Tomek, ja wiem, co będzie za tym zakrętem!

Ten spojrzał na mnie z niedowierzaniem i zapytał wesoło:

– No, co tam będzie?

– Za tym zakrętem stoi mała drewniana chatka z grubego drewna, taka górską. Przed chatką wyłożony bruk z mocnej, jasnej cegły. Okno otwierane na zewnątrz, takie typowo górskie.

Tomas przystanął, spojrzał na mnie z zdziwieniem i zapytał:

– Byłaś tu już, tak?

- Jest tam? Powiedz mi, czy jest tam coś takiego?

Tomek złapał mnie za rękę i pociągnął do przodu mówiąc:

- Sama zobacz.

I zobaczyłam dokładnie taką chatkę, jaką widziałam przed chwilą w myślach. Była identyczna! Jezu, aż przeszły mnie ciarki. Złapałam mocno Tomasa za dłoń, a drugą ręką wzięłam go pod ramię i wtulając się w niego powiedziałam:

- Tomek, jak to jest możliwe? Co to miało być? Skąd ja o tym wiedziałam?

Miałam tyle pytań i mówiąc to dygotałam z przerażenia. Tomasz stanął przede mną, ujął moją twarz w dłonie i zaczął mi tłumaczyć:

- Ano, nie bój się, to się nazywa *déja vu*, tak ci się tylko wydaje, że już tu byłaś.

Uspokajał mnie, że nie wariuję. Mówił, że tak się zdarza. Obrócił to w żart, więc zaczęłam się z tego śmiać i strach minął, ale i tak nie wiem, skąd wiedziałam o tym domku, bo nigdy wcześniej nie byłam w Tomaszowie Mazowieckim.

Gdy wróciliśmy do mieszkania, pani Ewy nie było w domu. Zadzwoiłam do mojej mamusi, aby złożyć jej życzenia, ale nie mogłam za dużo powiedzieć, bo obok siedział Tomasz i nie chciałam sprawić mu przykrości tym, że jest mi smutno i bardzo źle i że chcę do domu. Postanowiłam, że już nigdy nie opuszczę mojego domu rodzinnego na Święto Bożego Narodzenia ani na Wielkanoc. Mama lepiła z chłopakami pierogi, więc nie mogła za długo ze mną rozmawiać. Powiedziałam tylko, że tu jest inaczej, że nie ma barszczu,

tylko grochowa. Śmiała się i prosiła, bym zadzwoniła później, ponieważ potrzebuje rąk do lepienia pierogów, a zamiast tego trzyma słuchawkę. Więc umówiliśmy się, że potem zadzwonię.

Zaczęłam wypytywać Tomasa, czy kiedykolwiek obchodził święta gdzie przy stole było dużo osób, a na stole mnóstwo jedzenia, gdzie się śpiewa kolędy i gdzie naprawdę czuć atmosferę świąt? Zastanowił się przez chwilę i odpowiedział, że nie. Dla niego święta już dawno przestały istnieć, stały się zwykłym dniem. Kiedyś może miały znaczenie, ale teraz już nie. Byliśmy wobec siebie bardzo szczerzy. Zauważył, że jest mi przykro, więc spytał mnie:

– Nie tak wyobrażałaś sobie święta gdzieś indziej, Ana?

– Myślałam, że wszędzie trzeba trzymać się tradycji, że na stole powinno być dwanaście potraw, a jeżeli rodzina jest mała, to że potraw jest tyle samo, ale w mniejszej ilości.

Powiedziałam, że to pierwsze moje święta z dala od domu, że dziś jest Wigilia, więc prawdziwa uczta będzie jutro, ponieważ mięso, kotlety i gołąbki, które moi rodzice zrobili, będzie można jeść dopiero po pastercie, po północy.

... I ŚWIĘTA W DOMU

Miałam wracać do domu kilka dni po świętach. Spojrzałam na Tomasa i powiedziałam:

– Jeżeli mamy siedzieć sami w święta w domu, to jedźmy

do mnie, spędzisz prawdziwe święta u mnie.

Zgodził się i nawet sprawiło mu to radość. Chcieliśmy pojechać już następnego dnia rano, ale nie było połączenia kolejowego z Tomaszowa Mazowieckiego do Gorzowa – jedynie w drugi dzień Świąt coś się znalazło. Musieliśmy wyjechać wcześniej rano, aby najpierw dostać się do Piotrkowa Trybunalskiego, a stamtąd do Krzyża i wreszcie do Gorzowa Wlkp. No i jeszcze trzeba dotrzeć autobusem do mojego rodzinnego miasteczka, ale to nie było dla mnie ważne. Liczyło się tylko to, że będę na Święta u siebie w domu, z moimi bliskimi i z moim Tomaszem. Nie mówiliśmy moim rodzicom, że przyjedziemy, więc stając w drzwiach zrobiliśmy im niespodziankę. Od razu zaczęliśmy nakrywanie do stołu, a Tomasz opowiadał mojemu tacie, jak mu było przykro widząc, że byłam taka przygnębiona i zasmucona, bo nie tak sobie wyobrażałam Święta poza domem. Tato tylko powtarzał, że każdy ma swoje tradycje. Opowiedziałam rodzinie o zupie grochowej, że w życiu nie spodziewałam się tego na stole świątecznym. Widziałam po Tomku, że brakowało mu takich Świąt i że jest szczęśliwy.

Zrozumiałam, że nie mogę być tak daleko od swoich bliskich. Rozstałam się z Tomaszem w przyjaźni. Wiedziałam, że nie będziemy ze sobą, bo dzieli nas zbyt duża odległość. Tomek chciałby być bliżej swojego rodzinnego miasta, a ja nie umiałabym żyć bez swojego. Potem mieliśmy kontakt ze sobą przez telefon i smsy. Z czasem kontakty się rozluźniły. Składaliśmy sobie w Wigilię życzenia świąteczne, a potem nastąpiła cisza. Numer Tomka już nie był dostępny

i straciliśmy kontakt. Trzy lata później miałam bardzo rzeczywisty sen, w którym Tomas odwiedził mnie w moim pokoju w rodzinnym domu. Powiedział:

– Ano, spędziłem z tobą najcudowniejsze chwile. Rozumiałaś mnie jak żadna inna w moim życiu. Chciałem ci bardzo podziękować za to. Chcę byś była zawsze szczęśliwa. Ja nie mogłem ci tego zapewnić, nie byłoby ci ze mną dobrze, uwierz mi. Teraz już muszę iść. Żegnaj, Ana.

Obudziłam się i było mi strasznie zimno. Wstałam z łóżka, by sprawdzić, czy okno się nie otworzyło, ale było zamknięte, a kaloryfer – gorący. Czy to tylko sen, czy przyszedł się pożegnać? Mówię do Boga:

– Ojczy, chroń go, to dobry człowiek.

Chciałam się z nim skontaktować i dowiedzieć się, czy u niego wszystko w porządku. Dzwoniłam, ale w słuchawce słyszałam tylko komunikat, że abonent jest niedostępny. Do dzisiaj nie wiem, co się z nim dzieje i czy żyje. Nie wiem też, co oznaczał ten sen. Nic mi po nim nie zostało, oprócz kilku listów z tłumaczeniem angielskim, którego mnie uczył. Mam też bilet PKP, który kupiliśmy, gdy jechaliśmy na Święta do mnie. Jest dla mnie bardzo ważny i będę go pilnować tak, jak innych pamiątek.

Ten bilet będzie mi przypominać o moim przyjacielu Tomasie, i tym, że przy nim zrozumiałam, że rodzina jest dla mnie bardzo ważna i nie może być daleko ode mnie.



POŻEGNANIE BABCI

Moja babcia zachorowała na Alzheimera. Jest to choroba postępująca, która rozpoczyna się od niewielkich zaburzeń pamięci, a kończy na całkowitej niezdolności do samodzielnego funkcjonowania. Babcia leżała w pokoju, w którym dochodziłam do siebie po wypadku. Opiekowaliśmy się nią, a ja wierzyłam, że będzie dobrze. Babcia chorowała też na cukrzycę, więc podawało się jej zastrzyki z insuliną. Wymagała ciągłej opieki z uwagi na szybki rozwój choroby. Ostatnie lata jej życia bardzo nas do siebie zbliżyły. Czasem

nam opowiadała swoją historię, jak wywieźli ją do Niemiec do pracy i jak poznała dziadka Andrzeja i wreszcie jak nasz tata był bardzo dzielnym i pracowitym chłopcem. Uwielbialiśmy słuchać jej opowieści. Mieszkaliśmy z babcią i odkąd pamiętam, zawsze była z nami.

Była przykuta do łóżka, siły ją opuszczały i nie mogła wstawać. Choroba tak się rozwinęła, że musieliśmy zawieźć babcię do szpitala, gdzie okazało się, że w nodze zrobił się zator. Gdy ja i mama odwiedziłyśmy babcię w szpitalu, babcia chwyciła mnie za rękę i patrząc mi głęboko w oczy, błagała:

– Zabierz mnie stąd, nie chcę tu być!

Zaczęliśmy jej z mamą tłumaczyć, że ma tutaj stałą opiekę lekarzy, że gdy coś złego będzie się działo, oni szybko zareagują. Babcia nadal nie miała w nodze przepływu krwi, aż w końcu trzeba było ją amputować i modlić się, by nie pojawił się kolejny zator. Na dodatek cukrzyca utrudniała gojenie ran.

Po kilku kolejnych tygodniach babcia nadal była w szpitalu, a jej stan nie poprawiał się.

Pewnego dnia wróciłam ze szkoły do domu, i zobaczyłam zapłakaną mamę siedzącą w fotelu. Obok, na łóżku leżał tata. Cały się trząsł, wzrok miał wbity w podłogę i pociągał nosem. Patrząc na nich od razu zorientowałam się, o co chodzi. Łzy same napłynęły mi do oczu, miałam kluchę w gardle i nie mogłam oddychać. Spojrzałam na mamę, ona na mnie, i zdołałam tylko zapytać:

– Babcia?

Mama tylko kiwnęła głową. Nie wytrzymałam, uciekłam do łazienki i zaczęłam płakać... Jezuu, to była straszna rozpacz! Tak mnie ta świadomość bolała, że nie mogłam się uspokoić. Czułam taki ból, taką pustkę! Wszyscy chodziliśmy jak struci. Praktycznie nikt nie mógł znaleźć sobie w domu miejsca, poza tym przez jeden dzień nikt się do siebie nie odzywał, a ja – gdy chciałam wypowiedzieć choć słowo – momentalnie zaczynałam płakać. Mama przytuliła mnie i powiedziała, że babcię już nic nie będzie bolało, że spotka się z dziadkiem i wujkiem Andrzejem i będzie jej tam dobrze. Zaczęłam wyobrażać sobie jej drogę i porównywałam ją do mojej. Wyobrażałam sobie, że jest przy bramie, potem święty Piotr mówi do niej *Idź*, a tuż za przejściem czekają na nią najważniejsze osoby w jej życiu – ci, za którymi tak tęskniła. Wtedy się uspokoiłam.

Mój tato wraz ze swoimi siostrami zorganizowali pogrzeb. W dzień pochówku ciało babci zostało przywiezione do naszej kaplicy na cmentarzu. Godzinę przed ceremonią ciało zostało wystawione w trumnie w kaplicy. Ja i moje rodzeństwo podeszliśmy do niej, by się pożegnać. Łzy płynęły nam strumieniami, nie mogliśmy się uspokoić się, ale gdy zaczęła się msza i odeszłam od trumny, nagle ogarnął mnie spokój. Wiedziałam, a wręcz czułam, że jest z nami jej dusza i wiedziałam gdzie: w prawym górnym rogu pod sufitem. Kurczę, na zdjęciu widać, jak stoję i gapię się w sufit. Ciężko było, gdy zasypywali trumnę.

Potem była stypa. Już nikt nie płakał, ale każdy oswajał się z myślą, że nic nie zmienimy. Tak było, jest i będzie, trzeba

żyć dalej. Z tęsknotą trzeba sobie poradzić, a to straszna walka.

LICEUM

Życie płynęło szybko. Uczęszczałam wtedy do Liceum Ogólnokształcącego dla Dorosłych w Gorzowie. Ten okres był dla mnie bardzo ważny, bo w moim życiu dużo się działo, wiele też zrozumiałam. Miałam super klasę – na początku dwadzieścia siedem osób, w tym Papsio Ania, moja przyjaciółka. Ale najważniejsze, że pani profesor z matematyki obudziła moją chęć do nauki. Pilnowała mnie: na każdej lekcji mnie pytała, więc musiałam być zawsze na bieżąco z materiałem. Te czterdzieści pięć minut lekcji z nią początkowo było dla mnie męką, ale potem zaczęłam rozumieć materiał i zdobywać dobre oceny. Od tamtej pory polubiłam trud nauki. Czułam, że dam radę, tylko trzeba się zawziąć. Nigdy wcześniej nie miałam piątki ze sprawdzianu i to jeszcze z matematyki, a u niej na lekcji dostałam piątkę na kartkówce. Pamiętam zdziwienie kolegów: Pawła, Rafała i Wojtka. Gdy pani profesor zawołała mnie do tablicy i podyktowała mi zadanie do rozwiązania, rozwiązałam je bez odrywania kredy od tablicy. Chłopcy za moimi plecami nie dowierzali. Krzyczeli nawet:

– To jest na pewno źle zrobione, przecież to Ana!

Pani profesor zwróciła się do Pawła:

- Tak? To pokaż mi, w którym miejscu.

Kolega próbował udowodnić mi błąd, ale pogubił się w obliczeniach, a błędu nie było. Tak mnie to podbudowało! Poczułam smak zwycięstwa.

Chciałam pokazać wszystkim, że radzę sobie sama. Myślałam: zdobędę średnie wykształcenie i będę miała większe możliwości, by zdobyć pracę. Będę żywym przykładem na to, że można się podnieść, choć przeszłość była trudna.

Można osiągnąć wymarzone cele? Można!

Byłam już na ostatnim semestrze. Wiedziałam więc, że ukończę liceum i że nie podejść do matury, bo nie chciałam ślęczeć nad nauką. Pani profesor od języka polskiego była wymagająca na lekcjach, ale uczestniczyłam w jej zajęciach i byłam aktywna. Podeszłam po lekcji do nauczycielki i spytałam ją:

- Pani profesor, niech pani mi powie, czy ja dam sobie radę na maturze pani zdaniem?

A ona mi odpowiedziała:

- Nie! Niech pani nie podchodzi, bo i tak pani nie przepuszczę!

Spytałam dlaczego, a ona:

- Bo tak.

i wyszła. Wkurzyło mnie to. Ciekawe, dlaczego tak postąpiła? Może była nieszczęśliwa i chciała, by inni czuli się tak samo?

Powiedziałam o mojej rozmowie kolegom i koleżance, a oni

na to:

– Przestań, nie przejmuj się nią, podejdź do matury.

Po co mam wkuwać materiał, skoro i tak nauczycielka mnie nie przepuści? To nie ma sensu. Ale ukończę szkołę średnią i to mi wystarczy. Chociaż pani profesor od języka angielskiego namawiała mnie, bym spróbowała, ale ja się uparłam i twierdziłam, że to nie ma sensu.

Ukończyłam trzyletnią szkołę średnią i byłam z siebie dumna. Zrealizowałam kolejny etap w swoim życiu. Wymarzony cel został osiągnięty.

Następny cel to prawo jazdy.

NAUKA JAZDY

Rozmawiałam z rodzicami. Tata chciał, bym miała prawo jazdy. Mama bała się, ale ja ponownie się uparłam. Gdy dostałam odszkodowanie po wypadku, mama wpłaciła mi pieniądze na polisę, ale zlikwidowałam ją, a ostatnie pieniądze z odszkodowania za wypadek samochodowy przeznaczyłam na kurs nauki jazdy. Pomimo tego, że pamiętam każdy detal i chwilę wypadku, to i tak za kierownicą czułam się wspaniale. Już gdy uczęszczałam na zajęcia wieczorowe do liceum, to rozglądałam się za szkołą jazdy. Patrzyłam na samochody z literką L jeżdżące po mieście i pytałam kolegów, którą szkołę polecają. Znalazłam jedną na tej samej ulicy, co moja szkoła. Zdecydowałam się

na tę szkołę od razu, gdy się dowiedziałam, jak brzmi nazwisko właściciela: Izajasz – jak w Biblii. Nie mówiłam o swoim wypadku, bo bałam się, że mogą mnie nie dopuścić do ruchu z troski o moje zdrowie lub że mogę spanikować na drodze i stanowić zagrożenie dla innych uczestników ruchu. Czułam się mocna za kółkiem.

Najpierw były zajęcia teoretyczne. Na zajęciach było dużo śmiechu, bo ucząc się wyobrażałam sobie siebie za kierownicą i swoje reakcje, np. co by się stało, gdyby nagle w danym momencie na jezdni pojawiła się krowa albo gdyby podczas jazdy z dużą prędkością odpadło mi koło. Chciałam wszystko wiedzieć, a instruktor – pan Krzysiu – tłumaczył. Jest osobą bardzo opanowaną, choć czasem już nie wytrzymał ze śmiechu i kazał mi się już nie odzywać, bo tworzyłam nieprawdopodobne i szalone scenariusze, choć zawsze potrafił wytłumaczyć mi je nawet, jeśli by to się w życiu nie przydarzyło. To jest mój mistrz.

Nareszcie zaczęła się część praktyczna kursu. Pamiętam, jak pan Krzysztof sprzeczał się ze swoim synem Sebastianem o to, z kim mam mieć lekcje praktyczne, bo byli bardzo ciekawi, jak sobie poradzę albo po prostu postawili sobie za cel nauczyć mnie prowadzić samochód. Uwielbiałam jeździć z panem Krzysztofem. Za kierownicą czułam się znakomicie. Nie przerażała mnie prędkość, a jedynie miałam stracha, czy stawać czy jechać lub przed dużymi samochodami, takimi jak TIRy, bo bałam się, że wjadą na mnie lub stoczy się coś z wielkiej naczepy albo sama naczepa runie na mnie i mnie zmiążdży. Dla własnego spokoju wolałam trzymać się od nich

ciut dalej niż wymagają tego przepisy ruchu drogowego.

Najgorszym moim strachem było wjeżdżanie na strome wzniesienie lub zatrzymywanie się na wzniesieniu. Bałam się takiego podjazdu i mówiłam o tym panu Krzysztofowi, ale on odpowiadał, że trzeba przełamać strach, podczas gdy ja nawet bałam się wyobrazić sobie ten moment. Wyobrażałam sobie, że nawet, gdy zahamuję, to samochód i tak się stoczy. Któregoś dnia jechałam z panem Krzysztofem i z tyłu siedziała koleżanka, która miała jazdę przede mną. Pan Krzysztof, który wiedział, gdzie ona mieszka, wyznaczył mi taką trasę, by podwieźć koleżankę pod sam dom. Jechaliśmy miastem i zaczęłam podpytywać, gdzie mieszka moja pasażerka, by sobie już ułożyć wcześniej dojazd i przewidzieć teren i przeszkody, jakie mogę napotkać na drodze. Pan Krzysztof podśmiewywał się wiedząc, co mnie czeka. Gdy tylko zadawałam jej pytanie, mój mistrz odpowiadał:

– Jedź Ana, jedź.

A ten szyderczy uśmieszek nie schodził mu z twarzy. Wiedziałam, że coś się szykuje. Dojechaliśmy do skrzyżowania. Miałam czerwone światło, więc zwolniłam, ale właśnie zapaliła się zielona boczna strzałka, więc pan Krzysztof poinstruował mnie:

– Ana, jedź.

– Przecież mam czerwone, więc nie mogę.

– Masz boczną zieloną, więc skręcamy.

– Jak to skręcamy?

Spojrzałam, a przede mną stroma górka! Boże mój,

pomóż. Serce mi się chyba zatrzymało, zrobiło mi się gorąco, poty mnie oblały, a oczy prawie wyszły mi na wierzch. I zaraz krzyknęłam:

– Boziuuu...Nie!

Spojrzałam przerażonym wzrokiem na pana Krzysztofa, a on do mnie:

– Ana, jedź, nie bój się, jakby co, jestem z boku.

Po chwili dodał:

– No dawaj, wrzuć jedynekę i powoli puszczaj sprzęgło.

Poczułam, jak nogi zamieniają mi się w kołki. Powoli puszczam sprzęgło, samochód toczy się pod górę, dodaję gazu, a silnik zaczyna ryczeć. Pan Krzysztof uspokajał mnie:

– Pomału, nie tak dużo gazu. Widzisz, strach ma duże oczy, nie ciśnij tak.

Ja chyba wtedy zeszytniałam i odpowiedziałam:

– Nie czuję pedału, tak mi nogi zeszytniały.

Na co on:

– Zatrzymaj się teraz.

Spojrzałam na niego paraliżującym wzrokiem. Mówię:

– Co? Proszę. Nie!

– Ana stój!

Dziewczyna wysiada, a ja do niej:

– Szybko, wysiadaj!

i położyłam się na kierownicę. Pan Krzysztof do mnie:

– Uspokój się! Co ty robisz?

– Muszę przełożyć ciężar na przednie koła!

Pan Krzysztof ryknął śmiechem. Zaczęłam krzyczeć na niego:

– Niech pan się uspokoi, niech pan przestanie się ze mnie śmiać, to nie jest wcale śmieszne!

Jezu, jak ja teraz miałam ruszyć? Gdy ona wychodziła, to tak mocno naciskałam pedał hamulca, że mi noga zeszywniała. Ruszyłam z rykiem silnika, ale ruszyłam! Gdy już stanęliśmy na równej powierzchni, wysiadłam z samochodu. Cała się trzęsłam. Musiałam się uspokoić, a pan Krzysztof siedział i mówił głośno:

– I co, pokonałaś strach, dobrze było? Nic się przecież nie stało.

Minęło kilka minut. Przemyślałam to i przyznałam sama, że faktycznie nic się nie stało, ale lepiej nie kusić losu! Gdy się uspokoiłam, nawet byłam z siebie dumna, ale nie zdobyłam się na uśmiech. Powiedziałam sobie, że da się to zrobić i nic złego się nie stanie, ale i tak będę unikać takich podjazdów.

Nadszedł dzień egzaminu. Najpierw była część teoretyczna, którą zaliczyłam bezbłędnie. Kolejna część egzaminu to parking i omówienie pojazdu, czyli co jest pod maską, oświetlenie itd. To też zaliczyłam. Potem było parkowanie przodem i tyłem – i tu pojawił się problem, ponieważ przede mną egzamin zdawał bardzo wysoki mężczyzna, który dopasował sobie siedzenie tak, by jemu było wygodnie. Nie miałam problemu z regulacją fotela w przód czy w tył, ale nie potrafiłam go unieść, a był opuszczony całkowicie. Nie mogłam znaleźć dźwigni do podnoszenia fotela. Pojechałam

w przód, zaparkowałam elegancko, ale jak miałam wykonać parkowanie tyłem nie widząc niczego oprócz nieba przez tylną szybę? Mogłam co prawda użyć lusterek bocznych, ale jak miałabym wyjechać na miasto? Nie podjęłam się jazdy, bo nie chciałam być zagrożeniem dla siebie i innych i choć próbowałam, to nie widziałam słupka i cofając przewróciłam go. Poza tym nie czułam się pewnie za kółkiem, więc może to i lepiej, że nie zaliczyłam. Pan egzaminator do mnie powiedział z miną szydercy:

– Ojej, widzi pani, co zrobiła? Wjechała na słupek.

– Tak, wiem, nie zdałam, więc do zobaczenia następnym razem.

I poszłam. Było mi przykro i byłam bardzo wkurzona na siebie, bo jak mogłam nie wiedzieć czegoś tak prostego? Poprosiłam o wyznaczenie nowego terminu egzaminu. Załapałam się na kolejny tydzień.

Po nieudanym egzaminie pojechałam do pana Krzysztofa i opowiedziałam, gdzie zrobiłam błąd. W żartobliwym tonie sprzeczałam się z nim, że mi tego nie pokazał. Mówiłam też, kiedy mam kolejne podejście. Podałam dokładną godzinę egzaminu i Sebastian – syn szefa – zapisał termin i obiecał, że pojawi się i sprawdzi, jak sobie radzę na mieście.

Nadszedł dzień powtórnego egzaminu. Zaliczyłam prezentację na piątkę, potem było omówienie pojazdu – co jest pod maską, oświetlenie, parkowanie w przód i w tył. Czułam się bardzo dobrze za kierownicą, dopasowałam sobie fotel, zanim ruszyłam. Ruszyliśmy na miejskie drogi. Jechałam zgodnie z przepisami. Kilka razy widziałam

samochód Sebastiana z kursantem za kierownicą. Dzięki temu byłam pewniejsza. Nie odczuwałam stresu. Rozmawiałam z egzaminatorem żartując trochę, po prostu na luzie. Bardziej czułam się tak, jakbym podwoziła gdzieś tego pana, niż jakbym była na egzaminie praktycznym, po którym otrzymam uprawnienia do kierowania pojazdem, a co ważniejsze – osiągnę swój kolejny cel życiowy.

Zatem jedziemy ulicą Szpitalną i egzaminator każe mi wjechać na rondo. Wykonuję polecenie i widzę przed sobą wzniesienie – wąską uliczkę jednokierunkową prowadzącą do głównej drogi. Przede mną jedzie inna L-ka – lekcja, nie egzamin. Wjeżdża na wzniesienie jako pierwsza. Pomyślałam, że zdąży wjechać na główną drogę przed zmianą światła na czerwone. A jednak nie... musiała się zatrzymać i to jeszcze na wzniesieniu, więc ja zatrzymałam się zaraz za nią. Mój samochód stał pod kątem czterdziestu pięciu stopni. Nie bałam się, bo wiedziałam, że nie mogę się bać, w przeciwnym razie nie zdam. L-ka stoi przede mną, a za mną ustawia się kilka samochodów. Zaczęło mi się robić gorąco, zacisnęłam dłonie na kierownicy. Poczułam, że noga, którą naciskam na pedał hamulca, zaczyna mi sztywnieć. Mija może pół minuty i w końcu zaciągam hamulec ręczny, by mój samochód nie stoczył się. Zastanawiam się, co by było, gdybym to ja zjechała na samochód stojący za mną. Po pierwsze nie zdałabym egzaminu, po drugie nie zdałabym z własnej winy. Czuję, że zaczynam panikować. Mam obawy, czy ruszę z ręcznego, ale widzę, że L-ka zaczyna się staczać prosto na mój samochód. Błyskawicznie oceniam odległość od

samochoodu za mną, zwalniam szybko hamulec ręczny trzymając cały czas stopą pedał hamulca. Po chwili pan egzaminator reaguje. Zaczyna krzyczeć:

– Ejj...Kurczę! Co on robi? Ślepy jest?! Co za durny instruktor!

Po czym sięga ręką na moją kierownicę i naciska klakson. L-ka przede mną rusza do przodu, wyjeżdża na główną drogę, bo zapaliło się światło zielone. Ruszam za nią, po czym egzaminator każe mi zjechać w ulicę boczną, gdzie następnie każe mi zaparkować, a później włączyć się do ruchu. Potem rondo i zjazd do ośrodka egzaminacyjnego, a na koniec parkowanie przed samym obiektem.

Mam się zatrzymać, wyłączyć silnik. Egzaminator mówi:

– No, było trochę niedociągnięć, ale zachowała się pani doskonale przy zagrożeniu, więc egzamin uważam za zaliczony.

Spojrzałam na niego i mówię:

– To znaczy, że zdałam?

– No chyba problemów z mową jeszcze nie mam? Tak, zdała pani.

Aaaa! Jaka ja byłam szczęśliwa, czułam taką radość, że chciałam krzyczeć! Mówię do egzaminatora:

– Naprawdę? Zdałam, ale gdyby nie te kamery, to bym pana tak wyciął!

– Nooo...no cieszymy się, ale każdy z osobna.

Chyba coś tam podpisałam i pożegnałam się, po czym wyskoczyłam z samochodu i zaczęłam skakać z radości.

Spojrzałam na ludzi czekających na egzamin, podniosłam rękę do góry i krzyknęłam:

– ZDAŁAM!

Gapie uśmiechnęli się i odkrzyknęli mi:

– Gratulacje!

– Jak traficie na ten samochód, z tym panem egzaminatorem, też zdacie, powodzenia!

Poszłam w kierunku przystanku, po czym wyciągnęłam telefon i zadzwoniłam do Sebastiana i pana Krzysia i powiedziałam:

– Zdałam!!!

Zadzwoniłam do mamy i taty. Byłam w euforii, podskakiwałam sobie, a w pewnym momencie spojrzałam na niebo i krzyknęłam:

– Kocham cię Ojczy, dziękuję za to, że mogłam to osiągnąć. Jesteś wielki.

Gdy wróciłam do domu, emocje już ze mnie uleciały. Opowiadałam o tym, jak samochód przede mną staczał się na mój i że zareagowałam szybciej od egzaminatora. Dodało mi to wiary w siebie, choć przeszło mi przez myśl, że niebiosy przyczyniły się do tego. Bałam się takiej sytuacji i nie umiałam jej sobie nawet wyobrazić, a tymczasem zdarzyła mi się w rzeczywistości, a ja przebrnęłam przez nią na chłodno i z rozsądkiem. Stałam się jeszcze bardziej pewna siebie, gdyż wiedziałam, że jestem zawsze pilnowana przez anioły. Może kiedyś będzie mnie stać na samochód i spełnią się moje marzenia. No, ale trzeba będzie dużo czasu by do tego

doszło.

Kolejny cel życiowy osiągnięty!

Zdobyłam szkołę średnią własnymi siłami, ale zdobycie prawa jazdy to już moje wyczynowe osiągnięcie. Rozmyślałam, co dalej. Chciałam bardzo, by zrealizowały się moje wszystkie wymarzone cele życiowe.

GRZEGORZ

Nadal jeździłam na imprezy i nadal utrzymywałam kontakty z Agnieszką, u której bywałam kilka razy w tygodniu, chociaż na godzinkę, ale po prostu musiałam do niej wpaść. Jest moją przyjaciółką i znamy wzajemnie nasze sekrety. Rozmawiałyśmy dużo ze sobą i organizowałyśmy u niej w mieszkaniu imprezy. Opowiadała mi o swoich kolegach. Któregoś dnia opowiedziała mi o koledze Grzegorz, który pracuje w Ośrodku Wsparcia. Ja miałam bardzo pozytywny stosunek do takich ludzi. Sama pochodzę z dużej rodziny i wiem, jak nieraz bywa ciężko. Nie potrafiłam wyobrazić sobie nawet rozłąki z rodzeństwem czy odebrania praw rodzicom – dla mnie to koszmar. Dlatego – nie znając człowieka – od razu nabrałam do niego szacunku. Obcy facet zastępuje rodzica obcym dzieciom. Powiedziałam Agnieszce, że chciałabym go poznać, ale nie od razu. U nas w wiosce miałam kolegę, o którym wiedziałam, że wraz z siostrą był w takim Ośrodku. Błażej – tak miał na imię – to

bardzo dobry chłopak, zawsze chętny do pomocy. Miał bardzo trudne dzieciństwo. Pewne małżeństwo z mojej wioski zaadoptowało ich. Błażej z siostrą mieli wtedy po jakieś dwa-trzy lata, bo pamiętam, jak chodzili z nami do przedszkola. Kilka tygodni po tym, jak Aga mi opowiadała o tym znajomym, spotkałam na mieście Błażeja, który był tam razem z kolegą. Nieznajomy przedstawił mi się całując moją dłoń. Miał na imię Grzegorz. Domyśliłam się, że to właśnie ten, którego chciałam poznać. Rozmawialiśmy tylko chwilę, spytałam, gdzie pracuje itd., bo chciałam by potwierdził moje przypuszczenia, że to właśnie o niego chodzi. Nie miałam akurat wtedy czasu, by nawiązać bliższą znajomość, ale ważne było, że już go poznałam. Wiedziałam też, z kim będę mogła się kontaktować, by poznać bliżej Grzegorza.

Czas płynął normalnie. Szukałam jakiejś pracy, by pomóc rodzicom finansowo, ale bałam się, że sobie nie poradzę. Miałam ukończoną szkołę średnią, zdobyłam prawo jazdy, lecz miałam orzeczony stopień niepełnosprawności, więc na starcie miałam ograniczone możliwości. Obawiałam się ataków związanych z moim stanem zdrowia, dlatego musiałabym mieć pracę w ruchu i w razie zasłabnięcia musiałabym przerwać pracę i odpocząć. Dowiedziałam się, że mając grupę niepełnosprawności mogę podjąć pracę w jakimś zakładzie pracy chronionej. Miałam przyjaciela Tomasza, z którym miałam bardzo dobry kontakt. Byliśmy wcześniej ze sobą, ale nie wyszło, dlatego rozstaliśmy się bez żalu, ale gdy jeszcze byliśmy razem, jeździłam do niego i poznałam jego rodziców. Jego mama pracowała w jednym z zakładów

pracy chronionej. Wiedziałam, że ona też ma stopień niepełnosprawności i pracowała w markecie w naszym mieście, dlatego skontaktowałam się z nią i poprosiłam, aby spytała się u siebie w firmie, czy mają wakat dla mnie. Chciałam od czegoś zacząć, a w międzyczasie zbierałam informacje. Nie mogłabym z marszu podjąć pracy, bo musiałabym rozważyć kilka kwestii, jak dojazdy do i z pracy, godziny pracy itd.

Dowidywałam się w wielu miejscach, co mi wolno w pracy, a co jest zabronione, i napotykałam się na różne informacje i sytuacje związane z tematyką ośrodków wsparcia dzieci, np. widywałam artykuły na ten temat w gazetach albo programy telewizyjne o losie takich dzieci. Nagle zaczęłam dostrzegać ten problem. Pamiętam nawet, że spojrzałam w niebo i pomyślałam:

– Czy ja tam komuś jestem potrzebna?

Krótko potem – widząc wszędzie te dzieci i ich problemy – powiedziałam do siebie:

– Już dobrze, Ojczy, zrozumiałam! Mam pomóc komuś z ośrodka wsparcia.

I pomyślałam, że może wyciągnę rękę do Grzegorza, by się z nim zaprzyjaźnić? Poprosiłam Błażeja o jego numer telefonu. Powiedziałam, że chciałabym z nim pogadać ot tak sobie. Błażej z zadowoleniem podał mi jego namiary. Nie wychodzę w takich sprawach przed szereg, ale zależało mi na tej znajomości, wobec tego napisałam smsa do Grzegorza, że chciałabym go bliżej poznać, a on mnie spławił! Napisał:

– Nie mam teraz czasu, może kiedyś.

Oż ty! No to odpuściłam sobie. Kilka dni później dostałam od niego wiadomość:

– Jeśli nadal masz ochotę na moje towarzystwo, to możemy umówić się na kawę.

Tym razem to ja nie miałam czasu, więc odpisałam:

– Przykro mi, ale dziś nie mogę, może kiedy indziej się umówimy. Pozdrawiam.

Potem była długa cisza, nadszedł listopad, jakieś ostatnie imprezy przed adwentem. Jak nigdy przedtem nie miałam żadnych planów. Nie miałam żadnego towarzysza ani partnera. Nie lubiłam się narzucać, gdy widziałam, że ktoś ma inne plany. Agnieszka chciała spędzić ten wieczór z mężem, bo wrócił akurat z pracy z Niemiec. Chcieli pobyć ze sobą, to zrozumiały. Zapowiadało się samotne leniuchowanie i wtedy dostałam wiadomość od Grzegorza:

– Nie chciałbym spędzić tego dnia sam, więc zapraszam do kawiarni.

Jeszcze nikt wcześniej tego nie zrobił. Nikt nie zaprosił mnie na kawę. Byłam zapraszana na dyskoteki i imprezy, ale żaden mężczyzna nie zaprosił mnie do kawiarni. Pomyślałam sobie, że będzie fajnie. To z pewnością lepsza opcja, niż samotność. Pojechałam ostatnim autobusem do miasta. Grzegorz czekał na mnie na przystanku z kwiatkiem w ręku, czym mnie kompletnie rozbroił. Zawstydzona powiedziałam:

– Nie musiałeś.

– To nic takiego, to taki mały gest.

Zaimponował mi. Poszliśmy na kawę do restauracji.

Rozmawiało nam się wspaniale. Rozmawialiśmy na wiele tematów, szczególnie o pracy. Ciekawiło mnie, jak on zdobył swoją, jak dzieciaki tam się czują. Czy mają teraz lepiej niż w rodzinnym domu, gdzie były problemy? Chciałam wiedzieć dużo o młodych wychowankach z placówki. Czy są odbierani siłą od rodziców biologicznych? Czy są rozdzieleni ze swoim rodzeństwem? Czy nie tęsknią? Jak sobie radzą ze swoją sytuacją? Chciałam wiedzieć wszystko. Właściwie nie wiem, dlaczego tak bardzo mnie to interesowało. Może intuicyjnie szukałam sposobu, jak im pomóc? Zgłodnieliśmy, więc poszliśmy coś zjeść. Nawet nie zauważyliśmy upływu czasu. Nagle zrobiła się trzecia w nocy, oboje byliśmy w szoku! Było tak późno, że już nie miałam jak się dostać do domu. Do pierwszego porannego autobusu miałam kilka godzin, więc Grzegorz zaproponował, byśmy poszli do niego wypić poranną kawę. Przekonał mnie i z góry uprzedził, że mieszka bardzo skromnie w wynajmowanym pokoju w budynku, gdzie były tylko pokoje do wynajęcia. Prosił mnie, bym się nie przeraziła. Ten budynek był w kształcie litery C. Grzegorz miał duży pokój, a obok niego, za ścianą mieszkał kolega Ryszard. Grzegorz nie miał nawet telewizora czy internetu.

Popijaliśmy kawę i rozmawialiśmy dalej. Okazało się, że jest ode mnie starszy o jedenaście lat. Przekomarzałam się z nim mówiąc, że moja kochana babcia Jasia, mama mojego taty, też była młodsza od dziadka o tyle lat. Świetnie czułam się w jego towarzystwie.

OŚRODEK WSPARCIA DLA DZIECI

Grzegorz mi imponował, więc spotykaliśmy się często, ale nie planowałam wspólnej przyszłości z nim. Przecież to magister pedagogiki ogólnej, starszy wychowawca. Byłam dumna z jego pracy, tego kim jest i co robił dla innych. Chciałam się z nim bliżej zaprzyjaźnić. Dowiedziałam się, że dziesięć lat temu opiekował się osobami niepełnosprawnymi. Spytałam go, dlaczego wybrał akurat ten zawód, a on wyjaśnił, że sam ma brata niepełnosprawnego w moim wieku i chciał pomagać takim osobom. Był przekonany, że nie trzeba do tego wiele, zanim nie trafił do placówki z osobami nieporadnymi fizycznie i umysłowo. Potem zdrowie mu się pogorszyło i przeciążył kręgosłup od dźwigania dorosłych pacjentów. Jedną osobą można się opiekować, ale jeśli pacjentów sparaliżowanych przybywa w placówce, to wtedy już trzeba mieć naprawdę dużo siły, aby im wszystkim pomóc w funkcjonowaniu.

Nadarzyła się okazja, aby zostać opiekunem dzieci w wieku od ośmiu do osiemnastu lat w Ośrodku Wsparcia. Skorzystał z niej i przeniósł się tam, bo miał nadzieję fizycznie odpocząć i nabrać sił. Gdy mnie poznał, miał już za sobą trzyletni staż pracy w tym ośrodku. Był wzorowym wychowawcą.

Kiedyś zapytałam go, czy mogłabym odwiedzić go w pracy. Na początku nie chciał. Mówił, że musi zapytać panią dyrektor o zgodę. Był zasadniczy. Zauważyłam, że nie chciał łączyć pracy z życiem prywatnym. Bardzo chciałam tam być,

więc nalegałam. Myślałam sobie: jestem młoda, mam dużo znajomych, więc może wychowankowie chcieliby mieć kontakt z taką osobą, jak ja. W końcu Grzegorz uległ i pozwolił mi odwiedzić go w czasie pracy. Uprzedził wszystkich, że przyjdzie jego koleżanka i mają nie narobić mu wstydu. Dowiedziałam się później od dziewczynek, że bardzo się tym przejął. Gdy przyszłam, czekał na mnie przed budynkiem, był zdenerwowany. Zabrał mnie do pokoju wychowawców, gdzie po chwili zjawili się wychowankowie, ale nie wszyscy, tylko ci najbardziej ciekawscy. Przedstawił mnie mówiąc głośno:

– Słuchajcie, to jest moja koleżanka Ana. Proszę się grzecznie zachowywać.

Roześmialiśmy się wspólnie, a następnie każdy z osobna się przedstawił. Potem Grzegorz oprowadził mnie po placówce. Dziewczynki pokazały mi swoje pokoje objaśniając, do której należy dany kąt w pokoju, które łóżko jest czyje. Rozmawiałyśmy i śmiałyśmy się, było bardzo wesoło. Dziewczyny przedstawiły mi każdego z wychowanków. Wprowadzając mnie do pokoi chłopców objaśniały, co się dzieje u nich w placówce i jakie panują tu zasady. Opowiadały o wszystkim, czym mogły się pochwalić, zwracały się do mnie *Pani Ano*, choć miałam zaledwie 23 lata i byłam niewiele starsza od nich. Traktowały mnie z szacunkiem i zachowywały się wzorowo. Czułam, że się polubiłyśmy, a jednocześnie fascynowało mnie to, jak dzieciaki wypowiadały się na temat Grzegorza. Trochę to wyglądało, jakby chciały nas wyswatać. Dobry wychowawca, dobry

człowiek – zachwalały. Kilkukrotnie powtarzałam, że to tylko mój kolega. Bawiło mnie to, ale wiedziałam, że mają dobre intencje. Dzieciaki chcą, by Grzegorz był szczęśliwy i dlatego niby w żartach łączyły nas w parę. Okazało się, że jestem pierwszą koleżanką, jaką Grzegorz kiedykolwiek zaprosił do placówki – stąd jego zdenerwowanie. Było widać, że wychowankowie są za nim i uwielbiają go. W końcu to normalne, bo był dla nich jak ojciec. Zauważyłam, że niektórzy z nich mówili do Grzeška *Ojciec*. To słowo było dla nich ważne, a jemu było miło. Byłam pełna podziwu dla jego podejścia do pracy. Jako, że Grzegorz zaprosił mnie do placówki na swoją poranną zmianę, poznałam również jego zmienniczkę Dorotkę. Dzieciaki żartowały, że nie mógł skupić się przy robieniu obiadu, bo tak właśnie było w placówce, że osoba na pierwszej zmianie gotowała dzieciom obiad. Miało to być namiastką prawdziwego domu. Słyszałam historię, że naprawdę dobry wychowawca musiał odejść, bo nie umiał gotować, a taki był wymóg Ośrodka.

Lubiłam tam przychodzić. Dzieci od razu mnie polubiły, a mi na tym zależało, bo chciałam być dla nich kimś nowym, ale przyjaznym. Starłam się, by nabrali do mnie zaufania, by wiedzieli, że na mnie też mogą polegać. Czułam się lubiana i potrzebna. Były tam dziewczęta, które traktowały mnie jak dobrą kumpelę, ale jednak z lekką rezerwą. Była też dwójka dzieci, które nie podeszły do mnie od razu, tylko przyglądały mi się z boku. Liczyłam się z tym, bo przecież były to dzieci skrzywdzone. Były nieufne i zachowywały dystans wobec obcych. Musiałam zdobywać ich zaufanie

stopniowo i zasłużyć na nie. Na tej dwójce najbardziej mi zależało, na nich chciałam się skupić. Czułam, że one potrzebują najwięcej zainteresowania, poświęcenia im chwili, że to pomoże im się otworzyć. Był to dziewięcioletni chłopiec Szymek i trzynastoletnia Roksana, która trzymała się z dala, lecz miała mnie zawsze w zasięgu wzroku. Kiedy bywałam w placówce, przyglądała mi się, a potem, gdy dziewczynki zabierały mnie do pokoju, też szła z nami, ale rzadko się odzywała. Nie reagowałam, nie zaczepiałam, po prostu dałam jej czas. Czułam, że ona najbardziej potrzebuje wsparcia. Jest nieufna, ale nie wiadomo, co się działo w jej rodzinnym domu. Może, by zacząć rozmowę z nowo poznaną osobą, musi mieć pewność, że to dobry człowiek? Nie naciskałam, po prostu czekałam. Niektóre dzieciaki były bardzo wygadane, a inne cichutkie i wycofane. Te pierwsze mówiły otwarcie, co myślą, zwierzały się – przeważnie dziewczęta – lub prosiły o radę. Myślałam, że gdy już Roksana pozna mnie bliżej, to sama przyjdzie. Udawałam, że jest mi obojętna, ale traktowałam ją normalnie.

Grzegorz organizował wyjazdy swoim wychowankom. Gdy chcieli jechać latem na kąpielisko, to mówili o tym pomysle Grzegorzowi, a on uzgadniał to z panią dyrektorką i przedstawiał jej plan wycieczki. Gdy uzyskał zgodę, jechali. Kilka razy nawet zabrał mnie ze sobą. Świetnie się bawiliśmy. Czasem w ośrodku były organizowane spotkania ze znanymi osobami. Diana – znana wokalistka – przyjechała do ośrodka specjalnie dla dzieci. Był z nią wywiad: tylko ona i wychowankowie. Obyło się bez uciążliwego rozgłosu. Nikt

z zewnątrz nie wiedział chyba o tym. Grzegorz spytał panią dyrektor, czy ja i moja siostra możemy wziąć w tym udział, na co ona wyraziła zgodę. Okropnie się cieszyliśmy, bo Wiewióra bardzo chciała być tam z nami. Do placówki przyjechali też uczestnicy programu, który aktualnie był emitowany w telewizji. Byli oni bardzo popularni wśród młodzieży. Dzięki Grzegorzowi pozwolono mi tam być z siostrą. Poszliśmy potem z nimi do klubu na mieście. Oni pojechali tam specjalnym wozem, a my wraz z wychowankami dojechaliśmy komunikacją miejską. Bawiliśmy się wszyscy razem i było naprawdę wspaniale.

Kończyłam wtedy szkołę, a wolny czas poświęcałam dzieciakom z placówki. Podobało mi się to i byłam dumna, że robię coś dobrego, jestem blisko i przeżywam z nimi te dobre i te gorsze chwile. Czasem robiłam z Grześkiem zakupy do placówki. Raz na jakiś czas wychowawca dostawał przydział pieniędzy, by zakupić wszystko, co jest potrzebne do codziennego życia. On robił zakupy, po czym rozliczał się z tego okazując rachunki i faktury. Wszyscy wychowankowie robili listy zapotrzebowania, a on je realizował. Czułam się doceniona, że prosił mnie o pomoc. Przy zakupach było dużo śmiechu, bo Grzesiek kompletnie nie miał pojęcia o kosmetykach dla dziewcząt, więc doradzałam mu. Dla niego to była praca, a dla mnie przyjemność. Oczywiście wspólnie spędzany czas zbliżył nas do siebie. Zdarzały nam się jakieś wypadki do lokalu. Przy nim czułam się naprawdę doceniona, on słuchał mnie uważnie. Czasem doradzałam mu i pomagałam, jak tylko potrafiłam. Był ode mnie dużo

starszy, więc bardziej znał życie, a mimo to brał pod uwagę moją opinię. Czułam, że jestem dla niego ważna.

Szukałam pracy. Wiedziałam, że gdyby mi się udało znaleźć pracę w mieście, musiałabym dojeżdżać, a bilet miesięczny był drogi. Zwierzyłam się z tych rozterek Grzegorzowi, a on od razu wyszedł z propozycją, bym zatrzymała się u niego, na jakiś czas. Stwierdził, że przecież i tak rzadko bywa w domu, więc ustaliliśmy wspólnie, że zatrzymam się na razie u niego, znajdę pracę i zobaczymy, jak to będzie. Jeśli nie będzie nam pasowało, poszukam innego lokum. On musiał załatwiać po pracy jeszcze inne sprawy związane z wychowankami, np. jeździć po lekarzach z dziećmi czy chodzić na wywiadówki. Każdy z wychowawców miał kilkoro dzieci indywidualnie pod opieką i ponosił za nie odpowiedzialność. Ustaliliśmy, że w zamian za dach nad głową będę mu sprzątać i czasem gotować obiady. Odpowiadało mu to. Moja kochana mama wiedziała o Grzegorzu i o mojej potrzebie pójścia do pracy w mieście. Rozmawialiśmy o tym, że gdy znajdę jakąś odpowiednią posadę, to chcę się zatrzymać u niego. Ucieszyła się, że chcę podjąć pracę. W mieście jest więcej możliwości i mam starszego towarzysza, który będzie mnie wspierał, ale jeśli mam u niego zamieszkać, to musi go poznać, nie ma innej możliwości. Wobec takich argumentów musiał przyjechać do nas na obiad. Pamiętam jak przywiózł mamie kwiaty, a tacie wódkę. To dla mnie dość staroświeckie zachowanie, ale na rodzicach zrobiło to wrażenie. Pytałam go:

– Po co to?

Powiedział, że będzie się lepiej czuł.

Tacie bardzo się spodobał, znaleźli wspólny temat: druga wojna światowa. Grzegorz jest pasjonatem wojen dwudziestego wieku. Ma mnóstwo czasopism, które zbiera od dzieciństwa. Posiada najstarszą gazetę – kiedyś tygodnik – Żołnierz Polski. W wolnym czasie sklejał modele czołgów. Dla mnie to małe puzzle, nie interesowało mnie to i nadal mnie nie interesuje, ale doceniam jego pasję.

W trakcie obiadu mama wzięła mnie na bok i spytała:

– Ano, czy naprawdę czujesz coś do niego, skoro chcesz z nim zamieszkać? Grzegorz jest starszy od ciebie o jedenaście lat, to dużo. Jesteś tego pewna?

Powiedziałam:

– Mamuś, on jest moim przyjacielem, dobrze mi się z nim spędza czas, umie rozmawiać. A o to chyba chodzi? Nic nie planujemy, po prostu jest, jak jest, a jest dobrze. Znajdę pracę, jakoś to będzie.

Tymi słowami uspokoiłam moją kochaną rodzicielkę.

W gazecie znalazłam informację na temat pracy, do której poszukiwali pracowników ze stopniem niepełnosprawności, a ja posiadałam drugą grupę. Wiedziałam już, że mogę podjąć pracę tylko w zakładzie pracy chronionej. Naiwna myślałam, że takie firmy muszą dbać o pracowników. Pewnie mają dofinansowanie i bardziej im zależy na takich schorowanych ludziach, którzy mimo kłopotów zdrowotnych jednak pracują.

Podjęłam pracę w dużym markecie w Gorzowie. Market

miał umowę z firmą sprzątającą obiekt i ta firma miała status zakładu pracy chronionej. Pracowałam tam jako *specjalista od utrzymania czystości*. Poznałam tam wspaniałych ludzi, tworzyliśmy nawet zgraną paczkę: Renatka, Piotr, ja i wujek Antek. Zawsze traktuję swoją pracę odpowiedzialnie, ale z humorem. Jestem małą pedantką. Skoro sprząta się wszędzie, szczególnie w domu, to dlaczego nie mieć z tego dodatkowo pieniędzy? Była to praca trzymianowa. Obsada nocna była obstawiona na stałe, więc ja ani razu nie byłam na niej. Na nocce pracowała mama mojego byłego chłopaka Tomasza – pani Ania. Taki zbieg okoliczności. Na jednej zmianie były zawsze dwie kobiety. Przez jeden tydzień jedna była na sklepie, więc miała dodatkowo magazyn i chłodnię, a także miała przy sobie telefon, na który dzwoniono, gdy pilnie trzeba było coś posprzątać. Druga osoba miała pasaż, biura, szatnię, stołówkę, toalety publiczne i cały ciąg korytarza przy wejściu i wyjściu z marketu. Było co robić przez te siedem godzin, bo osoby niepełnosprawne, które podjęły pracę na umowę, a mają stopień umiarkowany, czyli tzw. *dwójkę*, mają cały etat, a wykonują pracę przez siedem godzin. Pracodawcy zatrudniającemu osobę niepełnosprawną przysługuje miesięczne dofinansowanie do jej wynagrodzenia z Państwowego Funduszu Rehabilitacji Osób Niepełnosprawnych (PFRON). Dlatego takie osoby, jak ja, mają łatwiej, by zdobyć pracę, ale to jest ciężka fizyczna praca. Nieraz wracałam do domu zmęczona i wszystko mnie bolało. Bywało nawet tak, że gdy się położyłam na łóżko, to od razu zasypiałam. Budziłam się po jakimś czasie i dopiero

mając więcej sił ogarniałam wszystko.

WYCIECZKA

Pamiętam, jak Grzegorz uprzedzał mnie wcześniej, że będzie miał tygodniowy wyjazd z dwiema wychowawczyniami i wychowankami do ośrodka wypoczynkowego nad jeziorem. Wiedziałam, że to jego praca i musi tam jechać, było mi jednak trochę przykro, bo będę wracała z pracy do pustego pokoju i nie będę miała z kim zamienić nawet słowa. No ale trudno, takie życie. Kilka dni przed wyjazdem Grzesiek powiedział, że jedna z wychowawczyń zachorowała i jest mu przykro, bo część dzieci nie pojedzie i będą musiały zostać z opiekunką w placówce. Regulamin mówi, że na jednego wychowawcę przysługuje tylko pięcioro dzieci. Choćby chcieli, nie mogą wziąć więcej, bo w razie kontroli środek wsparcia poniesie karę i nie będą mogli już finansować więcej wyjazdów. Było to bardzo przykre, że z powodu nagłej choroby opiekuna dzieciaki nie pojedą na taki ekstra wypad. Prosiłam go, by zapytał panią dyrektor, czy mogłabym zastąpić opiekunkę i jechać z nimi. Pomyślałam: mam już wypracowany wolny dzień i wezmę L4, jakoś załatwię sobie wolne. Pojechałyby wszystkie dzieciaki i nikt nie musiałby zostawać w placówce. Grzegorz porozmawiał z panią dyrektor i uzyskał jej zgodę na mój udział. Na moją korzyść przemawiał fakt, że dzieciaki mnie znały i lubiły. Udało się

i pojechaliśmy w komplecie, z czego wychowankowie bardzo się ucieszyli.

Pierwszego dnia zakwaterowaliśmy się w domkach. Mieszkałam razem z Grzegorzem i małym Olkiem. Aleksander to dziesięcioletek, niepełnosprawny chłopiec na wózku inwalidzkim. Jest całkiem normalny psychicznie, tyle że nie ma sprawnych nóg. Gdy był mały, jego mama nie nauczyła go chodzić, bo nie miała na to czasu. Alkohol był ważniejszy niż własne dziecko. Z tego, co słyszałam, gdy jego matka urządzała libację domową, to potrafiła wystawić go na balkon i zamykała drzwi, by się uspokoił i wypłakał. Sąsiedzi nieraz wzywali policję. W końcu matka została pozbawiona praw rodzicielskich, a on trafił do ośrodka wsparcia.

W ośrodku wypoczynkowym było chyba z siedem domków. Codziennie organizowałam poranną kawusię i herbatkę na tarasie przed naszym domkiem. Mógł do nas przyjść każdy, kto tylko miał ochotę. Na tarasie stał duży stół, na którym stawiałam ciasteczka i owoce. Jako jedyna miałam radio, więc gdy wstałam rano, to włączałam je głośno i szykowałam stół, a wtedy przybiegali do mnie wychowankowie – kilkoro dziewcząt i chłopców. Rozmawialiśmy i śmialiśmy się. W radio leciały piosenki i czasem nawet śpiewaliśmy. Było cudownie. Robiłam zdjęcia telefonem. Są one niewyraźne, ale widać na nich kilka domków. Najważniejsze, że uwieczniłam to miejsce. Miłe wspomnienia zawsze dobrze wpływają na człowieka, a te na pewno do nich należą. Liczy się to, że dzieciaki z domu dziecka mogły spędzić razem czas na łonie

natury, wśród zieleni. Takie wyjazdy dobrze im robią i są bardzo potrzebne. Jeden z wychowanków – Aleks – zawsze wesoły i pełen energii chłopiec, ciągle grypsował i robił kawały swoim siostram i koleżankom. To była trójka rodzeństwa. Dziewczęta przychodziły skarżyć się na niego, a on dostawał ode mnie reprimendy typu *Tak nie wolno, tak się nie robi*, oczywiście jeżeli zasłużył, bo nie zawsze dziewczynki mówiły prawdę. By być pewną prawdziwości zarzutów, zawsze starałam się wyjaśniać sprawę do końca. Trwało wtedy moje dochodzenie w sprawie zgłaszanego incydentu z udziałem wskazanych świadków i nigdy nie stawałam po stronie bardziej lubianej osoby. Miało być sprawiedliwie i było.





Po śniadanku odpoczywaliśmy, a następnie wymyślaliśmy jakąś zabawę – spacer lub granie w siatkówkę. Niedaleko naszych domków znaleźliśmy kąpielisko i wybraliśmy się tam kilka razy. Po dwunastej chodziliśmy do miasteczka na obiad. Bywało tak, że gdy wracaliśmy z posiłku, to zanim dotarliśmy do domków, znowu byliśmy głodni. Chadzaliśmy wąską leśną dróżką – wszyscy oprócz Grzegorza, który musiał chodzić okrężną drogą, bo wózek inwalidzki Olka nie przejechałby przez tę ścieżkę. Dlatego Grzegorz wychodził z Olkiem pół godziny wcześniej niż my, co wystarczało, byśmy spotkali się w jednym czasie przy wjeździe do miasteczka.

Śniadania i kolacje robiliśmy sobie sami, każdy w swoim domku. Organizowaliśmy ogniska lub grilla. Było naprawdę wspaniale. Po takim maratonie siedzieliśmy w domkach nieraz po kilka godzin. Któregoś popołudnia przyszła do naszego domku Roksana. To ona mnie obserwowała, odkąd pojawiłam się w placówce. Usiadła obok Olka i zaczęła z nim

rozmawiać i żartować. Ja zajęłam się sprzątnięciem domku. Nie chciałam jej spłoszyć, więc zachowywałam się neutralnie. Na stoliku przed Roksaną leżał mój telefon. Spytała, czy może zobaczyć, jakie mam piosenki, a ja odpowiedziałam:

– Pewnie, zobacz sobie.

Rozmawiała ze mną o tym, co się dzieje tu na obozie. Pośmiała się z Olkiem. Narzuciłam temat rozmowy właśnie o Olku. Prosiłam ją, by pomogła mi zmotywować go do ćwiczeń, a ona zaczęła krzyczeć na niego. Nie był to dobry sposób, więc zaraz zmieniłam temat, ale ona wstała i wyszła, jakby się zezłościła. Spojrzałam na chłopca i zapytałam:

– A jej co się stało?

Odpowiedział mi tylko:

– Ona taka już jest, pani Ano. Niech pani się nią nie przejmuje.

Nie wiem, co źle zrobiłam. Zawsze motywowałam Olka do większej dbałości o siebie. Pytałam go, dlaczego nie ma w sobie chęci osiągnięcia sprawności, by chodzić czy wyraźniej mówić? Słyszałam tylko, że nie chce, bo tak mu jest lepiej. Wyczułam, że poddał się, a miał zaledwie dziesięć lat. Nie wiem, czy teraz robi coś ze swoim życiem, ponieważ nie mam z nim kontaktu. Już minęło sześć lat od momentu, gdy widziałam go po raz ostatni.

Nadszedł wieczór, więc Grzegorz musiał pomóc Olkowi w wieczornej toalecie. Dźwigał go do ciasnej łazienki, żeby go wykąpać. W domkach było strasznie ciasno, ale Olek tak bardzo chciał być z nami na obozie, więc Grzegorz zapewnił,

że da sobie radę. Nie chcieliśmy go zostawiać w placówce, bo choć to tylko kilka dni, to wyjazd sprawił mu dużo radości.

Położyliśmy się do łóżek. Ja spałam z Grzegorzem w jednym łóżku, a Aleksander – na drugim. Wybiła 1:00 w nocy, gdy nagle mój telefon zaczął dzwonić, więc szybko go wyciszyłam. Po chwili trzykrotnie zadzwonił numer zastrzeżony, ale gdy chwyciłam telefon, to przestał dzwonić. Następnego dnia powtórzyły się połączenia z numeru zastrzeżonego, ale o innej godzinie. Kolejnego dnia starałam się odebrać połączenie z zastrzeżonego numeru. Leżałam w łóżku, wzięłam telefon do ręki i czekałam. Późnym wieczorem znów się rozdzwonił, więc szybko odebrałam:

– Słucham!

a tam cichy głos w słuchawce zaskoczonyj osoby:

– To ja, pani Aniu, Roksana...

– Roksana? A skąd ty masz mój numer? – zapytałam ze zdziwieniem.

– Jak przesyłałam sobie piosenki z pani telefonu, to i numer przesłałam.

– Roksana, ale tak się nie robi. Trzeba było mnie zapytać, tak? Dobra, jutro pogadamy, dobranoc – zdenerwowałam się i ucięłam rozmowę.

Rozłączyłam się. Nie podobało mi się takie zachowanie. Wszystkiemu przysłuchiwał się Grzegorz i postanowił nazajutrz porozmawiać z nią. Prosiłam, by sobie odpuścił i że ja to zrobię. Jednak Roksana unikała mnie. Powiedziała dziewczynom z jej w domku, by przekazały panu

Grzegorzowi, że źle się czuje i nie pójdzie na obiad, a także poprosiła koleżanki, by wzięły jej jedzenie na wynos. Od razu zrozumiałam, że jest jej głupio z tego powodu, więc zmyśliła złe samopoczucie. Wspomniałam o tym Grzegorzowi i przyznał mi rację.

Przez resztę pobytu Roksana unikała mnie, ale w drodze do domu zażądałam, by przy mnie wykasowała mój numer ze swojego telefonu. Zrobiła to i przeprosiła. Po powrocie miałam jeszcze przez jakiś czas połączenia z numeru zastrzeżonego o późnej porze: krótkie dwa sygnały. Wiedziałam, że to Roksi, ale nie trwało to długo, więc zostawiłam ten temat. Może mnie nie lubiła? Miała takie prawo. Po prostu unikała mnie, gdy przychodziłam do placówki. Inne dziewczęta przybiegały, a ona nie, ale już więcej nie naciskałam na to, by się do niej zbliżyć.

Potem życie wróciło do normy. Czasem denerwowało mnie to, że wychowankowie wykorzystywali Grzegorza. Mówiłam mu, że musi być bardziej stanowczy. Na przykład, kupiłam mu kartę do telefonu, on zasilił ją kwotą trzydziestu złotych i za chwilę środki zniknęły. Któregoś dnia potrzebowałam pilnie zadzwonić akurat świeżo po doładowaniu, a tu niespodzianka: na koncie pozostało tylko dziewięć złotych. Spytałam, dokąd dzwonił, a on odpowiedział, że w ogóle nie dzwonił i był zaskoczony pytaniem. Zobaczyłam w telefonie, że w trakcie jego porannej zmiany zostały wykonane połączenia na kwotę dwudziestu jeden złotych, i powiedziałam o tym Grzegorzowi, a on domyślił się, co się stało. Oznajmił, że któryś z wychowanków spytał go, czy

może z jego telefonu napisać smsa. No i masz! Też się zdenerwował, bo czasem było u nas krucho z kasą. Stwierdził, że porozmawia z tym, który nadużył jego zaufania.

Bardzo starał się nie łączyć pracy z domem, ale w zasadzie było to niemożliwe, bo zawsze musiał załatwić coś po pracy. Koledzy często do niego dzwonili i zapraszali na wspólne wypadki, ale w weekendy czy święta Grzegorz miał dyżury w placówce, choć kilka razy udało mu się gdzieś wyjść.

Byliśmy dla siebie dobrymi przyjaciółmi i rozumieliśmy się bez słów. Przy nim czułam się bezpiecznie. Wiedziałam, że mnie uwielbia, bo często mi to mówił. Miał swoje wady, których nie lubiłam, ale kto ich nie ma?

WESELE ROMKA

Pewnego wieczoru Grzegorz zapytał mnie, czy mogłabym towarzyszyć mu na ślubie jego przyjaciela. To był Sylwester 2004. Nie miałam żadnych planów, więc się zgodziłam i powiedziałam mu tylko, że nie mam w czym iść, ale pożyczę coś od koleżanek. Nie zgodził się na to, bo skoro mnie zaprasza, to kupi mi kreację. Wtedy z kolei ja nie chciałam się na to zgodzić, ale nalegał, więc umówiliśmy się na zakupy. Tłumaczyłam, że możemy pochodzić i popatrzeć, a na pewno trafi się coś taniego. Było dużo śmiechu i zabawy przy wyborze kreacji. Zwiedziliśmy sporo sklepów, ale tylko

w jednym przymierzyłam kilka sukienek. On wybierał i doradzał, a ja czułam się jak księżniczka. Ubrałam czerwoną, długą przylegającą suknię z brokatem i z dużym rozcięciem na nodze, na szerokich ramiączkach i z dekoltem. Gdy wyszłam z przymierzalni, Grzegorz od razu krzyknął:

– Bierzemy ją!

Kosztowała dwieście złotych, więc miałam opory z zakupem, ale Grzegorz powiedział:

– Ja cię zapraszam i chcę, byś wyglądała najpiękniej zaraz po panie młodej i nie masz nic do gadania, kropka! Stać mnie!

– No ok, jak chcesz, to ty będziesz płacić. A tak poza tym, to nawet nie znam Pana Młodego.

– No to poznasz. Miałem Ci właśnie powiedzieć, że Romek będzie u nas nocował przed ślubem, tę jedną noc. To taka tradycja, że dzień przed ślubem Pan Młody nie może widzieć Panny Młodej i oni chcą dochować tradycji.

I tak też się stało. Poznałam Romka dzień przed jego ślubem. To cudowny mężczyzna i wspaniały przyjaciel. Zaplanowaliśmy wieczór we trójkę, ale Grzegorz musiał pojechać do placówki, bo akurat któraś z wychowawczyń źle się poczuła i musiał ją zastąpić. Poszedł, by nie ściągnęli go w dzień ślubu, więc zostałam sama z Romkiem. Romek opowiadał mi o swojej przyszłej żonie, o wspólnych przygodach z Grzegorzem i o wspólnych imprezach. Gdy zapadł wieczór, Romek zaczął panikować:

– Ana, czy ja dobrze robię? Kaśka jest ze mną w ciąży,

będę ją wspierać, tak! Ale czy to na pewno jest dobre wyjście?

– Nie znam jej, więc nie mogę stwierdzić czy będziesz z nią szczęśliwy, Romku – odpowiedziałam.

Wyczułam, że panika bierze górę, więc obróciłam to w żart i śmialiśmy się z tego. Nazajutrz wstaliśmy wcześniej, Romek chodził niespokojnie jak lew w klatce, więc wyprasowałam mu koszulę, zawiązałam krawat i uspokajałam.

Wesele było naprawdę udane. Grzegorz mnie zaskoczył, gdy kilka minut po północy podszedł do orkiestry i poprosił o piosenkę. Wziął mikrofon do ręki i powiedział:

– Ja wiem, że dziś już pierwszy stycznia dwa tysiące pięć, po czym wskazał na mnie i dodał:

– Chciałem jej życzyć wszystkiego najlepszego, bo to kochana dziewczyna jest, więc życzę jej wspaniałego roku i żeby chciała ze mną być.

Wszyscy bili brawo, gratulowali nam i życzyli nam szczęścia. To było miłe. Byłam naprawdę w szoku, bo nikt wcześniej nie zrobił mi takiej niespodzianki. Bardzo się ucieszyłam i czułam, że jestem dla niego ważna. Na weselu zaprzyjaźniliśmy się z inną parą – Magdą i Maćkiem. Całe wesele i Sylwestra obchodziliśmy właśnie z nimi. Reszta gości, których nie znałam, bawiła się osobno. Po weselu nasza czwórka postanowiła przenieść się do pokoju Grzegorza. Wesele skończyło się około piątej rano, następnie poszliśmy na pieszo do naszego mieszkania. Ja i Magda szliśmy boso, aby ulżyć zmęczonym nogom, bo już nie

miałyśmy sił. Szliśmy razem przez miasto około dwa kilometry. Grzegorz ustalił z Maćkiem, że zabierzemy się z nimi do ich wioski i że przyjedzie po nas siostra Maćka, a poczekamy na nią wspólnie u nas w mieszkaniu. Siostra Maćka miała przyjechać po nas o ósmej rano. W pokoju jeszcze wypiliśmy alkohol i zagryzaliśmy zakąskami z wesela, a potem my – dziewczyny – padłyśmy na łóżko ze zmęczenia. Zanim zasnęłam, usłyszałam, jak Grzegorz mówi do Maćka:

– Ana to cudowna kobieta, anioł. Nie znam nikogo takiego jak ona i zrobię wszystko, by nie zniknęła.

Znowu mnie zaskoczył. Nie wiem, co dalej mówił, bo zasnęłam.

Chłopaki obudzili mnie, gdy siostra Maćka przyjechała.

Potem poznałam rodziców Grzegorza, precudowni ludzie. Szczególnie pan Czesiu, uwielbiałam go. Wesoły, zawsze żartuje. Bardzo lubił pomagać ludziom. Miał samochód i każdy, kto potrzebował transportu do miasta lub do lekarza, korzystał z pomocy pana Czesia, który zawsze był dumny, że może pomóc. Pani Jadwiga to cicha i bardzo pracowita kobieta. Dużo w swoim życiu przeszła. Poświęcała się bez reszty swojemu niepełnosprawnemu, ograniczonemu ruchowo i umysłowo synowi. Kiedyś widziałam, jak Tomek całując panią Jadwigę okazywał jej swą miłość. To było piękne. Jak na swoje ograniczenie umysłowe, Tomek jest naprawdę mądrym człowiekiem. Tomcio jest z mojego rocznika i ma teraz trzydzieści dwa lata. Rodzice nauczyli go powoli się poruszać, lecz niestety nie umie mówić, tylko

wydaje dźwięki przypominające mruczenie. Pani Jadwiga rozumie jego język. Interesują go rzeczy brzęczące, zwłaszcza metalowe kuleczki na mocnym sznurku. Nie mogłam się napatrzeć, ile uczucia otrzymywał od rodziny. Grzegorz ma też siostrę Anię, która od wielu lat mieszka w Hiszpanii. Ania jest pielęgniarką.

Gdy poznałam bliżej jego rodzinę, jeździliśmy do nich w niedziele na obiady lub zrobić pranie. Było bardzo miło i uwielbiałam spędzać z nimi czas. Rozmawiałam, śmiałam się z panem Czesiem. Bardzo lubiłam słuchać jego opowiadań z młodych lat. Opowiadał o niezwykłych akcjach z wojska. Po odejściu ze służby pracował w składnicy drzewa, aż wreszcie osiadł na stałe przy boku pani Jadwigi. Pan Czesiu pochodził z Kruszwicy, ale dla ukochanej kobiety wyjechał tak daleko. Tata Grzegorza zawsze był pomocny i wystarczyła mu satysfakcja, że pomógł. Bywałam częściej u rodziców Grzeška niż u swoich, bo mieliśmy do nich lepszy dojazd.

W drodze z Gorzowa do rodzinnej wioski Grzegorza zawsze mogłam prowadzić samochód jego taty. Był to czerwony pięciodrzwiowy Peugeot – malutki, ale szybki. Odwiedzaliśmy rodziców Grzegorza, gdy tylko mogliśmy, bo Grzegorz pracował nawet w niedziele i święta, a ja tylko w niektóre soboty. W markecie, gdzie pracowałam, ochroniarzem był mój kolega Bartek. Poznaliśmy się w zawodówce jeszcze przed moim wypadkiem. Potem razem chodziliśmy do ogólniaka. Ciocia Bartka była kierowniczką hotelu pielęgniarskiego w Gorzowie. Gdy opowiedziałam Bartkowi, gdzie i w jakich warunkach mieszkam, od razu

zapropował, byśmy przenieśli się do hotelu. On porozmawia z ciocią i pomoże załatwić nam kawalerkę.

Kilka dni później oznajmił mi, że ciocia się zgodziła i możemy się wprowadzić. Koszt wynajmu był większy, ale za to mieliśmy swoją łazienkę i ciepłą wodę. Kawalerka nie była duża, ale dla nas dwojga była wystarczająca – nie to, co w poprzednim lokum, gdzie była wspólna łazienka połączona z WC. Ale tam też trzeba było sobie radzić. Gdy sprzątałam pomieszczenie przeznaczone na pralnię, odkryłam, że była tam wanna, więc wyszorowałam porządnie całe pomieszczenie i kąpałam się tam wieczorami. Szybko podchwyciły to inne kobiety i też zażywały tam kąpieli. Teraz, w nowej kawalerce, miałam swoją wannę z gorącą wodą i mogłam w niej siedzieć, dopóki nie zmarzłam.

A propos marznięcia, pamiętam nietypowe zdarzenie podczas pracy w markecie. Teraz śmieję się z tego, ale wtedy nie było mi do śmiechu. Otóż gdy przyszła moja kolej i byłam na sklepie, dostałam zgłoszenie, że na piekarni trzeba sprzątnąć chłodnię. Weszłam do niej i zaczęłam sprzątać, gdy nagle ktoś zamknął od zewnątrz drzwi od chłodni. Początkowo myślałam, że to żart, ale nikt nie otworzył tych drzwi nawet po dłuższej chwili. Po kilku minutach zrozumiałam, że to nie był żaden żart. Po prostu ktoś nie zauważył, że jestem w środku, i zamknął drzwi. Starłam się nie panikować, ale zaczęłam krzyczeć i walić w metalowe półki, ale to nic nie dało, bo przez kolejne dziesięć minut nikt nie przyszedł. Na szczęście kierownik sklepu dostał zgłoszenie, że jestem potrzebna w innym miejscu, więc

zaczął mnie szukać. Nie mógł się do mnie dodzwonić, bo telefon nie miał zasięgu w chłodni. W końcu znaleźli mnie okropnie przemarzniętą. Gdy potem opowiadałam mamie o tym incydencie, była przerażona:

– Dziecko, a jakby zapomnieli o tobie, zamarzałabyś! Dobrze, że nad tobą czuwa twój anioł stróż.

W sumie nie spojrzałam na to z tej strony, a przecież to tak mogło się skończyć. Nie pamiętam, jak długo potem tam pracowałam, może jakieś dziewięć miesięcy. Potem okazało się, że jestem w ciąży. Grzegorz bardzo się ucieszył, a jego rodzice jeszcze bardziej, zwłaszcza Pan Czesiu, że doczeka się wnuka lub wnuczki. Syn Tomek był niepełnosprawny, córka Ania nie miała dzieci, więc rodzice Grześka pokładali w nim nadzieje, że nazwisko przetrwa. Widziałam ich szczęście. Kilka dni później dowiedziałam się od mojej mamy, że zmarł brat babci Jasi. Tato nie mógł jechać w tak daleką podróż, więc postanowiłam pojechać na pogrzeb pociągiem. Nigdy przedtem tam nie byłam i pomyślałam, że odwiedzę i poznam rodzinę. Co prawda utrzymywaliśmy kontakt na odległość, ale teraz był powód, aby spotkać się osobiście – co prawda smutny, ale jednak! Poza tym, w Licheniu, niedaleko ich miejscowości, znajduje się Bazylika Matki Bożej Bolesnej Królowej Polski. Pomodłę się za opiekę nade mną i naszym dzieciątkiem. Nie chciałam jechać tam sama, a ponieważ Grzegorz nie dostał wolnego, zabrałam ze sobą siostrę Wiewiórę, by było mi raźniej. Gdy dowiedziałam się, że jestem w ciąży, nie chciałam mówić od razu moim rodzicom, więc tylko powiedziałam w tajemnicy siostrze. Ona

oczywiście wygadała mamie, której zrobiło się przykro, że nie dowiedziała się o tym ode mnie, a ja z kolei byłam pewna, że mama nic nie wie. Przed wyjazdem do rodziny w okolice Konina, siostra przywiozła mi list od mamy, w którym mama napisała mi, że jest jej trochę przykro, że jej nie powiedziałam o dziecku i że nie spodziewała się, że to będzie tak szybko. Niedawno mnie odzyskała, a już jej kochana córeczka zostanie mamą. Czas szybko leci. Napisała też, że Grzegorz jest mądrym, odpowiedzialnym i trzeźwo myślącym mężczyzną, więc zapewni mi i dziecku przyszłość. I poprosiła, abym pomodliła się w Bazylice w Licheniu za zdrowie naszej trójki. Wspomniała również, że bardzo mnie kocha i czeka, aż wrócimy zdrowo i wtedy mam przyjechać do niej, by mnie mocno wycałowała i pobłogosławiła. Czytając to rozplakałam się i obiecałam sobie, że tak zrobię zaraz po powrocie. Teraz tylko martwiłam się, jak my tam dojedziemy same. Wszak to nasza pierwsza daleka wyprawa w obce strony. Trochę się bałam, ale dojechałyśmy szczęśliwie i było cudownie.

Mamy naprawdę bardzo dużą rodzinę. Śmiałyśmy się z kuzynkami – Basią i Asią – że to mała wioska, a większość to nasza rodzina. Uwielbiałam słuchać o babci Jasi i oglądać jej stare zdjęcia. Dowiedziałam się, że podczas wojny, gdy miała szesnaście lat, zabrali ją na roboty do Niemiec. Była tam nieszczęśliwa, a gospodarz, u którego pracowała, często ją bił i głodził. Było jej bardzo ciężko. Gdy wojna się skończyła, babcia wróciła do Polski, poznała dziadka i przyjechali razem w te rejony, a potem urodził się mój tata.

Z Asią, Basią, Damianem i wujkiem Andrzejem byliśmy

w Licheniu w Bazylice. Modliłam się na kolanach przed głównym ołtarzem do Matki Boskiej:

– Jeśli Grzegorz jest tym, z którym spędzę resztę życia, to niech tak będzie. Teraz Matko daj mi tylko siłę, bym szczęśliwie urodziła nasze dziecko, które da szczęście nie tylko nam rodzicom, ale i dziadkom oraz rodzinie. Proszę cię o opiekę nad nami, Najświętsza Panienko.

U rodziny byliśmy przez kilka dni. Na odwiedzenie całej naszej rodziny trzeba było przeznaczyć przynajmniej dwa dni, ale było warto, bo było naprawdę cudownie. Potem wróciliśmy szczęśliwie do domu i chwaliłyśmy się zdjęciami. Mamusia mnie wycalowała i pobłogosławiła. Życie wróciło do normy, nadal pracowałam w markecie, ale szykowałam się już do dłuższego chorobowego.

PIERWSZE PORONIENIE

Przed odejściem na L4 zorganizowałam z moimi zaprzyjaźnionymi osobami z pracy wyjście do lokalu. Bardzo mi zależało, aby pojawili się wszyscy pracownicy i szef. Chciałam, by to było miłe wspomnienie, zanim pójdę na urlop macierzyński. Sama wszystko zorganizowałam, zamówiłam stolik w lokalu i osobiście zaprosiłam gości. Miało być odjazdowo. Niestety, rano w dniu imprezy złapał mnie ostry ból w podbrzuszu i dostałam krwotoku. Ból był nie do wytrzymania, więc pojechałam autobusem do przychodni do

mojej lekarki. Z trudem weszłam na piętro, a kiedy dotarłam do gabinetu, pani doktor mnie spławiła:

– Proszę czekać, teraz jest przerwa, proszę wyjść.

Zwijając się z bólu czekałam w poczekalni. Po chwili lekarka wyszła z kubkiem w ręku, więc odezwałam się do niej zaciskając zęby z bólu:

– Pani doktor...

a ona, nie patrząc na mnie, uniosła rękę i powiedziała:

– Chwileczkę, mam jeszcze pięć minut przerwy.

Przeszła z jednego gabinetu do drugiego i zaczęła żartować z koleżanką. Nie wytrzymałam, wstałam i weszłam bez pukania do gabinetu. Spojrzały na mnie z irytacją, więc nie wytrzymałam i wyjęczałam:

– Przepraszam, ale jestem w piątym tygodniu ciąży, mam bardzo mocne bóle i krwotok. Mam wezwać karetkę czy pani się mną zajmie? W końcu jest pani moim lekarzem.

Reakcja była szybka: pokazując ręką na swój gabinet powiedziała do mnie:

– To czemu pani od razu nie mówiła?

– Próbowałam.

Zbadała mnie i stwierdziła:

– Tak, tu jest poronienie, musi pani jechać jak najszybciej do szpitala, już wypisałam pani skierowanie na oddział, tam się panią zajmą. Czy mam wezwać karetkę?

Odpowiedziałam łamiącym się głosem:

– Sama przyszłam, sama pójdę.

Gdy wychodziłam z gabinetu, podbiegł do mnie Grzegorz, który zwolnił się z pracy zaraz po rozmowie telefonicznej ze mną. Mieszkaliśmy naprzeciwko szpitala, więc najpierw pojechaliśmy do domu, żeby spakować rzeczy. Potem przeszłam na Izbę Przyjęć na Oddziale Ratunkowym. Byłam przybita rozwojem wydarzeń, ale nie płakałam. Wtedy było mi tylko przykro, że nie mogę iść na spotkanie z przyjaciółmi z pracy, które organizowałam. Może było jeszcze za wcześnie na świadomość utraty dziecka?

Na izbie przyjęć pokazałam skierowanie, pobrali mi krew i skierowali na oddział ginekologiczny. Czekałam na powrót lekarza z oddziału, gdyż musiałam mieć jeszcze jedno badanie. Lekarz stwierdził, że płodu nie ma już w macicy i zdecydował, że położy mnie na oddziale, bo muszę mieć zabieg oczyszczający. Był ze mną Grzegorz; siedział przy mnie długo, a że był po pracy, kazałam mu iść do domu. Uznałam, że jeżeli będzie się coś działo, to wróci.

Wieczorem był obchód. Lekarz mnie zaskoczył. Spoglądając w moją kartę stwierdził:

– Proszę się nie martwić, z badań krwi wynika, że płód nadal jest, tylko, że nie ma go w macicy. Nie wiemy, skąd krwawienie, może to być ciąża pozamaciczna. Jutro zrobimy kilka dodatkowych badań i stwierdzimy, co się dzieje.

Te słowa dały mi nadzieję. Telefonicznie poinformowałam o tym Grzegorza i mamę. Natychmiast chciała przyjechać do szpitala. Uspokoiliam ją, że jeżeli nie da rady, to nie ma problemu. Mama – uparta kobieta – powiedziała:

– Przyjeżdżam i koniec!

Skapitulowałam:

– Dobrze, mamuś, i tak zrobisz jak będziesz chciała...

Porozmawiałyśmy jeszcze chwilę i rozłączyłam się. Podbrzusze nadal mnie bolało, ale już mniej, bo dostałam zastrzyk ze środkiem przeciwbólowym. Krwotok też ustępował. Usłyszałam nagle, że jakąś kobietę na korytarzu mówi do kogoś:

– Msza będzie w szpitalnej kaplicy za dziesięć minut.

Pomyślałam:

– Tego teraz mi potrzeba, muszę z Nim porozmawiać, muszę!

Podeszłam do łóżka, chwyciłam za szlafrok i wyszłam z sali. Wiedziałam, że to mi pomoże i poczuję się lepiej. Pójdę tam, by się uspokoić, bo kto zna moje serce lepiej niż On, mój Ojciec?

To była mała szpitalna kapliczka, a mszę odprawiał młody ksiądz. Słuchałam uważnie każdego słowa. W kazaniu była mowa o kobiecie zakochanej w żonatym mężczyźnie, o ich zakazanej miłości i wielkiej potrzebie posiadania dzieci, które miały być owocem ich miłości, ale kobieta zawsze traciła ciążę. Za każdym razem coś było nie tak i nie wiedzieli, dlaczego tak się dzieje. Wtedy jakiś ksiądz odpowiedział im, że może to dlatego, że nie zostali pobłogosławieni przez Pana. Wkrótce on owdowiał, pobrali się, a na świat przyszło ich wyczekiwane potomstwo. Słuchając tego kazania zastanawiałam się:

– Czy to mój Bóg chce mi przekazać?

Przejęłam się tym kazaniem i zaczęłam się zastanawiać, że może poroniłam dlatego, że nie mam ślubu z Grzegorzem? Po mszy podeszłam do księdza i powiedziałam mu, że poroniłam, że żyję teraz z rozwodnikiem, ale nie mam z nim ślubu. Jest nam razem dobrze, zaszłam w ciążę, ale nie utrzymałam jej. I tu zaczęły się schody:

– Bo on nie należy do ciebie, tylko do tej pierwszej.

Zaczęłam mu tłumaczyć:

– Ale ona wyjechała za granicę niecały rok po ślubie i już nie wróciła. Dzieci nie mieli, a my poznaliśmy się po ich rozwodzie.

Ksiądz spojrzał na mnie i mówi:

– To nieważne! Przysięgali sobie przed Bogiem i on już należy tylko do niej

Zdenerwowałam się, ale zaczęłam wyjaśniać sytuację dokładniej:

– On chciał ratować małżeństwo, ale ona nie chciała z nim być.

Kapłan nadal upierał się przy swoim i dodał:

– Zostaw go, bo Bóg nie chce, byście byli razem i nie da wam potomstwa. Nie możesz z nim być, rozumiesz to? Nie należycie do siebie.

Już bez żadnych argumentów spytałam jeszcze:

– Czyli on już nie ma prawa do szczęścia?’

Padła odpowiedź:

– Ma to, na co zasłużył.

Wstałam i wyszłam z tej kaplicy wściekła na tego księdza.

Jak on, służąc Bogu, może mówić takie rzeczy? Przecież Bóg kocha ludzi i chce ich szczęścia. A może ten ksiądz ma rację i to dlatego straciłam ciążę? Może to znak, że Grzegorz nie jest mi pisany? Bóg nie chce, byśmy mieli razem dzieci, ale cholera jasna, przecież to ona go zostawiła! Czy z tego powodu Grzegorz nie może już ułożyć sobie życia? Nie wiedziałam, co mam myśleć. W drodze na salę zaczęłam krzyczeć w myślach:

– Boże, czemu mi to robisz? Czemu kapłan mi tak powiedział, przecież on cię reprezentuje?

Miałam mętlik w głowie.

Powiedziałam sobie, że rozejdę się z Grzegorzem, że go zostawię. Może tak będzie lepiej, zrobię to dla jego dobra. Zmieniłam sposób myślenia. Jak ja teraz mam mu to powiedzieć? Gdzie będę mieszkać? Zaczęłam snuć plany. Przyjechała do mnie mama i gdy zobaczyła moją zmartwioną minę i łzy w oczach, pocieszała mnie:

– Córuś, drugim razem się uda, będzie dobrze. Pierwsze ciążę są trudne. Trzeba teraz poczekać, niech tam się wszystko unormuje.

Powiedziałam jej po chwili:

– To nie tak, Mamuś, ja nie płaczę za dzieckiem. Mnie spotkało jeszcze coś gorszego i to ze strony kapłana.

Opowiedziałam jej wszystko. Było mi źle, że się wygadałam, ale mama była wściekła:

– Ten ksiądz jakiś nawiedzony był? Nie przejmuj się nim, głupoty gada. Jak on mógł ci takie rzeczy naopowiadać, że

Bóg nie chce szczęścia dla ludzi? Zapomnij o tym, Ana. Są też rozwody kościelne. Musicie to sprawdzić i dowiedzieć się więcej. Może macie szansę, by Grzegorz uzyskał też rozwód kościelny, a nie tylko cywilny?

Początkowo nie mówiłam tego Grześkowi. On interesuje się historią, zna całą historię Kościoła. Wie o wszystkich świętych, o których go pytałam, i wie, co każdy z nich głosił. Śledząc historię Kościoła wyrobił sobie zdanie, że Chrześcijanie uczynili ludzkości wiele zła. Wiedziałam, że on nie uznaje księży. Grzegorz uważa, że co prawda istnieją księża z powołania, ale są też tacy, którzy chcą się wzbogacić na wiernych. Ja sama znam kilku dobrych księży, którzy służą Panu i ludziom. Pewien ksiądz z mojej parafii przychodził do mnie po wypadku, gdy byłam nieprzytomna, i modlił się o to, bym wróciła do zdrowia i bym była szczęśliwa.

Musiałam teraz dojść do siebie, by wszystko było, jak trzeba. Miałam leżeć w łóżku i odpoczywać, ale ja nienawidzę bezczynności i nie umiem usiedzieć w jednym miejscu. Chciałam wracać do pracy, zapomnieć o tym, co mnie spotkało.

Któregoś dnia porozmawiałam szczerze z Grzegorzem, ponieważ nie mogłam tego dłużej trzymać w sobie. Powiedziałam mu o rozmowie z księdzem w szpitalu. Jego odpowiedź była krótka:

– Ja nie wierzę w Kościół, w żaden, ale jeżeli to jest dla ciebie takie ważne, to weźmy chociaż ślub cywilny. Będziemy wtedy oficjalnie małżeństwem. Jeżeli to cię uspokoi, możemy

dowiedzieć się, czy uda mi się załatwić rozwód kościelny.

DRUGIE PORONIENIE

Zatem podjęliśmy decyzję o ślubie. Bardzo chciałam już mieć malutką dzidzię. Wiem, że to brzmi dziwnie, ale wierzyłam, że legalizacja naszego związku pomoże w tym i choć Grzegorz oświadczał mi się wcześniej siedem razy, to dopiero teraz się zgodziłam. Na razie nie chcieliśmy tego rozgłaszać ani nie ustaliliśmy terminu ślubu. Po prostu będzie, co ma być. Najpierw trzeba było zebrać pieniądze na ten cel. Wiedzieliśmy, że to będzie tylko ślub cywilny, ale i tak chciałam się pobrać w białej sukni i zaprosić rodzeństwo oraz najbliższych na obiad weselny.

Później uznaliśmy, że najlepiej będzie, jeśli weźmiemy ślub za rok.

Minęło pół roku i ponownie zaszłam w ciążę. Tym razem bardziej uważałam na siebie. Ustaliliśmy, że na razie nie będziemy nikogo o tym informować, aby nikomu nie było przykro, jeżeli znowu się nie uda. Zaczęłam chodzić prywatnie do lekarza, który pracował w szpitalu. Wybrałam się do niego zaraz na początku ciąży. Lekarz przepisywał mi leki wzmacniające i byłam pod stałą kontrolą. Znał moją historię medyczną i wiedział, jakich obrażeń doznałam podczas wypadku, bo dałam mu kopię dokumentacji ze szpitala.

Tym razem ciąża również trwała już pięć tygodni, gdy nastąpiło małe krwawienie i było po wszystkim. Kiedy poronienie się zaczęło, chciałam od razu pójść do szpitala. Zadzwoiłam jeszcze do lekarza, który powiedział mi, że będzie w gabinecie po południu i żebym przyszła, ale gdy poszłam do łazienki, samoistnie chlupnęło ze mnie. Wiedziałam, że poroniłam. Bez żadnego bólu. Zostałam zbadana i otrzymałam tabletki na oczyszczenie.

Doktor poinformował:

– Teraz musimy odczekać co najmniej pół roku. Zajdzie pani w ciążę i od początku będziemy to kontrolować. Trzeba dać odpocząć organizmowi, będzie dobrze.

Wyszłam z tego gabinetu podłamana, ale już nie tak bardzo, jak za pierwszym razem. Skoro Bóg chce, bym najpierw miała ślub, a potem dziecko, to niech tak będzie.

Niech się dzieje wola Nieba

Z nią się zawsze zgadzać trzeba

Dużo myślałam o tym wszystkim. W głowie miałam ciągle to kazanie z kaplicy szpitalnej, dlatego chciałam uzyskać informacje, czy uda nam się unieważnić ślub kościelny. W tym celu poszliśmy z Grzegorzem do księdza w naszej parafii, ale po rozmowie z księdzem straciliśmy nadzieję na pozytywne rozwiązanie tego problemu, bo trwałoby to bardzo długo. Zrozumieliśmy, że nie mamy szans.

Skupiłam się na organizowaniu przyjęcia weselnego. Wiedziałam, że w pół roku da się wszystko zorganizować. Weźmiemy kredyt, wynajmiemy lokal i zaprosimy gości. Da

się? Spróbujemy! Żyliśmy tą myślą. Grzegorz szalał ze szczęścia i ogłosił w pracy nasze plany. Odkąd postanowiliśmy, że się pobierzemy, nasi bliscy i znajomi pytali o termin ślubu, a my odpowiadaliśmy, że za jakiś czas. Ale ja już starałam się utworzyć plan, a nawet założyłam sobie zeszyt, w którym zapisywałam, co będzie trzeba uszykować lub załatwić i nikomu się nie przyznałam, że mam na to pół roku – nawet Grzegorzowi, bo on by się wygadał. Byłam zazwyczaj organizatorem wszystkich imprez, więc miałam już doświadczenie. Koleżanka Grześka z pracy powiedziała mu, że kupuje sobie nowe mieszkanie i jeśli on chce, to ona tanio mu odsprzeda to, z którego się wyprowadza, ponieważ chce oddać mieszkanie w dobre ręce. Grzegorz nawet się nie zastanawiał. Mieszkaliśmy już w baraku, potem w hotelu pielęgniarskim, a teraz mieliśmy szansę na własne mieszkanie. Bardzo chcieliśmy być już na swoim. Grzegorz zaciągnął kredyt hipoteczny, przepisaliśmy na siebie prąd, wodę i gaz. Gdy dostaliśmy klucze, jeszcze przed wprowadzeniem, pojechałam dokładnie posprzątać całe mieszkanie. Nie było tam jeszcze łóżka, tylko koc i mała poduszka, więc po zrobieniu porządku położyłam się na kocu i oglądałam przez drzwi balkonowe niesamowity pejzaż nocnego miasta, światełka migające w ciemności.

WŁASNY KĄT

Poczułam, że oto właśnie osiągnęłam kolejny cel: zamieszkałam w Gorzowie i zdobyłam pracę. Byłam taka szczęśliwa! Miałam swój wymarzony kącik, swoje miejsce w życiu: prześliczne dwupokojowe mieszkanie z kuchnią i łazienką. Mieszkanie ma powierzchnię trzydziestu siedmiu metrów kwadratowych i jest położone na dziewiątym piętrze, dzięki czemu mam piękny widok na całe miasto. Bywałam w tych rejonach, gdy byłam młodsza, ale nigdy nie pomyślałabym, że będę tu mieszkać. Poza tym niedaleko stąd mieszka mój przyjaciel Tomasz. Uwielbiam widok tego miasta z mojego okna, działa na mnie uspokajająco. Nie myślę wtedy o niczym, tylko patrzę i oddycham głęboko. Widok jest tak samo piękny niezależnie od pory dnia czy roku.



Zaczęło się układać w moim życiu. Jestem z mężczyzną, który jest dużo starszy ode mnie, więc zna życie. Jest mi

z nim dobrze. Mamy mieszkanie, wkrótce wyjdę za mąż, a potem urodzę dziecko. Wszystko jest na dobrej drodze. Wiedziałam, że z Grzegorzem będę szczęśliwa, bo jest opiekuńczy i będzie dobrym ojcem. Ma ukończone studia magisterskie, rozległą wiedzę historyczną i jest mądrym człowiekiem.

Któregoś dnia kupił gazetę, w której znalazł błąd w artykule o militariach. Czytając go, podszedł do mnie:

– Zobacz, jaki sobie numer zrobili, to nie jest ten czołg. Oni opisują jeden czołg, ale zdjęcie pokazuje inny.

– Kogo ty pytasz Misiek, przecież ja się kompletnie na tym nie znam.

Następnie Grzegorz usiadł do komputera, wyszukał e-mail do wydawnictwa i napisał o odkrytej nieścisłości. Po kilku dniach w gazecie pojawiło się sprostowanie o treści *Ogromnie nas cieszy to, że mamy tak uważnych czytelników. Tak, zgadza się, to nie jest czołg, który opisywaliśmy*. Spytałam dlaczego nie podał nazwiska, skoro to on zauważył błąd, ale tylko spojrzał na mnie i odrzekł:

– A po co? Ważne, że ja to wiem. Zauważyłem, że to nie ten model, który powinien być, i to wystarczy.

KRYSTYNA

Kilka tygodni przed planowanym ślubem pilnowałam czteroletniego chłopca u sąsiadki. Ciocia Kozula sprzątała

u nas w bloku. Do niej zgłosiła się kobieta, która potrzebowała opiekunki do swojego synka. Zależało jej na tym, by niania mieszkała w tym samym bloku. Ciocia prawie codziennie zaglądała do mnie i znała moją sytuację, dlatego zaproponowała mi opiekę nad dzieckiem. Zgodziłam się, więc umówiła nas, żebyśmy uzgodniły szczegóły i tak poznałam Krystynę i jej synka Dawida. Krystyna jest rok starsza ode mnie. Pracowała wówczas w kwiaciarni u nas na osiedlu, a jej chłopak, Heniek, ojciec chłopca, był kierowcą dużych samochodów dostawczych. Nie było go całymi tygodniami, a Krystyna musiała chodzić do pracy, dlatego szukała opiekunki do dziecka.

Razem z Dawidkiem bawiliśmy się, czytaliśmy książki z opowieściami o samochodach, oglądaliśmy bajki. Jego mama chodziła do pracy na wpół do dziewiątej i musiałam być u niej przed jej wyjściem do pracy. Wracała około dziewiętnastej i wtedy siadałyśmy i rozmawiałyśmy. Opowiadałam, co Dawid robił i co jadł, czy byliśmy na spacerze. Ona z kolei opowiadała mi o zatargach z szefową, która ją wykorzystuje. Nie dawała sobie już rady w sklepie, niemniej nie uzyskała żadnej pomocy od pracodawcy. Zaprzyjaźniłyśmy się, bowiem widywałyśmy się codziennie, a Dawidek bardzo mnie polubił.

Krystyna poznała w końcu mojego Grzegorza. Czasem zabierałam na chwilkę małego do swojego mieszkania, żeby rozwiesić pranie, które nastawiłam przed wyjściem z domu. Spotykaliśmy się razem w czwórkę, by posiedzieć przy piwku. Zorganizowaliśmy wspólnego Sylwestra, najpierw u nas

w mieszkaniu, a rok później u nich. Było naprawdę super, świetnie się dogadywaliśmy i wspieraliśmy się, gdy tylko było trzeba. Była przy mnie, gdy wydarzyła się ta sprawa z Grzegorzem, o czym opowiem wkrótce. Nie wierzyła w to, co się dzieje, tak samo, jak ja. Wspierała mnie i pocieszała.

Pewnego wieczoru Krystyna wróciła z pracy przygnębiona. Wiedziała, że jestem z jej synkiem, więc po drodze kupiła dobre wino, bo chciała zwierzyć się i pogadać. Była tu w mieście sama, podobnie jak ja. Opowiedziała mi o tym, jak miała ciężko w dzieciństwie i w dorosłym życiu. Gdy ojciec zmarł, a matka zachorowała, ona zajmowała się domem. Siostra zaglądała tylko sporadycznie, a brat omijał rodzinny dom z daleka, by nie pogarszać zdrowia matki. Wiedząc, że nie wygra z alkoholem i by jej nie denerwować, unikał domowych wizyt. Gdy matka umarła, cały dom był na jej głowie. Do tego zdobywała wykształcenie, ale już nie dawała rady. Wynajęła dom jakiejś rodzinie, a sama wynajęła w Gorzowie mieszkanie. Przy jej boku zawsze był Heniek, z którym znała się od bardzo dawna, bo przyjeżdżał do rodziny mieszkającej na tej samej ulicy, co ona.

Kobieta, która wynajmowała od niej rodzinny dom, chciała go odkupić. Krystyna zastanawiała się, co ma zrobić. Męczyło ją to, bo ten dom to jej całe dzieciństwo, tam się wychowała i tam rodzice z nią żyli. Było to dla niej trudne. Siostra i brat nie wtrącali się do tego, bo zrzekli się wszystkiego i mieli swoje życie. Krystyna mówiła mi, że pewnego wieczoru we śnie widziała swój dom. Ona stała w furtce przed budynkiem, a w oknie widziała swojego ojca, który machał do niej

z uśmiechem. Był radosny i spokojny. Pomachał do niej, a potem zniknął. Przebudziła się wtedy i spojrzała na zegarek. Była trzecia w nocy. Odczuwała lekki chłód, a przecież w mieszkaniu było ciepło. Na łóżku, obok niej, spał Heniek. Dotknęła go i poczuła, że jest cały rozgrzany. Ciągłe w głowie miała uśmiech ojca. Pomyślała, że ojciec zgadza się na sprzedaż domu, że chciał jej przekazać, że robi dobrze i że nowi mieszkańcy zadbają o dom. Miała poczucie, że jej majątek trafi w dobre ręce.

Krystyna mówiła mi też, że była przy matce, gdy ta umierała. W szpitalu mama poprosiła ją o szklanek wody, a gdy Krystyna obróciła się, by nalać wody, matka skoła. Widziałam podczas rozmowy, jak to przeżywała. Bardzo płakała wracając myślami do tamtego strasznego dnia. Było to dla niej bardzo trudne. Powiedziała mi też, że za każdym, gdy jej matka ukaże się jej we śnie, to znak, że wydarzy się coś złego. Nie wiedziała, dlaczego tak się dzieje, skoro widzi ją radosną i zamyśloną, ale wtedy robi się bardziej czujna.

Postanowiła pokazać mi zdjęcia swoich rodziców. Zaczęła szukać po szafkach i w pudełkach, aż w końcu znalazła. Gdy spojrzałam na jedną fotografię, zrobiło mi się gorąco, a potem zimno. Krystyna zauważyła, że zamarłam i spytała mnie, co się stało. Spojrzałam na nią ze łzami w oczach. Byłam przerażona. Zapytałam:

- Kiedy twoja mama umarła?
- W marcu 2001.

Nagle zrobiło mi się słabo, a wcale nie wypiałam dużo, tylko lampkę wina. Nie lubię pić, więc tylko moczyłam usta.

Spytałam:

– Czy 2 marca 2001?

– Nie, 18 marca 2001.

I tu daty się nie zgadzały, więc zaczęłam myśleć, że to niemożliwe. Powiedziałam do niej:

– Ja widziałam twoją mamę na tej bramie. Święty Piotr powiedział do niej *Idź* i weszła do Nieba. Przeszła z uśmiechem i czekała na mnie.

Do oczu Krystyny napłynęły łzy. Zakryła ręką usta i oparła się o stojący obok fotel. Widziałam, że chciała coś powiedzieć, ale nie była w stanie. Nic nie rozumiałam, to nie ta data. Czy to jest możliwe, że nasze dusze widziały się? Domyślałyśmy się tylko z Krysią, że może jej dusza była na bramie już w dzień mojego wypadku, a ciało umarło szesnaście dni później? Nie było to chyba możliwe, a jednak to była ona, bo przecież poznałam ją. Patrzyłam na to zdjęcie przez kilkanaście minut. Dokładnie patrzyłam na twarz kobiety na zdjęciu i nie mogłam uwierzyć w to, co widzę. Na zdjęciu była kobieta, która stała przede mną w kolejce, gdy zbliżaliśmy się do Wrót. To ona obróciła się do mnie i wypowiedziała do mnie:

– Ale będziemy mieli fajnie.

Te same rysy twarzy, te same oczy i uśmiech. Te równiuteńkie zęby. To była ta kobieta, nie jakaś podobna! Mam pamięć fotograficzną. Od zawsze tak mam, że gdy zobaczę osobę, wiem, że ją znam, tylko nie pamiętam skąd. Mogą minąć lata, a ja i tak ją rozpoznam.

Po tamtym wieczorze jeszcze bardziej nabrałyśmy do siebie szacunku i ufności. Takiego kontaktu nie miałam nawet ze swoją rodzoną siostrą.

PLANY WESELNE

Poinformowaliśmy rodziców o naszej decyzji. Wszyscy się cieszyli, a mój tato zaproponował, że możemy zrobić przyjęcie u niego w pracy, gdzie jest *człowiekiem do wszystkiego*, ale najbardziej lubi zajmować się końmi. Jest to gospodarstwo agroturystyczne – stadnina koni z dużą salą bankietową w staropolskim wystroju. Bardzo mi się podobała i właśnie tam miało odbyć się nasze przyjęcie. Zależało mi na tym, by to było piękne wydarzenie: ja w białej sukni, pyszne jedzenie, ładna muzyka. Tata powiedział, że pojedziemy do ślubu dorożką z zaprzęgiem konnym – to będzie jego prezent dla nas.

Miało być tak cudownie, już nie mogłam się doczekać tej chwili. Wyznaczyliśmy w Urzędzie Stanu Cywilnego datę uroczystości. Wybrałam marzec – miesiąc, w którym miałam wypadek, gdy wszystko się skończyło i zaczęło na nowo. Marzec był moim miesiącem tak, jak trzynasty dzień miesiąca był symboliczną datą – dniem, w którym otworzyłam oczy po jedenastu dniach śpiączki.

Akurat ten trzynasty wypadał w czwartek, lecz śluby są organizowane w weekendy, zatem ustaliliśmy termin na

sobotę 15.03.2008. Przygotowaliśmy i wręczyliśmy zaproszenia wybranym osobom. Było nam przykro, że nie możemy zrobić prawdziwego wesela, ale nie było nas na nie stać. Gdybyśmy zaprosili dalszą rodzinę, musiało by być ze sto osób, więc na przyjęcie postanowiliśmy zaprosić tylko najbliższą rodzinę i świadków. Nawet chrzestnych nie zaprosiliśmy, bo przyjechaliby ze swoimi rodzinami. Ojciec chrzestny Grzegorza mieszka bardzo daleko, a z matką chrzestną nie ma kontaktu, więc jak by to wyglądało, gdyby moi chrzestni byli obecni na przyjęciu, a jego nie? Nie chcieliśmy, by komuś było przykro.

Na koniec lutego wybrałam się do ośrodka, w którym pracuje Grzegorz, i osobiście wręczyłam jego współpracownikom zawiadomienia ślubne. Wszyscy się cieszyli, a niektóre dzieciaki mówiły głośno, że też przyjdą do Pałacu Ślubów, bo chcą zobaczyć, jak pan Grzesiek się stresuje, ale mówiły to z uśmiechem i radością, że teraz mu się uda i będzie szczęśliwy. Mówili, że będą puszczać balony. Dałam Grześkowi kilka zaproszeń, by osobiście wręczył pani dyrektor i koleżankom, których nie miałam okazji poznać.

Nadszedł czas wybrać suknię ślubną, poszłam zatem do salonu sukien ślubnych należącego do kobiety pochodzącej z mojej wioski i wybrałam suknię sama, ponieważ nikt nie miał czasu pójść ze mną. Ale na ostatnią przymiarke wzięłam ze sobą siostrę. Suknia była piękna: długa do kostek, lekko rozkloszowana, na szerokim ramiączku i z lekkim dekoltem. Do tego dostałam dodatki: spinkę do włosów, rękawiczki na paluszek, wisiołek oraz kolczyki. Potem kupiłam śliczne buty.

Wyglądałam cudnie i tak się właśnie czułam. Moim marzeniem zawsze było, aby brać ślub w białej sukni. Jechałabym karetą zaprzęzoną w konie. Każda panna młoda marzy o takim dniu, a moje marzenie właśnie miało się spełnić. Miał to być najpiękniejszy dzień w moim życiu, jednak w głębi duszy czułam się sama w tym wszystkim. Nikt nie pomagał, sama wszystko organizowałam. Może dlatego, że nie chcieli się mieszać, bo wiedzieli, że ja zawsze wszystko sama robię, a trochę trudno pomagać takiej osobie. Mimo wszystko chciałam, by ktoś troszkę zdecydował za mnie; chciałam być wyręczana i rozpieszczana; czuć się najważniejsza. Tak się nie stało. Było o wiele gorzej.

ARESZTOWANIE GRZEGORZA

Dwa tygodnie przed ślubem zorganizowałam mój wieczór panieński. Było mi trochę przykro, że nikt inny nie zajął się tym, ale co tam... Było zabawnie. Zaprosiłam do domu siostrę, kuzynki, koleżanki oraz Mariolę – przyjaciółkę Grzegorza. Mariola podkreślała zawsze, że studiowali razem i znali się jak łyse konie. Ona miała być świadkową, a mój brat Miernik – świadkiem. Na wieczorze panieńskim dostałam w prezencie zabawki erotyczne, bieliznę i *Kamasutrę*. Śmiechu było, co niemiara! Pobalowałyśmy w domu i wyruszyłyśmy na dyskotekę, gdzie alkohol namieszał mi troszkę w głowie. Do dziewczyn siedzących w łoży przyczepił

się jakiś chłopaczek, który zaczął się przystawiać do mojej siostry, a gdy to zobaczyłam, podbiegłam i wyciągnęłam go za nogę z łoża... razem z łożą. Śmiałyśmy się z tego, nawet ten chłopak się śmiał, ale dałam mu do zrozumienia, że lepiej będzie, gdy sobie pójdzie. Potem, gdy wariowałyśmy na parkiecie, w naszym kółeczku tańczył jakiś chłopak z papierosem w dłoni. Machał rękami i mało nie poparzył Marioli, która tańczyła obok niego. Znowu ruszyłam do akcji, chwyciłam go za bluzkę i powiedziałam grzecznie, żeby uważał z tym papierosem. Spojrzał na mnie zaskoczony, po czym spłoszył się i odszedł. Dziewczyny potem powiedziały, że on nie miał w ręku żadnego papierosa. Najwyraźniej nie mogę pić, bo staję się agresywna. Ale miałam inne zdanie na ten temat, a poza tym *strzeżonego pan Bóg strzeże*.

Wieczór kawalerski Grześka miał się odbyć w kolejny weekend. Grzegorz zaplanował, że po nocce z piątku na sobotę wyśpi się i wieczorem będzie wypoczęty i gotowy na swój ważny wieczór. Zybi już był na miejscu, ponieważ chwilowo mieszkał z nami. Ostrzegłam chłopaków, żeby nie robili żadnych głupot i bawili się rozsądnie. Moi bracia i Grzegorz zapewnili mnie, że będą grzeczni, więc pojechałam do mamy, żeby im nie przeszkadzać w zabawie. Mój najstarszy brat – Chojrak – również miał dotrzeć na imprezę, ale po drodze przyjechał do mamy. Przywiózł go kolega, który miał być tego wieczoru jego kierowcą.

Lada chwila miał się zacząć wieczór kawalerski Grzegorza. Około godziny dziewiętnastej na mój telefon zadzwonił ktoś z numeru zastrzeżonego. Odebrałam i usłyszałam obcy męski

głos:

- Dzień dobry, mówi starszy posterunkowy. Czy rozmawiam z panią Aną?

Odpowiedziałam nieufnie:

- Tak, a o co chodzi?

On spokojnym głosem mówił do mnie dalej:

- Chciałbym przekazać tylko, że pani narzeczony został zatrzymany. Jest na komisariacie, ma możliwość wykonania jednego telefonu, wybrał do pani.

Byłam pewna, że to jakiś kumpel Grzegorza robi mi kawał. Kawalerskie wygłupy. Pewnie chciał mnie ostrzec, że Grzegorz będzie pod eskortą policji, więc mam się nie martwić. Byłam przekonana, że to żart, więc odpowiedziałam:

- Dobra, dobra tylko mi chaty nie roznieście.

Zorientowałam się po tonie jego głosu, że się wkurzył, bo powtórzył już ostrzejszym tonem:

- To nie jest żaden żart. Ja pani przekazałem to, co do mnie należy, do widzenia.

Rozłączył się. By się upewnić, że to tylko żart, zadzwoniłam do Zybiego, bo wiedziałam, że jest w naszym mieszkaniu. Zapytałam:

- O co chodzi, co się stało? Gadaj!

A on do mnie:

- Nie wiem co się stało, była policja. Założyli Grześkowi kajdanki na ręce i wyprowadzili.

Zrobiło mi się słabo, aż usiadłam. W głowie miałam

gonitwę myśli. Kurczę, co się stało? Wkrótce ślub i taki numer? To jakaś pomyłka! Całej rozmowie przysłuchiwał się Chojrak. Zaczął dopytywać:

– Co się dzieje?

Odpowiedziałam mu już wkurzona:

– Nie wiem, Grzegorza niby zgarnęła policja!

Zacząłam się zastanawiać, jak w tym momencie wydostać się z wioski do miasta. Czułam, że muszę tam być i dowiedzieć się, o co chodzi. Liczyłam, że uda mi się załatwić szybko sprawę, by planowany wieczór kawalerski się odbył. Spojrzałam na Chojraka, a on powiedział:

– Ana, ja już wypilem piwo przed tą imprezą, więc nie pojedę, ale Diabeł może pojechać. Poczekaj, zaraz to załatwię.

Poszedł do niego i za moment chłopaki przyjechali po mnie na podwórko. Pojechaliśmy do miasta. Przypuszczaliśmy, że Grzegorz jest na głównej komendzie, więc najpierw tam pojechaliśmy. Zwróciłam się do policjanta dyżurnego:

– Czy to tu przywieźli na komendę Grzegorza? O co chodzi? Co się stało? Czy mogę się z nim zobaczyć?

– Tak, został tu przywieziony taki mężczyzna, ale nie możemy pani udzielić żadnej informacji. Nie jest pani rodziną. Nie może się pani z nim zobaczyć. Trwa procedura wyjaśniająca.

– Za tydzień mamy ślub, panie zrozum mnie! O co jest oskarżony?

Mówiąc do funkcjonariusza sama w głowie odpowiadałam

sobie na pytania:

– Tego się też pewnie nie dowiem, bo nie jestem upoważniona?

Policjant tylko kiwał głową. Wyszłam na zewnątrz i zaczęłam się drzeć:

– Grzesiek! Jak mnie słyszysz, to pamiętaj. Ja cię wyciągnę, słyszysz?

Na dworze robiło się ciemno. Policjanci siedzący na dyżurce otworzyli szeroko okno. Myślałam, że dostanę mandat za hałasowanie przed posterunkiem, ale policjant spojrzał na mnie, uśmiechnął się pocieszająco, po czym stanął plecami do mnie i powiedział głośno do osób w pomieszczeniu:

– Ale tu gorąco chłopaki, muszę otworzyć okno chociaż na chwilę. Niech się tu przewietrzy trochę.

Następnie pokazał mi ekran monitora, na którym zobaczyłam celę, a w niej siedzącą osobę. Ów człowiek siedział na jednoosobowym łóżku pod ścianą, miał podkulone nogi i wyglądał na wystraszzonego. Domyśliłam się, że to Grzegorz. Pewnie tak samo, jak ja, nie wiedział, co się dzieje. Sam fakt, że policjanci udostępni mi podgląd, świadczył o tym, że to wszystko jest jakaś ściema. Po dłuższej chwili do otwartego okna podszedł policjant i głośno powiedział do kolegów będących w środku:

– Chłopaki już wystarczy. Przewietrzyło się!

Spojrzałam na niego i zrozumiałam, że więcej nie mogą mi pomóc. Ze łzami w oczach wyszeptałam mu:

– Dziękuję...

Ruszyłam do samochodu, gdzie czekali na mnie Diabeł z Chojrakiem. Poprosiłam, by mnie zawieźli do domu. Kompletnie rozbita weszłam do mieszkania, gdzie Zybi na mnie czekał. Spytał, czy może jechać do domu, bo kolega będzie jechał i może zabrać się z nim, ale zaraz dodał, że jeżeli tylko chcę, to zostanie ze mną. Odparłam, żeby jechał, bo chciałam zostać sama. Myśli o aresztowaniu Grzegorza nie dawały mi spokoju, musiałam poznać przyczynę! Zadzwoiłam do Mariolki, bo pomyślałam, że może ona wie coś więcej:

– Mariola, Grzesiek jest na komisariacie, aresztowali go. Nie wiem za co i nie wiem co się dzieje.

– Żartujesz chyba? Przecież za tydzień ślub! Poczekaj pięć minut, zaraz będę u ciebie.

Po przybyciu zaczęła dzwonić do koleżanek z placówki i dowiedziała się, że Grzegorz został oskarżony o *zły dotyk*, którego rzekomo dopuścił się wobec trzech dziewczynek: ośmioletniej, trzynastoletniej i czternastoletniej. Obie nie dowierzałyśmy. On by tego nie zrobił, nigdy w życiu! Marioli udzieliło się moje zdenerwowanie, ale musiała wracać do siebie. Przed wyjściem powiedziała:

– Ana, muszę już iść. Gdy dowiem się czegoś więcej, dam ci znać.

Rozumiałam, że musi bo miała kilkutygodniowe dziecko. Zostałam sama. Byłam wściekła na to, że oskarżają Grzegorza o coś, czego nie zrobiłby nigdy w życiu. Nawet nie próbowali wyjaśniać, nie dopytywali dzieciaków, tylko od razu areszt. Grzegorz o szóstej rano wrócił z nocnego dyżuru, a o

piętnastej policja zabrała go z domu. Przecież to chore. To wzorowy pracownik socjalny. Ktoś zgłosił na niego donos do prokuratury na podstawie tego, co mówią dziewczynki. Nie brali pod uwagę, że to może być wymysł, zmowa albo zemsta? Nikt mu nie wierzy? Nikt nie stanął po jego stronie? O co tu chodzi?

Wiedziałam, co się czasem dzieje w tym ośrodku. Dzieciom w takim miejscu nie można do końca ufać. Często pochodzą z patologicznych rodzin, w których obecny jest alkohol i przemoc fizyczna, a nierzadko też psychiczna. Dzieci widzą, jak ojciec bije matkę, a zdarza się czasem, że matka bije ojca, albo mieszkają w skandalicznych warunkach czy miejscach takich, jak garaż lub barak. Te dzieci są zmuszone do robienia strasznych rzeczy, aby przeżyć, dlatego nigdy nie można przewidzieć, co takiemu wychowankowi strzeli do głowy. Na szczęście nie wszystkie dzieci z takich rodzin mają zaburzenia osobowości lub zachowania, bo zdarzają się też dobre i pełne ciepła. Jako dziewczyna Grzegorza wiem niejedno o realiach takiego ośrodka wychowawczego i nie o wszystkim chcę lub nawet mogę pisać. Poza tym on nie mówi mi wszystkiego, bo o pewnych sprawach po prostu nie może mówić poza środowiskiem pracy. Grzesiek nie zawsze dawał sobie radę ze wszystkim, co go tam spotyka, więc czasem pomagałam mu spojrzeć na sprawy zawodowe z innej perspektywy.

To, czego dowiedziałam się od niego na temat ośrodków wychowawczych, pozwoliło mi nabrać świadomości tego, jak działają takie miejsca. Nie było dobrze, ale to zaczęło się

zmieniać na lepsze, a przecież o to właśnie chodzi, by zapewnić dziecku pozytywne wzorce i godziwe warunki bytowe, stworzyć miejsce, gdzie nie ma krzywd i jest ciepło rodzinne, gdzie opiekun ma czas dla wychowanka i zastępuje rodziców, którzy z jakichś względów nie wywiązują się ze swoich obowiązków.

Czasem na ulicy spotykaliśmy byłych wychowanków, którzy opuścili już Ośrodek Wsparcia i zaczęli sami dobrze sobie radzić w życiu. Np. Przemek – przystojny, sympatyczny chłopak, najbardziej lubiany przeze mnie, usamodzielniał się, zanim go poznałam. Jest bardzo mądrym chłopakiem, ukończył Politechnikę Wrocławską na Wydziale Informatyki i Zarządzania ze specjalnością Administrowanie sieciami komputerowymi. Jestem z niego dumna i przyjaźnimy się do dzisiejszego dnia. Pamiętam też Gosię. Gdy byliśmy z Grzegorzem na zakupach, akurat spotkaliśmy ją na mieście. Z daleka krzyczała do niego:

– Cześć tato!

a jemu było głupio i kazał jej się zachowywać odpowiedzialnie. Byłam z niego taka dumna, że dzieciaki go zapamiętały i traktowały jak ojca. W placówce został nawet starszym wzorowym wychowawcą. Imponowało mi jego poświęcenie i oddanie się pracy. Miał zasady, których przestrzegał bez taryfy ulgowej, więc nie mogłam pogodzić się z tym, co go właśnie spotkało. Nie znałam go długo, ale wiedziałam, że oskarżenia były bezpodstawne. Zastanawiam się, co z jego przyjaciółmi, którzy znają go kilkanaście lat lub dłużej. Powtarzali mi zawsze:

- Ana. Ty nam nie musisz mówić o Grzegorzu! My znamy go lepiej od ciebie, bo tyle wiosen się już znamy.

Gdzie oni byli, gdy Grzegorz najbardziej potrzebował wsparcia i wstawienia się za nim? Pochowali się? Pozostali tylko nieliczni.

Musiałam poinformować rodziców Grzegorza o aresztowaniu, ale obawiałam się ich reakcji. Oboje mają po sześćdziesiąt lat i chorują na cukrzycę i nadciśnienie. I ja mam im teraz powiedzieć, że ich syn został oskarżony o molestowanie seksualne jego podopiecznych i właśnie przebywa w areszcie? Zadzwoiłam i najpierw rozmawiałam z panem Czesiem. Przekazałam wieści najłagodniej, jak potrafiłam, ale pan Czesiu tak się zdenerwował, że oddał żonie słuchawkę, bo głos zaczął mu się łamać i nie był w stanie dalej rozmawiać. Powtórzyłam wiadomość pani Jadwidze, ale ona zareagowała jeszcze gorzej. Zaczęła szlochać. Dla pocieszenia zapewniałam ją:

- To nieprawda, co mówią. Wszystko się wyjaśni. To na pewno jest jakaś pomyłka, żart sobie gówniary zrobili.

Mówiłam też, żeby się nie martwiła, bo udowodnię, że on jest niewinny. Zrobię wszystko by to udowodnić wszystkim, przysięgałam.

W niedzielę po południu zadzwonił do mnie obrońca Grzegorza przyznany z urzędu. Powiedział mi:

- Dzień dobry. Jestem obrońcą pana Grzegorza. Widziałem się z nim i jutro rano około godziny jedenastej pan Grzegorz ma pierwszą sprawę w Sądzie Rejonowym w Gorzowie. Jeżeli pani chce, może pani przyjść. Porozmawiamy na miejscu,

jeśli będzie pani chciała.

– Tak, będę. Do zobaczenia.

Słyszałam wyraźnie, jak mecenas powtarzał zwrot *jeżeli pani chce* kilka razy. Dał mi do zrozumienia, że jest przekonany o winie Grzegorza.

Opowiedziałam o tym panu Czesiowi, a on odparł, że pojedzie jutro ze mną i dodał, że weźmiemy najlepszą kancelarię w mieście. Namawiałam go, byśmy najpierw wysłuchali adwokata przyznanego Grzegorzowi z urzędu, bo już rozmawiali ze sobą. On powie nam, jak Grzegorz się czuje, co sądzi o sprawie i szansach na obronę. A potem zobaczymy, co dalej.

Kiedy jestem czegoś absolutnie pewna, to jestem uparta i nawet mury nie byłyby w stanie mnie zatrzymać. Zawsze musiałam wszystkim udowadniać, że mam rację, a gdy się myliłam, to odpuszczałam. Parłam do przodu. Kiedyś poszłam do osoby, której już w życiu na oczy nie chciałam widzieć, ale musiałam się przełamać, by dowieść racji. Czasami nie było to takie proste i musiałam się nagłowić, by osiągnąć swój cel. Mój hart ducha czasem mnie przerażał. Czasem wolałam zalać się łzami, ponieważ płacz pomaga uwolnić się od nagromadzonych emocji, ale nie potrafiłam, bo w myślach miałam rozwiązanie problemu.

Zawiodłam się na rzekomo bliskich nam osobach. Było mi bardzo przykro, że choć Grzegorz pracował tam tyle lat, to żaden z wychowawców nie stanął w jego obronie. Chlubnym wyjątkiem była Dorota. Ona wierzyła w to, że Grzegorz był niewinny. Spotkała się ze mną kilka razy i mówiła, że zna te

dzieciaki i zna Grzegorza. Jemu uwierzyła od razu, ponieważ wie, że te dzieciaki są zdolne do wszystkiego. Ufa Grześkowi. Reszta opiekunów nie chciała się mieszać z obawy przed reakcją pani dyrektor ośrodka.

To tak bolało, że zostałam z tym wszystkim sama jak palec. Nikt mi nie pomagał, nawet Mariola odwróciła się ode mnie. Przysięgłam sobie, że będę walczyć o sprawiedliwość. Wszyscy uwierzyli zdemoralizowanym dziewczynkom. Uwierzyli dzieciakom.

Miałam głuche telefony kilka razy dziennie, ale ignorowałam je i odbierałam rozmowy tylko od mojej mamy albo rodziców Grzegorza, bo inni dzwonili tylko po to, by się dowiedzieć, co nowego w sprawie. Miałam dosyć.

PROCES

W poniedziałek rano cała byłam w nerwach. Przyjechała do mnie moja mama i oznajmiła, że nie pójdzie ze mną do sądu, ale zrobi porządek w moim mieszkaniu i ugotuje jakiś obiad, bo pewnie nic nie jadłam. Powtarzała tylko, że to się wyjaśni, że będzie dobrze. Bardzo mnie wspierała. Wiedziałam, że to nie takie proste i nie wypuszczą go tak od razu, ale miałam nadzieję, że ta pomyłka zostanie wyjaśniona do naszego ślubu i Grzegorz zdąży na ceremonię, która miała się odbyć za kilka dni. Przecież wszystko już gotowe, jeszcze tylko trzeba przygotować jedzenie. Mój tata kupił pół tuszy

wieprzowej, z której przygotował wędzone przysmaki i zamroził je. Czekaliśmy już tylko na nasz wymarzony dzień. Ludzie! Nie róbcie mi tego! Miałam wyjść za mąż, a tu co? Moja dusza łkała, ale nie pokazywałam tego po sobie. Założyłam maskę uśmiechniętej osoby, ale tak naprawdę bardzo cierpiałam.

W poniedziałek rano przyjechał po mnie pan Czesiu i pojechaliśmy do sądu. Nigdy przedtem tam nie byłam i gmach sądu zrobił na mnie okropne wrażenie. Staliśmy przed budynkiem i paliliśmy papierosy, gdy nagle podjechał radiowóz z ciemnymi szybami, z którego wysiadł Grzegorz pod eskortą policjantów. Zauważył mnie i pomachał mi, ale zaraz potem jeden z policjantów chwycił jego rękę i zakuł go w kajdanki, a następnie zniknęli za drzwiami sądu, a mi serce pękało na ten widok.

My weszliśmy głównym wejściem. Po chwili dołączył do nas mecenas Seweryn i przedstawił się. Spytałam go o szczegóły, ale zasłaniał się brakiem wiedzy i powiedział tylko, że Grzegorz został oskarżony o to, że w nocy dotykał trzy dziewczynki, ale o tym oskarżeniu już wiedziałam. Mecenas miał się dowiedzieć więcej i przekazać mi nowe informacje u niego w kancelarii.

Pan Czesio wziął mnie na bok i powiedział, że on musi wyjść na powietrze, bo źle się czuje, i poprosił żebym tu została, a on poczeka w samochodzie. Wiedziałam, że nie zniesie widoku własnego syna zakutego w kajdanki, więc obiecałam, że tu zostanę. Prosiłam go, że jeżeli będzie czuł się na siłach, to żeby przyszedł, by Grzegorz widział, że jego

ojciec go wspiera, i aby czuł, że się nie poddamy. Pan Czesiu wyszedł z sądu. Po pięciu minutach policjanci przeprowadzili Grzegorza przez długi korytarz i nakazali mu usiąść przed salą rozpraw. Przykucnęłam naprzeciw niego. Pan Seweryn zamienił z nim kilka słów, ale nie słyszałam o czym rozmawiali. Grzesiek wyglądał okropnie. Był zarośnięty, miał wystraszoną minę i wyglądał na załamane. Pokazywał mi co chwilę nadgarstki, na których były kajdanki. Pytał mnie, jak jego mama się czuje i jak to znosi. Zauważył, że jego taty nie ma obok mnie, a przecież niedawno widział go. Nagle do oczu podeszły mu łzy i łamiącym się głosem, jeszcze raz zapytał:

– Ana, gdzie jest tata?

– Spokojnie, poszedł zapalić, zaraz przyjdzie. Przecież wiesz, że pali. Wszystko będzie dobrze, zobaczysz.

– Wierzysz mi, że ja tego nie zrobiłem? Wierzysz mi?

– Tak, wierzę. Zobaczysz, będzie dobrze.

Grzegorz kiwnął tylko głową i powiedział mi przez łzy:

– Nie będzie dobrze, ale ty mi wierzysz. Ja tego nie zrobiłem.

– Jak to nie będzie dobrze? Tylko przesunę ślub, wyjdiesz i się pobierzemy, będzie dobrze.

Po chwili wszedł na korytarz ojciec Grzeška i uśmiechnął się do niego. Grzegorz od razu zagaił:

– Cześć tato, u was wszystko dobrze? Widzisz, tato co się porobiło, co dzieciaki mi zrobiły?

Więcej nie był w stanie nic powiedzieć, bo wezwali go na

salę rozpraw. Po trzydziestu minutach drzwi sali sądowej się otworzył i Grzesiek wyszedł na korytarz, ale nadal był skuty. Policjanci zaczęli go prowadzić korytarzem do wyjścia z sądu. Szybko zapytałam adwokata:

– Co się stało? Dlaczego jest nadal skuty? Co się dzieje?

Wiedziałam, że gdy dojdą do końca korytarza, już go nie zobaczę, a on mnie nie usłyszy, więc krzyknęłam głośno:

– Misiek, zobaczysz, wszystko będzie dobrze, wyciągnę cię!

Grzesiek nie był w stanie się zatrzymać, bo był prowadzony przez policjantów, więc odchylił tylko głowę do tyłu i uniósł przed siebie ręce skute w kajdanki. Taki obraz miałam w myślach przez długi czas. Gdy już zniknął mi z oczu, podeszłam do mecenasa i pana Czesia i powiedziałam:

– Nic nie zrozumiałam, o co tu chodzi, co się dzieje?

– Pan Grzegorz przyznał się podczas przesłuchania na policji. Teraz to odwołuje, ale sędzia nie bierze tego pod uwagę. Nie było mnie przy nim, gdy go przesłuchiwali, bo byłem w drodze na komendę. Policja ma swoje sposoby. Teraz został zatrzymany na trzy miesiące aresztu do wyjaśnienia sprawy. Przyjdzie pani do mnie jutro do kancelarii i porozmawiamy, dobrze? Teraz muszę uciekać.

Podał mi rękę i poszedł. Ja stałam jak osłupiała. Po chwili odezwałam się do pana Czesia:

– Jak to się przyznał?

A on spojrzał na mnie, podniósł ton i powiedział nerwowo:

– No czego nie rozumiesz? Złamali go! Nie rozumiesz?

Spojrzałam na pana Czesia. Nigdy nie widziałam go tak zdenerwowanego i stanowczego. Po chwili dodał:

- Nie wierzę! Na bank go złamali. Grzechu nie jest silny psychicznie. Pewnie mu coś obiecali, że wyjdzie i ten się durny tego złapał, tchórz jeden!

Zamurowało mnie i nie odezwałam się całą drogę do domu, a gdy weszłam na klatkę schodową i zobaczyłam stojącą w drzwiach moją mamę, która czekała na pozytywne informacje, pękłam i zaczęłam ryczeć. Nie mogłam się opanować, aż mnie to przerażało. Mama mnie tuliła i mówiła mi, że wszystko się ułoży i będzie dobrze. Głaskała mnie po głowie, jak małą wystraszoną dziewczynkę, której stała się krzywda. Powtarzała tylko:

- Nie płacz już, to nic nie da, córuś.

Byłam taka wściekła na Grześka, że nie walczył. Co z tego, że próbował zmienić zeznanie podczas rozprawy sądowej, skoro było już za późno? Sędzia otrzymała protokół z przesłuchania, na którym się przyznał, a to oznaczało kłopoty. Wiedziałam, że teraz ja muszę udowodnić wszystkim, że jest niewinny, bo przecież on nie może tego zrobić będąc w areszcie. Znałam placówkę, w której pracował, część pracowników i większość dzieciaków, a przede wszystkim znałam Grześka. Pamiętałam, co opowiadał mi o dzieciakach, jakie są naprawdę. Znał je wszystkie. Nie rozumiałam, dlaczego dziewczynki mu to zrobiły. Niektórzy z podopiecznych zachowywali się odpowiedzialnie, gdyż nie chcieli popełniać błędów swoich rodziców.

Pamiętam pięcioro rodzeństwa, których matce ograniczyli prawa rodzicielskie z powodu jej uzależnienia od alkoholu. Dzieciaki trafiły do Ośrodka Wsparcia, ale mogły odwiedzać matkę. Gdy bywały u niej z wizytą, ona nadal piła. Dzieciaki były już świadome tego, co będzie dalej, więc rozbiły wszystkie kieliszki w domu. Pilnowały i tłumaczyły jej, żeby tego więcej nie robiła, bo ich rozdziela. To okropne, jak role mogą się odmienić. Dzieci stają się opiekunami, a matka – podopieczną. To dzieci dbają o to, by nie nastąpiło rozbitcie rodziny.

Zastanawiałam się, jak mam pomóc bez znajomości prawa. Nikt mi nie chciał pomóc, a zamiast tego osoby z otoczenia Grzegorza wydzwaniały do mnie, by się dowiedzieć, na jakim etapie jest sprawa. Nawet rzekomo najlepszy przyjaciel Grzegorza wyciągał ode mnie informacje i rozgłaszał po wsi, że ma informacje z pierwszej ręki. Grzesiek miał kilku przyjaciół. Dwóch z nich – naprawdę oddanych – nie wierzyło w to, co się dzieje. Od razu wiedzieli, że to nieprawda. Jeden z nich – Romek – przyszedł do mnie, by zapytać co się dzieje. Zadzwoił jako pierwszy, gdy tylko usłyszał o tym w radio. Najpierw spytał mnie, czy chodzi o Grześka, a gdy potwierdziłam, to od razu powiedział:

– Ana, nie wierz w to, co gadają! Znam go od dziecka, on nie zrobił tego, to nieprawda. Wierz mi! Jak tylko znajdę chwilę, to przyjdę i porozmawiamy.

Kilka dni później odwiedził mnie. Byłam twarda, mówiłam mu, jakie czynię postępy i czego się dowiedziałam. Podczas rozmowy wyszłam na chwilę do kuchni, by zrobić coś nam do

picia. Rozmawialiśmy dalej, a raczej ja słuchałam, a on mówił. Nagle posmutniałam, a Romek to wyczuł i zajrzał do mnie do kuchni. Spojrzałam na niego ze łzami w oczach. Gdy to dostrzegł, rozkleiłam się i wybuchłam płaczem. Wtuliłam się w mocne ramiona przyjaciela mojego chłopaka i szlochałam jak dziecko. Potrzebowałam wypłakać się komuś w rękaw. Chciałam mieć pewność, że nie tylko ja wierzę w niewinność Grzegorza i że Romek będzie mnie wspierał. Gorzej było z Mariolą, wieloletnią przyjaciółką Grzegorza, gdyż okazało się, że w sporze z molestowaniem stanęła po stronie dziewczynek przekreślając całą znajomość. Strach pomyśleć, że miała być świadkową na naszym ślubie. Co prawda początkowo wspierała Grzegorza, ale potem odsunęła się od niego. Gdy wysłałam do niej smsa z prośbą o radę, odpisała mi:

– Ana, musisz mnie zrozumieć, ja ci już nie pomogę. Jestem matką i muszę chronić swoje dziecko przed takimi ludźmi, jak Grzegorz...

Czułam się tak, jakby to napisał zupełnie kto inny, a nie ona. W życiu bym się tego nie spodziewała, ale dostałam już tyle ciosów, że ona stała mi się obojętna. Napisałam jej list, w którym wyraziłam definicję przyjaźni i że jest mi przykro, że wmawia sobie coś, co nie jest prawdą; że pokazała swoją gorszą stronę zostawiając Grześka, gdy najbardziej na świecie jej potrzebował.

Kilka tygodni przed wniesieniem oskarżenia w Ośrodku Wsparcia doszło do nieporozumienia pomiędzy wychowawczyniami w kwestii użytkowania komputerów przez

wychowanków Ośrodka. Wychowawcy pełnią dyżury przy tych komputerach i pewnego dnia koleżanka przejmująca zmianę po Grzešku spytała, czy on odwiedza w pracy strony dla dorosłych w internecie. Grzegorz zaprzeczył i zastanawiał się, skąd jej to w ogóle przyszło do głowy. Koleżanka odparła, że zauważyła ostatnio na komputerze w historii przeglądarki WWW strony pornograficzne, ale nie wie dokładnie, ile razy ani w jakim czasie były przeglądane, bo to musiałby sprawdzić informatyk. Rozmowę prowadzili w pokoju wychowawców, gdzie stoją te komputery i akurat przy jednym z nich siedział chłopak ze starszej grupy i słyszał rozmowę wychowawców, a ponieważ był zorientowany w sytuacji, stwierdził, że takie strony odwiedza ośmioletnia Klara. Dziewczynka została poproszona do pokoju, gdzie przeprowadzono z nią rozmowę na ten temat. Klara przyznała się, że Roksana podała jej adres strony WWW dla dorosłych, na którą miała wejść. Wychowawczynie w efekcie zabroniły dziewczynkom zaglądania na takie strony, a potem zapomniano o całej sprawie. Gdy przypomniałam sobie o tym fakcie, dotarło do mnie, że dziewczyny już wtedy szykowały zasadzkę na Grzeška. Miały doskonale to zaplanowane. Wiedziałam, że wykorzystam ten fakt do obrony Grzegorza, i przekazałam tę informację mecenasowi.

Wieczorami pisałam na kartce dużego formatu listy do Grzegorza. Chciałam przekazać mu, że walczę o niego. Pisałam kratka pod kratką, by pomieścić jak najwięcej słów: o ślubie, że przesunę tylko termin, i o tym, że wszystko się ułoży. Nie mogłam o nic pytać, choć bardzo pragnęłam, by

podpowiedział mi jakieś istotne informacje. Próbowałam pisać szyfrem, ale nawet Grzesiek nie wiedział o co mi chodzi, więc przestałam. Nie mówiłam nic o sprawie, bo list mógłby nie przejść akceptacji recenzentów, dlatego zawsze na końcu dopisywałam:

Tego, kto czyta ten list, proszę, by dostarczył go jak najszybciej do mojego Grzeška, który czeka na wieści z utęsknieniem. Dziękuję.

Przez ten czas kontaktowałam się telefonicznie tylko z rodziną i z mecenasem Sewerynem. Od nikogo więcej nie odbierałam telefonów. Nienawidzę, gdy ludzie mówią, że daliby sobie za coś rękę obciąć, a potem okazuje się, że to nieprawda, a najgorsi są ci, którzy tak postępują bez mrugnięcia okiem i nie ponoszą za to żadnych konsekwencji. Zaczęłam tracić siłę do działania i wiarę, ale nie w niewinność Grzeška, tylko w to, że zdołam pokazać wszem i wobec, jaka jest prawda. Wtedy się modliłam i zbierałam siły. Coś mi podpowiadało:

Ana, dasz radę, pokażesz wszystkim.

Przeżyłaś wypadek, nie ma na ciebie mocnych.

Z opieką OJCA będziesz potrafiła wszystko.

Kilka dni później, gdy byłam w domu, około dziewiętnastej usłyszałam jakieś zamieszanie na klatce schodowej. Ktoś obcy szedł po korytarzu i słychać było szczekanie psów sąsiadów. Usłyszałam sąsiadkę wychodzącą z domu, a następnie pukanie do moich drzwi. Otworzyłam i ujrzałam trójkę funkcjonariuszy policji – dwóch mężczyzn i kobietę. Policjant wręczył mi nakaz przeszukania mieszkania

i zabrania przedmiotów, które mogą być użyte jako dowody w sprawie. Weszli do mieszkania i rozpoczęli czynności. Zajrzeli do szafek i szuflad. Policjantka przeszukała moją szufladę z bielizną. Zabrali dysk twardy z komputera i kilka płyt kompaktowych. W pewnym momencie zajrzeli do szafki Grzegorza z jego książkami i miniaturowymi modelami wozy bojowych. Zobaczyli czołgi i czasopisma militarne. Nie mogli się napatrzeć!



W ich oczach widziałam prawdziwą fascynację, niedowierzanie i podziw, że można mieć tak fantastyczne hobby.

Odezwałam się do nich z uśmiechem:

– Mogą panowie tylko patrzeć, nie wolno brać do ręki ani dotykać, bo ja nie będę odpowiadać za uszkodzenia.

Na szczęście policjanci zorientowali się, że nie mówiłam

tego na poważnie. Zachowywali się kulturalnie, a nawet żartowali. Nie czułam do nich niechęci, bo przecież wykonywali swoje obowiązki. Nie zostawili po sobie dużego bałaganu, a gdy wychodzili, jeden z funkcjonariuszy powiedział:

– Zobacz pani, wszystko się wyjaśni. Niech pani będzie dobrej myśli, powodzenia.

To było naprawdę miłe, dodało mi otuchy, że nawet funkcjonariusze służby policyjnej w to nie wierzą.

ADWOKAT

Jeżeli oskarżonego nie stać na adwokata, może ubiegać się o obrońcę z urzędu. Wtedy losowo wybierana jest kancelaria na terenie, na którym toczy się postępowanie. Zastanawiałam się, czy ten mecenas przyznany z urzędu da radę wybronić Grzegorza, czy raczej będzie trzeba opłacić innego adwokata. Mówi się, że wtedy człowiek bardziej przykłada się do swoich obowiązków.

Udaliśmy się w miejsce, jakie wskazał nam mecenas. Gdy dotarliśmy, nie mogliśmy uwierzyć, że to właśnie tu. To była bardzo znana kancelaria! Ponoć jedna z najlepszych i najdroższych. Łut szczęścia, choć z drugiej strony, od razu przeszło mi przez myśl, że to dzięki Opatrzności Bożej.

Po wejściu do budynku udaliśmy się do recepcji i podaliśmy powód naszej wizyty. Stamtąd skierowano nas do

odpowiedniego gabinetu. Idąc tam, czułam na sobie spojrzenia osób postronnych.

Rodzice Grzesia usiedli przy biurku, a ja stanęłam obok. Adwokat powiedział:

– Panu Grzegorzowi grozi od trzech do piętnastu lat więzienia. Nie mamy żadnej linii obrony, bo odbywał wtedy nocną zmianę, czyli był sam. Nie ma żadnych świadków, a w budynku nie ma kamer.

Mówił to bardzo oschle, jakby w złości. Unosił się, rzucał dokumenty przed nami. Byłam pewna, że przekreślił go już na starcie. Nie wytrzymałam i powiedziałam:

– Pan jest katem czy obrońcą? Wierzy pan, że to zrobił, tak? Udowodnię panu i wszystkim innym, że jest niewinny, że te gówniary coś sobie ubzdurały.

– Ja jestem po to, by go wybronić. Ale nie znam jeszcze tej sprawy dokładnie, bo nie mam dokumentacji z pierwszego przesłuchania.

Pan Seweryn nie był przekonany o niewinności Grzegorza, co dało się od razu wyczuć. Zupełnie jak wszyscy Grzegorza znajomi, a nawet kilku przyjaciół, uwierzyli płaczącej czternastolatce. Bolało mnie, że nikt z nich nie brał pod uwagę, że to może być intryga zaplanowana przez nastolatkę. Łatwo jest zniszczyć komuś życie, czasem wystarczy jedno słowo, a potem trzeba miesiące lub lat, by to słowo odwołać. Bywa, że ono żyje wiecznie, bo człowiek jest z nim skojarzony już na zawsze.

Mecenas czuł, że policja użyła sposobów mających skłonić

Grzegorza do przyznania się do zarzucanego mu czynu. Policjanci, którzy go przesłuchiwali, przez kilkanaście godzin wielokrotnie zadawali mu te same pytania, wciskali mu do głowy sugestie i przypuszczenia, doprowadzali do obłędu, aż go zaszczuli i w efekcie stracił pewność siebie. Grzegorz starał się myśleć o ślubie i przyjęciu weselnym, a wtedy użyli podstęp. W pewnym momencie jeden z policjantów powiedział:

– Przyznaj się teraz człowieku i wyjdiesz na wolność, będziesz odpowiadał z wolnej stopy i będziesz mógł wziąć ten ślub.

I wtedy Grzesiek postanowił zaryzykować i przyznał się, ale nie podał żadnych szczegółów, bo nie wiedział, co ma mówić. Tylko TAK i koniec. Po chwili uświadomił sobie, co zrobił. Mówił policjantom:

– Nie, ja tak nie mogę. Nic nie zrobiłem, tylko przez chwilę myślałem, że tak będzie lepiej, że wyjdę na ślub, ale nie mogę się przyznać do czegoś, czego nie zrobiłem, chcę zmienić zeznanie!

Ale mundurowi już go nie słuchali. Wstali i wyszli z pokoju przesłuchań. Grzesiek wrócił do pustej celi. Czuł, że spieprzył wszystko. Po prostu miał dość przesłuchiwania, miał dość wszystkiego i błagał, by ten dzień już się skończył. Dał się złamać, a teraz pragnął odwołać zeznania.

Potem pisał podania do sądu uzasadniające jego postępowanie w trakcie przesłuchania: że nie zastanawiał się, co będzie dalej i jakie konsekwencje poniesie, że nie miał siły przemyśleć tego, co powiedział, zanim to zrobił.

Decyzją sądu Grzegorz został umieszczony w areszcie śledczym na okres trzech miesięcy do czasu wyjaśnienia sprawy. Miał zakaz zbliżania się do Ośrodka Wsparcia.

Później mecenas wytłumaczył nam, że Grzegorz po przyznaniu się mógł opuścić areszt, ale dopiero po wpłaceniu kaucji w wysokości ośmiu tysięcy złotych. Natomiast gdyby trwał przy tym, że jest niewinny, byłby zamknięty w areszcie do końca trwania postępowania sądowego, czyli na trzy miesiące i bez możliwości wizyt i przepustek.

Bywałam w kancelarii kilka razy w tygodniu, a gdy nie mogłam stawić się osobiście, dzwoniłam. Zasugerowałam mecenasowi, aby zebrał informacje o przeszłości pokrzywdzonych, czyli tych trzech dziewczynkach. Nie znałam się na prawie, ale do głowy przychodziły mi pomysły i wnioski, które zaskakiwały mnie równie mocno, jak mecenas. Nie wiem, skąd mi się to brało, ale myślę, że to zasługa Nieba. To On mi podpowiadał.

Pamiętam, jak Grzegorz opowiadał mi o wychowankach ośrodka wsparcia, więc mogłam skojarzyć pewne wzorce postępowania i fakty z ich życia z zachowaniem rzekomo poszkodowanych dziewczynek. Ponadto rozmawiałam z byłymi mieszkańcami tego ośrodka, którzy wyrażali chęć pomocy, ponieważ znali te dziewczyny i wiedzieli, z jakich środowisk one pochodzą i jaką mają historię. Najmłodsza – Klara – już w wieku sześciu lat przyczyniła się do skazania dorosłego mężczyzny – konkubenta matki – na piętnaście lat więzienia za molestowanie seksualne nieletniej, a zatem to nie jest pierwszy jej występki. Zaś ta starsza –

czternastoletnia Roksana – mieszkała z matką w garażu i widziała na własne oczy matkę uprawiającą prostytucję, a także miała okazję uczyć się od niej, jak kobieta omamia mężczyzn.

Wkrótce potem mecenas poinformował mnie telefonicznie, że takie zdarzenia faktycznie miały miejsce w przeszłości obu dziewczynek. Nie znałam tej trzeciej dziewczynki.

Uzyskaliśmy dostęp do zeznań dziewczynek w sprawie Grzegorza. W tych zeznaniach panował straszny chaos, dziewczynki zrzucały winę wzajemnie na siebie. Jedna twierdziła, że ją dotykał, ale dwie pozostałe tego nie widziały, bo spały. Roksana im powiedziała, że do ich łóżek Grzegorz też podchodził. Dlatego szłam w zaparte, a te zeznania dodały mi wiary w sprawiedliwy wyrok. Ja – bez szkoły prawniczej – umiałam odkryć sens tych zeznań. Gołym okiem było widać, że to wszystko jest zmyślane.

Pod nieobecność mecenasa – akurat był poza miastem – pojechałam do placówki na spotkanie z panią dyrektor, do której miałam ogromny żal za to, że nie stanęła po stronie swego wieloletniego wzorowego pracownika, tylko po stronie dziewczynek, chociaż dobrze znała ich przeszłość i pochodzenie.

Gdy przychodziła mi jakaś myśl lub ewentualność, która mogłaby zaświadczyć o niewinności Grzegorza, nie czekałam, ale od razu przechodziłam do działania.

Na poddaszu placówki były mieszkania usamodzielnień dla osiemnastolatków ciągle będących jeszcze wychowankami. Grzegorz opowiadał mi, że mieszka tam chłopiec, z którym

mają czasem problemy. Kilka razy zdarzyło się, że wchodził na grupę w samej bieliźnie i niby w żartach dotykał koleżanek, za co obrywał w nos.

Drzwi oddzielające mieszkania na górze od wejścia na grupę były zamykane, lecz zamknięcie było uszkodzone i wychowankowie potrafili je otworzyć. Dlatego pojechałam do pani dyrektor, by udostępniła mi plan pięter placówki. Chciałam, by pan mecenas przedstawił sędziemu, że gdyby faktycznie okazało się, że tę czternastolatkę ktoś molestował seksualnie, to mógłby być każdy, kto przeszedł przez te uszkodzone drzwi. Pokój wychowawców był pierwszym pokojem po wejściu głównym do budynku, które było, rzecz jasna, na parterze, a pokój wychowawców na piętrze i aby dostać się do tego pokoju, trzeba było tylko wejść po schodach i skręcić w prawo. I właśnie tam Grzesiek spał tamtej nocy. Naprzeciwko tego pokoju były łazienki, a dalej, również po prawej stronie, dwa duże pokoje. Dwa pomieszczenia dalej mieszkała wspomniana już czternastoletnia Roksana. Za jej pokojem była kuchnia i drzwi ewakuacyjne – właśnie te uszkodzone.

Umówione z panią dyrektor spotkanie odbyło się w ściśle formalnej atmosferze, nikt się nie odezwał. Otrzymałam tylko plan budynku i wyszłam.

Musieliśmy zebrać pieniądze na wyciągnięcie Grześka z aresztu. Wszystkie fundusze, jakie udało się nam odłożyć z Grześkiem, wydaliśmy na nasze przyjęcie weselne i na moją suknię ślubną, a także kupiliśmy już część jedzenia, napoje, w tym alkohol. Karta płatnicza Grzegorza była

w portfelu, który spoczywał w depozycie w areszcie.

Grzegorz był odpowiedzialny w marcu, czyli w momencie jego aresztowania, za zakupy do Ośrodka. Polega to na zbieraniu zamówień na żywność, środki czystości itd., a następnie na zakupach i dostawach do Ośrodka. Należy brać faktury i rozliczać się z Ośrodkiem z każdej złotówki, w przeciwnym razie różnice są odliczane z pensji.

Grzegorz miał w portfelu część pieniędzy i faktur, które powinien był zwrócić do Ośrodka. Oprócz tego w domu były jakieś faktury, więc zebrałam je i wysłałam do Ośrodka, aby uniknąć potrąceń z wypłaty Grześka. Mimo to coś jeszcze zostało do rozliczenia, ale w zaistniałej sytuacji ciężko było to ocenić ze stuprocentową pewnością.

Kolejny problem to nieopłacone rachunki domowe. Potrzebny był dostęp do konta Grzegorza i szczęśliwie się złożyło, że na osiedlu otworzyli punkt obsługi klienta jego banku, więc udałam się tam w celu wykonania przelewów. Z pomocą przyszła mi młoda pracowniczka tego punktu i udało się wykonać wszystkie opłaty. Niestety nie wiedziałam, ile zostanie potrącone z wypłaty Grzegorza przez jego pracodawców i nie byłam pewna, czy wystarczy pieniędzy na wszystkie zobowiązania.

Dostałam informację od mecenasa Seweryna, że po dwóch tygodniach można wysłać Grzegorzowi paczkę do aresztu. Przesyłka była obwarowana szeregiem ograniczeń, więc musieliśmy się pilnować, by nie zwrócono nam przesyłki. Dlatego wysłałam mu tylko bieliznę, środki higieny, zeszyt oraz ciepłą odzież. Byłam szczęśliwa mogąc wysłać mu

paczkę, bo dałam mu odczuć, że myślę o nim i walczę o niego. Oprócz paczki można było również wysłać niewielki przekaz pieniężny na drobne wydatki w kantynie w areszcie.

Pisałam dużo listów do aresztu, ale nie wiedziałam, kiedy Grzegorz je otrzyma. Odpowiedzi przychodziły po około dwóch i pół tygodnia. Przy otwieraniu koperty serce mi waliło, siadałam na brzegu łóżka i czytałam ze łzami w oczach. Grzegorz pisał, że jestem dla niego ważna i że teraz bardzo potrzebuje mojego wsparcia. Nie wyobraża sobie, co teraz przechodzę w związku z jego sprawą. Nie mógł pisać o żadnych szczegółach dotyczących procesu, bo wtedy jego list mógłby nie przejść kontroli w areszcie i w ogóle bym go nie dostała. Grzegorz był świadom nagonki na mnie i jego rodzinę ze strony mediów, bo przecież to prawdziwa sensacja i smaczny kąsek dla dziennikarzy, którzy zresztą bez skrupułów nawiedzali i filmowali dom rodzinny Grzegorza, zagadywali sąsiadów o niego: jaki on jest, czy byłby zdolny do molestowania seksualnego nieletnich. Nawet zapytali o to jego mamę. Pytali, czy Grzegorz lubi małe dziewczynki lub jak ona znosi to, że jej syn być może jest pedofilem.

Brak słów na taką znieczulicę...

Widziałam nieraz dziennikarzy, ale żaden nie podszedł do mnie. Ciekawe dlaczego? Może wiedzieli, że nic dobrego nie czeka ich z mojej strony. Zastanawiałam się chwilami, co bym zrobiła takiemu delikwentowi. Może doszłoby do rękoczynów i jeszcze odpowiadałabym za napaść albo zniszczenie mienia? Nie, lepiej trzymać nerwy na wodzy

i ręce przy sobie.

A może oni sami nie wierzyli w to, o co pytali? Trudno powiedzieć.

Prokurator przez całe śledztwo nie zadawał żadnych pytań dwunastu świadkom powołanym przez nas. Byłam ciekawa dlaczego i spytałam o to pana Seweryna, na co odparł:

– I dobrze, niech się nie odzywa, lepiej dla nas.

Żyłam wyłącznie sprawą Grzegorza i nie mogłam znaleźć sobie miejsca w domu. Notowałam wszystkie fakty i sprawy powiązane z oskarżeniem, które tylko przyszły mi do głowy, a potem formułowałam z nich pytania, które adwokat mógłby zadawać świadkom podczas procesu sądowego. Dowiedziałam się, że prokuratura nie zadawała żadnych pytań, ponieważ miała asa w rękawie, czyli przyznanie się do winy, a w Polsce prawo zabrania powtórnego przesłuchiwanie poszkodowanych. Dlatego sąd i obie strony procesu sądowego kierowały się przez cały czas zeznaniem dziewczynek oraz zeznaniem Grzegorza przyznającego się do zarzucanego mu czynu. Mieliśmy dostęp do zeznań poszkodowanych i wiedzieliśmy, jak bardzo są zagmatwane i niespójne. Zachodziliśmy w głowę, jakim cudem sąd może traktować poważnie takie brednie. Myślałam sobie:

– Boziu, przecież gdy to przeczyta rozsądny człowiek, to od razu stwierdzi, że to wszystko jest zmyślane. Jedna zwała na drugą, ta nie widziała, bo spała, ale koleżanka jej powiedziała, że ona widziała, że nad nią stał... Czytając te zeznania pokładałam nadzieję w sędzi, która lepiej ode mnie rozumie zawłość takich sytuacji i ma doświadczenie

w rozróżnianiu prawdy od kłamstwa. Nawet czułam, że prawda i rozsądek będą górą i doprowadzą do wyroku uniewinniającego. Poza tym liczyłam mocno na to, że wszyscy znajomi Grzeška, którzy odwrócili się od niego, zrozumieją, że zachowali się skandalicznie i małostkowo. Jednocześnie przekonałam się, że Grzegorz ma również prawdziwych przyjaciół – takich, których *poznaje się w biedzie*.

Staraliśmy się załatwić pieniądze na kaucję dla Grzegorza. Pan Czesiu zdecydował się wziąć kredyt gotówkowy na ten cel, ale trzeba było czekać na decyzję i przelew pieniędzy na konto. Pochwaliłam się mamie tą wieścią, a ona z kolei powiedziała o tym mojemu bratu Orłowi, który akurat siedział przy niej. Orzeł natychmiast zaproponował, że pożyczy nam pieniądze i nawet zaraz może zrobić przelew. Z początku nie chciałam, skoro pan Czesiu już złożył wniosek kredytowy, ale ostatecznie skorzystałam z pomocy brata. Wpłaciliśmy pieniądze na kaucję i dowiedzieliśmy się, że Grzegorz wyjdzie nazajutrz po śniadaniu.

Pojechałam z panem Czesiem do zakładu karnego już około ósmej rano, by odebrać Grzegorza. Czekaliśmy na niego aż do czternastej trzydzieści, a w międzyczasie nikt nie był w stanie powiedzieć nam, o której go wypuszczą, a nie chcieliśmy odchodzić nawet na chwilę, by nie ryzykować sytuacji, w której on wychodzi, a nas nie ma. To mogłoby bardzo źle na niego wpłynąć.

Co dwie i pół godziny otwierała się brama zakładu i ktoś wychodził, ale to wciąż nie był Grzegorz. W końcu wyszedł

i on i zaczął się rozglądać nerwowo na boki. Zachowywał się jak wystraszone zwierzę. Krzyknęłam do niego:

– Misiek!

Przybiegł do mnie, rzucił się w moje ramiona i zaczął płakać ze szczęścia, że go wypuścili. Cały się trząsał. Po chwili usiadł na ziemi obok samochodu i powiedział:

– Ana, wierzysz mi? Ja bym nigdy tego nie zrobił, nigdy! Wierzysz mi, prawda?

Uspokajałam go:

– Gdybym nie wierzyła, nie walczyłabym. Uspokój się już, będzie dobrze. Chodź już, jedźmy stąd, jedźmy do domu.

– Nie! Musimy pojechać najpierw w jedno miejsce!

– Dokąd?

– Zobaczysz.

Pojechaliśmy tam, dokąd nas pokierował. Adres miał w głowie. Gdy dotarliśmy na miejsce, powiedział do mnie:

– Ana, chodź ze mną.

Zapukaliśmy do drzwi i po chwili w drzwiach ukazała się dorosła kobieta, a za nią chłopak w wieku około dwudziestu pięciu lat. Grzegorz zapytał, czy tu mieszka pan taki a taki. Kobieta zareagowała nerwowo:

– A o co chodzi?

Grzesiek odpowiedział, że ma informacje od tego pana, a kobieta zaczęła krzyczeć:

– Dajcie nam spokój! Nic wam nie powiemy! Zostawcie nas w spokoju!

Chłopak towarzyszący kobiecie zareagował spokojnie. Kazał kobiecie wrócić do środka, po czym wyszedł przed próg i zamknął drzwi. On i Grzegorz odeszli ode mnie na kilka kroków i rozmawiali przez chwilę. Chłopak co chwilę dosłownie łapał się za głowę słuchając tego, co Grzegorz miał do przekazania. Zaczął powtarzać:

– Matko, przecież to niemożliwe!

Potem podali sobie ręce. Chłopak wyraźnie dziękował Grześkowi za informacje.

Gdy wracaliśmy do samochodu, Grzegorz opowiedział o dwóch mężczyznach z aresztu, którzy również zostali zatrzymani za podejrzenie molestowania seksualnego. Jednego z nich własna córka oskarżyła o to, że ją dotyka w nocy, a zrobiła to z zemsty. Drugi – starszy pan w wieku sześćdziesięciu ośmiu lat – nie bardzo wiedział, co tu robi. Miał wszczepione bypassy. To był właśnie członek rodziny, którą przed chwilą odwiedziliśmy. Miał przy sobie – jak każdy osadzony w areszcie – akt oskarżenia, więc Grzegorz dowiedział się z tego dokumentu – tym samym informując samego oskarżonego – że został oskarżony przez nastolatkę o dotykane jej miejsc intymnych. Wspomniana dziewczyna wyprowadzała pieska tego pana na spacer, gdyż sam nie był w stanie. On dawał jej pięć złotych za każdy spacer, a gdy skończyły mu się pieniądze, powiedział jej, żeby już nie przychodziła. Dziewczynie to się nie spodobało, więc powiedziała w szkole, że była dotykana przez niego, a reszta historii jest identyczna, jak w przypadku Grzegorza: przyszła policja i wyprowadziła dziadka z domu nie podając przyczyny.

Grzegorz – będąc jeszcze w celi – zobowiązał się, że po wyjściu pojedzie do rodziny tego pana i powiadomi ją, gdzie on przebywa i dlaczego tam trafił.

Gdy wróciliśmy do domu, Grzegorz nie był w stanie się uspokoić. Chodził po pokoju w tę i z powrotem, był bardzo niespokojny. Wyglądał okropnie. Głowę miał niedbale wygoloną, a na twarzy miał spory zarost. Powiedział, że w celi dostał maszynkę i polecono mu ogolić sobie głowę, więc zrobił to tak, jak umiał. Jak widać – nie umiał.

Zajęłam się praniem jego ubrań, które przywiózł ze sobą z aresztu. Jego ubrania po prostu śmierdziały i były bardzo brudne. Gdy przeglądałam ubrania przed włożeniem do pralki, natrafiłam na mały notes, w którym był zapis tego, co i kiedy robił w celi. Schowałam go, żeby nie płoszyć Grzegorza i żeby później zajrzeć do niego po kryjomu.

Grzegorz nagle spał się cały i zgarbił, gdy usłyszał kroki na klatce schodowej. To była tylko sąsiadka. Uspokoilaam go:

– Już dobrze, jesteś w domu.

Wieczorem Grzesiek był już spokojniejszy, wziął kilka książek ze swojej biblioteczki i poszedł z nimi do sypialni, a ja – korzystając z okazji – zajęłam się jego notesem, ale ostrożnie, żeby nie zauważył, że go czytam.

Jego notes stał się barierą ochronną przed popadnięciem w obłęd. Grzegorz zapisywał w nim każdy dzień pobytu w zakładzie karnym. Zaczynał tuż po przebudzeniu, potem dodawał jakieś notatki po południu i na koniec dnia – przed zaśnięciem. Opisywał celę, w której przebywał: wymiary cztery na sześć metrów, dwa łóżka piętrowe.

Minęło dużo czasu, zanim zaczęłam pytać Grzegorza o to, co się działo, gdy był zamknięty w zakładzie. Nie był zbyt wylewny, mówił kilka zdań na dany temat, a resztę dopowiadałam sobie z tego, co wyczytałam w notesie. Nie chciałam, by zorientował się, że zaglądałam do notesu, więc ciągnęłam go trochę za język, żeby pokazać, że nie wszystko rozumiem.

Grzesiek mówił, że czasem ktoś podchodził do drzwi ich celi i zaglądał do środka przez wizjer. Nie był strażnik, bo strażnicy pukali w drzwi celi i wywoływali osadzonych po nazwisku. Zdarzało się, że inni więźniowie stukali w rury i krzyczeli do niego i pozostałych osób z jego celi, ale nie chciał mi powiedzieć, co to były za krzyki. Mówił tylko: nieważne. Domyślałam się, że to było coś w rodzaju *czekamy na wasze gorące dupeczki*. Pod prysznicę chodzili całą czwórką pod eskortą strażnika.

W notesie były również notatki na mój temat – głównie pytania, np. ciekawe, co Ana teraz robi? czy Ana myśli o mnie? co ze ślubem? czy Ana się odezwie?

W pewnym momencie przeżyłam szok, bo na jednej z kartek było napisane:

nie chcę już żyć, tak będzie lepiej

Napisał to jeszcze przed otrzymaniem pierwszego listu ode mnie, zatem jego notatki miały wtedy bardzo pesymistyczny ton. Myślał wówczas, że nie poradzi sobie beze mnie, że jestem jego całym światem i nie będzie umiał żyć normalnie wiedząc, że jestem z kimś innym. Jego życie straciło sens i zaczął myśleć, że będzie lepiej dla mnie i dla jego rodziców,

jeżeli nie będzie go z nami. Chciał zniknąć, żeby nie robić nam wstydu. Miał świadomość tego, że nikt nie wierzy w jego niewinność i nie wiedział, jak ma udowodnić, że nie zrobił niczego złego. I w efekcie skupił się na tym, jak ma popełnić samobójstwo, ale nie zanotował tego. Był tylko wpis:

to już dziś

a następnie kilka pustych kartek, jeżeli nie liczyć dat na początku stron. A potem nagle euforia! Dostał list ode mnie i życie odzyskało sens! Notatki nabrały kolorytu, bo już wiedział, że walczę o niego oraz że ja i jego rodzice wspieramy się wzajemnie.

Jeżeli chodzi o moje listy do niego, to pisałam do niego codziennie, ale on dostawał je po kilka naraz co kilka dni.

Grzegorz spędził w areszcie trzydzieści osiem dni. Ostatniego dnia nad ranem został przywołany przez strażnika do drzwi. Strażnik poinformował go:

– Ubieraj się i spakuj swoje rzeczy, bo wychodzisz.

W pierwszej chwili Grzegorz nie dowierzał:

– Co? Jak to?

Strażnik odpowiedział krótko:

– Została wpłacona kaucja, wychodzisz. Pakuj się.

W tym momencie Grzegorz popłakał się ze szczęścia. Współwięźniowie złożyli mu gratulacje, następnie wyszedł z celi i po zakończeniu stosownych procedur opuścił teren zakładu, przez którym czekaliśmy na niego.

Krótko potem spotkaliśmy się z mecenasem Sewerynem w celu ustalenia dalszych kroków w procesie Grzegorza.

Udało się nam doprowadzić do powtórnego przesłuchania dziewczynek, ale tym razem przez psychologa sądowego, ponieważ sąd dopatrzył się niejasności w ich zeznaniach. Pojawiła się iskierka nadziei.

Stawiliśmy się w sądzie w wyznaczonym terminie na przesłuchanie kolejnego świadka i oczekiwaliśmy na korytarzu przed salą rozpraw, gdy nagle Grzegorz zauważył jedną z poszkodowanych dziewczynek – Klarę – wraz z opiekunką, które przyszły na przesłuchanie. Ja nie znałam tej kobiety, ale Grzegorz – tak. Zwrócił się do mnie:

– O co tu chodzi? Zobacz, mała Klara tam stoi.

Opiekunka i Klara podeszły do Grzegorza, po czym ta pierwsza spytała, co dalej ma robić. Grzegorz zaproponował, żeby weszła na salę rozpraw i zadała sędzi to samo pytanie. Ja w tym samym czasie bacznie obserwowałam zachowanie Klary wobec Grześka i byłam zszokowana, bowiem dziewczynka była całkiem spokojna, a w dodatku przywitała się z Grzegorzem mówiąc *Dzień dobry*.

Opiekunka weszła do sali i powiedziała, że przyszła z małoletnią poszkodowaną. Sędzia podniosła głos:

– Co to ma znaczyć? Przecież to dziecko nie powinno tu być! Proszę mi pokazać wezwanie.

Opiekunka podała sędzi dokument. Sędzia zrozumiała, w czym problem. Otóż na skutek pomyłki na wezwaniu podano numer tej samej sali, do której nas wezwano. Sędzia skierowała kobietę z dziewczynką do właściwej sali, gdzie czekała na nich psycholog sądowa. Po tej turze przesłuchań sąd pierwszej instancji wyznaczył termin i miejsce rozprawy

końcowej. Byłam szczerze przekonana, że zapadnie wyrok uniewinniający Grzegorza i z tą myślą czekałam niecierpliwie na ten dzień. Byłam podekscytowana i czekałam, żeby zobaczyć, jak miny rzędną tym wszystkim, którzy uwierzyli tym małym aktoreczkom, a nie Grzegorzowi. Myślałam również o rekompensacie dla Grzegorza za to, co go spotkało.

Podczas rozprawy końcowej czekałam na korytarzu, aż zostanie ogłoszony wyrok. Chodziłam niespokojnie w tę i z powrotem i gdy tylko Grzegorz z mecenasem wyszli z sali, podbiegłam do nich i zapytałam:

– I jak, Misiek? Jaki jest wyrok? Uniewinnili cię? Przeprasili?

Grzegorz i mecenas spojrzeli na mnie z zakłopotaniem. Zapytałam z niecierpliwością:

– I co? Mówcie!

Grzegorz przekazał mi treść wyroku: dwa lata pozbawienia wolności w zawieszeniu na cztery lata oraz zakaz wykonywania zawodu z osobami poniżej osiemnastego roku życia.

Nie wierzyłam w to, co usłyszałam. Jak to możliwe? Dlaczego go nie uniewinnili? Mieliśmy dowody na to, że on nic nie zrobił. Wykazaliśmy, że zeznania dziewczynek to brednie i zмова. Straciłam wiarę w sąd i jego moc wymierzania sprawiedliwości.

Przepisy prawa podane w uzasadnieniu wyroku były dla mnie niezrozumiałe. Mecnas tłumaczył mi je wielokrotnie,

ale jego słowa nie docierały do mnie, bo czułam się skrzywdzona i oszukana. Powtarzałam w kółko:

– Jak można uwierzyć dzieciakowi? Jak gówniara mogła być lepsza od dorosłych i wykształconych ludzi?

Stałam jak wryta. Czułam się, jakby ktoś dał mi w twarz.

Mecenas postanowił odwołać się od wyroku do Sądu Okręgowego. Poinformował nas, że to może potrwać co najmniej miesiąc, a do tego czasu będzie dostępny pod telefonem, gdyby coś ważnego się wydarzyło. Następnie pożegnał się z nami i odszedł.

Chciałam trzymać się jak najdalej od wymiaru sprawiedliwości, zniechęciłam tę instytucję. Z drugiej strony miałam nadzieję, że Sąd Okręgowy zbada wszystko bardziej wnikliwie, niż ten, który zignorował późniejsze zeznania i dowody przedstawione w trakcie procesu. Udowodniliśmy, że dwie dziewczynki – Olga i Klara – kłamały. A Roksana – najstarsza z całej trójki – powiedziała młodszej, że widziała, jak przy jej łóżku stał ktoś i że zidentyfikowała go jako Grzegorza. Młodsza dziewczynka powtórzyła to jako swoje zeznanie, ale sąd odrzucił je traktując to jako wymysł dziecka, za to nadal wierzył w słowa Roksany, więc trzeba było jeszcze podważyć jej wersję w sądzie drugiej instancji.

Zachodziłam w głowę, dlaczego to nas spotkało. Pomyślałam nawet, że Roksana była zakochana w Grzegorzu i na wieść o naszym ślubie po prostu jej odbiło. Albo – jak już wcześniej podejrzewałam – ktoś włamał się przez zepsute drzwi na piętrze. Tak czy inaczej, teraz nie pozostało nam nic innego, jak tylko czekać.

ŚLUB

Nową datę ślubu wyznaczyliśmy na 18 kwietnia 2009. Miałam już Grzegorza przy sobie, więc teraz mogliśmy w końcu się pobrać. Niestety zdążyłam już oddać suknię ślubną. Powiedziałam, że mój narzeczony miał wypadek i zwrócono mi koszty. Przepadła też sala bankietowa i dorożka. Lista gości się skurczyła. Ostatecznie ślub był kameralny: my, nasi rodzice i rodzeństwo w niepełnym składzie. Świadkami byli mój brat i moja przyjaciółka Małgorzata. Przyjęcie ślubne zrobiliśmy u nas w mieszkaniu. Byli obecni mój brat Orzeł z synkiem Kapim i Benitą – jego narzeczoną, Hiena, Donatan i Wiewióra z narzeczonym Andreyem. Zabrakło Chojraka z rodziną, Zybiego i siostry Grzegorza, która musiała już wrócić do Hiszpanii kilka dni wcześniej. Ciepłe dania przygotowałam ja z mamą, teściowa upiekła ciasta, a Benita zrobiła piękny tort. Nasze przyjęcie trwało kilka godzin, a potem goście wrócili do siebie.

Smutno mi, że moje marzenie o ślubie w białej sukni nie spełniło się, ale przecież jesteśmy już małżeństwem i powinniśmy skupić się na przyszłości. Poza tym żal mi, że zostało przekreślone wszystko, czego Grzegorz dokonał w swoim życiu: studia pedagogiczne, nienaganna praktyka zawodowa, pełne zaangażowanie w pracę z podopiecznymi.

PRYWATNE ŚLEDZTWO

Postanowiłam poszukać dowodów niewinności Grzegorza we własnym zakresie. Zauważyłam, że Roksana ma własny profil na portalu społecznościowym, na którym miała kilka albumów zdjęć, z których jeden był niepubliczny. Zaczęłam się zastanawiać, co tam trzymała. Postanowiłam sobie:

– Już ja cię inaczej załatwię.

Przejrzałam konta powiązane z jej kontem i postanowiłam utworzyć osobę, z którą Roksana będzie chciała się zaznajomić i wymyśliłam modela o imieniu Seba. Seba ma dwadzieścia sześć lat, mieszka w Kanadzie i pochodzi z Gorzowa, dlatego czasem przyjeżdża w odwiedziny. Zdjęcia do jego profilu znalazłam w internecie. Po prostu wybrałam kilka fotek jednego przystojniaka i dorzuciłam kilka zdjęć samego torsu innej osoby zbliżonej sylwetką do tego pierwszego. Następnie zaczęłam nawiązywanie znajomości rozsyłając zaproszenia do dziewczyn w wieku od czternastu do dwudziestu lat. Myślałam, że to nie będzie proste, ale efekty przerosły moje najśmielsze oczekiwania. Dziewczyny akceptowały moje zaproszenia jak oszalałe, a do tego polecały Sebę swoim koleżankom. Pytały go:

– Co u ciebie? Kiedy będziesz w Polsce? Umówimy się?

Jedna z nich była taka napalona, że wysłała swoje nagie zdjęcia. W ciągu czterech dni miałam, tzn. Seba miał swoim profilu dziewięćdziesiąt dziewczyn, a oprócz tego znalazło się kilku chłopaków, np. model – też Sebastian – który chciał się

zaprzyjaźnić.

Nadszedł czas na wysłanie zaproszenia do Roksany, która przyjęła zaproszenie na drugi dzień, a kolejnego dnia dała dostęp do swojego albumu niepublicznego. Gdy zobaczyłam, jakie zdjęcia tam trzyma, złapałam się za głowę! Na zdjęciach była w bieliźnie lub topless i wszystkie zdjęcia były robione przez nią samą *od góry*, aby podkreślić piersi. Na zdjęciach były widoczne daty wykonania. Szybko wydedukowałam, że zostały zrobione w okresie, gdy Grzegorz przebywał w zakładzie karnym. Wydrukowałam te zdjęcia i zaniiosłam do mecenasa. Czekałam, aż przyjdzie i w międzyczasie zaczepiłam kogoś innego pokazując mu zdjęcia:

– Wiem, że pan nie zna mojej sprawy, ale niech pan spojrzy na to. Co pan widzi? Co pana zdaniem ta dziewczyna próbuje osiągnąć?

– Są to zdjęcia, które mają kusić.

Bardzo ucieszyła mnie ta odpowiedź. Roksana na pewno to chciała osiągnąć i opinia obcego człowieka jest tego dowodem. Wkurzała mnie ta aktorka, a najgorsze było to, że wszyscy jej wierzyli. Cieszyłam się, że udowodnię, że otoczenie było w błędzie. Mecenas też był zadowolony, gdy zobaczył te zdjęcia, ale nie omieszkał spytać, skąd je mam, więc odparłam, że z jej profilu na portalu społecznościowym. Dodałam, że uzyskałam dostęp do tych zdjęć poprzez konto chłopaka koleżanki.

KŁOPOTY Z PRACĄ

Grzegorz stanął przed koniecznością znalezienia pracy, bo z poprzedniej został zwolniony dyscyplinarnie, a przecież trzeba było za coś żyć, zrobić opłaty, zapłacić ratę kredytu mieszkaniowego, a także ratę kredytu przeznaczonego na przyjęcie weselne. Nie chciał bez końca pożyczać pieniędzy od rodziców, którzy i tak pomagali nam finansowo na każdym kroku. Ja wówczas opiekowałam się Dawidem, za co Krystyna płaciła mi czterysta złotych miesięcznie, ale to było dalece za mało, aby związać koniec z końcem. Od Krystyny też czasem pożyczałam pieniądze, a ona potem odliczała sobie moje pożyczki od tego, co mi płaciła za opiekę nad jej synkiem. Któregoś razu poinformowałam ją, że w końcu będę musiała znaleźć stałą pracę za większe pieniądze, bo już nie dawałam rady finansowo, ale ona na szczęście to rozumiała i była na to przygotowana. Grzegorz nie mógł znaleźć pracy, bo albo ogłoszenie było nieaktualne albo nikt nie odbierał telefonu podanego w treści, więc zaczął jeździć do rodziców i pomagał im, żeby nie zwariować z braku zatrudnienia. Na szczęście kredyt mieszkaniowy był ubezpieczony na wypadek braku dochodów, więc nie mieliśmy pętli na szyi.

Pewnego dnia przyszła do nas Krystyna i oznajmiła, że nasze osiedlowe przedszkole prowadzi nabór dzieci i chce zapisać Dawida, ale jej meldunek właśnie stracił ważność, a konkubent teściowej nie chce ich zameldować u siebie. Spytała, czy możemy zameldować ich pod naszym adresem, a my się zgodziliśmy i zameldowaliśmy ich na rok. Opiekowałam się Dawidem jeszcze przez miesiąc, a po

południu wracała Krystyna i wtedy spędzałyśmy razem czas opowiadając sobie wzajemnie o zabawnych sytuacjach. Uwielbiałam ją.

Któregoś dnia przyszedłam do niej i zastałam ją w tak doskonałym nastroju, że aż skakała z radości. Spytałam:

– Co się stało? Wygrałaś w totka?

– Jeszcze lepiej. Spełnią się moje marzenia. Otwieramy kwiaciarnię!

Dodała, że kolega powiedział jej, że obok niego jest lokal do wynajęcia za małe pieniądze. Akurat zbliżał się Dzień Zaduszny, a to doskonały okres dla kwiaciarni. Krystyna miała znajomości wśród dostawców hurtowych kwiatów, ponieważ pracowała w zawodzie florysty około pięciu lat. Wynajęła ten lokal, zamówiła kwiaty i dodatki i przygotowała piękne wiązanki, a trzeba przyznać, że miała do tego talent. Przez kilka miesięcy interes się kręcił, ale potem ruch zmalął. Wtedy Krystyna przysłała do mnie w marnym nastroju:

– Muszę znowu wytrzymać te kilka dni, zaraz znowu będzie szął, a teraz muszę porobić opłaty i mam tylko dwa dni, żeby zebrać kasę. Ana, weźmiesz mi pożyczkę? Tylko pięć tysięcy. Ja będę płacić raty sama, obiecuję ci na grób matki. Widziałaś, że dobrze mi idzie, więc za dwa miesiące spłacę ci wszystko, ok?

Zgodziłam się, bo jej wierzyłam. Była mi bliższa niż własna siostra. Nie miałam powodu jej nie wierzyć, w końcu pomagałyśmy sobie wzajemnie. Wiedziałam też, że bardzo dobrze sobie radzi w kwiaciarni, więc wzięłam ten kredyt – dokładnie pięć tysięcy trzydzieści pięć złotych. Krystyna

czekała na mnie w samochodzie przed bankiem, więc wręczyłam jej gotówkę i powiedziałam, że wezmę tylko tę końcówkę – trzydzieści pięć złotych.

Krystyna pojechała na pocztę i zrobiła opłaty. Później – zgodnie z obietnicą – opłaciła pierwszą ratę kredytu, który dla niej wzięłam, więc nie przejmowałam się.

Napisałam Grzegorzowi CV, ale musiałam pominąć trzy lata pracy w Ośrodku Wsparcia, by nie wzbudzać podejrzeń. Wpisałam przebieg edukacji: nauka stolarstwa, potem studia licencjackie i magisterskie, o ile dobrze pamiętam.

Grzegorz znalazł pracę w zakładzie stolarskim blisko domu, więc nie musiał się martwić o dojazd do pracy. Zatrudnił się na pełny etat, a czasem miał nadgodziny. Praca była ciężka, a warunki pracy dość trudne, ponieważ zakład nie był ogrzewany, a Grzegorz pracował tam od października do grudnia. Nie było szatni ani stołówki. Ciężko mu było przestawić się z pracy wychowawcy na pracę stolarza, który dźwiga ciężkie deski, ale nie miał innego wyboru. W tej firmie pensje były wypłacane dziesiątego dnia miesiąca, więc dostał pierwszą wypłatę za dziesięć dni na czas i do ręki, więc nabrał zaufania. Potem było już tylko gorzej. Grzegorz liczył, że w kolejnym miesiącu dostanie przyzwoitą pensję biorąc pod uwagę pełny miesiąc pracy wraz z nadgodzinami, ale gdy nadszedł termin wypłaty, pracodawca nawet nie poruszył tematu, a gdy pracownicy upomnieli się o swoje pensje, odparł, że ma inne wydatki. Potem twierdził, że musi pojechać do bankomatu, ale już nie wrócił. Przez kolejne dni również unikał wypłacenia należnych pensji, a przy tym

nawet śmiał się pracownikom w twarz. Wkrótce przed zakładem pojawili się byli pracownicy tej firmy, którzy również czekali na zaległe wypłaty. Właściciel okazał się niewypłacalny, więc Grzegorz udał się do Inspekcji Pracy ze skargą i jednocześnie złożył pozew do Sądu Pracy o nakaz wypłaty zaległych pensji wraz z odsetkami. Sąd orzekł nakaz wypłacenia świadczeń, którzy trafił do komornika sądowego. Był to trzydziestokilkuletni mężczyzna o solidnej posturze. Poznałam go, gdy poszłam osobiście do jego kancelarii z informacją, że firma, która zalega z pensjami, nadal istnieje, i poprosiłam, aby udał się na miejsce i postraszył właściciela firmy. Komornik odparł:

– Niech pani pójdzie do domu. Jutro podejść do tej firmy i zbadam sytuację, a potem dam pani znać.

Czekałam tydzień, ale komornik się nie odezwał, więc odwiedziłam stronę internetową tej firmy i zauważyłam, że oferuje sprzedaż i wynajem maszyn i części zamiennych. Wkurzyłam się, bo komornik nie robił nic, by zająć te maszyny. Ponownie poszłam do kancelarii komornika i z irytacją pytałam o postępy w sprawie, na co komornik oznajmił, że wysłał do właściciela firmy nakaz zapłaty i czeka na odpowiedź. Nie wytrzymałam i zakpiłam z niego w obecności jego koleżanki, choć pewnie nie powinnam była tego robić. Oprócz tego poleciłam mu wejść na stronę internetową firmy, żeby zobaczył, co firma aktualnie oferuje i jak bardzo nie przejmuje się faktem, że zalega z pensjami. Komornik powtórzył tylko kwestię z pismami i oczekiwaniem na reakcję przedsiębiorcy, wobec czego postanowiłam wejść

mu na ambicję:

– Ten facet nie boi się sądu, w ogóle nie przejął się nakazem zapłaty, więc pana też się nie przestraszy. Groźnie pan wygląda, ale i tak pan mu nic nie zrobi.

Komornik milczał, więc poszłam za ciosem:

– Nie zajął pan maszyny, którą ten gość wystawił na sprzedaż. Ta maszyna na pewno jest bardzo droga. Dlaczego pan jeszcze tego nie zrobił?

Tym razem odezwał się starając się zachować twarz:

– Zapewniam panią, że na pewno to sprawdzę. Może mnie oszukał? Jeżeli to prawda, to złamał zakaz i odpowie za to.

Moja wizyta podziałała, bo po kilku tygodniach zaczęły spływać na konto Grzegorza zaległe pieniądze, ale i tak do dzisiaj nie odzyskał całości. Pozostałe zaległości zostały przekazane do innej kancelarii komorniczej.

PRZYDROŻNY BAR

Znalazłam w gazecie ogłoszenie pracy w barze, więc zadzwoniłam pod wskazany numer i umówiłam się na spotkanie u nas w domu, jako że ogłoszeniodawca był akurat w Gorzowie. Pan Marek – tak miał na imię autor ogłoszenia – opowiedział, jak wygląda praca w jego barze, gdzie pracownikami byli członkowie rodziny, którzy przestali dawać sobie radę w obliczu rozpoczynającego się sezonu letniego. Zatrudnił u siebie mnie i Grzegorza.

Praca w barze była dla nas na tamten czas doskonałym rozwiązaniem. Pracowaliśmy po dwanaście godzin dziennie. Wychodziliśmy z domu rano i wracaliśmy późnym wieczorem, więc nie mieliśmy czasu myśleć o tym, przez co przeszliśmy. Na jakiś czas mogliśmy się wyłączyć, choć wiedzieliśmy, że wkrótce będziemy ponownie przez to przechodzić, gdy wyznaczą nam termin rozprawy w Sądzie Okręgowym. Do tego czasu nie było to dla nas ważne. Grzegorz pracował jako barman, a ja – mając rentę powypadkową – mogłam wykonywać tylko lekką pracę. Pan Marek przestrzegał przepisów prawa pracy, więc pomagałam w kuchni albo pobierałam opłaty do toalety.

Naszym miejscem pracy była restauracja przy aktualnej trasie S3. Można w niej było napić się kawy, zjeść ciepły posiłek, a największą atrakcją były zwierzęta: kozy, osły, indyki, gęsi, króliki i chyba coś jeszcze. Codziennie odwiedzało nas mnóstwo ludzi. Pan Marek – właściciel – miał głowę do interesów. Kierowcy autokarów mogli zjeść za darmo lub za niewielką opłatą w zamian za to, że przywozili dziesiątki głodnych pasażerów.

Były też upusty dla funkcjonariuszy Policji. Właściciel twierdził, że widok policjantów działał odstraszająco na złodziei. Nie byli wynajęci przez pana Marka, ale bywali tam często, a złodziej, który chce okraść obiekt, najpierw sprawdza teren.

My cieszyliśmy się, że jesteśmy razem cały czas, choć bywało tak, że widywaliśmy się tylko podczas dwóch przerw przez cały dzień. Bardzo się zżyliśmy z całym personelem.

Z właścicielami: panem Markiem i jego żoną, panią Elą, panią Babcią, panem Tadeuszem oraz synem Piotrem. Od rana do wieczora byliśmy jedną rodziną. Czułam się tam cudownie: w lesie, daleko od zgiełku i problemów. Zostawialiśmy nasze małe piekło w mieście i jechaliśmy do małego rajku. Tam nawet nie było zasięgu sieci komórkowych, więc dosłownie odcięliśmy się od miasta. Grzegorz pracował tam dziewięć miesięcy, a ja siedem. On tam odżył i naprawdę uwielbiał tę pracę. Było ciężko, ale za nikogo nie brał odpowiedzialności.

Było tam wspaniale. Typowo górską chatką, oczko wodne wyłożone białymi kamyczkami, bardzo dużo kwiatów i ogólnie zieleni. Mała dolinka wokół lasu. Przed barem na tarasie stało osiem stolików z ławkami. Na terenie restauracji był bardzo duży parking. I mieli nawet miejsce dla VIPów.

Pewnego dnia, gdy siedziałam przy stoliku przy wejściu do łazienek, zorientowałam się, że w moim kierunku idzie ktoś znany. Byłam przekonana, że to pan, który prowadził teleturniej w telewizji. Spojrzałam na niego i powiedziałam:

– Ja pana znam, pan lotto.

Zauważyłam tylko uśmiech na jego twarzy. Podał mi rękę i przedstawił się jako Igor, a potem pobiegł szybko do toalety. Pomyślałam sobie:

– A nie Daniel?

Siedziałam i tak sobie myślałam, że przecież tamten ma inaczej na imię. Po chwili zobaczyłam, jak wybiega z toalety, ale tak szybko, jakby się czegoś wystraszył. Okazało się, że biegł do swoich kolegów, którzy siedzieli przy stoliku dla specjalnych gości, żeby opowiedzieć im o sytuacji, jaka

spotkała go poznając mnie. Kilka tygodni później oglądałam w telewizji Kabareton, a dokładnie skecz znanej grupy kabaretowej, w którym opowiadali o pewnej młodej dziewczynie, która pilnowała swój talerzyk – taki manager. Spotkało to Igora w trasie, sytuacja miała miejsce w jakimś przydrożnym zajeździe. Kurczę, przecież oni mówili o mnie! Myślałam, że się ze śmiechu popłaczę, ale wstyd! Potem opowiadałam o tym znajomym. Nawet napisałam do managera zespołu, że gdy będą w moim mieście, to chociaż niech załatwi mi darmowy bilet i wejściówkę za kulisy. Dostałam odpowiedź, że oni nie wiedzą, kto się zajmuje sprzedażą biletów, ale serdecznie zapraszają. No i tyle z mojej sławy.

Ogólnie było w tej pracy dużo zabawnych sytuacji, np. któregoś dnia siedziałam *na kibelkach* – bo tak nazywaliśmy siedzenie przed toaletami i pobieranie opłat za skorzystanie z nich – i nagle podeszła pani lekkich obyczajów. Po wymowie wywnioskowałam, że pochodzi z za wschodniej granicy. Powiedziałam do niej:

– Toaleta płatna 1 zł.

na co ona do mnie:

– Ja musieć teraz szybko, zaraz doniesie.

Zgodziłam się. Kobieta załatwiła potrzebę, wyszła, podbiegła do koleżanki stojącej przy barze, po czym wróciła z garścią pełną monet:

– Wybierze sobie pani, bo ja nie znać ile to. Ja znać tylko, ile to stówa.

Miała pełną garść pięcio-, dwu- i jedno złotych, więc wybrałam jedno złotówkę, a potem kobieta odeszła.

Innym razem przyjechało trzech górali. Zaspokoili głód i pragnienie, przyszli do mnie i zaczęli śpiewać góralskie piosenki donośnym i niskim głosem, aż zwrócili na siebie uwagę i wzbudzili ogólną wesołość. Opowiadali też różne historie i co chwilę mówili *ino roz*.

Każdego wieczoru – na koniec pracy – pomagałam panu Tadeuszowi zebrać wszystkie zwierzęta na noc do zagrody. Zaganialiśmy każde na swoje miejsce, a ile śmiechu było przy tym! Kozy się rozbiegały, osioł ani myślał ruszyć się z miejsca albo gęsi syczały na mnie i uciekałam przed nimi.

Pewnego dnia dostałam telefonicznie propozycję pracy na posadzie sprzątaczkii w firmie pracy chronionej. Miałam pracować na obiekcie Enka, gdzie miałabym sprzątać hale i biura. Zdecydowałam się wziąć tę posadę. Oczywiście poinformowałam o mojej decyzji właścicieli baru, w którym jeszcze pracowałam, ale na szczęście zrozumieli to. Poza tym cały bar miał być wkrótce zrównany z ziemią z uwagi na plany przeprowadzenia nowej drogi szybkiego ruchu. Cały dobytek miał być zniszczony i żadne pisma nie pomagały w zmianie planów. Co prawda mieli dostać odszkodowanie, ale i tak serce pękało na samą myśl. Zatem na pożegnanie usiedliśmy sobie wszyscy i wzajemnie podziękowaliśmy sobie za wspólne chwile. To są cudowni ludzie i zasługują na to, by jeszcze raz podziękować każdemu z osobna: panu Markowi, pani Eli, Piotrkowi, panu Tadeuszowi, paniom kucharkom, paniom kelnerkom, Natalii, Magdzie, Asi, Dorotce, Agnieszce,

Izie, Markowi i drugiej Magdzie, a także innym, których imion już teraz nie pamiętam. Ta praca i to miejsce pozostanie na zawsze w moim sercu. To był nasz Azyl.

ENKA

Rozpoczęłam nową pracę. Pojechałam na umówienie miejsce, zostałam wprowadzona na obiekt. Była to wielka hala produkcyjna z biurami. Gdy to wszystko zobaczyłam, powiedziałam do siebie w myślach:

– Panie, bądź przy mnie, bym dała radę.

Pracowałam w części produkcyjnej jako sprzątaczką. Na jednej zmianie były dwie kobiety i gdy jedna z nas sprzątała na hali i w szatniach, to druga w tym czasie sprzątała biura. Tam poznałam Wiolettę, która stała się moją najlepszą przyjaciółką, oraz starszą panią, na którą mówiliśmy babcia Kazia. Babcia Kazia panicznie bała się sprzątać biura, ponieważ w jednym z nich pracowała na wysokim stanowisku bardzo obcesowa kobieta. Można nawet powiedzieć, że ta kobieta nękała babcię Kazię. Była tak wredna, że gdy piła kawę i coś skapnęło na biurko, przykrywała to papierami. Babcia – jako sprzątaczką – nie miała prawa dotykać dokumentów, więc nie dotykała, a przez to nie sprzątała wszędzie, tylko tam, gdzie się dało. Następnego dnia do naszej przełożonej sływała skarga telefoniczna:

– Jest brudno, niesprzątnięte, syf. Są włosy nie

sprzątnięte, kurz na wysokich meblach.

Takie skargi stały się obsesją tej kobiety, więc ciągle miałyśmy kontrole. Gdy babcia miała w harmonogramie pracy sprzątnięcie biur, prosiła tę drugą, by obsługiwała biura. A kobieta z biura też się czepiała tej drugiej, ale już mniej. Gdy zamieniłam się z babcią Kazią na miejsca, dowiedziałam się, która to osoba i w którym biurze pracuje, tj. na które biuro muszę zwrócić szczególną uwagę. A ja – nie przejmując się zbytnio – robiłam swoje i nawet czekałam na skargę by móc jej wygarnąć, co o tym wszystkim myślę. Szczerość jest moją zaletą. Nie wstydzę się niczego i mogę rozmawiać na każdy temat, a także potrafię cierpliwie tłumaczyć i wyszukiwać właściwe argumenty.

Atmosfera była naprawdę super. Pracownicy nie dali mi odczuć, że jestem *tylko sprzątaczką*. Człowiek jest człowiekiem i nie jest ważne, że w szkole był prymusem albo jaki dyplom uzyskał czy jak wysokie stanowisko obejmuje. Urodził się tak samo, jak ja i tak samo chodził do przedszkola, a potem podstawówki. Dopiero potem pojawiają się różnice w edukacji, ale nadal jest człowiekiem, jak i ja. Z natury rzeczy jesteśmy wszyscy tacy sami.

Pracowałam w tej firmie trzy miesiące, bo nie przedłużyli mi umowy o pracę. Powodem była likwidacja firmy sprzątajacej, ale moja przełożona – pani Jola – nie miała serca tak po prostu dać mi pójść na bruk, bo polubiła mnie od samego początku współpracy. Nota bene, to właśnie ona przyjeżdżała tłumaczyć się ze wszystkich skarg składanych na nas. Jest bardzo atrakcyjną kobietą i faceci oglądają się za

nią. Gdy miała mnie poinformować o zakończeniu współpracy ze mną, najpierw skontaktowała się ze znajomym z innej firmy pracy chronionej i załatwiła mi posadę sprzątaczkę w Domu Pomocy Społecznej. Zatem pożegnałam się z dotychczasowymi współpracownikami, ale spotkała mnie przykrość, gdy chciałam pożegnać się z Wioletką, bo na wieść o moim odejściu obraziła się na mnie i uciekła przede mną do szatni. Pierwszy raz spotkałam się z taką reakcją i odchodząc miałam łzy w oczach. Później mi przeszło, a poza tym ona w końcu odezwała się do mnie, bo stęskniła się za mną.

ALEKS

Dostaliśmy pismo z Sądu Okręgowego z wyznaczoną datą sprawy: za trzy tygodnie od dnia wysyłki wezwania.

Była sobota. Byłam w domu i nagle usłyszałam jakieś hałasy na klatce schodowej. Wyszłam zobaczyć, co się dzieje i okazało się, że sąsiadka się wyprowadza, ale najbardziej zaskoczyło mnie to, kogo zobaczyłam w ekipie przeprowadzkowej. To był jeden z wychowanków Grzegorza. Gdy tylko mnie zobaczył, od razu podszedł do mnie i powiedział:

– Dzień dobry pani Ano. To wy tu mieszkanie?

– Tak.

– Czy jest pan Grzegorz? Muszę się pilnie z nim zobaczyć, to ważne!

- Jest w pracy i przychodzi późno, więc skoro to takie ważne, to może powiem mu i umówicie się za kilka dni, jak będzie miał wolne?

- Nie, muszę jak najszybciej się z nim zobaczyć. To ja zostawię pani mój numer telefonu i gdy tylko wróci pan Grzegorz, niech do mnie zadzwoni jeszcze dzisiaj i powie mi, kiedy możemy się spotkać, dobrze?

Podał mi swój numer i zakończył:

- Muszę już iść. Będę czekać na telefon. Do zobaczenia.

Widać było po nim, jak bardzo ucieszył się, że odnalazł swojego byłego wychowawcę, a jego stanowczość wskazywała na ogromną wagę tego, co chciał przekazać Grzegorzowi.

Aleks był bratem trzynastoletniej Olgi - jednej z poszkodowanych w procesie sądowym. Po tym spotkaniu przypomniałam sobie, jak przychodziłam do Ośrodka i niektóre dzieciaki próbowały swatać mnie z Grzegorzem, a na niego mówiły *ojciec* i chwaliły go przede mną za jego dobroć i obecność zawsze, gdy był potrzebny. Aleks traktował Grzegorza jako prawdziwego przyjaciela i zawsze, gdy odwiedzałam Ośrodek, przychodził i zagadywał mnie.

Gdy Grzegorz wrócił zmęczony z pracy, opowiedziałam mu o zaskakującym spotkaniu. Powiedziałam, że Aleks bardzo się ucieszył, gdy mnie zobaczył i dowiedział się, gdzie mieszka Grzegorz. Grzesiek podsumował:

- Pewnie nowy wychowawca, który przejął moje obowiązki, nie radzi sobie z nimi. Dzieciaki muszą się do niego przekonać, a to nie jest dla nich łatwe. Znowu mają

przerąbane.

Rozumiałam, co miał na myśli, bo wiedziałam, że nie wszystkie tamtejsze dzieciaki są okrutne. Podałam Grześkowi telefon z numerem Aleksa:

– Dzwon, bo on czeka na wieści od ciebie, kiedy możecie się spotkać.

– Może powiem, żeby przyszedł jutro, bo Michał chciał przejąć moją zmianę i mam jutro wolne.

– No dobra, niech przyjdzie na dwunastą.

Wybrał więc numer, nawet nie było jeszcze słycać sygnału, a Aleks już odebrał, tak jakby czekał z telefonem w ręku. Zastanowiło mnie to:

– Kurczę, to naprawdę musi być dla niego ważne! Ciekawe, co się stało?

Aleks przyszedł nazajutrz dwadzieścia minut przed czasem. Mówił, że nie mógł już dłużej czekać. Zrobiłam coś do picia i przysłuchiwałam się rozmowie. Grzegorz zaczął pytać Aleksa: jak tam w szkole? Jak w domu? Jak siostry sobie radzą? Aleks odpowiadał skrótowo:

– Dobrze, jest ok.

Czułam, że nie o tym chciał mówić. Niosąc kawę skarciłam męża:

– No daj mu mówić, widzisz, że już nie wytrzymuje.

Usiadłam obok nich i zachęcałam:

– No to mów Aleks. Co cię tak trapi? Z czym sobie nie radzisz?

a on od razu zaczął:

- Panie Grzegorzu, Ja widziałem tamtej nocy, jak to się stało.

Wtrąciłam się:

- Jak to? Nie rozumiem.

Byłam zaskoczona, że wracamy do tamtej sprawy, a Grzesiek mnie zrugął:

- Ana! Nie odzywaj się, daj mu mówić.

Aleks zaczął:

- Była noc, już było ciemno. Obserwowałem pana i czekałem, aż pan zaśnie, bo chciałem pójść zapalić sobie papierosa, bo zasnąć nie mogłem. Chciałem w łazience zapalić. Widziałem, że pan położył się na dyżurce, przykrył kocem na łóżku przy otwartych drzwiach, tylko czekałem kiedy będę mógł wyskoczyć. Jak byłem pewien że pan śpi poszedłem na przeciwko pokoju nauczycielskiego do łazienki, zapaliłem papierosa przy uchylonym oknie i wróciłem do siebie. Nic się nie działo na korytarzu, nikogo nie było, była cisza jak zawsze. Jeszcze spojrzałem na zegarek, było bardzo późno.

Na to ja:

- To dlaczego nie powiedziałaś o tym wychowawczyniom od razu, jak było to całe zamieszanie?

a on na to:

- Jak to nie? Powiedziałem wychowawczyni, ale nikt nie chciał mnie słuchać, odpychali mnie. Miałem się nie wtrącać. Fakt, nie powiedziałem, że czekałem aż pan Grzegorz zaśnie, by pójść na papierosa bo bym wkopał samego siebie.

Mówiłem, że widziałem, jak pan Grzegorz położył się spać.

Zapytałam go:

- Słuchaj, mamy za kilka dni sprawę w Sądzie Okręgowym. Czy powiedziałbyś to, co teraz nam powiedziałeś?

- Tak, oczywiście.

DRUGI PROCES

Ustaliliśmy że skontaktuję się z mecenasem i będziemy w kontakcie. Dodałam, że cieszę się, że w końcu nas znalazł i nie jest jeszcze za późno. W poniedziałek zaczynałam nową pracę na obiekcie DPS, ale pierwszego dnia pracowałam krótko, bo to tylko miał być dzień wprowadzający, a właściwą pracę miałam zacząć od wtorku. Zatem po południu miałam czas, by spotkać się z mecenasem Sewerynem. Zadzwoiłam do niego i umówiliśmy się, że będzie na mnie czekać w kancelarii. Nie wytrzymałam i podzieliłam się z nim informacją o nowym świadku. Mecenas ucieszył się, że mamy kogoś takiego. Podczas spotkania uzgodniliśmy, że lepiej będzie dla nas, jeżeli zgłosimy naszego świadka bezpośrednio przed rozprawą, bo dzięki temu strona przeciwna nie będzie przygotowana. Liczyliśmy na to, że nikt nie będzie wiedział o Aleksie i o tym, co ma do powiedzenia. Do tej pory sąd opierał się na zeznaniach poszkodowanych, a teraz pozna nową wersję zdarzeń z tej samej nocy i to z ust naocznego

świadka. Miało się okazać, kto kłamie. Byłam pełna nadziei, że może Sąd Okręgowy stwierdzi, że żaden ze świadków nie powiedział, że *Grzegorz to zrobił czy byłby w stanie to zrobić*.

Z tego, co słyszałam i przeczytałam w internecie, jeżeli w zeznaniach nie ma konkretnych dowodów lub zeznań na potwierdzenie czy odrzucenie winy oskarżonego, wtedy to, co wynika z treści zeznań, przechodzi na stronę odpowiednio poszkodowanego lub oskarżonego, czyli na przykład zeznanie *Nie widziałam, ale jestem pewna, że tego nie zrobił* powinno przejść na korzyść oskarżonego, że jednak nie mógłby dopuścić się zarzucanego mu czynu. Mieliśmy mnóstwo takich zeznań, jak również innych dokumentów wskazujących na niewinność Grzeška. Walczyliśmy tylko z zeznaniami dziewczynek, a sąd pierwszej instancji uznał, że dwie poszkodowane zmyślają, zaś jedna – najstarsza Roksana – jest prawdomówna. Ja uważam, że to chore, ale mieliśmy jeszcze szanse na sprawie odwoławczej, a teraz dodatkowo mieliśmy twardego świadka, który widział, że Grzegorz śpi. Przecież śpiąc nie mógł chodzić po korytarzu.

Rozprawa została wyznaczona na godzinę jedenastą. Na rozprawie stawiłam się ja, Grzegorz i jego tata – pan Czesiu. W sądzie był już obecny pan Seweryn. Aleks też dotarł.

Byłam przekonana, że w końcu wszystko się wyjaśni, bo mamy świadka, który może potwierdzić niewinność Grzegorza.

Mecenas Seweryn spisał dane personalne Aleksa i rozprawa się rozpoczęła. Wezwali Grzegorza i pana mecenas na salę. Po pięciu minutach wrócili do nas. Pan

Seweryn poinformował nas, że złożył sędziemu ustną prośbę o przesłuchanie nowego świadka, na skutek czego musieli wyjść z sali rozpraw, by sędzia z dwoma ławnikami mogli się naradzić, czy dopuścić świadka. Ja chciałam wejść na salę, by osobiście zapoznać się z treścią wyroku. Pan mecenas powiedział:

– Dobrze, wejdzie pani jako wolny słuchacz.

Ale gdy mecenas to powiedział, pan Czesiu źle się poczuł. Nagle zrobiło mu się słabo. Zapytałam, czy wszystko w porządku, na co odrzekł:

– Muszę się napić.

Podalam mu moją butelkę z napojem, bo bez tego nigdzie się z domu nie ruszam. Pan Czesiu powiedział do mnie:

– Ana, ja nie wejdę, nie wytrzymam tego. Jest mi słabo, to nerwy, idź ty, a ja tu poczekam.

– Ja też zostanę, przecież pana na korytarzu samego nie zostawię. Zostaje, koniec, kropka!

Dałam znak mecenasowi, że zostaję na korytarzu. Otworzyły się drzwi do sali, wyszła kobieta i powiedziała, że proszeni są na salę. Pan mecenas spojrział na mnie i na pana Czesia i już wiedziałam, że nie wejdę. Poinstruowałam Aleksa:

– Będzie dobrze, powiedz tylko prawdę.

Uśmiechnął się do mnie i weszli razem z mecenasem i Grzegorzem do środka. Pełna nadziei czekałam i po dziesięciu minutach z sali wyszedł Aleks. Był zdenerwowany i zawiedziony. Zapytałam go szybko:

- Co się stało?

- Jaki zrabany ten sędzia! Nie pytał mnie, jak to było, tylko pytał mnie o głupie rzeczy.

- O co cię pytał, mów!

- Czy oprócz wychowanków Ośrodka Wsparcia może wejść ktoś inny na grupę i korzystać z komputera? Przecież to nie jest takie ważne, tak?

Gdy to usłyszałam, to myślałam, że zwariuje. O co tu chodzi? Sędzia zwariował?

Po chwili z sali wyszedł mecenas z Grzegorzem. Zapytałam mecenasa:

- O co tu chodzi, do cholery?

- Wyrok sądu pierwszej instancji został podtrzymany i uprawomocni się po czternastu dniach.

- Ale dlaczego? Dlaczego nie pytał go o rzeczy, które są najważniejsze dla sprawy?

- Nie wiem. Zadawałem pytania dotyczące pana Grzegorza, pan Aleks odpowiadał, ale jak pani widzi, to nie pomogło.

Po chwili otwierają się drzwi od sali i wyszedł sędzia przewodniczący z innymi osobami. Rozmawiał z ławnikiem:

- I właśnie zaczął mi się zasłużony urlopik. No teraz tylko odpoczywać.

Gdy to usłyszałam, pomyślałam, że podbiegnę do niego, pociągnę go za rękaw i powiem mu, co myślę o jego decyzji i prawie. Jak można być sędzią i grać tak, jak mu zagrała małolata? Dorosły facet, prawnik, który przysięgał, że będzie

sprawiedliwie orzekał wyroki na podstawie dowodów zebranych w sprawie, a zamiast tego on myśli o bujaniu się na hamaku. Ale byłam wściekła! Jezu! Myślałam, że zacznę się na niego drzeć i wyzywać go! Ale nie mogłam wydusić z siebie słowa, nie mówiąc już o tym, że stałam jak wryta, a w głowie miałam mętlik i setki pytań: co jeszcze możemy zrobić, do kogo i co pisać. W tym momencie Grzegorz złapał mnie za rękę i powiedział:

– Chodź Ana, to już koniec.

Nie mogłam myśleć normalnie, szłam po schodach jak otepiąta, odebrało mi dech, chciałam płakać, ale nie byłam w stanie. Wyszliśmy na zewnątrz, pan Czesiu uciekł do samochodu, mecenas coś jeszcze mówił do Grześka, a potem spojrzał na mnie i powiedział:

– Zrobiliśmy już chyba wszystko. Widzi pani, nawet dołączyłem zdjęcia, jakie pani mi dała, a sędzia powiedział, że teraz wszystko można graficznie zrobić, dając mi do zrozumienia, że są podrobione. Gdybym się sprzeczał, byłoby jeszcze gorzej. No nic, ja muszę już uciekać. Do widzenia państwu i powodzenia.

Podał rękę i poszedł. Grzegorz powiedział:

– Chodź, Ana.

i ruszył w kierunku parkingu, gdzie pan Czesiu w samochodzie dopalał papierosa. Wsiedliśmy do samochodu, milczeliśmy przez chwilę, po czym odezwałam się:

– Napiszemy pismo do Sądu Najwyższego albo pójdę z tym do gazety.

Grzegorz obrócił się do mnie i z uniesionym głosem odpowiedział:

– Uspokój już się Anka, nigdzie nie będziesz pisać, mam dosyć! Chcę o tym wszystkim zapomnieć, zrozumiałaś! Docień to w końcu do cholery!

Zapadła cisza i ruszyliśmy do domu. Od tamtej pory nie mówiłam już o sprawie. Zrozumiałam, że mamy tak chore państwo, że sprawiedliwość się nie liczy. Dziecinada wygrała. Trzeba było żyć dalej. Było mi tylko przykro, dlaczego Bóg pozwolił na to, skoro tak walczyliśmy. Ale zaraz miałam w głowie odpowiedź:

– Może ktoś naprawi ten świat?

Wróciliśmy do domu, ale nie byliśmy w stanie o tym rozmawiać. Po raz pierwszy tak bardzo się zawiodłam. Dotąd wierzyłam w sprawiedliwość sądu. Aby zostać sędzią, należy ukończyć studia prawnicze, a następnie odbyć aplikację ogólną i aplikację zawodową zakończoną egzaminem sędziowskim. Są to dobrze wykształceni ludzie. No właśnie: ludzie. Mając swój rozum muszą oceniać, co jest prawdą, a co kłamstwem. Tu zostało obronione kłamstwo, a przegrała prawda. I kto wygrał? Zdemoralizowane dwie dziewczynki i jedna dobrze odgrywająca swoją rolę. Nie wiem, co chciała tym osiągnąć. Przypuszczam, że albo była zakochana w swoim wychowawcy – tak, jak prawie każda dziewczyna w jej wieku – i nie chciała dopuścić, by się ożenił ze mną. Albo chciała na początku wzbudzić zainteresowanie swoją osobą, ale to posunęło się za daleko, więc już nie mogła się wycofać i brnęła w to. Albo poczuła zawiść – uczucie znacznie

silniejsze niż zazdrość. Brałam też pod uwagę to, że może naprawdę była ofiarą molestowania, lecz to nie był Grzesiek, a osoba, która włamała się niepostrzeżenie. Chociaż z drugiej strony...Te fotki, które robiła sobie w trakcie procesu... Przecież skrzywdzona osoba tak się nie zachowuje. Zwracałam szczególną uwagę na to, co wówczas mówiła i jak się zachowywała wobec mnie. Wiem, że nie lubiła mnie i dawała mi to odczuć. Bez mojego pozwolenia zapisała sobie mój prywatny numer telefonu, a potem w godzinach nocnych puszczała mi sygnały z zastrzeżonego numeru. Gdy przychodziłam do placówki, inne dzieciaki przybiegały, żeby przywitać się ze mną, a ona trzymała się na dystans. Czekałam, aż mi zaufa, i wiedziałam, że to potrwa. No i doczekałam się tego, że ją znienawidziłam.

Nadal nie wierzę, że wszyscy dali się nabrać tej gówniarze. Dyrektor Ośrodka i wychowawcy, sędziowie Sądu Rejonowego i Okręgowego...

Jedna dziewczyna – jako jedyna w jego miejscu pracy w owym czasie – życzyła nam dobrze. To była Alicja. Szczuplutka, rudowłosa, bardzo sympatyczna, miła, zabawna. Lubię ją do dziś. Ale orzekający mieli inne przypuszczenia. Oni chyba kierowali się tylko tym, że zabłyszczą w społeczeństwie. Pokażą, że sprawują pieczę nad dziećmi.

Przez kilka kolejnych dni biłam się z myślami, że zawiedli mnie ludzie, w których wierzyłam. Wtedy postanowiłam skoncentrować się na czymś pozytywnym. Zwykle tak robię, gdy nachodzą mnie czarne myśli: szukam tych pogodnych, pozytywnych, a te złe odpycham na bok i staram się o nich

zapomnieć. Tym razem skupiłam się na nowej pracy i na tym, co mam do zrobienia. Ale nie przypuszczałam, że nowa praca to miejsce w równym stopniu pogodne, co tragiczne.

DOM POMOCY SPOŁECZNEJ

Zostałam przeniesiona na DPS, czyli Dom Pomocy Społecznej. Pracowałam na oddziale osób starszych, gdzie był oddział otwarty i zamknięty. Na oddziale zamkniętym byli pacjenci, którzy potrzebowali stałej opieki, a także osoby chodzące, ale ze schorzeniami, które wymagały uwagi. Po przeciwnej stronie był oddział otwarty, którego pacjenci mogli wychodzić na zewnątrz, oczywiście za zgodą personelu medycznego.

Pamiętam swój pierwszy dzień w tym miejscu. Wprowadziła mnie koleżanka. Wiedziałam mniej więcej, jak może wyglądać praca przy chorych osobach, bo babcia Jasia chorowała na Alzheimera i była już starszą kobietą. Gdy weszłam na oddział, koleżanka wystukała kod dostępu i powiedziała do mnie:

– Poczekaj, zaraz wrócę, a ty zamknij drzwi i na nowo wprowadź kod, żeby go zapamiętać.

Zatem powtórzyłam czynność kilkakrotnie, po czym weszłam na oddział i rozejrzałam się wokół, by poukładać sobie w głowie, co gdzie jest i jak się poruszać po oddziale. Zauważyłam wtedy troje pacjentów, którzy patrzyli na drzwi

w oczekiwaniu na swoje rodziny. W pewnym momencie podeszła do mnie starsza kobieta – pani Terenia. Chwyła mnie za rękę i głaszcząc mnie, powiedziała:

– Proszę cię, zabierz mnie stąd, ja nie chce tu być. Oni mnie tu biją, proszę cię zlituj się. Będiesz miała ze mną dobrze, zobaczysz, będę grzeczna.

Jezu! Gdy to usłyszałam, łzy same popłynęły mi z oczu, a w gardle poczułam kluchę. Automatycznie pomyślałam:

– Boże, a może jej naprawdę tu się krzywda dzieje? Jest tu tylu pacjentów, że pielęgniarki nie zdołają upilnować każdego z osobna. Ale co ja mogę zrobić? Przecież do domu nie wezmę. Boże gdzie ty mnie dałeś, serce mi pęknie. Ja nie chcę tu być, już nie chcę!

Zauważyła to siostra Wioleta. Podeszła do pani Tereni i powiedziała:

– Tereniu, wszystko będzie dobrze. Wkrótce przyjdzie twój synek w odwiedziny, idź do siebie i poczekaj tam na niego.

Pani Terenia skierowała się do swojego pokoju, powtarzając w kółko słowa pielęgniarki:

– Przyjdzie, zaraz przyjdzie, mój Januś przyjdzie.

Byłam przerażona. Wioleta to zobaczyła i oznajmiła:

–Dopiero tutaj zobaczysz, co to znaczy starość i porzucenie przez rodzinę.

Ale ja już zobaczyłam...

Przysięgam sobie, że w życiu nie pozwolę, by ktoś trafił do takiej ziemskiej samotni, Boże uchron! Obym nigdy nie była w takiej sytuacji, że będę zmuszona oddać kogoś z rodziny

w takie miejsce, lecz rozumiem, że zdarzają się sytuacje bez wyjścia i wtedy lepiej jest oddać kogoś pod stałą opiekę, niż samemu zostawić w domu takie duże dzieci. Jaki ten los potrafi być okrutny.

Zaczynałam pracę od szóstej rano lub wcześniej, zależnie od tego, o której dotarłam do pracy tramwajem. Tak wczesna pora podyktowana była potrzebą doprowadzenia do porządku sali zabiegowej, bowiem każdego ranka po śniadaniu była potrzebna lekarzowi do przyjmowania pacjentów. Jeżeli dodamy do tego czas potrzebny na dojazd do pracy, okaże się, że trzeba wstać o czwartej trzydzieści. Ale dzięki temu o trzynastej wychodziłam z pracy.

Kolejne moje obowiązki to sprzątanie pokoi pacjentów, w których znajdowały się dwa łóżka, dwie szafki oraz duża szafa. Każdy pokój miał łazienkę z muszlą klozetową, umywalką i kabiną prysznicową. Oprócz tego sprzątałam korytarze, stołówkę oraz pokój pielęgniarek i dużą łazienkę z dźwigiem do unoszenia pacjentów z ograniczoną sprawnością ruchową.

Jeździłam do pracy jeden przystanek autobusem, a następnie przesiadałam się w tramwaj, gdzie spotykałam panią Grażynkę, która wydaje jedzenie w kuchni Domu Pomocy Społecznej. Potem razem chodziłyśmy przez ciemny park. Po około tygodniu od rozpoczęcia mojej pracy w DPSie przeżyłyśmy przygodę. Był grudzień, więc było jeszcze ciemno. Jak zwykle wyszłam z domu o piątej rano i poszłam na przystanek autobusowy, gdzie stała pani Ania – starsza kobieta pracująca w kiosku na dworcu PKS – z którą

jechałam na kolejny przystanek lub rozmawiałam z nią, zanim nie nadjechał jej autobus. Potem wsiadałam w tramwaj linii numer jeden i jechałam dwa przystanki, a następnie przesiadałam się na tramwaj linii numer trzy, a stamtąd jechałam dalej z panią Grażynką – tą od kuchni. Po wyjściu z tramwaju szliśmy sto – sto pięćdziesiąt metrów parkiem, który co prawda był oświetlony, ale ogólnie sprawiał mroczne wrażenie. Po drodze minęliśmy kapliczkę i dochodziłyśmy już do bramy wejściowej na teren DPSu, gdy zobaczyłyśmy ubranego na ciemno mężczyznę z równie ciemną czapką z daszkiem. Pani Grażynka chwyciła mnie za rękę, a ja powiedziałam do niej:

– To tylko facet, co on może nam zrobić? Nie zaryzykuje, bo jesteśmy we dwie.

Doszliśmy do bramy. Ów mężczyzna nie ruszył się z miejsca. Pomyślałam, że jeżeli on zastąpi mi drogę, to będzie źle. Nie boję się konfrontacji i w razie czego byłabym zdolna bić się na gołe pięści. Stosuję zasadę: patrz przeciwnikowi w oczy. Zatem spojrzałam na niego, a on na mnie, ale po chwili odwrócił wzrok. Ja nadal patrzyłam na niego i bacznie obserwowałam jego ruchy i zachowanie. Wiedziałam, że obserwuje mnie kątem oka.

Gdy przechodziłyśmy przez bramę, przepuściłam panią Grażynkę i stanęłam dokładnie przed mężczyzną, który speszył się najwyraźniej zaskoczony moją zaciętością. Po chwili poszłam dalej, ale byłam czujna na wypadek, gdyby chciał mnie zaatakować od tyłu.

Gdy minęliśmy róg budynku, odprężyłyśmy się nieco. Pani

Grażynka powiedziała:

– To cholera jedna, straszy od rana, pewnie czeka już na kolegów, którzy są na oddziałach.

Po niecałej godzinie, gdy wjechałam na piętro, zauważyłam, że w pokoju pielęgniarek za szklanymi drzwiami jest zamieszanie. Gdy wpisałam kod dostępu i weszłam, podbiegła do mnie pani Grażynka:

– Ana, słyszałaś, co się stało? Ten gościu, co stał w parku, zaatakował pielęgniarkę, gdy szła wynieść śmieci do kontenera!

– Jak to zaatakował? Którą? Co z nią?

– Panią Krysię! Gdy podeszła do kontenera, od tyłu rzucił się na nią z nożem. Ta zaczęła wrzeszczeć, a on zaczął dobierać się do niej, przeciął już jej nożem fartuch. Dobrze, że miała zarzuconą kurtkę. Całe szczęście, że akurat chłopaki do pracy szli, to ruszyli jej na ratunek. Tłumaczył się policji, że nie wie co się stało, że diabeł go opętał.

Pani Grażynka była cała roztrzęsiona, bo zdawała sobie sprawę, że równie dobrze to mogliśmy być my. Powiedziałam:

– Nas by nie ruszył, bo byłyśmy we dwie.

Pani Grażynka oznajmiła mi od razu, machając przy tym palcem wskazującym:

– Ana! Jak ty nie będziesz czekać na mnie na przystanku rano, to ja nie jadę do pracy, pierdzielę.

I już tak zostało przez cały czas mojej pracy w DPSie, że zawsze rano czekałam na tramwaj z panią Grażynką.

Gdy *zrobiłam* łazienki i pokoje lekarzy i pielęgniarek, przychodził czas na śniadanie. Wtedy robiłam sobie przerwę na kawę. Po śniadaniu, pacjenci mieli wizytę lekarzy, a ja w tym czasie zaczynałam sprzątać ich pokoje. Gdy już się wyrobiłam i miałam wolną chwilę, bardzo lubiłam siadać przy kawie zbożowej z panią Anielą. Była to starsza kobieta, która przyjechała do Gorzowa z daleka, bo aż ze Śląska. Nie miała tu nikogo bliskiego. Uwielbiałam słuchać jej opowieści, i widziałam, że tym sposobem sprawiam jej wielką radość. Opowiadała mi o tym, jak jej własny mąż katował ją. Mieszkali wówczas w jej rodzinnym domu, będącym jej własnością. Oprócz nich mieszkała tam jego kochanka, a pani Aniela nie mogła nic z tym zrobić. To było zaraz po wojnie i bała się, że on ją wypędzi z domu. Wtedy nie miałyby dokąd pójść, bo rodziny nie miała. Matka i ojciec zmarli, a była jedynaczką i nie miała kontaktu z dalszą rodziną. Długo wytrzymywała taką sytuację, aż w końcu uciekła cała pobita. Pragnęła uciec jak najdalej, by mąż jej nie znalazł. Przyjechała aż do naszego miasta i tu szukała pomocy. Mieszkała u jakiejś koleżanki przez dłuższy czas, a potem trafiła do Domu Pomocy Społecznej. Była najdłużej zamieszkującą tam pacjentką.

Czasami było śmiechu co niemiara. Na oddziale była taka pacjentka pani Stefcia. Kobiетка lat osiemdziesiąt dziewięć. Niziutka – tylko sto pięćdziesiąt centymetrów wzrostu. Włosy miała wytarte. Taki większy bobas. To była prawdziwa aparatka. Lubiałam z nią dyskutować, bo śmiesznie mówiła. Sama śmiała się z tego, że była naszą grypsiarą. Nie

dosłyszała, więc trzeba było do niej mówić głośno. Chociaż nieraz udawała, że nie dosłyszy i gdy się coś mruknęło pod nosem, to potrafiła głośno to powtórzyć. Umiała śmiać się ze swojej niedołążności. Któregoś dnia weszłam do niej do pokoju, by zrobić porządek, a ona do mnie:

– Oooo...przylazła i brudzić mi tu będzie.

– Tak, Stefcu, bałagan zrobimy, będzie gorzej, niż jest teraz.

– Oż ty niedobra dziewczucho.

Najbardziej mi się podobało, jak Stefcia była *pieluchowana* i ubierana w wielkie śpiochy. Biegała wtedy po całym korytarzu przebierając króciutkimi nóżkami i uwielbiała stroić żarty. Któregoś ranka weszłam do jej pokoju, ale nie zastałam jej w łóżku, więc zaczęłam jej szukać. Przecież wcześniej ją już widziałam. Zajrzałam do łazienki – nie ma, pod łóżko – też nie ma. Nagle usłyszałam krzyki Stefcia z innego pokoju:

– Odejdź ty! Zostaw mnie, idź sobie! Ty głupi jesteś, spadaj!

Wbiegłam do pokoju, gdzie mieszkał pan Kaziu. Okazało się, że Stefcia wlaźła do jego łóżka i nie chciała z niego wyjść. Krzyczała na niego, bo chciał ją ściągnąć. Nawet po rękach nas biła. Jak ona się tam wdrapała? Przecież pan Kaziu jest wysoki i ma wysoko uniesione łóżko. Nie mogliśmy jej przekonać, więc pielęgniarka Wioletta przyszła i powiedziała:

– Ana, chodź, niech Stefcia tu zostanie, a my idziemy na

jej wyrko się położyć, a co! Jak ona może do cudzego wleźć, to i my zajmujemy jej.

Odpowiedziałam jej:

- Dobrze, pani Wioletto, widziałam, że pościel jest zmieniona. Będziemy miały świeże i pachnące łóżeczko.

Stefcia, słysząc naszą rozmowę, natychmiast wyskoczyła z łóżka pana Kazia i o mało co nie upadła na podłogę, bo przecież miała krótkie nogi. Myślałyśmy z pielęgniarką Wiolettą, że się posikamy ze śmiechu! Stefcia biegła w śpiochach z wycięciem z tyłu- wycięcie było po to, aby ułatwić pielęgniarkom zmianę pieluch. Zatem Stefcia biegła przez korytarz i nawet doskonale wiedziała, kiedy ma skręcić do swojego pokoju. Ten widok miałam w głowie przez kilka kolejnych dni i gdy tylko spojrzałam na Stefcię, od razu śmiałam się sama do siebie. To była nasza Śmieszka.

Najgorsze w tej pracy - coś, do czego nigdy się nie przyzwyczaiłam- to śmierć pacjentów Domu Pomocy Społecznej. To coś, co zawsze było dla mnie silnym ciosem i powodowało ogromną pustkę; co sprawiało, że łzy same płynęły mi po policzkach i było mi trudno przejść nad tym do porządku dziennego. Jednego dnia przychodziłam do pracy, rozmawiałam i żartowałam z osobą zamieszkującą pokój DPSu, a kolejnego dnia dowiadywałam się, że ta osoba odeszła już na zawsze, że nie zobaczę już więcej jej twarzy ani uśmiechu, że nie usłyszę jej głosu...

Pielęgniarki na oddziale to pracownice z powołania. To, co robiły na co dzień, robiły z prawdziwym oddaniem, poczuciem misji. Chciały pomagać i robiły to chętnie, choć to nie była

lekka praca. Oprócz nich byli też rehabilitanci, praktykanci i inne osoby do pomocy, np. bardzo utalentowane dziewczyny, która zabierały chodzących pacjentów na różnego rodzaju terapie zajęciowe. Zastępowały tym osobom wnuczki, których nie było przy nich. To było piękne.

Z czasem poznałam wszystkich pacjentów, wiedziałam, na co chorują. Wiedziałam, jak mam się odnosić do każdego z osobna. Jedni byli bardziej nerwowi, inni zabawni, niektórzy w ogóle się nie odzywali (mieli swoje samotnie).

Na oddziale był pan Władek, który był bardzo nadpobudliwy. Nigdy nie wiedziałam, kiedy z czymś wyskoczy – w przenośni, bo nie chodził. Nie miał jednej nogi. Był to około sześćdziesięcioletni mężczyzna, stanowczy, dosadny i lekko agresywny, ale chyba tylko w stosunku do mnie. Do innych tak się nie odzywał. Ja jestem osobą stanowczą, więc niegroźne mi były docinki i wyzwiska, które codziennie słyszałam od niego. Z reguły wyglądało to tak, że wchodząc i sprzątając jego pokój zawsze liczyłam się z jakimiś docinkami o podtekście seksualnym. Gdy wchodziłam do jakiegokolwiek pokoju, zawsze mówiłam:

– Dzień dobry.

U tego pana słyszałam w odpowiedzi:

– Dzień dobry, moja ty suczko.

Mówił tak do mnie, gdy widział, że za mną nikogo nie było. Zawsze mu docinałam:

– Ojjj....widzę, że humor jest dziś dopisuje.

Nie pozostawał mi dłużny:

- Gdybym był młody, to bym ci, kurwa, pokazał, co to seks. albo snuł takie historie, że głowa boli. Np. że uprawiał seks ze zwierzętami. Nie wiem, czy była to prawda, może chciał mnie złamać psychicznie? Nie wiem, o co mu chodziło, ale nie dałam się. Zawsze mu odpowiadałam, po tego typu docinkach:

- Panie Władku, nie zainteresowałam się panem. Nie jest pan w moim typie.

Byłam niemal pewna, że to nie choroba i on po prostu jest zepsutym człowiekiem, chociaż tłumaczył zawsze, że to wina choroby, że coś mu się w głowie poprzestawiało i nie wie dlaczego tak się dzieje. Mówił tak tylko wtedy, gdy nie wiedział, co ma odpowiedzieć na moją ripostę. Nie mogłam podchodzić do niego za blisko, bo obawiałam się, że będzie mnie obmacywał, więc czasem za karę wstawiałam go na jego wózku inwalidzkim do kąta i wciskałam hamulec albo prosiłam kolegów z pokoju, by zabrali go na spacer. Tak czy inaczej zawsze dawałam sobie z nim radę.

Na oddziale była też pani Wanda, która dawniej pracowała przez wiele lat jako nauczycielka muzyki, ale ze stresu i nerwów po prostu zwariowała. Sama się okaleczała lub biła po twarzy, potrafiła walić głową w ścianę albo o podłogę. Biegała po korytarzu i czasem biła pacjentów po twarzy, po czym uciekała.

Kolejna pacjentka, którą bardzo lubiłam, to pani Terenia. Bardzo lubiła się przytulać, a poza tym uwielbiała, gdy cesało się jej włosy, których nie było już zbyt wiele. Miała specjalną miękką szczotkę, którą przyniósł jej syn. Odwiedzał

ją co weekend.

Do niektórych pacjentów rodzina przyjeżdżała raz w miesiącu lub wcale. Serce mi pękało, gdy widziałam, jak czekają przy drzwiach wejściowych (tych oszklonych) wypowiadając imiona swoich dzieci. Chodzili po korytarzu jak mumie. Musiałam odwracać wzrok i zająć się czymś, by na to nie patrzeć albo głośno coś do siebie mówiłam, żeby się nie rozpłakać.

Codziennie były jakieś sytuacje, o których potem opowiadałam Grzegorzowi czy rodzinie z uśmiechem na twarzy. Przeżywałam bardzo tę pracę. Czasem bywało zabawnie, a innym razem niemiło i niebezpiecznie. Tu mówię nie o sobie, ale o bardzo przykrych i bolesnych zdarzeniach pacjentów.

Na początku każdego dnia wjeżdżałam windą ze sprzętem do sprzątnięcia i jak zwykle jechałam długim korytarzem, a większość pacjentów wychodziła z pokoi, by zobaczyć, kto przyjechał. Zawsze mówili do mnie *Dzień dobry pani*, nawet pan Waldek krzyczał z pokoju *Dobry!*, na co grzecznie odpowiadałam i szłam do końca piętra. Tam skręcałam w prawo, gdzie był mały przedsionek i wejście do gabinetu pani dyrektor, pokój lekarza oraz wielkie szklane drzwi na oddział zamknięty otwierane kodem. Wpisywałam kod i szłam nalewać wody do wiader. Od czasu do czasu schodziłam na parter, gdzie była pani Ania – druga pracownica. Pewnego dnia, gdy już było dawno po śniadaniu, weszłam na oddział i zobaczyłam panią Terenię idącą powolnym krokiem do swojego pokoju, a po korytarzu biegała szaleńczo pani

Wanda. Spojrzałam na pielęgniarkę i odezwałam się do niej wskazując na Wandzię:

– A ta pacjentka nie robi sobie krzywdy?

To była pielęgniarka, którą mniej lubiłam, bo wykonywała swoją pracę tak, jakby była tu za karę. Patrzyła tylko, gdzie może usiąść, by nikt jej nie widział, a pacjenci niech trzymają się z dala od niej. Nie znoszę takich osób.

Odpowiedziała:

– Nasza Wandzia nie da sobie przecież krzywdy zrobić.

Weszłam do łazienki. Minęły trzy minuty i nagle usłyszałam przerażający krzyk, a po chwili płacz. Po głosie poznałam panią Terenię. Wybiegłam z łazienki i zobaczyłam panią Terenię leżącą na podłodze twarzą do podłogi i Wandę, która kopała leżącą. Krzyknęłam głośno:

– Wanda! NIE WOLNO!

Wanda odskoczyła i uciekła. Dobiegłam do obolałej pani Tereni i chciałam ją obrócić, ale krzyknęła:

– Boli, boli, bardzo boli!

– Gdzie, Tereniu? Gdzie boli?

A ona pokazała na rękę. Dotknęłam tego miejsca, ale sprawiłam jej jeszcze większy ból, więc odpuściłam. Zobaczyłam pod nią trochę krwi, ale nie wiedziałam, skąd leciała. Krzyknęłam:

– Siostro na pomoc! Pielęgniarki, halo!

Przybiegła pani Agata – oddziałowa:

– Matko, a tu co się stało?!

– Wanda rzuciła się na Terenię i chyba złamała jej rękę.

Nie może nią ruszyć.

Posadziłyśmy panią Terenię na wózku i zawiozłyśmy ją do gabinetu zabiegowego, gdzie zajęły się nią pielęgniarki, a ja wróciłam i zmyłam plamę krwi. Potem odszukałam sprawczynię incydentu w jej własnym pokoju. Stała przodem do okna, po czym odwróciła się w moją stronę i uśmiechnęła się, jakby nic złego się nie stało. Pani Terenia ucierpiała, a sprawczyni nie można było przecież ukarać.

TRZECIA CIAŻA

Od czasu sprawy Grzegorza minęło już dużo czasu i nasze życie jakoś się poukładało. Pewnego dnia oznajmiłam Grześkowi:

- Czas na dziecko. Mam dwadzieścia sześć lat, a gdy urodzę, będę miała dwadzieścia siedem, więc mogę już osiągnąć mój kolejny cel życiowy.

Od ostatniego poronienia byłam pod stałą kontrolą ginekologa. Chodziłam do niego prywatnie. Po dwóch nieudanych ciążach musiałam odczekać, aż mój organizm się zregeneruje. Gdy podjęliśmy kolejną próbę, chciałam, by wszystko było poprawnie od samego początku. Przyjmowałam kwas foliowy, skupiałam się na obserwacji swojego ciała, liczyłam dni owulacji. Było łatwiej, bo miesiączkę miałam regularnie co dwadzieścia osiem dni, więc gdy dostałam okres, odliczałam kolejne dwadzieścia osiem dni, potem

odejmowałam czternaście od daty kolejnego okresu i wtedy wiedziałam, kiedy wypada mój płodny dzień.

W końcu nadszedł wyznaczony dzień – jeden w miesiącu – ale byłam tak zmęczona, że powiedziałam Grzegorzowi:

– Przełożmy to na kolejny miesiąc. Co ma być to i tak będzie.

Następnego dnia miałam bardzo gęsty śluz, więc stwierdziłam:

– Ok. Dziś. Niech się dzieje, co ma się dziać.

Kilka dni po stosunku czułam się już jakoś dziwnie. Czułam w sobie coś innego. Dziwne uczucie, ale już chyba tak dobrze poznałam swoje ciało, że nie mogłam się mylić. Wiedziałam, że się udało. Powiedziałam Grześkowi:

– Zobaczysz, jestem w ciąży. Dziś kupię test i udowodnię Ci.

Zaśmiał się i odparł:

– Ty nie wpadłaś już w jakąś obsesję?

Rano przed tramwajem podeszłam szybko do apteki i kupiłam test ciążowy. Będąc już w pracy powiedziałam pani Ani:

– Idę zrobić test.

– Co zrobić? Jak to się robi? Za moich czasów tego nie było.

– No tak. Wiem, wiem.

– Pokaż, jak to się robi! Chcę zobaczyć, bo w życiu nie widziałam.

Zaśmiałam się i zaczęłam pokazywać i tłumaczyć, jak to

działa.

Gdy powiedziałam:

– Tutaj trzeba nasiusiać. Zademonstrować? Hehe!

to pani Ania zaczęła się śmiać.

Pobiegłam do toalety, zrobiłam wszystko zgodnie z instrukcją obsługi, a następnie spojrzałam na wskaźnik na teście ciążowym. Najpierw pokazała się jedna czerwona kreska, a obok niej druga wyblakła, jakby cień tej pierwszej. Wpatrywałam się w ten odcień chyba z dziesięć minut: pod światło i ze światłem. Trzeba było odczekać około pięć minut. Po tym czasie ten cień był nadal widoczny. Może mi się wydawało, ale to przecież niemożliwe, bo na teście jest jedna albo dwie kreski, nie ma innej opcji. To oznaczało, że jestem w ciąży! Wybiegłam z toalety i pełna radości dobiegłam do pani Ani. Spytałam ją, ile kresek widzi, a ona odpowiedziała:

– Widzę dwie, a ile ma być?

Ze szczęścia zaczęłam ją całować, potem pobiegłam z testem do pielęgniarek, by się upewnić. Pogratulowały mi, a potem biegałam po oddziale. Wtedy zachowywałam się jak pacjentka, ale byłam w euforii. Wiedziałam, że teraz będzie tylko dobrze. Pani Ania od razu zabrała mi papierosy, bo popalałam sobie, ale tylko te cieniutkie. Powiedziała, że teraz mi nie wolno i mam dbać o siebie i dziecko! Słowa o *siebie i dziecko* sprawiły mi nieopisaną radość. Powoli docierało do mnie, że jestem w ciąży. Teraz czekałam na nią: tak, na nią, bo zawsze marzyła mi się dziewczynka, ale postanowiłam, że do porodu nie chcę znać płci dziecka. Ma to być niespodzianka od Niego. Mówiłam tylko, że nie chcę wiedzieć,

bo i tak będę kochać moje dziecko nad życie. Byleby tylko zdrowe było. Nie wiedziałam do samych narodzin, czy to będzie dziewczynka czy chłopiec.

Grzegorz też bardzo się ucieszył, ale oboje zdawaliśmy sobie sprawę, że trzeba bardzo uważać. Wiedzieliśmy, że pierwsze pięć tygodni jest najgorsze. Do tej pory dwukrotnie utrzymałam ciążę właśnie tylko do piątego tygodnia, a potem poroniłam. Pomyśleliśmy, że może lepiej tym razem nikomu o tym nie mówić, by w razie kolejnej porażki nie było nikomu przykro. Ale nasza radość była zbyt ogromna, żeby milczeć, poza tym czułam, że teraz będzie inaczej. Muszę teraz na siebie – na nas – uważać. Bałam się, że w pracy przedźwignę się albo nadwyręzę, albo że na przykład pani Wandzia rzuci się na mnie. Musiałam wszystko przewidzieć. Trudno, muszę pójść na chorobowe!

Kilka dni później poszłam z Grzegorzem do lekarza i oznajmiłam, że jestem w ciąży. Rozmowa brzmiała mniej więcej tak:

– Kiedy pani miała okres ostatnio?

– 20 dni temu.

– A kiedy ma pani dostać?

(widzę, że nie dowierza i chce mi to wytłumaczyć, jak to jest, bo nie mam racji)

– Za tydzień.

– To skąd pani, wie że jest pani w ciąży?

– Zrobiłam test i wyszedł pozytywny.

Zbadał mnie i kontynuowaliśmy rozmowę:

- Tak, jest pani w ciąży, a znam pani historię, więc może nie ryzykujemy i wypiszę pani zwolnienie na miesiąc. Potem przyjdzie pani po kolejne i będziemy monitorować ciążę.

Powiedziałam lekarzowi, że czasem miewam omdlenia, ale wiem, że występują tylko na skutek przemęczenia. Dodałam, że odstawiłam leki, bo źle się po nich czułam. Lekarz odparł, że gdyby wystąpiły ataki lub gdybym źle się poczuła, to mam dzwonić do niego albo skontaktować się ze swoim neurologiem.

Trzeba się oszczędzać i zdrowo odżywiać.

Wcześniej wspominałam o Wiolecie, z którą pracowałam w Ence. Nadal byłam z nią w stałym kontakcie. Odwiedzała mnie i mówiła wielokrotnie, że nie chce tam już pracować, dlatego zaproponowałam jej przeniesienie na moje miejsce na czas zwolnienia chorobowego.

Wiolcia bez wahania się zgodziła i już kolejnego dnia wprowadziłam ją na teren DPS, przekazałam zwolnienie, a następnie pożegnałam się z pielęgniarkami, rehabilitantami i niektórymi pacjentami. Obiecałam pani Anieli, że zajrzę do niej czasem i porozmawiamy sobie przy kawie zbożowej. Gdy przekazywałam zwolnienie lekarskie, pani kierownik życzyła mi zdrowia i powiedziała:

- Tylko żeby pani się nie męczyła donosząc zwolnienia. Niech wysyła je nam pani pocztą.

Tak też zrobiłam.

Pamiętam, że brakowało mi jakiegoś dokumentu czy rozliczenia – już nie pamiętam co to było, ale to nieistotne.

W każdym razie otrzymałam ten dokument pocztą, a w środku była kartka z gratulacjami i życzeniami od firmy. To było bardzo miłe.

Już od samego początku mówiłam do brzuszka, do mojego dzieciątka:

– Kochanie ty moje, teraz już będziemy cały czas razem. Musisz być bardzo silna, nie poddawać się, wytrzymać. Musisz być taka dzielna jak ja, jak twoja mamusia. Będzie dobrze zobaczysz, będę cię kochać na wieki i bardzo mocno. Żyj kochanie dla mnie i ze mną, a ja będę oddychać dla ciebie.

Starałam się nie myśleć o tych pięciu tygodniach. Po prostu już nie dopuszczałam myśli, że może coś pójść nie tak. Bardzo przejęłam się tą ciążą. Zaczęłam czytać w internecie o zdrowym odżywianiu.

Któregoś wieczoru siedziałam na łóżku z wyciągniętymi nogami, a pod nimi miałam poduszkę, by poprawiać krążenie krwi. Obok siedział Grzesiek. Pamiętam, jak powiedziałam do niego:

– Zobaczysz, teraz się nam uda.

Mówiąc to, poczułam pierwszy ruch. To było uczucie, jakby coś przekręciło mi się w brzuchu. Na początku myślałam, że mi się tylko zdawało, ale po chwili poczułam następny ruch. Jezu, jaka ja wtedy byłam szczęśliwa!

Mijały tygodnie. Grzegorz i ja czytaliśmy bajki brzuszкови, a maleństwo reagowało na głos taty. Pamiętam, że gdy kładł rękę na moim brzuchu, to w tym konkretnym miejscu

pojawiało się małe wybrzuszenie: rączka, nóżka, główka – trudno powiedzieć. Ale czułam ją.

Gdy byłam w dwudziestym tygodniu ciąży, poszliśmy do lekarza. Już w progu zastrzegłam, że nie chcę znać płci dziecka. Grzesiek stwierdził:

– Dobrze, jak ty, to i ja, też nie muszę wiedzieć, oby zdrowe było.

W trakcie badania usłyszałam bicie serduszka naszej istotki, nagrałam sobie na telefonie to pukanie. Lekarz i tak zapytał, czy chcemy znać płeć dziecka, więc powiedziałam:

– Nie, panie doktorze. Ja kocham je już najbardziej na świecie. Obojętnie, czy to dziewczynka czy chłopczyk.

Doktor spojrzał na mnie i rzekł:

– No to do końca nie powiem, choćby pani prosiła.

Zaczął się badanie USG, ale początkowo lekarz nie mógł rozpoznać płci dziecka. Stwierdził, że gdy mamusia coś postanowi, to tak będzie. Powiedziałam mu, że z uwagi na moje ataki epilepsji nie można mi zakładać maski tlenowej, bo się uduszę, wobec czego chciałam, aby był obecny przy porodzie i pilnował, by do tego nie doszło. Lekarz zapewnił, że będzie przy mnie, o ile nic nie stanie na przeszkodzie, np. będzie poza Gorzowem lub nie zdąży dotrzeć do mnie na czas.

To był piąty miesiąc, więc jeszcze nie planowałam dokładnie porodu, po prostu martwiłam się trochę. Poprosiłam lekarza o zdjęcie płodu, żeby pochwalić się przed znajomymi jego pierwszą fotografią i udało się. Oto ono:



Najpiękniejsza fotografia, jaką kiedykolwiek widziałam. Moje szczęście malutkie. Kocham, kocham! Dla niej mogę wszystko. Opublikowałam tę fotkę na portalach społecznościowych, wszyscy nam gratulowali, a jeden kolega nawet nie dowierzał i twierdził, że sobie żarty robię i że to zdjęcie ściągnęłam z Internetu. Byłam bardzo dumna z tej fotografii. Gdy doktor Maciej mi je robił, zapytał mnie jeszcze raz:

- Nadal nie chce pani wiedzieć?
- Nie chcę.
- Zobaczymy, ile pani wytrzyma – oznajmił z uśmiechem.

Grzesiek nie wytrzymał i stanął za plecami lekarza, a ten pokazał mu coś palcem. Nie widziałam co, bo monitor był odwrócony, a Grześka reakcja nic mi nie mówiła, ale widziałam dumę w jego oczach. Broda zaczęła mu drgać, a do oczu napłynęły łzy wzruszenia. Nic dziwnego, wszak tatuś zobaczył nasze maleństwo!

Gdy wyszliśmy z gabinetu, nagle zapragnęłam poznać płeć dziecka, toteż podpytywałam Grześka, ale zbył mnie:

- Choćbyś prosiła, to nie zdradzę. Postanowiłaś tak od początku, to niech tak zostanie.

Czytałam w internecie o tym, jak budować osobowość dziecka już w okresie prenatalnym, i dowiedziałam się, że dziecko będzie lubiło te czynności, które ja będę codziennie wykonywać w trakcie ciąży. Zatem dużo chodziłam, sprzątałam, słuchałam muzyki, gotowałam – wszystko z myślą o niej, bo jak wspomniałam już wcześniej, chciałam mieć córeczkę. Dlatego nie mówiłam *ono*, tylko *ona*.

W trakcie ciąży zdiagnozowano u mnie tzw. cukrzycę ciążową. Lekarze orzekli, że moja trzustka produkuje zbyt mało insuliny, dlatego musiałam przejść na dietę oraz wstrzykiwać sobie insulinę trzy razy dziennie przed głównymi posiłkami, a oprócz tego robiłam pomiary poziomu cukru we krwi i zapisywałam wyniki. Pomiary musiałyby być robione na godzinę przed i godzinę po posiłku – i tak do końca ciąży. Byłam pod stałą kontrolą diabetologa i dietetyka. Przytyłam dwadzieścia dwa kilogramy i przed samym porodem ważyłam sto pięć kilogramów. To była przerażająca liczba, ale wcale nie jadłam dużo, a zamiast tego – mało, ale częściej. Nie jadłam słodkich rzeczy, ale i tak miałam zachcianki, np. słonecznik, który mogłam jeść bez opamiętania. I wieczorami po kąpieli kładłam się na łóżku, po jednej stronie stawiałam miskę ze słonecznikiem, po drugiej – miskę na łupinki, i jadłam nawet pół kilograma dziennie albo i więcej. I oglądałam telewizję.

Krótko przed porodem zajęliśmy się urządzeniem pokoiku dla dziecka. Miałam pewne obawy, bo wierzyłam w to, że nie wolno mieć wszystkiego przygotowanego na przybycie dziecka, bo to przynosi pecha. No, ale przecież już było bliżej, niż dalej.

Grzegorz z Donatanem pomalowali razem pokoi: sufit na biało, jedną ścianę na niebiesko, a drugą na jasny beż. Krystyna, która mieszkała piętro wyżej, bardzo mi wtedy pomogła. Załatwiła mi łóżeczko, wózek, nosidełko, ciuszki. Uwielbiałam ją bardzo, mogłam liczyć na nią. Widywałyśmy się codziennie.

Nie było nas stać na wiele, ale zawsze starałam się być kreatywna. Chciałam przewijak dla dziecka na łóżeczko, więc poprosiłam kolegę stolarza, by mi zrobił. Wymierzyłam długość i szerokość łóżeczka, a potem kolega zbił go z trzech desek i nie trzeba było kupować. Położyłam na przewijak dwa kocyki i całkiem ładnie to wyglądało. Koleżanki i rodzina wspierali mnie rzeczami dla dziecka. Moja przyjaciółka Madzia Dziara zgadywała, że może to będzie chłopczyk, i przysyłała mi z Władysławowa ubranka po swoich synkach: po Bartusiu – moim chrześniaku kochanym – i po Patryczku. Opisywałam jej, jakie miewałam objawy, czego maleństwo pragnęło, bym zjadła, a na co patrzeć nie mogłam. Porównywałyśmy wzajemnie nasze doświadczenia.

Kochałam prać ciuszki, prasować je i układać na półeczki, a pod koniec ciąży lubiłam siedzieć na fotelu w pokoiku dzieciennym. Siedziałam w nim nocami, gdy nie mogłam spać. Patrzyłam na oświetloną panoramę miasta i głaszcząc brzuch

mówiłam:

– Nieważne, maleństwo, czy będziesz dziewczynką czy chłopcem. Będziesz najważniejszą osobą w moim życiu. Dla ciebie zrobię wszystko, dla ciebie będę żyć.

Patrząc na gotowy pokój już nie mogłam się doczekać.

Byłam nerwowa, ale nie złościłam się z byle powodu. Po prostu zaczęłam się przejmować porodem. Nie brałam leków i odczuwałam czasem chwilowe zachwiania równowagi. Jednego dnia było dobrze, a drugiego gorzej.

Miałam stałą panią doktor psychiatrę, do której chodziłam od dwóch lat. To młoda i bardzo przyjemna kobieta, mogłam porozmawiać z nią o wszystkim. Powiedziałam jej, że zaszłam w ciążę, a ona gratulowała mi wiedząc, przez co przeszłam. Ona poleciła mi panią Martę – psycholog, która miała gabinet w budynku na przeciwko DPS. Pani Marta miała wtedy około trzydziestu pięciu lat. Byłam u niej już w pierwszych tygodniach ciąży i chodziłam do niej kilka razy w miesiącu. Tylko jej mówiłam o tym, że boję się panicznie piątego tygodnia ciąży. Nie okazywałam tego, co przeżywam w środku – przecież jestem twarda, przejdę wszystko. Ale tylko przed tą kobietą mogłam się otworzyć i wypłakać. Przy niej czułam się, jakbym rozmawiała z aniołem. Ona mnie rozumiała i przechodziła przez to ze mną. Mówiłam jej, że nikt nie wie, co czuję w środku, jakich męczarni doznaje mój umysł. Nie chciałam po raz kolejny zawieść siebie i tych, którzy również czekali na to nasze szczęście. Opowiadałam jej o każdym nowym doświadczeniu w trakcie ciąży. Bałam się, że nie poradzę sobie z maleństwem, że gdy będzie

płakać, ja nie będę wiedziała, dlaczego albo że przez sen nie usłyszę, jak będzie płakać. Nawet miałam koszmary, że idę na zakupy i wracam do domu bez dziecka, a potem nie mogę go odnaleźć. Bardzo chciałam utrzymać tę ciążę; chciałam wierzyć, że się uda. Pragnęłam też, by właśnie ona – pani psycholog – usunęła wszystkie moje niedobre myśli, abym nie zwariowała od tych wszystkich czarnych myśli.

Pewnego razu opowiadałam pani Marcie, jak przeżywałam to, że w szpitalu nie wiedzieli, czy mam dziecko czy nie, a kolejnego dnia zrobili mi czyszczenie i już sama nie wiedziałam, co mam myśleć. Z trudem to przeżyłam. Wtedy zobaczyłam w jej oczach łzy. Powiedziała do mnie:

– A gdyby pani była w siódmym miesiącu ciąży, miałyby uszykowany pokój dla dziecka i nagle okazałoby się, że dziecka nie ma, bo zmarło w pani? Wszystkie plany, marzenia runęły... Co ma być, pani Ano, to i tak będzie, nie unikniemy tego.

Nie musiałam pytać, co się stało, bo wiedziałam. Tak, jak wiedziałam, że jest to dla niej trudne. Obie tylko szlochałyśmy, a potem zmieniłyśmy temat. Powiedziała do niej:

– Mnie się teraz uda, a później pani, zobaczy pani. Gdy urodzę, to przyjdę i przedstawię pani moją córeczkę.

Pożegnaliśmy się uśmiechnięte.

Potem przychodziłam częściej, bo chciałam, by przeżywała wszystko ze mną i widziałam, że też tego chciała. Opowiadałam jej, co mnie odrzuca i denerwuje, na co mam największą ochotę; obie śmiałyśmy się z tego. Faktycznie

pomogła mi się pozbyć moich lęków związanych z wychowywaniem dziecka. Teraz czułam, że musi być tylko lepiej, nawet podeszłam do niej i kazałam jej położyć dłoń na moim brzuchu. Powiedziałam wtedy:

– Może pani doktor nie wie, ale głaskanie brzucha ciężarnej jest zaraźliwe.

I w tym momencie poczuła kopnięcie Zuzi. Ale się ucieszyła!

Po wizycie u pani psycholog miałam trochę czasu wolnego i odwiedziłam moje dziewczyny w Domu Pomocy Społecznej i pomyślałam, że przy okazji napiję się kawy Inki z panią Anielą. Wjechałam windą na oddział otwarty. Pacjenci ucieszyli się, gdy mnie zobaczyli. Poznali mnie i krzyczeli z końca korytarza:

– Dzień dobry, pani Ano! Jak tam zdrówko?

Mówili mi, że ciąża mi pasuje i że ładnie wyglądam. Potem poszłam do dyżurki, a po chwili pielęgniarki przyszły, aby zobaczyć się ze mną. Pochwaliłam się pierwszą fotografią maleństwa. Zgadywały, że mogę mieć chłopca, bo urody mi nie zabiera. Potem zapytałam o zdrowie pani Anieli. Siostra Agata spojrzała na mnie i powiedziała, że pani Aniela zmarła około dwa tygodnie temu. Gdy to usłyszałam, zrobiło mi się słabo. Co prawda była dla mnie obcą osobą, ale zżyłam się z nią, gdy opowiadała mi o swoim tragicznym życiu. Przy niej naprawdę odpoczywałam, a oprócz tego czułam, że będąc przy niej robię dla niej coś dobrego, bo nikogo innego nie miała. Zapytałam pielęgniarki o to, jak zmarła. Odpowiedziały mi, że zasnęła wieczorem i nic nie wskazywało

na to, że to będzie jej *ostatni sen*, a rano po prostu już się nie obudziła. Miała bardzo cichy i skromny pogrzeb: tylko ksiądz i dwuosobowa delegacja z DPSu. Było mi bardzo przykro i miałam do siebie pretensje o to, że i ja ją zawiodłam, bo przecież obiecałam, że będę ją odwiedzać. Ale odeszłam z pracy i miałam na głowie tyle spraw, że naprawdę nie miałam kiedy przyjść w odwiedziny. Pytałam pielęgniarek, czy pani Aniela pytała o mnie, ale zaprzeczyły, więc pomyślałam, że może nie chciały mnie denerwować. Zawiodłam ją. Gdy teraz o tym myślę, to jest mi przykro i łzy napływają mi do oczu.

– Niech pani ziemia lekką będzie, pani Anielu.

Przez cały dzień miałam w głowie panią Anielę, jej szczery uśmiech, i miałam nadzieję, że mi wybaczyła, że jej nie odwiedziłam.

Kilka dni później, gdy już była noc, leżałam w łóżku i chyba nawet już spałam, gdy nagle zaczęłam wiercić się nerwowo. Wtedy już miałam duży brzuch i trudno mi było się obracać z boku na bok. Nagle w nosie zrobiło mi się bardzo sucho, ale nie miałam kataru. Po prostu było mi tak w nim sucho, że powietrze, które wdychałam, zaczęło mnie dusić. Potem zrobiło mi się sucho w gardle. Nie miałam w jamie ustnej ani kropli śliny. Z przerażenia wytrzeszczyłam oczy, zaczęłam kopać nogami i machać bezładnie rękoma. Grzegorz natychmiast się przebudził. Krzyczałam, że się duszę, więc szybko otworzył okno i do pokoju wpadło chłodne nocne powietrze, ale to nie pomogło. Już wystąpił suchy kaszel, dlatego pobiegłam do łazienki i zaczęłam wlewać

sobie zimną wodę do nozdrzy, ale to też nie pomogło. Zaczęłam wpadać w panikę. Otworzyłam zamrażarkę i zbliżyłam twarz do lodu. Stałam tam z dwadzieścia minut i łapałam chłodne powietrze. Po pewnym czasie gardło i nozdrza nawilżyły się i wreszcie poczułam ulgę.

Do dzisiaj nie mam pojęcia, co to było. Grzegorz mówił, że to może od stresu, bo za dużo myślę o porodzie. Przecież ja się tego nie bałam, więc trudno było mi to zrozumieć. A może to dlatego, że nie biorę leków przeciw atakom epilepsji? Kurczę, muszę powiedzieć o tym lekarzowi.

Gdy byłam już bliżej końca ciąży, nie chciałam słuchać o tym, jak wygląda poród. Mówiłam sobie: co ma być, to będzie. Zapisaliśmy się z Grzegorzem do szkoły rodzenia, która składała się z pięciu lub sześciu spotkań. Razem z innymi parami stworzyliśmy całkiem zgraną paczkę. Uczyliśmy się, jak ma wyglądać poród, co trzeba robić, jak się zachowywać. Mężczyźni mieli się nauczyć opanowania. Zajęcia prowadziła była położna. Bardzo miło wspominał te zajęcia.

Ponieważ nie znałam płci dzidziusia, wybrałam imię dla chłopca i dziewczynki. Starłam się wybrać mojemu dziecku pięknie brzmiące imię i chciałam, by nosiło imię i posiadało cechy wyróżniające je spośród innych. Słyszałam, że każde imię coś oznacza i wiąże się z pewnym typem charakteru. Było ich tak wiele, że postanowiłam wybrać imię, którego wcześniej nie słyszałam ani nie znam nikogo o tym imieniu, żeby nie mieć oczekiwań wobec przyszłej osobowości dziecka. Dla dziewczynki wybrałam imię Zuzanna, a dla chłopca –

Kordian lub Błażej. Prawie każde imię nosił lub nosi ktoś znany, co bywa sugestią dla rodziców, podobnie jak cechy osobowości biorą się z imion noszonych przez świętych patronów.

Pamiętam, jak kiedyś siedzieliśmy w ogrodzie u Grześka rodziców i rozmawialiśmy o imionach. Oznajmiłam, jakie mam propozycje i że najbardziej podoba mi się Zuzanna, bo nie mam żadnej koleżanki o tym imieniu, zatem nie znam jej charakteru i to imię nadam mojej księżniczce. A tata Grzegorza, Czesiu, zapytał:

– A jak będzie chłopiec?

– To będzie Miłosz lub Błażej albo Kordian – odpowiedziałam zgodnie z prawdą.

Ale tata Grzegorza nie był bardzo za imieniem Zuzia i uargumentował to opinią, że Zuzie są rozbrykane, szalone i niesforne. Odparłam, że zobaczymy, ale i tak już zaczęłam mówić do brzusia Zuzia i maleństwu też się podobało, bo gdy pytałam, to odpukało.

Tydzień przed porodem trafiłam na oddział patologii ciąży z powodu cukrzycy ciążowej. Na sali były trzy kobiety – Aga, Marta i Beata – i ja, czyli komplet. Mężowie przychodzili do nich w odwiedziny i zawsze przynosili coś dobrego. Grzegorz też mnie odwiedzał.

Poznałam wszystkich trzech panów. Mariusz – mąż Agi – jest utalentowany muzycznie i gra na akordeonie. Jest bardzo kulturalny, zawsze zamieni kilka słów, gdy zorientuje się, że został rozpoznany. Ja o nim wcześniej nie słyszałam, ale okazało się, że grał z bardzo znaną włoską wokalistką In-

Grid. Kojarzyłam ją, ale jego nie. Za to poznałam go od prywatnej strony. To bardzo miły i zawsze uśmiechnięty chłopak. Poznałam też ich córeczkę, śliczną Martynkę, która odziedziczyła po tatusiu talent muzyczny i gra na skrzypcach. Bardzo się cieszyła na przyjście na świat braciszka i czekała cierpliwie na niego. Gdy przyjeżdżała w odwiedziny z tatą, to siadała obok mamusi na łóżku i głaskała jej brzusek, mówiąc do niego:

– Witaj, braciszku.

Mówiła, że będzie mu grała piękne melodie, że będzie go wszystkiego uczyć i że być może on też będzie grał na jakimś instrumencie, a wtedy razem z tatą założą zespół muzyczny. Wspaniała rodzina!

Pierwsze cztery dni leżałam z dziewczynami, które były już po terminach, bo lekarze nie chcieli podjąć się zabiegu cesarskiego cięcia. Mówili, że trzeba rodzić naturalnie i czekali trzymając je na oddziale. Marta była dziesięć dni po terminie i w nocy dostała okropnego bólu brzucha, więc zabrali ją na badania. Okazało się, że z dzieckiem są komplikacje i została szybko przewieziona na blok operacyjny, gdzie i tak skończyło się cesarskim cięciem. Nie dało się wcześniej? Okazało się, że chłopczyk po przyjściu na świat miał zapalenie płuc i inne komplikacje zdrowotne. Wtedy zaczęłam panikować, bo według moich wyliczeń byłam pięć dni po terminie, ale lekarze uspokajali mnie, że w moim przypadku nie wiedzą jeszcze, jaką decyzję podjąć: czy lepiej będzie, jeżeli dziecko urodzi się naturalnie czy przez cesarskie cięcie, bo już wcześniej – po wypadku – byłam

krojona. Po takiej rozmowie nie wiedziałam, które rozwiązanie jest lepsze, więc zdałam się na ich wiedzę, ale i tak się bałam, że zwlekają.

Leżałam na oddziale patologii z cukrzycą ciążową, więc musiałam korzystać ze swojej insuliny, bo – jak twierdzili – nie mieli insuliny na oddziale. Ponoć akurat się skończyła.

Rankiem, w południe i wieczorem każda z nas miała przeprowadzane badanie KTG, czyli kontrolę częstotliwości akcji serca płodu i skurczy macicy matki. Pielęgniarka umieszcza na brzuchu dwa pasy z czujnikami, a ja mogę wtedy przez pół godziny słuchać bicia serduszka mojego dzieciątka. To najpiękniejsza muzyka dla moich uszu.

Którejś nocy przyszła pielęgniarka, obudziła mnie i podłączyła mi KTG, a po pół godzinie przełączyła sprzęt na Agnieszkę. Po piętnastu minutach Aga odezwała się do mnie:

– Ana, jak mi się chce pić, proszę podaj mi soczek.

Skulałam się z łóżka, podałam jej sok, ona wypita i po niecałej minucie odezwała się ponownie:

– Ana, niedobrze mi. I zimno.

Przykryłam ją kocem leżącym na łóżku obok, ale coś mnie tknęło i zapaliłam światło, by przyjrzeć się Adze dokładnie. Była bardzo blada i miała sine usta, więc od razu pobiegłam do pokoju pielęgniarek, choć trudno to było nazwać bieganiami. Wolałam pójść zamiast krzyknąć, bo była już noc i nie chciałam budzić pacjentów. Poprosiłam jedną z pielęgniarek, by zajrzała szybko do Agi, bo źle wygląda. Aga została po chwili zabrana na blok operacyjny, a ja

w międzyczasie zadzwoniłam z Agi telefonu do jej męża:

– Mariusz, tylko się nie denerwuj, ale coś się z Agą dzieje, zabrali ją na porodówkę. Przyjeżdżaj, tylko nie jedź jak wariat, ostrożnie, proszę cię. Uważaj na siebie! Błagam, bądź ostrożny!

Przyjechał po trzydziestu minutach w nerwowym nastroju, ale co w tym dziwnego? Półtorej godziny później wbiegł na salę cały w skowronkach i oznajmił, że ma syna:

– Aga jest po narkozie, ale wszystko dobrze, tylko, że maleństwo ma zapalenie płuc, ale to nic, nie ma żadnych innych powikłań, dzięki Bogu.

Pomyślałam sobie potem:

– Pięknie, trzymają po terminach, a potem komplikacje. Wiem, że lepiej jest rodzić naturalnie ale, kurczę, ile można?

Rodzić naturalnie jest lepiej, bo po pierwsze przejście przez kanał rodny lepiej wpływa na dziecko, bo gdy przeciska się przez kanał rodny, jego klatka piersiowa jest ściśnięta i z dróg oddechowych mogą się wydostać wszystkie płyny, które w nich zalegają. Tym samym dzieci urodzone naturalnie są mniej narażone na ryzyko niewydolności oddechowej lub zapalenie płuc. Dłużej odczuwane przez dziecko skurcze macicy także pozytywnie wpływają na maluszka, bowiem niejako przygotowują go do zmieniających się warunków i sprawiają, że dziecko łatwiej akceptuje przyjście na świat. Dzieci urodzone przez cesarskie cięcie przeżywają coś na kształt małego szoku. Po drugie, choć poród przez cesarskie cięcie trwa krócej, to jednak znacznie dłużej wraca się po nim do formy. W przypadku prawidłowo przebiegającego

porodu fizjologicznego sprawność wraca dość szybko. Bywają przypadki, że kobiety już pięć-siedem godzin po porodzie są w stanie samodzielnie się umyć i zająć dzieckiem. Naturalnie nie jest to zawrotna prędkość, bo poród zawsze stanowi duży wysiłek dla rodzącej, niemniej jednak powrót do formy jest szybszy.

Zaczęłam analizować: Beata przez cesarskie cięcie, bo miała jakieś komplikacje, ale wszystko było ustalone z lekarzem; Marta też miała cesarskie cięcie, a sam poród odbył się z dziesięciodniowym opóźnieniem; Aga – jedenaście dni opóźnienia i też cesarskie cięcie, do tego jeszcze dziecko miało zapalenie płuc. Jakaś plaga, czy co?

Po wyjściu każdej z dziewczyn ze szpitala w ciągu kilku godzin pojawiała się kolejna ciężarna, a ja nadal leżałam w *dwupaku*. I tak pojawiły się: Magda, Patrycja i Ania. Anka była najlepsza, nie mogłyśmy się na nią napatrzeć. Trafiła na oddział zgodnie z terminem porodu i powtarzała:

– Ja tu przyszłam dzisiaj i jutro rano urodzę i już mnie tu nie będzie.

Anka miała problem z naturalnym zapłodnieniem i pomimo wielu prób nie udało jej się zająć w ciążę naturalnie. Miała bogatego ojca mieszkającego za granicą, dlatego mogła sobie pozwolić na zapłodnienie metodą *in vitro*, tym razem z sukcesem. Podziwiałymy ją za tę radość, jaką w sobie miała. Nic ją nie bolało, nie bała się porodu. Miałyśmy wrażenie, że po prostu miała w brzuchu piłkę, a do tego była na haju. Była pełna energii, biegała do bufetu i do sklepiku po przysmaki dla nas i zawsze była uśmiechnięta. Na kolejny

dzień miała zaplanowany poród i wtedy miała robioną lewatywę, z czego – oczywiście – sobie żartowała i zaraziła nas nastrojem do żartów. Cieszyła się z tego, że wody płodowe jej odeszły i że rozwarcie szyjki macicy się powiększa. Była szczęśliwa. Wyciąłowała nas i na własnych nogach tanecznym krokiem udała się na porodówkę. Krzyczałyśmy za nią:

– Śpiewaj tak głośno Andzia na tej porodówce, byśmy cię słyszały!

Po czterdziestu pięciu minutach jej mąż przyszedł po rzeczy i oznajmił, że urodziła im się córeczka i że są przeszczęśliwi! Życzyłyśmy im wszystkiego dobrego i dużo zdrowia dla Andzi.

Staraliśmy się nie myśleć o bólu. Chciałyśmy, jak Anka, cieszyć się z bólu, bo przecież jak ona, nosiłyśmy pod naszymi sercami kolejne bijące serduszko. Potem przekonałam się, że ten ból był jednak nie do zniesienia. Może to dlatego, że rodziłam swoje pierwsze dziecko i nie wiedziałam jeszcze, jak boli poród.

Zaczęłam trochę panikować. Podczas każdego obchodu lekarskiego wyrażałam obawy, czy wszystko w porządku z moim maleństwem, opowiadałam o wypadku i komplikacjach. Lekarze nie chcieli zlecać zbędnych badań, ale za którymś razem lekarz oglądając moją książeczkę cukrzycową zauważył, kto jest moim lekarzem prowadzącym – pracującym właśnie na tym oddziale – i wyznaczył badanie kontrolne na kolejny dzień.

Leżąc na oddziale nasłuchiwałam się, jak dziewczyny z mojej

sali rozmawiały o swoich synkach, którzy wkrótce się urodzą, i ponownie zapragnęłam poznać płeć dziecka. Myślałam sobie, że to może wcale to nie będzie Zuzia, lecz Kordian? I nazajutrz z rana, podczas ostatniego badania płodu przed porodem, zapytałam lekarza:

– Panie doktorze, niech pan mi powie na koniec, jaka jest płeć mojego dziecka, bo chciałabym już wiedzieć.

a on spojrzał na mnie i odrzekł:

– To pani nie wie, czy będzie miała dziewczynkę czy chłopca? Lekarz pani nie powiedział?

– Ja nie chciałam wiedzieć, ale teraz już chcę.

Lekarz uśmiechnął się tylko i zaczął się bardziej przyglądać obrazowi na monitorze. Po chwili powiedział:

– Ja już wiem, ale skoro pani tyle wytrzymała nie znając płci dziecka, to wytrzyma pani do końca. Ja pani nie powiem, poza tym wszystko jest dobrze, dziękuję.

I tyle, nic się nie dowiedziałam. Kazał już mi iść sobie.

Tak sobie pomyślałam, że cały czas mówię do własnego brzuszka *ona*, a jeżeli to będzie *on*? No cóż, i tak będę kochać moje dziecko na zabój.

Ucieszyłam się, gdy zobaczyłam w piątek swojego lekarza prowadzącego na oddziale. Pomyślałam, że może da mnie na porodówkę, bo z moich wyliczeń wynikało, że rozwiązanie miałam właśnie na piątek, ale lekarze mieli inne zdanie. Nawet mój lekarz prowadzący wyklócał się ze mną o to, że tak się nie liczy, ale ja przecież wiedziałam, kiedy *to robiłam*. Ciągle tak odpowiadałam. Naczytałam się troszkę i myślę, że

byłam dobrze zorientowana w temacie.

Mój lekarz odbywał właśnie trzydziestosześciodzinny dyżur, więc poszłam do niego w niedzielę i poprosiłam, by skierował mnie w końcu na porodówkę. Zgodził się, ale uprzedził, że na początku podadzą mi dożylnie oksytocynę – syntetyczny hormon wywołujący skurcze – by zbadać moją reakcję i stwierdzić, czy pojawią się u mnie skurcze przedporodowe. Zaznaczył też, że to wcale nie jest gwarancją porodu i przyjął to z akceptacją. I tak, kolejnego dnia podano mi oksytocynę. Wtedy na dyżurze była grupa sympatycznych pielęgniarek. Jedna z nich położyła mnie na łóżko, przykryła kocem i podłączyła kroplówkę z hormonem, zaś inna wzięła do ręki moją kartę informacyjną, do której był dołączony wypis ze szpitala po wypadku samochodowym. Wymieniała na głos opisane tam dolegliwości i skutki wypadku, aż w końcu spojrzała na mnie i zapytała:

– Kobieto, ty jeszcze żyjesz?

Uśmiechnęłam się:

– Jak widać nie dałam się złemu. Na razie święty Piotr mnie tam nie chce.

Kroplówka ściekła i nic: nie miałam rozwarcia ani skurczy. Musiałam wrócić na oddział, ale wychodząc obróciłam się do położnej i powiedziałam:

– Ja tu jeszcze wrócę.

– To nieuniknione, tylko żeby pani trafiła na naszą zmianę
– odpowiedziała z uśmiechem.

Wróciłam do pokoju, a dziewczyny zaskoczone zapytały:

- A ty co tu robisz?

- No co, nie chciało wyjść moje maleństwo. Za dobrze mu tam.

Gdy nadszedł wieczór, bardzo rozboleła mnie dół brzucha, ale tak okropnie, że od razu pomyślałam, że to już się zaczęło. Wezwałam pielęgniarkę i powiedziałam jej, że bardzo mnie boli, a ta spojrzała na mnie i oznajmiła:

- Dziecko pcha się w kanał rodny, tak musi być.

Poprosiłam o coś przeciwbólowego, ale w odpowiedzi usłyszałam:

- Nie mogę, to źle wpłynie na dziecko. Mogę podać tylko środek rozkurczowy.

Jezu, co za ból! Powiedziałam dziewczynom na sali, że zostawię po sobie pamiątkę w tym pokoju, na co one:

- Jaką?

- Wydrapię pazurami moje imię, może będzie mniej bolało, bo skupię się na bólu odpadających pazurów. Choć nie wiem, który ból bardziej by mi odpowiadał.

Po kilku godzinach męczarni ponownie spytałam pielęgniarkę, czy mogłaby jednak podać mi ten środek rozkurczowy, ale odparła:

- Mogłabym, ale się skończyły.

I poszła sobie. Pomyślałam na głos:

- Insuliny nie ma, przeciwbólowych też nie, może to nie szpital, a hospicjum?

Nad ranem ból lekko ustąpił. Czułam już mniejszy ból, ale to jednak wciąż ból.

Poszłam na badanie poranne. Powiedziałam do brzuska:

– Widzisz, maleństwo, wczoraj nie wyszłaś na świat, a był tu nasz lekarz prowadzący. Teraz go nie ma, ale trudno, poradzimy sobie jakoś? Przecież go nie ściągniemy, bo nam zemdleje po tych trzydziestu sześciu godzinach i zajmą się nim, a nie nami.

Na dyżurze akurat był sam ordynator, a trzeba wiedzieć, że ma duże dłonie, toteż gdy zbadał u mnie położenie płodu, od razu zaczęła się akcja porodowa. Ordynator stwierdził:

– Jest już rozwarcie na półtora centymetra, więc czas na porodówkę. Zaczęło się.

Idąc do pokoju głaskałam brzuszek i mówiłam do niego:

– Dziś wielki dzień, maleństwo moje. Musisz być bardzo dzielna i ja też, a wieczorem będziemy już razem i będę cię trzymać na rączkach i mocno całować.

Po wejściu na porodówkę zorientowałam się szybko, że trafiłam na inną grupę pielęgniarek. Położna nie była wzorem osoby sympatycznej, czego zresztą nie ukrywała. Podłączono mi kroplówkę. Po piętnastu minutach zaczęły się bóle. Poczułam potrzebę skorzystania z toalety, a gdy usiadłam na muszli klozetowej, to odechciało mi się. Położna kazała mi robić przysiady przy łóżku, a ból się nasilał. Gdy weszłam na łóżko, przyszedł lekarz. Niski, owłosiony, wyglądał jak małpa, z wielkimi dłońmi, na których są włosy. Fuj! Powiedziałam do siebie:

– Mój lekarz miał tu być ale miał bardzo długi dyżur, więc na pewno nie przyjedzie.

Więc nawet nie dzwoniłam po niego. Wiedziałam, że jest zmęczony i mi nie pomoże. Położna podchodziła do mnie i mamrotała pod nosem coś w stylu:

– Co to za skurcze? To nie są skurcze. Co ty tu dziewczyno w ogóle robisz? Powinnaś wrócić na oddział.

Bardzo mnie wkurzała, ale byłam od niej uzależniona. Gdybym ją skrytykowała, mogłaby mnie tu zostawić, żebym się męczyła. Nie wiedziałam, co mam robić, ale na szczęście miałam przy sobie telefon, więc zadzwoniłam do Grześka:

– Słuchaj, zaczęło się, jestem na porodówce. Przyjeżdżaj, bo tę babę zaraz rozniosę, szybko przyjedź.

Grzesiek przyjechał po dwudziestu minutach. Powiedział mi, że przed chwilą widział tu mojego lekarza prowadzącego. Jezu, jak ja się ucieszyłam! W tym momencie dół brzucha zaczął mnie tak boleć, że szkoda słów. Wystękałam:

– Mamusiu, mamusiu...

a mój mąż do mnie:

– Ana, tu nie ma twojej mamy, ja jestem.

Teraz to ja się z tego śmieję, ale wtedy nie było mi do śmiechu, a i Grzesiek był przerażony. Ból się nasilał, a pielęgniarka podchodziła do mnie co kwadrans, zerkła na rozwarcie i uśmiechała się pod nosem mruczając coś do siebie. Tak mnie denerwowała, że musiałam skupiać uwagę, by nie powiedzieć jej czegoś przykrego. Po dziesięciu minutach przyszedł mój lekarz. Gdy go tylko zobaczyłam, zwróciłam się do niego:

– Jezu... Panie doktorze, jak ja się cieszę, że pana widzę.

Nie dzwoniłam, bo pan był wykończony po dyżurze, więc nie chciałam pana ściągać.

A on do mnie:

– Ma pani szczęście, akurat musiałem kolegę zastąpić.

Pomyślałam sobie: dar z nieba. Lekarz obejrzał mnie:

– Już pięć centymetrów rozwarcia.

– A ile ma być?

– Dziesięć, pani Ano, to już niedługo.

Uśmiechnął się i wyszedł. Położna czytała moją kartę informacyjną, po czym wstała i podeszła do mnie:

– To pani lekarz prowadzący?

– Tak.

I jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki, zaczęła być dla mnie miła. To poduszkę podłożyła pod krzyż, to łóżko poprawiła. Bóle nasiliły się tak, że zaczęłam po cichu mówić:

– Babciu, pomóż mi, proszę, babciu...

Zwracałam się do babci Jasi, już nieżyjącej mamy mojego taty.

W pewnej chwili podeszła do mnie położna z zamiarem nałożenia maski tlenowej. Przeraziłam się momentalnie i zaprotestowałam:

– Niech pani mi tego nawet nie podaje, nie wolno!

Spojrzała na mnie z szyderczym uśmiechem i przykładając mi maskę do twarzy odpowiedziała:

– Przecież to tylko maska tlenowa.

Mając ją na nosie czułam, że jest mi duszno. Wciągnęłam

dwa razy powietrze przez nos, ale czułam się, jakbym wdychała dym palącego się plastiku. Zrzuciłam ją z twarzy i odezwałam się z przerażeniem w oczach:

– Ja nie mogę tego, to mi śmierdzi plastikiem!

a ona uśmiechając się krzywo, przyłożyła mi maskę do nosa i trzymając ją mocno powiedziała:

– Dziewczyno, powietrze ci śmierdzi? przestań cudować!

W tym momencie poczułam, że tracę przytomność. Ciśnienie mi wzrosło, aparatura zaczęła piszczeć. Miałam ciemno przed oczami, ale usłyszałam głos położnej:

– Lekarza, szybko!

Słyszałam, jak Grzesiek krzyczy do mnie:

– Ana! Kochanie, otwórz oczy, proszę cię. Oddychaj, Ana!

Nie czułam bólu, za to czułam się niezwykle lekka. Nie wiem, ile to trwało. Nagle usłyszałam głos położnej:

– Ana, dusisz dziecko!

Na te słowa od razu otrzeźwiałam, otworzyłam oczy i zobaczyłam Grześka, który trzymał mnie za prawą rękę, a obok niego stała kobieta w fartuchu trzymająca mnie za prawą nogę. Pomiedzy nogami była położna i mój lekarz, który trzymał mnie za lewą nogę, i wreszcie kobieta w białym fartuchu trzymająca mnie za lewą rękę. Nabrałam powietrza i zaczęłam przecć, jak mi kazali. Po dwóch parciach poczułam, jak mały ludek wyskakuje ze mnie. Położna chwyciła maleństwo.

ZUZIA

Nie usłyszałam płaczu dziecka i wystraszyłam się. Krzyknęłam od razu:

– Dlaczego nie płacze? Nie słyszę dziecka!

Dopiero, gdy położna dała dziecku klapsa, to zaczęło cicho płakać. Spojrzałam na położną pomiędzy moimi nogami i widziałam, że ta spojrzała na lekarkę po mojej prawej stronie szepcząc coś do niej. Lekarka pochyliła się do położnej i powiedziała do niej:

– Dziecko puściło czarną smólkę, czyli dusiło się.

Krzyknęłam zaraz do nich:

– Co z maleństwem? Co mam?

– Dziewczynkę, Ana, masz piękną córę.

Po tych słowach i po tym, gdy usłyszałam jej cichy płacz, dotarło do mnie, że udało się. Nigdy nie zapomnę reakcji Zuzi, która z początku płakała, ale gdy położna położyła mi ją na piersi i malutka usłyszała mój głos, od razu odetchnęła ulgą, że jest przy mnie. Powiedziałam wtedy do niej cichutko:

– Witaj, moje szczęście. Byłaś bardzo dzielna. Teraz już zawsze będziemy razem. Moja piękna Zuzanno Anno.

Ucałowałam moje maleństwo, Grzesiek przeciął pępowinę, po czym zabrali Zuzię na ważenie i mierzenie, a mi założono piętnaście szwów, gdyż położna musiała mnie rozciąć, by ratować maleństwo.

Potem leżałam jeszcze chwilę na bloku operacyjnym, a w

tym czasie Grzegorz wyszedł na korytarz i zaczął wszystkich obdzwaniać:

– Słuchaj, mam córeczkę, Ana właśnie urodziła. Jestem tatą!

Nie wiem ile tych telefonów wykonał. Do mnie podeszła położna i nakryła mnie kocem, a potem spytała, czy nie chcę ciepłej zupy. Była bardzo miła, ale ja wtedy powiedziałam do niej:

– Nie słuchała pani, co się do niej mówi. Nie wierzyła mi pani i wyszło, jak wyszło.

Nie chciała spojrzeć mi w oczy, odparła tylko:

– Ale grunt, że córeczka zdrowa.

I poszła, już jej więcej nie widziałam.

Zostałam przewieziona na oddział do pokoju z dwiema mamami. Miały przy sobie dzieci, które bardzo głośno płakały. Mnie położyli na łóżko, nie miałam sił się ruszać i wszystko mnie bolało. Grzegorz był przy mnie. Spytałam go, gdzie jest Zuzia, a on odpowiedział, że zabrali ją, żeby spisać dane. Odrzekłam:

– Słuchaj ja się prześpię, odpocznę, a ty idź zobacz, co oni tam jej robią.

Po chwili pielęgniarka przyniosła mi maleństwo. Waga: 3610 g, długość: 54 cm. Zuzia była taka cichutka, w ogóle nie płakała. Była owinięta w kokonik. Kobieta położyła mi ją obok piersi i pokazała, jak karmić. Grzegorz oznajmił:

– To ja już idę, Ana, muszę coś załatwić i później wrócę. Twoja mama dzwoniła, że już jedzie. Napisz mi smsa, jeżeli

będziesz czegoś potrzebować.

I poszedł.

Miałam malutką przy piersi. Zuzia od razu zaczęła ciągnąć pokarm, po czym zasnęła. Ja byłam bardzo zmęczona, ale bałam się, że gdy zasnę, nie usłyszę jej płaczu albo że ją przygniotę. Patrzyłam na nią, jak śpi. Mój aniołeczek, moje szczęście, cudowne, najpiękniejsze, serduszko moje malutkie. Słyszałam płacz dwójki dzieci z boku, a moja Zuzia spała sobie w najlepsze i najwyraźniej nic jej nie przeszkadzało, nawet głośny płacz nie był w stanie przerwać jej snu.

Krótko potem przyjechała moja mamusia, żeby poznać moją piękną gwiazdeczkę, wycałowała mnie i pochwaliła, że byłam dzielna. Mama zaproponowała, bym przespała się godzinę, a ona będzie czuwać. Czułam się już pewniej i spokojniej, więc oczy same mi się zamknęły. Po godzinie obudziłam się, mama siedziała na krześle, a maleństwo spało niczym się nie przejmując. Po chwili weszła moja siostra Wiewióra ze swoim narzeczonym Andreyem. Zachciało mi do toalety, więc siostra poszła ze mną. Musiałam iść małymi kroczkami. Usiadłam na sedes, nie mogłam się *tam* dotknąć. Czułam tylko masę żyłek i straszny ból. Wstałam z muszli i ruszyłam do wyjścia, gdy nagle zrobiło mi się słabo i poczułam, że lecę na ścianę. Usłyszałam krzyk swojej siostry:

– Cholera, co się dzieje? Co ci, Ana?

Złapała mnie i zaprowadziła powoli do łóżka, a tam zdała relację mamie. Mama poprosiła, bym jeszcze trochę pospała,

ale ja nie byłam już w stanie, a mój Aniołeczek spał sobie słodko. Nawet zastanawiałam się, czy na pewno wszystko jest tak, jak być powinno. Dlaczego ona nie płacze? Mama uspokajała mnie:

– Masz cudowną córeczkę, Ana. Jestem z ciebie bardzo dumna, byłaś dzielna. Obie jesteście bardzo zmęczone, bo dla niej to też był bardzo duży wysiłek, nie tylko dla Ciebie. Daj jej odpocząć, jeszcze da ci w kość, zobaczysz.

Zuzia budziła się tylko na jedzenie, a potem znowu zasypiała.

Następnego dnia przyjechał dziadek Czesiu z babcią Jadzią – rodzice Grzegorza. Teściu ucałował ze szczęścia moją dłoń okazując mi tym samym wielki szacunek. Oboje mieli łzy w oczach, gdy zobaczyli nasze maleństwo. Zuzia – nasze Szczęście. Było widać, jacy są dumni. Teść zaczął wozić w samochodzie zdjęcie swojej wnusi i chwalił się nią każdemu.

Po porodzie leżałam na oddziale tylko trzy dni, po czym wróciłyśmy do domu, gdzie życie płynęło dalej, ale już z moim Szczęściem u boku. Dochodziłam do siebie, szwy pooperacyjne goiły się. W pierwszych kilku tygodniach po wyjściu ze szpitala mieliśmy dużo gości, bo każdy chciał zobaczyć naszą córeczkę. Mój tata przywiózł Zuzi bałwanka zrobionego z ręczników. Zuzia była taka malutka, prawie jak on. Tata starał się mówić szeptem, ale poinstruowałam go, że nie musi, bo małej nie przeszkadza hałas. Ona chyba nie lubi ciszy – ma to po mnie. Wobec tego tata zaczął mówić swoim normalnym głosem, czyli głośnym niskim tonem. Wyrażał

swój pełny podziw:

– O właśnie, tak, dziecko powinno reagować na dźwięki, nie bać się ich, nie chodzić na paluszkach i mówić tylko szeptem.

Byłam taka dumna z mojego maleństwa, choć miało zaledwie kilka dni.

Przez jakiś czas po urodzeniu Zuzi przychodziła do nas pielęgniarka położna.

Teraz tylko ona się liczyła: moja kochana córeczka, moje szczęście, moja Zuzia. Gdy trzymałam ją na rękach, świat się nie liczył. Uwielbiałam na nią patrzeć, całować ją i tulić. Czytałam jej bajki, chodziłam z nią na spacer, a gdy robiłam obiady, sadzałam ją w nosidełku na stole, śpiewałam jej i wygłupiałam się z nią. Podczas kąpieli tak chlapała, że w pokoju było pełno wody na podłodze, ale to nieważne, posprzątałam. Ważna była jej radość. Ona poznawała świat, a ja cieszyłam się z każdego jej nowego osiągnięcia. Wpatrywałam się, jak odkrywa coś nowego: czy to zabawkę, zasłonę w pokoju czy nawet światełko w telefonie, gdy kamera jest włączona. Mam kilka filmików i masę zdjęć mojej gwiazdeczki. Mogłabym bez końca chwalić się i pokazywać, jakie cudo mam przy moim sercu. Uwieczniałam na zdjęciach każdą chwilę ważną dla nas, tak więc, gdy Zuzia dorośnie, będzie mogła nacieszyć się dzieciństwem zatrzymanym w kadrze.

Zuzia miała jakieś uczulenie na skórze, więc zaniepokojona zadzwoniłam do mojej mamy, żeby skonsultować się z nią w tej sprawie. Pielęgniarka

powiedziała, że to potówki, ale nie bardzo chciało mi się w to wierzyć. Dobrze, że żyjemy w dobie Internetu i można dowiedzieć się, jak inni sobie radzą z podobnymi dolegliwościami. Wiezorami czytałam fora internetowe innych mam i dowiedziałam się o maściach pomocnych przy takiej wysypce. Kupiłam maść i po kilku tygodniach czy miesiącach stosowania brzydkie plamki na ciele Zuzi po prostu zniknęły.

Gdy Zuzia miała trzy miesiące, wybrałam się z nią na wizytę do mojej pani psycholog. Gdy weszłam do jej gabinetu, pani Marta aż wstała z wrażenia. Przywitałam się:

– Obiecałam, więc jesteście.

Maleństwo zaczęło płakać, więc wyciągnęłam ją z nosidełka i poczułam, że ma mokro, a cały sprzęt miałam w torbie na wózku, który stał na korytarzu w poczekalni. Wzięłam Zuzię i przekazałam na ręce pani doktor mówiąc:

– Pani Marto, musi pani mi pomóc, pani przytrzyma Zuzię, a ja zaraz wrócę.

Pani doktor wstała z krzesła:

– Nie, może lepiej nie, to ja pójde po te rzeczy.

Czułam, że tak będzie dobrze, że bardzo jest to jej potrzebne, więc uparłam się:

– Musi pani ją wziąć, bo ja muszę podejść do męża po pieluszkę.

Pani Marta nie opierała się dłużej. Wyciągnęła ręce i wzięła małą mówiąc do niej:

– Witaj malutka, pewnie pamiętasz mój głosik, jak

przychodziłaś do mnie z mamusią.

Widziałam jej radość i łyzy szczęścia. Spojrzałam na nią i powiedziałam:

– Pani doktor, nam się udało, teraz kolej na panią.

Pamiętam jak spojrzała na mnie i przytaknęła z uśmiechem. Na chwilę zostawiłam je same, by obudzić w pani Marcie chęć macierzyństwa. Kolejnym razem byłyśmy u niej razem z Zuzią, gdy ta miała półtora roku. Gdy tylko miałam jakiś problem, szłam do pani doktor by się wygadać i zasięgnąć porady.

Zuzia początkowo nie raczkowała, tylko poruszała się na pupie. Bałam się, że to jest jakaś wada rozwojowa i skonsultowałam to z lekarzem rodzinnym i ortopedą. Dostałyśmy skierowanie do Poradni Wad Postawy, ale tam powiedzieli mi, że wszystko jest w porządku i nie ma powodu do obaw, jednak nadal się martwiłam, więc gdy odwiedziłam panią psycholog, szukałyśmy rozwiązań. Podpowiadała mi co mam robić, podała adresy do specjalistów. Ostatecznie Zuzia ruszyła sama, gdy miała siedemnaście miesięcy. Jeden strach minął.

Zuzia odrzuciła mi pokarm w piątym miesiącu życia i nabrałam obaw, że dzieje się coś niedobrego. Nie wiedziałam, co mam robić i ponownie zajrzałam na fora internetowe i ponownie zapytałam mamę, więc nie zostałam z tym sama. Dowiedziałam się, że trzeba odciągać pokarm specjalną pompką, a mała zaczęła pić mleko w proszku.

W trakcie ciąży miałam płaconą pełną wypłatę. Po urodzeniu dochód spadł do osiemdziesięciu procent tego, co

miałam wcześniej, i tak było przez pół roku, a przez kolejne pół roku otrzymywałam zasiłek dla bezrobotnych. Później straciłam źródło dochodu i zrobiło się ciężko, bo od tej pory żyliśmy z jednej wypłaty, a trzeba było zrobić opłaty mieszkaniowe i opłacić raty kredytowe. Myślałam o podjęciu pracy, ale nie mogłam jeszcze zostawić Zuzi na osiem godzin z Grzegorzem, więc musiałam wymyślić coś innego. Nie miałam wygórowanych oczekiwań, po prostu liczyłam na jakąkolwiek pomoc, niekoniecznie pieniądze, ale np. żywność. Poszłam zatem na plebanię do księdza i poprosiłam o wsparcie. Dostaliśmy mąkę, makaron, ryż, mleko oraz serki topione na kanapki. Skorzystałam z tej pomocy chyba tylko dwa razy dlatego, że potem miałam udokumentować źródło dochodu. Miałam udowodnić, ile zarabiamy. Ja byłam wtedy na kuroniówce, a mąż dopiero zaczynał pracę, którą dostał w dniu urodzin Zuzi. Pracował tam na nocne zmiany, więc po powrocie do domu powinien spać, a nie zajmować się dzieckiem. To nie było warte całej tej bieganiny za dokumentami, gdyż musiałabym jeździć po mieście, a Grzegorz – wysyłać pisma do Krakowa, bo tam jest siedziba jego firmy. No cóż, trzeba było żyć jak najskromniej.

Odwiedzałam czasem dziewczyny i pacjentów w Domu Pomocy Społecznej. Pracowała tam pielęgniarka Bożenka, z którą rozmawiałam przy kawie o swojej sytuacji. Powiedziała, że ma koleżankę, która poszukuje kobiety do sprzątania mieszkania na peryferiach miasta. Obiecała, że porozmawia z nią i wzięła ode mnie numer telefonu.

PANI IZA

Kilka dni później zadzwoniła do mnie Pani Izabela. Była bardzo zamożną osobą, zajmowała dyrektorskie stanowisko w fabryce niedaleko Gorzowa. Podczas rozmowy poinformowała mnie, że nikogo w domu nie będzie, a ja będę u niej tak długo, aż posprzątam cały dom, a potem mam schować klucze w umówionym miejscu. Zgodziłam się i umówiliśmy się na najbliższy poniedziałek. Spytała mnie, czy mam jeszcze jedną koleżankę zainteresowaną sprzątnięciem domu, bo to dom bliźniaczy i sąsiadka też potrzebuje tego rodzaju pomocy. Odparłam, że dam znać. Zadzwoniłam do mojej Wiołci i spytałam ją, czy jest zainteresowana tą pracą. Zgodziła się, więc pojechałyśmy obie, by było nam raźniej. Miałyśmy adres i choć pani Iza wytłumaczyła mi mniej więcej, gdzie to jest, nie sądziłyśmy, że to tak daleko. Wysiadłyśmy w centrum tej wioski, obok kościoła i stamtąd szłyśmy pieszo trzy kilometry. Dobrze, że mam zawsze przy sobie coś do picia, bo szłyśmy kawał w palącym słońcu między polami, a ja choruję na duszności i gdy mam sucho w ustach lub w nosie i nie mam dostępu do wody, momentalnie zaczyna brakować mi powietrza. Jeszcze by tego brakowało, żebym padła po drodze! Toteż nosiłam ze sobą do pracy półtora litra napoju i zawsze wypijałam całą butelkę. Przyjemnie było przejść obok jeziora, z którego dochodziło chłodne powietrze, choć to było zaledwie trzydzieści metrów.

Gdy doszliśmy na miejsce, zobaczyliśmy osiedle złożone z dziewięciu domów o jednakowej bryle, które różniły się tylko zagospodarowaniem przed wejściem. Nazwałyśmy to osiedle *Osiedlem Bogaczy*. Budynek, w którym sprzątałyśmy, to bliźniak w dwoma mieszkaniami o powierzchni stu sześćdziesięciu metrów kwadratowych. Ja sprzątałam u pani Izy, a Wiola u pani Magdy. Sprzątałyśmy w różnym tempie i czasem wracałyśmy do domu osobno. Stamtąd kursowały tylko trzy autobusy dziennie, a nie zawsze zdołałam dotrzeć na przystanek przed odjazdem ostatniego i wtedy wracałam do domu autostopem.

Pracowałam u pani Izy raz w tygodniu. Włączałam sobie muzykę, zamykałam się na klucz i sprzątałam. Mieszkanie było ogromne i miało wysokie okna od strony tarasu. Na dole był ogromny salon z aneksem kuchennym i jadalnią, łazienka, pokój dla gości, garaż i duży taras. Na piętrze były dwie sypialnie, w tym jedna połączona z garderobą, a także pokój chłopców i łazienka, w której stała ogromna wanna. Był tam także prysznic i toaleta.

Mieszkanie wyglądało piękne, ale nie wiem, czy chciałabym mieszkać w takim dużym domu i zastanawiałam, czy gdybym sama miała duże pieniądze, to czy kupiłabym sobie takie mieszkanie. Może gdybym miała kilkoro dzieci, to tak. Myślę, że bałabym się być wieczorami sama w tym domu i nie czułabym się w nim bezpiecznie. Okna na taras przerażałyby mnie w nocy, wydawałoby mi się, że ktoś mnie obserwuje lub nawet, że zaraz wtargnie do środka.

Nie czułam ciepła domowego w tak eleganckiej przestrzeni.

Może gdybym miała cały czas gości albo partnera u boku, noce przy kominku byłyby romantyczne.

Pani Izabela mieszkała ze swoim partnerem, panem Olafem – marynarzem, który co drugi tydzień wypływał w rejs. Czasem pan Olaf był w mieszkaniu kiedy sprzątałam i gdy kończyłam pracę, na pożegnanie mówiłam:

– Do miłego, panie Olafie.

a on odpowiadał:

– Do miłego, pani Ano, do miłego.

Marynarze mówią w ten sposób do siebie na pożegnanie.

Mateusza, syna pani Izabeli, dziesięcioletniego chłopca, widziałam może ze dwa razy. Sprzątałam mieszkanie i taras w ciągu czterech godzin i otrzymywałam za to sześćdziesiąt złotych, które przeznaczałam na pieluchy i mleko dla Zuzi.

Pani Izabela lubiła czasem wyjść do pracy nieco później. Czekala wtedy na mnie i rozmawiałyśmy przez chwilę.

Pamiętam, jak w święta Bożego Narodzenia postawili wysoką żywą choinkę przy kominku, oczywiście w bezpiecznej odległości od niego. Choinka była pięknie przystrojona i niesamowicie komponowała się z kominkiem. Przed kominkiem na podłodze leżał jasny dywan z długiego włosia. To wszystko wyglądało jak wyjęte żywcem z pocztówki świątecznej. Sprzątałam akurat w Wigilię, gdy pani Izabela z panem Olafem pojechali do miasta. Pytałam ich – każde z osobna – przed wyjazdem, jakie prezenty sobie robią, i doznałam szoku po tym, co usłyszałam:

– Postanowiliśmy z Izą, że nie robimy sobie prezentów, bo

przecież wszystko mamy. Nic nam nie potrzeba – stwierdził pan Olaf.

– To jest ważne w tym święcie, że wtedy daje się prezenty drugiej kochającej osobie. Na tym polega magia świąt – tłumaczyłam.

– OK, kupię jej lampkę, którą chciałyby mieć przy kominku.

Pani Iza również odpowiedziała, że niczego nie potrzebują, bo wszystko mają.

Dla mnie to było straszne, że nie dbali o atmosferę świąteczną. Ważne są drobiazgi i tradycja. Święta nie napełniały ich radością, nie znali wspólnych przygotowań, ukrywania w tajemnicy prezentów czy wspólnego ubierania choinki. Wiedząc, jak oni *bogaci* przeżywają święta, byłam dumna z mojej rodziny. U nas wszyscy czekali na święta i to nie prezenty były istotne, ale sama atmosfera przygotowań. Wspólnie ubieraliśmy choinkę i śpiewaliśmy kolędy. To jest piękne i bezcenne.

PANI MAGDA

Po trzech miesiącach Wioletta musiała zrezygnować ze sprzątanania u pani Magdy, ale już nie pamiętam, dlaczego. Pani Magda spytała mnie, czy dałabym radę sprzątać również ich mieszkanie. Zgodziłam się i odtąd jeździłam tam dwa razy w tygodniu. W poniedziałki sprzątałam u pani Izabeli,

a w piątki u pani Magdy.

Pani Magda miała dwie córeczki: ośmioletnią Hanię i czteroletnią Olę. Mąż pani Magdy ma na imię Marek. Mieli także kotkę Psotkę.

Najpiękniejszy w mieszkaniu pani Magdy był pokój dziewczynek. Gdy wchodziłam do niego, marzyłam, by taki pokój miała moja Zuzia. W pokoju stały dwa zwykłe drewniane jednoosobowe łóżka dziecięce, a przy każdym stoliczek z lampką nocną. Nad łóżkami wisiały półki, na których dziewczynki trzymały swoje skarby. Na półce Hania miała poukładane figurki z bajek, takie niewysokie, a oprócz tego domek i inne dodatki, zaś Ola miała niewielkie pluszaki z bajek Disney'a. Po drugiej stronie pokoju stały dwa stoliki: na jednym dziewczynki malowały farbami, a drugi był przeznaczony do zabawy plasteliną albo rysowania kredkami. W kącie pokoju stał domek, a właściwie jego część kuchenna. Był na tyle duży, że dziewczynki mogły do niego wejść. Było w nim wszystko, od kubeczka po garnuszek. Dziewczynki mogły się uczyć prowadzić dom.

To mieszkanie bardziej mi się podobało, ponieważ panowała w nim radość i ciepło rodzinne. I nawet było czuć atmosferę przedświąteczną. Dziewczynki ubierały choinkę razem z mamą, bo tatuś był wtedy w pracy, a potem opowiadały mi o tym z wypiekami na twarzy. Biła z nich taka radość.

Pracowałam tam ponad pół roku. Przygotowywałam wszystkie potrzebne rzeczy do opieki nad Zuzią i zostawiałam ją z Grzegorzem. On jest odpowiedzialnym

tata, ale zawsze mówiłam, że jakby co, to jestem pod telefonem. Niepotrzebnie, bo i tak zawsze dawał sobie radę. Czasem nawet miałam wrażenie, że Zuzia była bardziej za nim, niż za mną.

Wychodziłam do pracy o dziewiątej i wracałam po szesnastej, o ile zdążyłam na autobus powrotny. Po drodze do domu kupowałam paczkę pieluszek za dwadzieścia pięć złotych oraz mleko w proszku za dwadzieścia siedem złotych i dowoziłam do domu resztki gotówki. To było przygnębiające, dlatego wspólnie z Grześkiem podjęliśmy decyzję, że skoro on tak dobrze radzi sobie z Zuzią, to ja rozpocznę pracę na etat. Wtedy najniższa krajowa wynosiła ponad tysiąc złotych, a nie sześćdziesiąt, które zarabiałam za sprzątanie mieszkania. Taka pensja podreperowałaby nieco nasz domowy budżet.

Nadal sprzątałam mieszkania pani Izy i pani Magdy, aż pewnego dnia przyszła do mnie Wioletta z propozycją pracy dla osoby z orzeczeniem o niepełnosprawności. Miałabym pracować siedem godzin dziennie, a poza tym miałam nadzieję, że skierują mnie tam, gdzie będę mogła wcześniej rano zaczynać pracę, aby wracać do domu wczesnym popołudniem. Nazajutrz umówiłam się z właścicielem na rozmowę w sprawie pracy. To był zakład pracy chronionej. Powiedziałam mu, że mi zależy na czasie i że jestem dokładna. Właściciel zaproponował mi pracę od kolejnego miesiąca na terenie Urzędu Kontroli Skarbowej. Wiązało się to z wykupieniem biletu miesięcznego w cenie ponad stu złotych.

Zadzwoiłam do pani Izabeli oraz do pani Magdaleny, żeby poinformować o nowej pracy. Obie panie nie ukrywały rozczarowania. Pani Magda zapytała mnie, czy znam kogoś zaufanego, ale i tu ją rozczarowałam. Zaproponowałam, by wywiesiła w centrum wioski kartkę na sklepie, że poszukuje kobiety do sprzątnia, a na pewno ktoś się zgłosi. I rzeczywiście, bardzo szybko znalazła się moja następczyni.

Pojechałam posprzątać mieszkania po raz ostatni i pożegnałam się z panią Izabelą i panem Olafem, którzy życzyli mi powodzenia. Z Panem Olafem pożegnałam się oczywiście w stylu marynarskim: do miłego! Następnego dnia pożegnałam się z panią Magdaleną, która również życzyła mi szczęścia. Zostawiłam klucze,ostałam jeszcze chwilę przed budynkiem i powiedziałam do siebie w myślach:

– Może przyjdzie kiedyś taki dzień, że i ja będę miała tyle pieniędzy, że będzie mnie stać na taki dom i mam nadzieję, że z przyjemnością sama będę go sprzątać.

Wracając na przystanek autobusowy gorzej się poczułam. Pomyślałam, że może to wina stresu związanego ze zmianą pracy. Szłam i zastanawiałam się, czy w ogóle dotrę do przystanku. Byłam już przy jeziorze, zatem zostało mi do przejścia jeszcze około pół kilometra, gdy nagle zrobiło mi się gorąco i zaschło mi w gardle. Wypiłam resztkę wody, którą miałam przy sobie, ale nadal czułam, że opadam z sił. Nogi ugięły się pode mną, aż usiadłam na szosie. Było mi tak słabo, że z trudem unosiłam butelkę, żeby się napić. Pomyślałam: Boże! Jestem sama na jakimś odludziu, do centrum daleko, a w zasięgu wzroku nie było nikogo. Co

będzie, jeżeli zemdleję? Boże, nie rób mi tego! Wiem, że nie brałam tabletek na epilepsję i pewnie muszę do nich wrócić. Dobrze, zacznę je brać ponownie, tylko nie zostawiaj mnie tu samej, błagam Cię!

Po dwudziestu minutach poczułam, że siły mi wracają. Gdy tak siedziałam, to rozważałam. Urodziłam Zuzię, więc jestem jej potrzebna. A co, jeżeli coś takiego przytrafi mi się na spacerze z nią? Albo gdy będę ją trzymać na rękach? Nie mogę do tego doprowadzić. Może właśnie dostałam jakiś znak? Pewności nie ma, ale muszę na nowo zacząć brać leki, by takich ataków w ogóle nie było. Postanowiłam, że skonsultuję to z neurologiem.

Ostatecznie wróciłam do zażywania leków.

URZĄD KONTROLI SKARBOWEJ

Zaczął się nowy miesiąc, a wraz z nim nowa praca w charakterze sprzątaczk w budynku Urzędu Kontroli Skarbowej. Moim koordynatorem była pani Dorota, która wprowadziła mnie na obiekt i zapoznała mnie z zakresem obowiązków. Należało do nich sprzątnięcie całego piętra, tj. klatki schodowej, korytarza, toalet i gabinetów, w tym tych zamykanych na zamki szyfrowe. Te ostatnie sprzątałam pod nadzorem.

Polubiliśmy się z pracownikami Urzędu. Po pewnym czasie personel nabrał do mnie zaufania i nie byłam traktowana, jak

ktoś gorszy z uwagi na charakter mojej pracy. Nie mogłam spoufalać się z urzędnikami, ale z drugiej strony nie potrafię milczeć, gdy jestem wśród ludzi. Muszę zapytać, jak leci; po prostu zamienić niezobowiązująco kilka słów. Polubiłam pracę na tym obiekcie.

Pamiętam jedno dość zabawne zdarzenie. Tamtego dnia w Urzędzie pojawiła się grupa pracowników fizycznych, więc od razu zastrzegłam:

- Tylko niech panowie nie zostawią mi tu wielkiego bałaganu.

Odpowiedzieli, że posprzątają po sobie, ale mieli tak prostackie teksty, że nie spodobało mi się ich zachowanie, a szczególnie jednego z nich, dlatego postanowiłam mieć na nich oko. Podczas pracy nakruszyli na wykładzinę i zostawili sporo gruzu, ja powiedziałam sobie, że nie będę tego sprzątać. Odkurzacz był mi potrzebny, więc dałam im miotełkę. W pewnym momencie schodzili po schodach, a ja miałam odkurzacz akurat na korytarzu przy drzwiach do pokoju. Jeden z robotników – młody chłopak – chyba chciał pokazać, co to nie on, i powiedział do mnie:

- To my, skarbie, powinniemy ci zaraz ten odkurzacz na chwilę, nie będziemy machać przecież miotełkami.

Odwarknęłam mu:

- Tylko spróbuj, w żadnym wypadku. Teraz to on mi jest potrzebny. Nabrudziliście, więc miotełką zasuwaszcie, a odkurzacza nie dostaniecie, bo zapchacie mi go gruzem i co ja będę miała? Ja go teraz potrzebuję.

Młody zaśmiał się pod nosem i dodał:

– Spokojnie, maleńka, damy radę.

I całą grupą zeszli po schodach, ale ten młody po prostu mnie wkurzył.

Weszłam do jednego z pokoi, które sprzątam pod nadzorem. Akurat byli tam: Marcin, Tomek, pani kierownik i Magda. Wstawiłam odkurzacz i podłączyłam go do prądu, zamieniłam kilka słów z chłopakami, a potem poszłam na dół po coś, czego potrzebowałam do pracy. Zaczepił mnie ochroniarz, z którym chwilę porozmawiałam, potem jakaś kobieta zapytała mnie o drogę, więc wyszłam z budynku i pokazałam jej, dokąd ma się udać, a gdy wróciłam, natknęłam się na tych robotników. Ten młody znowu mnie zaczepił:

– No i pożyczylimy na chwilę ten odkurzacz, zaraz ci maleńka oddamy – mówiąc to, pokazał mi palcem na miejsce, w którym ostatnim razem stał odkurzacz.

Spojrzałam też w to miejsce i zorientowałam się, że odkurzacza naprawdę nie ma. Wkurzyłam się jeszcze bardziej i zaczęłam mówić do robotnika podniesionym głosem:

– Oddaj mi go, kto ci pozwolił go wziąć? Przecież dokładnie mówiłam, czym macie to robić. Zapchacie mi go, oddawać, ale już!

Chłopaki patrzą się na mnie, a młody się cieszy, więc dodałam:

– Nie słyszysz, co się do ciebie mówi, młody?

Chłopak nic sobie nie robił z mojego oburzenia, tylko zaczął schodzić po schodach z durnym uśmieszkiem na twarzy, ale jeszcze odezwał się:

– Nie wiem, o co ci chodzi, skarbuś.

Tak mnie zdenerwował, że weszłam do pokoju chłopaków, żeby się uspokoić, a tam okazało się, że Maciek, Tomek, pani kierownik i Magda płaczą ze śmiechu. Więc odezwałam się do nich:

– Widzieliście, jaki gość ma tupet, widzieliście? Bez pytania zabrał mi odkurzacz.

A po chwili dodałam:

– Z czego wy się tak śmiejecie?

Wtym momencie Maciek wskazał mi stojący pod ścianą odkurzacz. Zamurowało mnie! Myślałam, że spalę się ze wstydu, ale zamiast zamilknąć, brnęłam dalej:

– Ale to wszystko przez tego cwaniaka, bo mi palcem pokazał na miejsce, gdzie podobno przed chwilą stał odkurzacz, i go nie było. To mnie zmyliło!

Do pokoju wszedł jeszcze Marek i zadał pytanie:

– Z czego wy tak się śmiejecie?

Magda opowiedziała:

– Jak się dowiesz, to padniesz. Jakiego agresora tu mamy.

Marek spojrział na mnie, a ja stałam cała czerwona ze wstydu. Zaśmiał się i powiedział:

– Z chęcią się dowiem, komu pani Ana nawkładała?

I znowu wszyscy w śmiech. Pani Magda opowiedziała całe zdarzenie i tak oto następna osoba śmiała się ze mnie.

Pracowałam tam prawie półtora roku. Kilka tygodni przed końcem umowy mojej firmy sprzątajacej na obiekt przyszła druga pani, która miała swoje piętro do sprzątnia. Grażynka – tak miała na imię – to dopiero była awanturnica. Nie robiła do końca tego, czego wymagał zleceniodawca, czyli pani kierownik, której biuro ja sprzątałam. Ta ostatnia nie miała do mnie zastrzeżeń, ale jakość pracy Grażynki pozostawiała wiele do życzenia. Grażynka zostawiała wiele niedociągnięć, które ja potem poprawiałam, chociaż to nie było moje piętro. Ona sprzątała m.in. pokoje informatyków. Koleżanką była super, na przerwach robiłyśmy sobie kawę i opowiadaliśmy sobie życiowe historie. Opowiadała mi, że wcześniej w firmie XX była koordynatorką i była lubiana przez kobiety, które miała pod sobą. Umiała załatwić to, o co ją tylko poprosiły i nawet miała dobry kontakt z panią dyrektor tej firmy. Gdy zaszła w ciążę, udała się na chorobowe, a potem miała urlop macierzyński. W jej firmie zapewniano ją, że gdy tylko skończy się urlop macierzyński i będzie miała siłę na powrót na swoje byłe stanowisko, to jest tam mile widziana. Zapewniała ją o tym sama pani dyrektor, z którą Grażynka miała stały kontakt i która czasem dzwoniła do Grażynki i dopytywała o różne sprawy zawodowe. Gdy Grażynka powiedziała mi, jak została potem potraktowana przez wspomnianą panią dyrektor, to żal mi się zrobiło Grażynki. Otóż krótko przed jej planowanym powrotem do pracy okazało się, że na jej miejsce zatrudniono mężczyznę, który stosował mobbing wobec podwładnych. Kobiety zaczęły dzwonić do Grażynki i żaliły się na nowego przełożonego, ale

ona nie mogła nic zrobić w tej sprawie, skoro nie została na nowo przyjęta do pracy. Grażynka to dobry człowiek, zdolny organizator, rozumie zasady uczestnictwa w przetargach, ale do sprzątanía się nie nadaje. Zrozumiałam to, gdy poprawiałam jej pracę.

PAŁAC ŚLUBÓW

Firma, w której pracowałam, stanęła do przetargu o przedłużenie umowy na sprzątaníe w Urzędzie Kontroli Skarbowej. W ofercie przedstawia się listę i ceny usług, które będą świadczone w ramach umowy. Z reguły wygrywa najtańsza oferta.

Nasza firma przegrała przetarg, wobec czego stanęłam przed groźbą utraty posady. Miałam cichą nadzieję, że nowa firma mnie zatrudni i zostanę na tym obiekcie. Poza tym większość urzędników lubiła mnie i dali mi do zrozumienia, że chcieliby, abym tam pozostała, co było miłe, ale i tak przygotowywałam się psychicznie na zmiany i czekałam na rozwój wydarzeń.

Grażynka dowiedziała się o przegranym przetargu w momencie, gdy przekazywałam jej kolejną skargę od pani kierownik urzędu odnośnie jakości pracy Grażynki, a ona natychmiast poszła i zrobiła jej awanturę. Nie wiem, co Grażynka naopowiadała pani kierownik, ale skończyło się na tym, że ja i ona straciłyśmy pracę. Pracowałyśmy tam jeszcze

przez tydzień, po czym pożegnałam się ze znajomymi urzędnikami, a kilka osób wzięło mój numer telefonu na wypadek, gdyby ktoś ze znajomych szukał osoby do sprzątnia.

Następnym moim obiektem okazał się Pałac Ślubów.

Były tam biura na parterze i w piwnicy: cztery pokoje i sala ślubów, dwa korytarze, toalety i piękne schody na górę. Na piętrze było siedem pokoi, sala konferencyjna i mała toaleta. To jest stary budynek, ale pięknie odremontowany. Każde takie miejsce ma swoją historię, a ja lubię wiedzieć coś o miejscach, w których pracuję. Z opowieści ochroniarzy poznałam nieco szczegółów na temat tego miejsca. A zatem: aktualny Pałac Ślubów został zbudowany w tysiąc dziewięćset trzecim roku jako willa. Po wojnie mieszkali tam radzieccy oficerowie, a potem była tam Przychodnia Rejonowa, aż w latach dziewięćdziesiątych dwudziestego wieku trafiła w ręce Urzędu Miejskiego. Patrząc od strony ulicy za Pałacem jest zbiornik wodny zwany Ruskim Stawkiem. Mówi się, że zatonął w nim radziecki czołg.

W Pałacu Ślubów pracowałam tylko trzy tygodnie, bo byłam na zastępstwie za panią Jolę. W tygodniu sprzątałam biura, a w weekendy odbywały się ceremonie ślubne i trzeba było posprzątać po gościach.

Poznałam precudne rodzeństwo: Kasie i Anię. Myły kieliszki do szampana, a potem napełniały je i częstowały gości, po czym sprzątały i powtarzały cały cykl od nowa. Przez cały dzień było kilka ślubów, więc trzeba było robić to szybko. W międzyczasie – podczas ceremonii – piłyśmy

z dziewczynami kawkę i rozmawialiśmy. Miałyśmy do towarzystwa chłopaka, który zapewniał tło muzyczne podczas ceremonii ślubnej na życzenie Państwa Młodych i oczywiście za opłatą. Gdy skończyły się śluby, dziewczyny posprzątały po sobie, a potem ja sprzątałam i jechałam do domu. Miałam mieć wolne za te soboty, ale nie było kiedy ich odebrać. W tygodniu sprzątałam biura na piętrze, ale na początku miałam lekkiego stracha. Po wypadku samochodowym mam ciągle wrażenie, że mogę być zdolna do kontaktów z istotami spoza tego świata, np. z duchami. Często odczuwam lęk, że ktoś lub coś takiego może pojawić się przede mną i dlatego chcę znać historię miejsca, w którym przebywam regularnie. Może to jakaś obsesja, ale mam tak od czasu, gdy zobaczyłam diabła przy oknie mojego pokoju w domu rodzinnym, choć – nie licząc tamtej sytuacji – nigdy więcej nie miałam takich przygód.

Podczas pracy zawsze słucham muzyki w radiu, gdy już jestem sama na obiekcie. Cisza mnie przeraża, a muzyka dodaje mi odwagi i sprawia, że czuję się bezpieczniej. Poza tym z moją wyobraźnią łatwo mi jest usłyszeć jęki umęczonych dusz w szumie wiatru, dlatego zagłuszam to wszystko muzyką. Któregoś dnia podczas pracy na poddaszu poczułam przelotny chłód mimo tego, że było wtedy gorąco, a okna były zamknięte, więc nie było przeciągu. W pewnej chwili radio ucichło, więc zaczęłam majstrować przy telefonie, żeby przywrócić dźwięk i wtedy usłyszałam, że ktoś idzie w moją stronę. Podłoga skrzypiała przy każdym kroku, choć to było dziwne, bo przysięgłabym, że ta podłoga nie

skrzypi. Tak czy inaczej, pomyślałam, że to ochroniarz mnie szuka, więc wyszłam szybko z pokoju, żeby powiedzieć mu, gdzie już posprzątałam i żeby tam przez chwilę nie chodził. Ale nikogo tam nie było! Obejrzałam się na wszystkie strony, ale piętro było puste. Podeszłam do barierki i spojrzałam w dół i wtedy zobaczyłam ochroniarza stojącego w drzwiach. Zrobiłam zdjęcie, ale dzień później.

Gdyby ktoś chciał mi zrobić kawał, to zauważyłabym go, bo musiałby zbiec po drewnianych schodach, a przecież wyskoczyłam z pomieszczenia w ułamku sekundy, gdy tylko usłyszałam kroki w moim kierunku. Zdezorientowana stałam przez chwilę przy barierce, po czym wróciłam do pomieszczenia, włączyłam muzykę głośniejszą niż zwykle i powiedziałam do siebie cicho:

– Ja nikomu nic nie zrobiłam, boję się, więc dajcie mi spokój.

Chyba nie skończyłam tego pokoju i uciekłam stamtąd.

Więcej już nie słyszałam niczego, od czego dostałabym gęsiej skórki, ani nie doświadczyłam nagłego ochłodzenia wokół mnie.



Poznałam bliżej dziewczyny z biura podawczego. Asia wyznaczała naszą pierwszą datę ślubu. Po zamknięciu Grzegorza w areszcie chciałam zabrać stamtąd papiery. Mówiłam, że miał wypadek i ślub się nie odbędzie, ale to właśnie Asia powiedziała do mnie:

– Niech pani tego nie robi, bo to przynosi pecha. Niech one sobie tu leżą, będziemy tylko datę przesuwąć. Niech pani mi wierzy.

Załatwiałam z nią przesunięcie terminu ślubu, a pani

dyrektor Urzędu Stanu Cywilnego prowadziła ceremonię. Teraz, po dwóch latach, sprzątałam jej biuro. Śmiałam się, gdy widziałam pracę urzędu *od kuchni*. Jedna z pań, która udzielała ślubów, mówiła na przykład:

– Kurczę, zasnęłam i zapomniałam głowy umyć, bo nie zdążyłam. Jak będą kręcić film, to będzie widać?

albo po trzecim udzielonym ślubie, z czego każda ceremonia trwała godzinę, mówiła:

– Boziu, jak mnie stopy palą w tych szcudłach, no ale dziewczynki, wizerunek musi być. Na zdjęciach i na filmach ładnie trzeba się reprezentować.

Uwielbiałam patrzeć przez okna z łazienek, jak puszczają nowożeńcom gołębice czy sypią płatki róż lub jak lecą monety albo ryż.

Miło wspominałam każdy obiekt, w którym pracowałam. Rozważałam: teraz to jest Pałac Ślubów, a gdzie następnie rzuci mnie los?

PARTNER ROKSANY

To, co spotkało mnie i Grześka, nie było już ważne i nie rozpamiętywaliśmy tego. Przegraliśmy z gówniarzami, ale mówi się trudno i żyje się dalej. Wymazaliśmy ten etap z życia. Po przyjsciu na świat Zuzi zyskaliśmy pełną rodzinę. To był nasz największy skarb, teraz tylko ona się liczyła.

Pewnego dnia, gdy wróciłam z pracy, Grzesiek

poinformował mnie, że zadzwonili do niego z Ośrodka Wsparcia, w którym pracował. Momentalnie się zdenerwowałam i zapytałam stanowczo:

– Czego chcieli?

– Pytali, czy wiem, jak ma na imię chłopak Roksany.

– A ty go znasz?

– Tak. Widziałem go kilka razy na mieście. To narkoman, imprezowicz, bez pracy.

Grzesiek znał go już dobrze. Ten człowiek pracował u Grześka w markecie, ale zwolnili go po kilku tygodniach. On nigdzie nie zagrzał miejsca na dłużej, nawet w firmie sprzątającej nie przetrwał długo. Nie radził sobie.

– Po co do ciebie zadzwonili? O co chodzi? Oczekują jeszcze, że będziesz im pomagać? Za co? A jak ty potrzebowałeś wsparcia, to gdzie oni byli?

– Nie chciałem ci w ogóle mówić, byś się nie denerwowała. Przecież zamknęliśmy już temat.

– Zacząłeś, to mów.

– Jakiś czas temu zadzwonił do mnie znajomy z byłej pracy i powiedział mi, że Roksana właśnie uciekła z placówki i była widziana na ulicy jako prostytutka.

– O to cię pytają? Niech sobie poszukają albo pójdą na policję, przecież wiedzą jak się to robi!

Grzegorz zdenerwował się i powiedział stanowczo:

– I dlatego ci nie powiedziałem, bo byłoby ci przykro, że ty miałaś rację, a nikt ci nie wierzył. Nikt, nawet sędziowie, a pani dyrektor na pewno nie chciałyby cię teraz spotkać, bo

nie mogłaby ci spojrzeć w twarz. Po co ja zacząłem?

– Dobra już, nie będę nic robić i mówić na ten temat, ale powiedz mi, o co chodzi?

– Wszystkim jest tak wstyd spojrzeć ci w twarz, że nawet pojęcia nie masz. Pomyślałem, że serce by ci pękło, bo robiłaś wszystko, by udowodnić, jaka ona jest.

– Ale po co teraz zadzwonili do ciebie? Szukają jej?

– Roksana wciągnęła w to inne dziewczynki z placówki obiecując im szybki zarobek. Nie wiem, czy one też pracowały na ulicy, ale te trzy, co z nią poszły, zaszły w ciążę w tym samym czasie i właśnie z jej chłopakiem, który był jej alfonsem. Z tym, o którego mnie pytają. Ponoć dziewczyny trafiły w tym samym czasie do szpitala i poroniły, nie licząc Roksany. Ona uciekła stamtąd.

Nie chciałam już o tym słuchać. Dodałam na koniec:

– Ciekawe, czy będą umieli ze mną rozmawiać ci, którzy uwierzyli tej doskonałej, wręcz profesjonalnej aktorce? Niech teraz sobie radzą sami, a ty masz się w to nie mieszać, bo już tam nie pracujesz. Oni powinni cię teraz guzik obchodzić.

Zastanawiałam się czasem, jakby to było, gdyby Roksana powiedziała od razu prawdę? Pewnie nic by to nie zmieniło. Sąd i tak by nie uwierzył, bo dociekałby, dlaczego się przyznała i kto ją zmusił do tego.

Zakończyliśmy temat, ale mi wcale nie było lżej nawet, gdy dowiedziałam się, że Roksana wylądowała na ulicy. Nie chcę mówić, że na to zasłużyła, ale dokonała takiego wyboru. Tylko wkurza mnie to, że ona niszczy życie innym, że

wciągnęła w bagno swoje nieletnie koleżanki. Nie powinnam się tym przejmować, ale i tak było mi przykro, bo ona jest osobą zdemoralizowaną i zagrożeniem dla innych. Może gdyby była pod opieką kuratora, nie robiłaby tego, ale ja już nie miałam na to wpływu i nie chciałam, by mój mąż się w to mieszał.

Ale cóż, życie płynęło dalej, a ja ciągle pracowałam jako *skoczek*, tzn. na zastępstwach. Nie miałam swojego stałego obiektu. Nigdy nie wiedziałam, dokąd zostaną przeniesiona, ale byłam skłonna pójść gdziekolwiek, gdzie panują godne warunki pracy.

Na każdym obiekcie poznawałam nowych ludzi. Gdy kończyłam pracę w danym miejscu, pracownicy zawsze żegnali mnie z uśmiechem i życzyli mi zdrowia i szczęścia, a potem Dorotka – pani koordynator – instruowała mnie, gdzie mam się stawić, by mnie wprowadziła na nowe miejsce pracy.

REZYDENCJA ELIT

Następnym obiektem była *Rezydencja Elit* z mojego miasta, czyli znowu bogacze. Dość niepozorne miejsce. Od frontu stoją niszczące budynki z reklamami *DO WYNAJĘCIA* w oknach. Nie wiem, czy to był celowy zabieg czy faktycznie nikt tego nie chciał wynająć. W jednym z tych budynków było wejście na oszkloną klatkę, której nie widać wśród brudu

panującego wokół. W środku były całkiem przyzwoite pomieszczenia, m.in. recepcja z całodobową ochroną, a poza tym winda i klatka schodowa. W życiu nie powiedziałabym, że w tak obskurnym budynku może być tak schludnie.

Klatka i korytarz wyłożone były płytkami: na bokach były brązowe, a pośrodku był pasek jasnego marmuru. Drzwi do mieszkań miały ciemnobrązowy kolor. Schody były w jasnych tonacjach. Wszystko było takie czyste!

Przy windzie za rogiem było wyjście z budynku. Ilekroć wychodziłam przez nie, czułam się jak Alicja w krainie czarów, bo wychodziłam z jednego magicznego świata w kolejny, jeszcze bardziej magiczny: przed oczami miałam ogromny budynek w kształcie litery C z ramionami zwróconymi w moją stronę. Budynek stał na wzniesieniu, a pod ziemią krył się ogromny garaż. Wokół był wysoki mur.

W budynku było osiem klatek schodowych. Obok budynku był nieduży plac zabaw i mieścił w sobie zjeżdżalnię, piaskownicę i huśtawkę. Było też nieduże oczko wodne, a także klomby kwiatowe.

Pracowałam tam tylko przez dwa-trzy tygodnie, a do moich obowiązków należało sprzątanie klatek schodowych. Było ciężko, ale przy odpowiedniej organizacji pracy dało się to zrobić w ciągu sześciu godzin.

Kobieta, którą zastępowałam, opowiadała, że w tym miejscu mieszkają sędziowie, prokuratorzy, mecenas i inne ważne osoby. Nie darzą się wzajemną sympatią choćby z uwagi na pracę, w której na co dzień walczą ze sobą. Poza tym zależli za skórę niejednemu i dlatego to osiedle jest

ściśle strzeżone.

Któregoś dnia po przyjeździe do pracy zastałam na recepcji czterech funkcjonariuszy ubranych po cywilnemu, zapatrzonych w monitory ochrony. Już na wstępie zasypali mnie pytaniami, czy widziałam po drodze kogoś podejrzanego wokół piaskownicy. Zapytałam zaskoczona:

– Nie, ale co się stało, o co chodzi?

Potem dowiedziałam się od ochroniarza, że jedna z pań mieszkających tutaj znalazła w piaskownicy tekturę z napisem *Uważajcie na swoje pociechy, bo może im stać się krzywda*. Przecież to jakaś paranoja, co mają do tego dzieci?

Innym razem ktoś obrzucił jajkami samochód, który właściciel zostawił na zewnątrz, bo nie miał przy sobie pilota do garażu. Zrobiła się afera, że ochrona tego nie zauważyła.

Nie mogłabym mieszkać w atmosferze zawiści pomiędzy sąsiadami albo w napięciu, że ktoś może wtargnąć i zagrozić mojemu bezpieczeństwu. Wszędzie ochrona i policja. Nikt by mnie nie odwiedził, bo wszyscy musieliby się legitymować na recepcji.

Ja też co prawda nienawidziłam pewnych osób, które zrobiły dużo złego mi i mojej rodzinie, ale nie posunęłabym się do wyrządzania komukolwiek krzywdy. Wierzę, że to nie ja jestem od wymierzania sprawiedliwości. Każdy jest panem swego losu, ale władzę nad duszą posiada ktoś inny, choć też nie do końca, bo człowiek posiada wolną wolę i może wybierać pomiędzy czynieniem dobra a czynieniem zła.

AGENCJA MIENIA WOJSKOWEGO

Ciągle pracowałam na zastępstwo: tu dwa tygodnie, tam dwa miesiące i tak w kółko. Chciałam w końcu otrzymać stałe miejsce pracy, gdzie mogłabym zostać na dłużej, a zamiast tego ciągle zastanawiałam się, kiedy i dokąd przerwę tym razem.

Dorotka – moja koordynatorka – przyjechała pewnego dnia i oznajmiła:

– Od poniedziałku pojedziesz na Agencję Mienia Wojskowego tylko na dwa tygodnie. Pani, która tam pracuje, od bardzo dawna nie miała wolnego. Trzeba pracować przy pracownikach, a nie jak wyjdą. A my nie mieliśmy kogo tam rzucić. Będziesz pracowała od dziesiątej do piętnastej. Tam pracują generałowie, którzy są wymagający, ale ty przecież wszędzie dasz sobie radę.

– Dorotko, nie masz dla mnie jakiegoś obiektu, który miałabym na stałe? Już powoli męczy mnie to przerzucanie na chwilę.

Odparła, że jeżeli będzie gdzieś wolne miejsce, to mnie wciśnie, ale póki co ma wszystko obsadzone, bo przecież firma przegrała przetarg na Urząd Kontroli Skarbowej. Zatem od poniedziałku będę sprzątać w Agencji Mienia Wojskowego. Za mundurem panny sznurem. Może będzie fajnie? Z takim nastawieniem szłam do pracy.

Agencja Mienia Wojskowego mieściła się w niewielkim dwukondygnacyjnym budynku z dwoma wejściami.

Z pierwszego korzystali generałowie, dyrektorzy i personel sekretariatu, a drugie było przeznaczone dla pracowników cywilnych. W sekretariacie pracowała moja koleżanka, którą poznałam już wcześniej, gdy pracowała ze mną i Grzegorzem w przydrożnym barze.

Sprzątanie zaczynałam od pokoju na parterze, w którym urzędowały trzy panie, które zwalniały mi pomieszczenie na czas sprzątania. Potem sprzątałam piętro i wracałam na parter, by posprzątać biuro, gdzie pracowały cztery panie. Na czas sprzątania zapraszałam je do *pokoju zwierzeń*, jak nazywałam biuro, od którego zaczynałam sprzątanie. Następnie sprzątałam pozostałe pokoje na parterze.

Gdy któraś z pań pytała, dlaczego mam grupę inwalidzką, wyjaśniałam, że choruję na epilepsję, której nabawiłam się na skutek wypadku samochodowego. To oczywiście rodziło ciekawość i dalsze pytania, a że ja nie umiem mówić skrótami, dlatego opowiadałam wszystko od początku: wyjście z domu, jazda samochodem, zderzenie, śmierć kliniczna, rehabilitacja itd. Rozmówców pasjonowało zwłaszcza spotkanie ze Świętym Piotrem przy Bramie, i prosili o dokładny opis, a wręcz rysopis. Do tej pory opowiadałam o tym kilkadziesiąt razy. Myślę sobie, że te osoby chcą się przygotować na spotkanie z Nim, a ja w głębi duszy życzę wszystkim, aby trafili do Nieba i spotkali się z Nim osobiście. Nie od razu, rzecz jasna, ale dopiero, gdy nadejdzie ich czas.

Ostatniego dnia pracy w Agencji oznajmiłam wszem i wobec:

- Dziś jestem tu po raz ostatni.

Dostałam na pożegnanie moc buziaków i uścisków, usłyszałam miłe słowa i życzenia powodzenia oraz dużo zdrowia. Generałowie zachowywali się bardzo kulturalnie i z klasą, podobnie pan dyrektor. Nawet ci najbardziej zatwardziali i stanowczy pożegnali mnie z uśmiechem i szepnęli kilka miłych słów. Po wyjściu z budynku kilka pań pomachało mi na pożegnanie. Rozczuliło mnie to i miałam łzy w oczach.

PKS I TELEWIZJA

Pani koordynator zawiadomiła mnie telefonicznie, że kolejnym miejscem, w którym będę pracować, są biura PKSu. Miałam tam trafić z Asią, która pracowała na pół etatu jako nauczyciel wychowania fizycznego, a oprócz tego dwa razy w tygodniu prowadziła zajęcia fizyczne dla grupki dzieci, chyba w ramach zajęć pozaszkolnych. A poza tymi wszystkimi zajęciami sprzątała biura ze mną. Podziwiałam ją za jej hart ducha.

Ja przychodziłam do pracy chwilę przed południem, przebierałam się i zaczynałam sprzątanie od sklepu z częściami samochodowymi. Gdy wchodziłam na sklep, panowie witali mnie chórem:

- Dzień dobry!

Panowie lubili mnie kokietować i muszę przyznać, że to

było bardzo miłe.

Potem przechodziłam do szatni męskiej, następnie sprzątałam łazienkę mechaników, a na końcu parter budynku wraz z biurami. Całość zajmowała mi pięć-sześć godzin. Moja Dorotka wiedziała, że dam sobie radę i jestem dokładna, więc zaproponowała, abym przed pracą chodziła raz w tygodniu na *Telewizję Gorzowską*. Zgodziłam się i Dorotka wprowadziła mnie na obiekt. Maciek, młody chłopak, wpuścił nas i pokazał mi pokoje, biuro prezesa oraz studio nagraniowe i sale dźwiękową, którą miałam sprzątać. Zajmowało mi to tylko półtorej godziny i pracowałam tam tylko w czwartki. Byłam tam około sześciu razy, a potem zatrudnili kogoś na stałe.

Akurat byłam w trakcie sprzątania, gdy Maciej wpuścił do studia dwóch mężczyzn. Jeden z nich miał przy sobie kamerę. Przywitali się z Maciejem i ze mną, po czym zapytali go, kim jestem. Maciej odpowiedział:

– To jest Ana. Ogarnie ten nasz syf, który powstał dzięki nam.

Gdy tylko spojrzałam na jednego z mężczyzn, od razu rozpoznałam jego twarz. On najwyraźniej mnie nie poznał, ale byłam pewna, że to był ten sam dziennikarz, który zajmował się sprawą Grzegorza. To on węszył i kręcił wszystkie materiały. Dopytywał sąsiadów o Grześka: jaki on jest, czy mógłby dopuścić się tego czynu, o który go oskarżyli. Wtedy nie podszedł do mnie ani razu, tylko z daleka mnie obserwował. A teraz, gdy tu pracowałam, rozmawialiśmy może z kilka razy, ale krótko. Wolałam rozmawiać z Maćkiem. On opowiadał, jaką ciężką mają pracę.

Jeżeli nie dostali żadnych tematów od swoich informatorów, to nie mieli co robić, więc szukali tematów na siłę, by wypełnić ramówkę telewizyjną. Raz widziałam, jak wracali z łąk, bo kręcili materiał o jakichś dopływach Warty. To nie było nic fascynującego, ale nie mieli wyjścia, bo lokalne gazety pisały coś o tym, więc oni też musieli coś nagrać. Zrozumiałam, jak trudny i wymagający jest ten zawód, ile wysiłku musieli wkładać, aby zdobyć dobry materiał, co i tak nie gwarantowało publikacji, bo ktoś inny decydował o jego wyświetleniu lub też odrzuceniu.

Chłopaki mnie nie znali albo nie pamiętali, więc zaczęłam podpytywać. Pytałam Maćka:

– Gdy dostajecie cynk od informatora, że np. mężczyzna dopuszcza się jakiegoś przestępstwa, to co wy wtedy robicie?

Na szczęście nie wyczuł, do czego zmierzam. Zaczął mówić, bo zauważył, że temat mnie interesuje. Odpowiedział:

– Musimy tam być i zbierać materiał, dowiadywać się, by mieć materiał lepszy niż konkurencja, bo nasi przełożeni nas zlinczują, jeżeli coś chwytnego przejdzie nam koło nosa.

Spojrzałam na niego i zaczęłam drażnić temat:

– A jeśli widzicie, że facet jest niewinny, że to jakaś ściema, to co wtedy?

– Było kiedyś takie zdarzenie. Dziewczynki oskarżyły faceta o molestowanie, a facet niczemu winien miał się chajtać czy coś w tym stylu.

Ja już załapałam, że chodzi o naszą sprawę, ale twardo

brnęłam w to:

– I co? Uwierzyliście w to?

– Nie pamiętam, bardziej chłopaki będą wiedzieć. Wiem tylko tyle, że od razu było wiadomo, że faceta wkręcili w to te dziewczyny, dlatego chłopaki nie węszyli za bardzo. Głośno o tym było, nie słyszałaś?

– Coś tam kojarzę, ale to tak dawno było.

I uciełam temat, bo czułam, że zaraz wybuchnę. Udałam, że muszę wracać do sprzątanania czy że zostawiłam coś w łazience. W każdym razie szybko stamtąd wybiegłam i ukryłam się w pomieszczeniu, gdzie parzyli kawę. Nie mogłam złapać oddechu, a musiałam doprowadzić się do porządku tak, aby nikt mnie nie usłyszał. Czułam tak ogromny żal do dziennikarzy za to, że nagłaśniali sprawę mimo tego, że wiedzieli, że to jest afera uknuta przez małolaty, a Grzegorz jest niewinny. Policja też nie wierzyła w wersję dziewczynek, ale sąd dał się nabrać.

Wtedy, siedząc w tym pomieszczeniu, myślałam, że serce mi pęknie, ale tylko dlatego, że na świecie nie ma sprawiedliwości. Chciałam wszystko wytłumaczyć tym dziennikarzom i opisać dowody, jakie zebraliśmy; opowiedzieć o tym, że sąd wywnioskował z naszych dowodów, że dwie dziewczyny wymyśliły swoje zeznania, ale podtrzymał zeznania trzeciej – najstarszej – uznając, że jest wiarygodna, bo płakała. Ale przecież to byli dziennikarze. Szukaliby sensacji, rozdmuchaliby na nowo całą aferę, a ja nie przeżyłabym tego po raz drugi. Chciałam się trzymać od tego z daleka, a w szczególności od Sądu Rejonowego

w Gorzowie i telewizji też, by nie kusiło mnie ujawnianie prawdy.

Zadzwoiła do mnie Grażynka, z którą pracowałam w Urzędzie Kontroli Skarbowej, i zaproponowała mi sprzątanie w Zakładzie Rentowym. Spytałam, o którą firmę chodzi i w odpowiedzi usłyszałam, że o tę, z której ją wyrzucono. Spotkałyśmy się i poznałam więcej szczegółów o tym, że do Grażynki zadzwoniła osobiście pani dyrektor, która uprzednio źle ją potraktowała, i zaproponowała Grażynce pracę. Spytała również o dodatkową osobę ze stopniem niepełnosprawności do pracy. Byłam ciekawa, czy biorąc pod uwagę doświadczenie zawodowe Grażynka dostała posadę koordynatora, ale przeliczyłam się. Grażynka i tak przyjęła ofertę. Kończąc ten wątek dodała jeszcze:

– Siedziba biura jest w Poznaniu. Widzę, że firma znowu pcha się na rynek w Gorzowie. Więc może uda mi się jej jeszcze zdobyć jakiś nowy obiekt? Może znowu będę koordynatorem?

Mówiła, że w Zakładzie Rentowym pracują koleżanki, które jej podlegały jeszcze przed jej urlopem macierzyńskim i które ogólnie chwalały sobie to miejsce. Pomyślałam, że to może być szansa na stałe miejsce pracy. Nie chciałam już być *skoczkiem*, czyli skakać z jednej lokalizacji na inną. Kolejna sprawa: Dorotka – mój aktualny koordynator – poinformowała mnie, że u nich w firmie nie ma stałego miejsca dla mnie i istnieje możliwość, że zwolnią mnie nawet, jeżeli nie będą chcieli, a nie chcieli, bo doceniają mnie za jakość mojej pracy. Dodatkową zaletą nowego miejsca

pracy jest lokalizacja. Miałabym blisko do domu i mogłabym zrezygnować z biletu miesięcznego, co oznacza o sto złotych więcej w portfelu. Koniec końców przyjąłam ofertę. Pozostało mi jeszcze zakończyć współpracę i rozliczyć się z aktualną firmą, wobec tego pojechałam do siedziby i spotkałam się z dyrektorem – panem Jankiem. Pan Janek jest bardzo życzliwym i wyrozumiałym człowiekiem. Powiedział, że jego firma przegrała przetarg na Urząd Kontroli Skarbowej, bo ktoś inny dał niższą ofertę, a pan Janek nie mógł obniżyć swojej oferty jeszcze bardziej, bo nie miałby wystarczających funduszy na wypłaty dla pracowników, a poza tym czasem i tak musi kogoś zwolnić, żeby domknąć budżet. Na koniec rozmowy życzył mi powodzenia w nowej firmie i zapewnił, że jeżeli będę potrzebowała pracy w przyszłości, to zawsze będę mile widziana w jego firmie.

Po wyjściu od pana Janka zadzwoniła do mnie Dorotka z informacją o nowym obiekcie, na który chce mnie przenieść. Okazało się, że pan Janek nie zdążył jej powiedzieć o moim odejściu, więc odpowiedziałam jej:

– Właśnie wychodzę od dyrektora i już nie pracuję w firmie, bo znalazłam sobie stały obiekt.

Dorota zaniemówiła, po chwili jednak opanowała emocje i spytała:

– Dlaczego ja o tym nie wiem? Co ja teraz zrobię, kogo mam obsadzić na zastępstwo?

Wyczułam w jej głosie rozczarowanie, dlatego wyjaśniłam, że szukam stałego miejsca pracy, żeby już nie być *skoczkiem*, a właśnie nadarzyła się okazja, z której natychmiast

skorzystałam. Nie była zadowolona i pożegnała się oschle:

– No to pa, Ana.

Na szczęście złość jej przeszła i teraz dajemy sobie buziaka w policzek mijając się na ulicy, a czasem zamienimy kilka słów i pędzimy dalej – każda w swoją stronę.

ZAKŁAD RENTOWY

Stawiłam się w umówionym terminie w Zakładzie Rentowym. Przywitałam się z Grażynką, która przedstawiła mnie panu Wiesławowi. Pan Wiesław oznajmił, że będę pracować od czternastej do dwudziestej pierwszej. Zapytałam od razu:

– Gdyby nie było na mnie skarg i pracowałabym szybko i bez żadnych przerw, to czy mogłabym wychodzić zaraz jak skończę? Zależy mi na czasie, bo mam małe dziecko, a mąż pracuje na nocki.

Pan Wiesław odpowiedział:

– Zobaczymy, jak to wyjdzie.

Grzesiek wracał z pracy około szóstej trzydzieści, jadł namiastkę śniadania, brał prysznic i kładł się spać na cztery-pięć godzin, a ja w tym czasie zajmowałam się córeczką, robiłam obiad i szykowałam wszystko, co będzie mu potrzebne przy Zuzi, gdy będę w pracy. Poza tym w każdym momencie będzie mógł do mnie zadzwonić.

Zuzia miała poobiednie drzemki, więc spała sobie z tatą, a dzięki temu Grzegorz mógł sobie jeszcze pospać dodatkowo dwie-trzy godzinki, a potem budził się i przejmował opiekę nad Zuzią, a ja wychodziłam do pracy.

Czasem udawało mi wrócić do domu na dwudziestą.

Zatrudniłam się w nowym miejscu na trzy miesiące przed zakończeniem umowy z Zakładem Rentowym i dowiedziałam się, że Zakład nie chce przedłużyć tej umowy, więc nie było szansy na wygranie kolejnego przetargu. Był jakiś konflikt między firmą a obiektem, tj. Zakładem Rentowym. Kierownik Zakładu oraz jego zastępca stale szukali niedociągnięć i do każdej drobnostki wzywali koordynatora, czyli pana Wiesława, który musiał stawiać się na każde wezwanie – prawie codziennie – żeby kontrolować nas lub realizować to, co nie zostało wykonane przez nas. Oprócz tego zbierałyśmy się w jednym miejscu i pan Wiesław po kolei omawiał wszystkie popełnione przez nas błędy lub zgłoszenia czy skargi. Pracownice nie były młode, więc zdarzały się niedoróbki, co szczerze mówiąc nie przeszkadzało pracownikom Zakładu, ale kierownictwo wyolbrzymiało wszelkie przejawy niedokładności: okna nie umyte na czas, pokoje nie posprzątane na błysk itd. Wytknięcie błędu powodowało u nas spadek motywacji, bo starałyśmy się wykonywać swoje obowiązki jak najlepiej, no i odczuwałyśmy to jako rodzaj upokorzenia.

Ja nie mogłam myć okien, bo nie jestem w stanie nawet wejść na krzesło, ponieważ nogi robią mi się jak z waty i strach mnie paraliżuje.

Każda z pań miała swój plan sprzątanania. Jako że byłam najmłodsza, otrzymałam skomplikowany plan: najpierw dwadzieścia pokoi i łazienkę damską i męską na pierwszym piętrze, potem sześć pokoi i łazienkę damską i męską na trzecim piętrze, a potem cztery pokoje na parterze; do tego wszystkie korytarze. Wszystko zajmowało mi sześć-siedem godzin.

Piętro budynku było zbudowane tak, że wewnątrz był korytarz tworzący zamknięty obieg. Dzieliłyśmy piętro na pół i sprzątałyśmy rozchodząc się w przeciwne strony, aż wreszcie spotykałyśmy się po przeciwnej stronie korytarza.

Było lato, więc było ciepło. Wysoka temperatura dawała nam się we znaki, a firma nie zapewniała nam wody i paniom ciężko się pracowało. Ja miałam swoją wodę, ponieważ nie ruszam się z domu bez butelki z napojem. Przepisy mówią, że jeżeli temperatura w pomieszczeniu przekroczy trzydzieści jeden stopni Celsjusza, pracownik winien otrzymać wodę. Zatem, jeżeli temperatura jest niższa, to firma nie ma obowiązku zaopatrywania pracowników w napoje. Co prawda pracownice zgłaszały zapotrzebowanie, ale kierownictwo nic z tym nie robiło, zatem gdy koordynator pojawił się na obiekcie, odezwałam się w tej sprawie, ponieważ lubię walczyć o swoje:

– Potrzebujemy wody do picia. Czuje pan, jak tu gorąco? Pewnie pan w samochodzie ma całą zgrzewkę dla siebie, a my nie mamy nic, a nie możemy pić z dystrybutorów dla pracowników Zakładu.

– Przekażę to księgowej w firmie.

Nie dałam się zbyć:

– Niedaleko jest market i mają tanią wodę do picia. Cała zgrzewka kosztuje jedyne trzy pięćdziesiąt. Panie Wiesławie, kupi pan nam wodę i potem odliczy pan to od wypłaty.

Ma się ten talent do przekonywania! Pan Wiesław pojechał i kupił dwie zgrzewki: niegazowaną i lekko gazowaną.

Robiliśmy przerwy osobno, żeby nie było tak, że w danej chwili żadna z nas nie pracuje, a poza tym zależało mi na tym, by jak najszybciej wrócić do domu.

Pewnego dnia pan Wiesław poprosił mnie do naszego pomieszczenia i powiedział do mnie:

– Pani Ano, jest na panią skarga.

Aż usiadłam, gdy to usłyszałam! Matko, po raz pierwszy w życiu ktoś złożył na mnie skargę! Miałam w głowie mnóstwo domysłów: co źle zrobiłam? kiedy? Przecież codziennie robię to samo i tak samo. Staram się, jak mogę. A gdy już nie mogę, to nadal się staram.

W końcu zapytałam:

– Co ja takiego narobiłam, panie koordynatorze?

– Ciągnęła pani odkurzacz po podłodze, a trzeba było nieść.

Podniósł mi ciśnienie tą odpowiedzią!

– Co? Kto tak powiedział? Kto zgłasza te skargi? Niech pan mi powie!

Wiedziałam, że czepiają się o takie rzeczy. To absurd! Pani Zosia – lat pięćdziesiąt osiem – myła okna pobrudzone w trakcie remontu, ale farbę musiała zdrapywać żyletką!

Zostawiła resztkę farby i z powodu tej resztki została zgłoszona skarga. My wszyscy oddajemy ciało i duszę, aby wykonywać swoją pracę należycie, ale jeżeli ma się do sprzątanania kilkadziesiąt pokoi, to nie ma siły, żeby czegoś nie zaniedbać, bo czas goni, a nikt nie płaci za nadgodziny, więc pracujemy tak, by zmieścić się w wyznaczonym czasie. Poza tym zwykle jest tak, że pracownikom obiektu, na którym sprzątamy, nie przeszkadzają niedoróbki, ale kierownicy zawsze robią o to szum. To wygląda tak, jakby sprawdzali czystość w białych rękawiczkach. Po co oni to robią? Co i komu chcą udowodnić takim zachowaniem?

Mówi się, że tym sposobem chcą się pozbyć firmy sprzątającej z ich obiektu, i tak obie strony – firma i obiekt – kłóć się ze sobą, a w efekcie obrywamy my, pracownicy.

Pomna skargi złożonej na moją pracę postanowiłam dowiedzieć się, kto jest jej autorem. Okazało się, że to kierownik – młody człowiek, który widział w monitoringu, że ciągnęłam odkurzacz po podłodze wyłożonej płytkami i najwyraźniej uznał to za uchybienie. Nie zastanawiając się zbyt długo poszłam do jego biura. Zapukałam do drzwi, usłyszałam *Proszę* i weszłam. Pan kierownik ucieszył się na mój widok, bo chyba założył, że przyszłam złożyć skargę na moją firmę, więc postanowiłam pójść tym tropem. Spytałam:

– Przyszłam prosto do pana, bo słyszałam, że mamy tu kierować wszystkie skargi.

Mężczyzna przerwał nagle to, czym się zajmował, i skierował całą swoją uwagę na mnie. Odparł:

– Tak, to tutaj. Jeżeli macie państwo jakieś zastrzeżenia

i uwagi co do firmy sprzątającej, to proszę najpierw przyjść tu i to zgłosić.

Rozmowa szła po mojej myśli:

– To ja właśnie przyszedłam zgłosić swoją uwagę. Jest to zakład pracy chronionej i przyjmuje pracowników z orzeczeniem o niepełnosprawności, czyli jakimś uszczerbku na zdrowiu, tak?

– Tak, oczywiście – odparł z uśmiechem.

– No właśnie, a ja słyszałam, że to pan zgłosił na mnie donos, że ciągnę odkurzacz po podłodze zamiast go nieść!

Kierownikowi mina zrzędała. Gwałtownie wstał z fotela, zaczął szukać jakiegoś dokumentu czy długopisu i powiedział w wyraźnym zakłopotaniu:

– Pani coś źle zrozumiała, to nie tak. To jakaś pomyłka. Ja nie to miałem na myśli.

Wyczułam, że mam przewagę, więc odpowiedziałam krótko:

– Jesteśmy pracownikami ze stopniem niepełnosprawności. Proszę o tym pamiętać. Tylko tyle chciałam powiedzieć i dziękuję. Do zobaczenia.

Spojrzał na mnie i powtórzył jeszcze:

– Naprawdę źle mnie pani zrozumiała.

Wyszłam i zamknęłam za sobą delikatnie drzwi. Byłam dumna, bo udowodniłam sobie, że umiem walczyć o swoje. Od tego momentu kierownik omijał mnie szerokim łukiem.

Wkrótce okazało się, skąd ta cała nagonka i skargi na nas. Otóż nasz koordynator – pan Wiesław – to typ erotomana

gawędziarza, który zapewne zapomniał, gdzie jest jego miejsce, bo przekroczył granice zawodowej przyzwoitości odzywając się niestosownie do jednej z dość atrakcyjnych fizycznie pań pracujących w Zakładzie. Jego zaczepka miała charakter seksualny, dlatego *ofiara* postanowiła zgłosić to swoim przełożonym, a ci z kolei uznali, że to nie może pozostać bez echa. Zresztą ja też nieraz usłyszałam tego typu teksty, tyle że za każdym razem reagowałam tyleż kulturalnie, co ostro.

Na szczęście dla nas – pracowników szeregowych – Zakład Rentowy chciał, abyśmy nadal tam pracowały, ale zażądał zmiany koordynatora. Dostałam propozycję objęcia tego stanowiska: miałabym mieć samochód i telefon służbowy, wyjeżdżać kilka razy w tygodniu do Poznania i ustalać harmonogram pracy podległych mi osób. I oczywiście większą pensję, ale odmówiłam, bo nie nadaję się na stanowisko kierownicze. Gdyby np. któraś z pań chciała pójść na urlop, to nie umiałabym narzucić innej osobie dodatkowej pracy, tylko poszłabym pracować za nią. W zamian zaproponowałam, aby pan Wiesław poszukał kogoś dyspozycyjnego i najlepiej bezdzietnego.

Wkrótce potem rolę koordynatora objęła pani Małgorzata – wyrozumiała i sympatyczna kobieta. Gdy powiedziałyśmy jej o tym, że brakuje nam wody do picia, to następnego dnia już miałyśmy kilka zgrzewek. Ona wiedziała, że mam małe dziecko i że mąż wychodzi na nocki, a ja muszę być wcześniej w domu, dlatego sama zaproponowała, abym przez dwa tygodnie zastąpiła kogoś z porannej zmiany. Ucieszyłam się

i odparłam:

– Dobrze, nawet mi to odpowiada, ale wrócę tu potem, tak?

Pani Małgorzata odparła twierdząco, spytałam zatem, dokąd miałabym pójść na te dwa tygodnie:

– Na Sąd Rejonowy. Właśnie na ten obiekt potrzebna jest pani.

SĄD REJONOWY

Zamurowało mnie. Usiadłam z wrażenia i nie wiedziałam, co mam powiedzieć. Ostatecznie wydusiłam:

– Pani Małgosiu, czy ja mogę dać znać jutro? Porozmawiam jeszcze z mężem i dam pani odpowiedź, dobrze?

Zgodziła się.

Już do końca dnia byłam milcząca i nieobecna duchem, co nie uszło uwadze koleżanek. Pytały mnie zaniepokojone:

– Ana! Co ci się stało? Zbladłaś, nic ci nie jest?

Układałam sobie w głowie wszystkie wzburzone myśli, a potem zadzwoniłam do Grzegorza i opowiedziałam mu o propozycji i mojej reakcji. Odrzekł:

– Ana! Nie możesz tak myśleć. Stało się, co się stało, nie przeskoczmy tego. Idź, może nie będzie tam tak źle? Może nawet lepiej, niż gdziekolwiek indziej? Jeżeli nie pójdziesz, to nie dowiesz się. Dzięki temu wyśpię się porządnie, bo wiesz

o tym, że rano nie mogę zasnąć, a popołudniami chodzę jak struty, a muszę opiekować się Zuzią.

Po rozmowie z Grzegorzem zmieniłam tok myślenia. Rozmawiałam w myślach sama ze sobą. Choć może to właśnie była rozmowa z Bogiem? On udzielał mi odpowiedzi?

– Przecież nienawidzę tego sądu, wrócą mi wspomnienia.

– To poznasz go od innej strony.

– A jak spotkam tam panią sędzię i zacznę jej wyrzucać wszystko, co mi leży na sercu? Powiem jej wtedy, że nie zna się na swoim zawodzie. Skazała niewinną osobę mając masę dowodów wskazujących na niewinność.

– Nie powiesz tak.

– A właśnie, że powiem. Niech teraz pani sędzia spojrzy mi w oczy, a ja jej powiem, że właśnie ta z pozoru niewinna czternastolatka jest zagrożeniem dla innych. Trzeba było ją ukarać, a wtedy być może nie rozwinąłby się w niej taki egoizm. Niech teraz pani sędzia wie, jaką krzywdę wyrządziła odpuszczając jej.

Dyskusja w mojej głowie ustała i postanowiłam, że tam pójdę. Zaczęłam szukać pozytywnych stron tej sytuacji:

– To się pan Seweryn zdziwi, gdy mnie tam zobaczy. Przecież on tam jest codziennie. Poznam nowe osoby, będę miała znajomości w sądzie i może kiedyś będę potrzebować dobrej rady?

Niech się dzieje wola Nieba z nią się zawsze zgadzać trzeba– zawsze tak sobie powtarzałam, gdy czuję, że może mi się coś nie udać.

Generalnie niczego się nie boję. Z dwoma wyjątkami: utraty bliskich i tego, że obudzę się w trumnie.

Zastanawiało mnie, dlaczego Bóg mnie tam posyła. Wiedziałam o tym, że ma jakiś plan wobec mnie. Czułam, że coś się tam wydarzy, ale nie wiedziałam co. Przypuszczałam nawet, że może to będzie jakiś napad albo wybuch i ja mam w tym uczestniczyć lub zapobiec jakiejś tragedii.

Oprócz tego jeszcze jedna myśl kołatała mi się w głowie:

- Dlatego Ojciec mnie tu obsadził? Jeśli myślisz, że zrozumie to fałszywe dla mnie prawo, to się grubo mylisz.

Nic nie dzieje się bez przyczyny – tak sobie tłumaczyłam wiele zagadek życiowych. Przypuszczałam, że poznam teraz sąd od innej strony, że spotkam kogoś ważnego. Przecież od sprawy Grzeška On posyłał mnie w takie miejsca, które były ważne w naszej sprawie. Niektóre z nich starałam się omijać za wszelką cenę, jednak przy zmianie nastawienia okazywały się ważne. Pracowałam na obiektach takich, jak:

- Telewizja – węszący dziennikarze psuli Grzeškowi dobrą opinię. Zobaczyłam jednak, że to trudny zawód.

- Rezydencja Elit – widziałam, jak mieszkają sędziowie i prokuratorzy: ludzie, którzy muszą mieszkać pod całodobową ochroną i stałą kontrolą policji. Oni i ich rodziny są w niebezpieczeństwie.

- Pałac Ślubów – odraczenie terminu naszego ślubu. Ja chciałam zabrać papiery, ale pani Joanna – urzędnik – namawiała mnie, abym tego nie robiła i zapewniała, że wszystko się ułoży. Potem została moją koleżanką i do dzisiaj

mamy ze sobą kontakt. I przede wszystkim: udało się. Pobraliśmy się.

· Sąd Rejonowy – ma być następny. Nienawidziłam tego miejsca, bo tam odbył się proces Grzegorza. Mam przykre wspomnienia związane z tym miejscem.

Przemyślałam to i następnego dnia oznajmiłam pani Małgorzacie, że zgadzam się na przejście do sądu. Zawiozła mnie tam i wprowadziła na obiekt. Na widok gmachu podniosło mi się ciśnienie. Na bramce w przejściu stało dwóch funkcjonariuszy policji. Spojrzałam na ten korytarz, odetchnęłam głęboko i powiedziałam do siebie w duchu: *Co ma być, to będzie, niech się dzieje wola nieba*. Weszłyśmy na pierwsze piętro do pokoju sprzątaczek. Tam poznałam panią Anię – lat czterdzieści dwa. Od razu zaczęłyśmy mówić sobie po imieniu. Ania oprowadziła mnie po obiekcie i pokazała mi, co będę robić na pierwszej zmianie: najpierw pobieram klucze na ochronie, potem sprzątam cele dla aresztantów w piwnicy.

Gdy byłam już tam sama, otworzyłam drzwi, weszłam i zobaczyłam to miejsce na własne oczy. Pomyślałam na głos:

– No pięknie, jestem tu, gdzie wtedy nie mogłam być. To tutaj mój mąż, a wtedy narzeczony, siedział sobie przed sprawami.

Zrobiłam zdjęcie. Wiem, że w gmachu sądu jest zakaz fotografowania, ale chciałam je mieć tylko dla siebie. W ogóle robiłam zdjęcia każdemu obiektowi, na jakim byłam. Niektóre zdjęcia straciłam, ale te ważne zostały. Może czułam, że fotografie będą uzupełnieniem spisanych wspomnień, a może

to materiał do książki? Miałam małą nadzieję, że uda mi się kiedyś napisać książkę o tym wszystkim. Chciałabym też pokazać, że miejsca, które opisuję, istnieją naprawdę.



Jakkolwiek banalnie to zabrzmie, w życiu bywa różnie. Jutro mogłabym być gdzie indziej i nawiązać nowe znajomości.

Pracując w sądzie poznałam kilkunastu policjantów. Dwóch z nich miało na imię Krzysiek, więc nazywałam ich *Złoty* i *Mały*. A zresztą tam co drugi to Krzysiek, więc bez pseudonimów ani rusz. Panowie opowiadali mi o swojej pracy. Na co dzień zajmowali się patrolowaniem okolicy lub stali na bramce przy wejściu do sądu. Podczas patroli czasem wystawiali mandaty. Zapytałam, po co to robią i usłyszałam, że po to, aby ludzie odczuli swoje wykroczenia. Człowiek cały czas czegoś zapomina albo robi coś głupiego przez nieuwagę, ale to nie ma znaczenia, bo należy przestrzegać prawa. A jeśli nie, to mandat *walnie go po kieszeni* i może nauczyć się

czegoś na przyszłość. Dociekałam, że może wystarczy upomnienie, i faktycznie, dają upomnienia, ale gdy zatrzymany delikwent jest wrogo nastawiony, to wtedy wręcza się mandat. Kolejna sprawa, to to, że każdy policjant musi pokazać, że jego praca przynosi wymierne efekty.

Jako że najpierw poznałam Małego, to on przedstawiał mnie swoim kolegom po fachu. Mówił:

– A to nasza Ana.

Zdarzało się, że gdy stałam z Małym czy Złotym na przerwie przy wejściu do sądu, to wchodzący mundurowy witał się również ze mną. Czułam się bardzo ciekawie, jakbym pracowała w policji. Lubiłam żartować z chłopakami: docinać, grypsować i chwilami nawet kokietować. Wykorzystywałam czas wolny na rozmowy z nimi, bo nie wiedziałam, czy następnego dnia też tu będą. Oni sami tego nie wiedzieli, bo każdego ranka stawiali się na komisariacie i ich przełożony na bieżąco wyznaczał im funkcję na dany dzień: patrol, obiekt itd. Rozumiałam ich, bo ja też nie wiedziałam, gdzie będę za tydzień czy miesiąc. Wkurzało mnie to, że nie miałam własnego miejsca na dłużej.

Policjanci, którzy mieli dyżur w sądzie, kontrolowali osoby wchodzące do gmachu sądu – każdy petent musiał przejść przez bramkę do wykrywania metali. Poza tym patrolowali teren wokół budynku i sprawdzali korytarze w środku, a także przywozili więźniów na rozprawy i odwozili z powrotem do aresztu. Raz widziałam, jak przyjechał specjalny więzienny autobus.

Pamiętam wyraźnie pewne zdarzenie. To było na samym

początku mojej pracy na tym obiekcie. Zobaczyłam dwie kobiety. Młodsza z tej dwójki była w ciąży, a druga była dużo starsza od pierwszej. Stały w samych drzwiach tak, jakby na kogoś czekały. Chyba nie wiedziały, z której strony wejście do budynku osoba, na którą czekały, bo gdy stoi się na korytarzu w przejściu na parterze, to widzi się dwa wejścia. Stojąc na wprost widać wejście główne, a po prawej jest długi korytarz, na końcu którego jest wyjście ewakuacyjne. Starsza kobieta stała przy tej młodszej i trzymała ją za rękę, a ja akurat szłam po coś na ochronę. Minęłam te kobiety i szłam korytarzem. Byłam w połowie drogi, gdy nagle z klatki schodowej wypadli zamaskowani mężczyźni. Ten na czele krzyczał:

– Z drogi! Nie ma teraz przejścia!

Przystanąłam i obserwowałam ich. Ten pierwszy dobiegł do mnie i złapał mnie za ramiona. Patrzyłam prosto w jego wielkie oczy wystające zza kominiarki. Nie bałam się, nie sparaliżowało mnie, tylko po prostu patrzyłam na niego. On złapał mnie za obie ręce i pchnął na drzwi sali rozpraw, które miałam za plecami. Mężczyzna zbliżył swoją twarz do mojej i nie spuszczając wzroku z mojego spojrzenia krzyknął do mnie głośno:

– Z drogi! teraz nie ma przejścia!

Ryknął tak głośno, że aż mimowolnie zmrużyłam oczy. Odkrzyknęłam:

– Przecież słyszę!

Nic więcej nie mogłam zrobić, bo stałam jak kamień. On mnie docisnął do drzwi i poszedł dalej, więc po prostu

obserwowałam sytuację. Odpuścił sobie mnie i spojrzał na te kobiety, które stały w drzwiach wejściowych. Wyciągnął rękę przed siebie i krzyknął:

– Teraz zakaz przejścia!

Po chwili zza rogu wynurzyło się jeszcze dwóch zamaskowanych mężczyzn, a za nimi środkiem korytarza szedł więzień zakuty w kajdanki na nogach i rękach. Konwój zamykał jeszcze jeden zamaskowany mężczyzna.

Gdy to zobaczyłam, poczułam kluchę w gardle, a w oczach pojawiły się łzy. Ten widok obudził we mnie złe wspomnienia. Kilka lat temu to ja stałam na miejscu tej dziewczyny i właśnie tym korytarzem z tej samej klatki Grzegorz był prowadzony na salę rozpraw, tyle że nie był aż tak dokładnie skuty. Wtedy, gdy doszli z Grześkiem do sali rozpraw, kazali mu usiąść na krześle, a ja wykorzystałam ten moment i kucnęłam pod ścianą naprzeciw niego i zaczęłam z nim rozmawiać. Policjant i prokurator spojrzeli tylko na mnie ale na szczęście nie zabronili mi tego. Teraz byłam świadkiem identycznej sytuacji i przeżywałam to na nowo. Czułam ból w klatce piersiowej, z trudem przełykałam ślinę, miałam oczy wilgotne od łez, ale stałam i patrzyłam na obezwładnionego mężczyznę i na kobietę w ciąży. Krzyknęła do niego:

– Kocham cię, wiedz o tym!

A on odpowiedział:

– Ja ciebie też bardzo kocham, myszko, wszystko dobrze? Z dzidziusem też? Zobaczysz, wszystko się wyjaśni i będzie dobrze!

Po czym zniknął na sali rozpraw. Dziewczyna nie wytrzymała nadmiaru emocji i gdy tylko mężczyzna został wprowadzony do pomieszczenia, zaczęła szlochać. Obie kobiety wyszły na zewnątrz. Nie sposób opisać rozpacz tej młodej kobiety, dość powiedzieć, że nie wytrzymałam i wybiegłam na klatkę schodową – tę, z której wychodzili. Otworzyłam szeroko okno i zaczęłam łapczywie łapać świeże powietrze, a przed oczami miałam moje własne wspomnienia z sądu. Spojrzałam w niebo i powiedziałam:

– Co ty znowu chcesz mi pokazać, Ojczy? Tak, wiem, też trzymałam rozpacz w sobie, by jemu nie dokładać bólu. Pocieszałam go mówiąc, że wszystko będzie dobrze, chociaż nie było. I teraz mam zobaczyć, jak to wygląda z boku? O co ci chodzi? Dlaczego mi to robisz?

Stałam tak przez chwilę, aż się uspokoiłam i otarłam łzy, po czym zamknęłam okno i poszłam na ochronę wziąć to, po co przyszłam, a potem poszłam jeszcze do pomieszczenia policji. Byli tam akurat koledzy, więc spytałam ich:

– O co tu chodzi? Co on zrobił, że tak go skuli? O co go oskarżają?

Stwierdzili, że nie znają sprawy, ale jeśli został tak skuty, to musi to proces o handel znaczną ilością narkotyków lub przemyt albo narażenie czyjegoś życia czy nawet morderstwo. Taki więzień uznawany jest za zagrożenie dla zdrowia i życia cywilów i dlatego jest aż tak skuty podczas doprowadzania go na salę rozpraw.



Powyżej widać zdjęcie tego korytarza. Po lewej stronie jest sala rozpraw, przy której stoi rząd krzeseł. To właśnie tu Grzegorz siedział, gdy został zatrzymany przez policję i doprowadzony do sądu. Jego też prowadzili tym korytarzem. Wiedziałam, co czuje ta dziewczyna. Obie znalazłyśmy się w takiej sytuacji. Obie byłyśmy świadome tego, że gdy oni wejdą na salę rozpraw, nie będziemy w stanie wesprzeć ich duchowo niezależnie od tego, jaki wyrok zapadnie. Nie wiem, o co tamten człowiek był oskarżony, ale podziwiałam tę młodą kobietę za to, że nosząc pod sercem ich dziecko odważyła się pójść sądu po to, by oskarżony odczuł jej obecność i aby wiedział, że ktoś dla niego ważny wspiera go. Na tym właśnie musi opierać się prawdziwy związek, ale i prawdziwa przyjaźń.

Ponownie poczułam, że o sprawie Grzeška nie da się zapomnieć, że życie nie pozwoli, bym całkiem o tym zapomniała. Miałam cichą nadzieję, że teraz to samo poczuje

ta czternastolatka, która zniszczyła mi moje małe marzenia. Nie życzyłam jej najgorszego, tylko tego, na co zasłużyła. Zostawiłam to panu Bogu. Niech On ją osądzi.

Na terenie sądu poznałam panią Alę, która prowadziła kiosk prasowy. Codziennie najpierw robiłam, to co do mnie należało, a potem szłam do kiosku do pani Ali. Ochroniarze się wściekali, że tak szybko pracuję, że potrafię to wszystko ogarnąć. Pani Ala to kochana kobietka. Uwielbiam ją do dzisiaj i wspominam mile spędzony z nią czas.

Nasz pokój dla sprzątaczek to tak naprawdę była toaleta, tyle że pisuary zostały zasłonięte, a muszle klozetowe przykryto kartonami. W tym pomieszczeniu miałyśmy cały sprzęt i środki czystości potrzebne przy sprzątaniu. W kącie stał stół z krzesłami, a na nim był czajnik i szklanki. Mogłyśmy tam usiąść i odpocząć przez chwilę, ale wolałam być u pani Ali. Opowiadałam jej o wypadku, o sprawie Grzegorza i o ciężkim porodzie naszej Zuzi. Wiedziała o wszystkim. Żartowałyśmy sobie, że dobra książka by z mojego kawałka życia była. Śmiałam się i mówiłam pani Ali:

– Kto by mi ją napisał, przecież ja nie przeczytałam ani jednej książki, nawet lektury szkolnej. Tylko skróty i ściągki.

Nie dla mnie czytanie książek. Nie wciągało mnie to, zwykła strata czasu. Wolałabym, by mi ktoś opowiedział fabułę, niż samej ślęczeć nad kartkami. Nie miałam nic przeciwko osobom, dla których czytanie to podróż do świata opisanego w książce, a nawet przeżywanie tego samego, co bohater. Ja jestem osobą energiczną, a czasami

nadpobudliwą, dla której zatrzymanie się na dwadzieścia minut jest nie do pomyślenia. Czułam, że życie mi ucieka. Nie chciałam, by coś mi umknęło.

Gdy moja przerwa się kończyła, wracałam do moich obowiązków.

Bałam się, że spotkam na korytarzu panią sędzię, która orzekała w naszej sprawie. Gdy byłam sama w naszym pomieszczeniu gospodarczym, patrząc w niebo zadałam głośno pytanie:

– Co teraz, Ojczy, mam znowu przypominać sobie ten ból? Doprawdy wspaniały jesteś.

By zapomnieć o zdarzeniu, wzięłam się za pracę. W trakcie przerwy zastanawiałam się, czy moi chłopcy są na służbie. Z dnia na dzień zaczynałam się przyzwyczajać do tego miejsca. Poznałam panie tam pracujące, wszystkie były bardzo miłe dla mnie.

Bardzo polubiliśmy się z Małym i Złotym. To właśnie oni najczęściej mieli służbę w sądzie. Gdy przychodziłam przed siódmą rano, pobierałam klucze, brałam sprzęt i zjeżdżałam do piwnicy. Sprzątałam cele, archiwum, kasę i toalety. Obleciałam pierwszą turę, co zajmowało mi to jakieś dwie-trzy godziny i miałam przerwę, podczas której schodziłam do bufetu lub rozmawiałam chwilę z policjantami, którzy stali na bramce. Bywało tak, że nie widzieliśmy się wcale, choć ochroniarze mówili mi, że są moi chłopcy, bo najpierw musiałam zrobić co do mnie należy, a dopiero potem mogłam iść na przerwę. Raz zobaczyłam, że idzie jeden z kilku mundurowych Krzyśków. Przywitałam się z nim i spytałam:

- Cześć Krzyś, Mały jest?

- Cześć, tak, jest. Czeka na ciebie na dole.

Na dole oznaczało pomieszczenia piwniczne zajmowane przez policję. Poszłam do Małego, żeby chociaż się przywitać i podroczyć się, bo zostało mi jeszcze kilka minut przerwy. Zadzwoiłam wideo-domofonem, Mały mnie zobaczył i otworzył mi drzwi, po czym usłyszałam z daleka, jak krzyczy do mnie:

- Chodź Andżka do nas, pośmiejemy się!

Weszłam do pomieszczenia, w którym było dwunastu policjantów. Kilku siedziało, a reszta stała. Niektórzy byli w mundurach, a inni byli ubrani w czarne uniformy typowe dla brygady specjalnej. Grzecznie przywitałam się z każdym podając rękę i przedstawiłam się patrząc każdemu prosto w oczy. Jeden z nich unikał mojego wzroku, więc pomyślałam, że może się wstydzi. Mały zaproponował, abym odgadła imiona obecnych, więc zgadywałam. Było zabawnie i nawet trafiłam kilka imion.

Ciekawiło mnie, dlaczego ten jeden jedyny z całej grupy nie chciał patrzeć mi w oczy. Przez cały czas unikał mojego spojrzenia. Wzrok miał wbity w podłogę. Nie wiedziałam, o co mu chodzi. Zagadywałam go, aż w końcu nie wytrzymałam i wyłożyłam karty na stół:

- Ej kolego, dlaczego ty na mnie nie patrzysz?

- Żona mu nie kazała - żartowali pozostali, ale ja nadal męczyłam tego gościa.

Powiedział do mnie z uśmiechem:

- Bo nie mogę na ciebie spojrzeć, nie wolno mi.
- Nie przesadzaj.
- Nie mogę, wybacz, taka praca.

To sprawiło, że jeszcze bardziej chciałam zobaczyć jego oczy. Kucnęłam przed nim i wymusiłam na nim spojrzenie na mnie. Gdy spojrział w końcu w moje oczy, od razu poznałam!

- O nieeee...to ty! Ty mnie rzuciłeś na te drzwi, jak wprowadzaliście oskarżonego na salę! To ty, pamiętam te oczy.

- No niestety, tak trzeba. Takie są zasady - odparł z lekkim zakłopotaniem.

Chwilę jeszcze pożartowałam z Małym i musiałam już iść. Pożegnałam się ze wszystkimi, a wychodząc cofnęłam się jeszcze, wyciągnęłam palec wskazujący i powiedziałam do nich:

- Następnym razem, gdy będzie taka akcja, bądźcie dla mnie bardziej wyrozumiali. Przecież ja wasza jestem.

Chłopaki, jeden przez drugiego, odpowiedzieli:

- No oczywiście, dobrze, będziemy pamiętać, na razie.

Wróciłam do pracy.

Na pierwszej zmianie tylko uzupełniałam papier toaletowy w łazienkach, przecierałam podłogę, sprzątałam pomieszczenia, które robiło się pod nadzorem i czekałam na wezwania ad hoc.

Kurczę, chciałam spotkać tę sędzię, która orzekała w naszej sprawie. Chciałam jej spojrzeć w oczy. Nie wiem tak naprawdę, czego oczekiwałam. Ale nie widziałam jej ani

razu. Pewnie już ją awansowali do Sądu Okręgowego.

W budynku sądu była winda, której używałam do przewożenia pomiędzy piętrami sprzętu do sprzątania. Ta winda czasem się zacina. Był taki okres, że ludzie codziennie zacinali się w tej windzie i wówczas było słychać, jak ktoś dzwoni ze środka i światelko na niej miga. Wtedy któryś z ochroniarzy schodził na parter, otwierał pomieszczenie, w którym był włącznik, i uruchamiał windę.

Jak już wspomniałam, pracowałam w sądzie na serwisie porannymi na zastępstwo. Dziewczyny na drugiej zmianie pracowały tak, że jedna osoba była odpowiedzialna za jedno piętro, z tym, że na zmianie były trzy kobiety, a budynek ma cztery kondygnacje, więc nie było wydzielonej osoby na najwyższe piętro. W efekcie, pracownice z drugiej zmiany musiały posprzątać swoje piętra, a potem razem sprzątały piętro trzecie. Gdy Ania, którą zastępowałam, wróciła z urlopu, zapytała mnie:

– Nie chcesz zostać tu, na sądzie? Nie ma obstawy na trzecim piętrze – sędziowskie. Czysto tam jest, nie będziesz miała źle.

Zaczęłam się zastanawiać nad tym: byłam tu dwa tygodnie i zaczęło mi się podobać; zaprzyjaźniłam się z panią Alą; skumplowałam się z chłopakami z policji; nawet spotkałam pana mecenasa Seweryna, który był wyraźnie zaskoczony moją obecnością w sądzie.

Gdy go zobaczyłam po raz pierwszy po moim przyjeździe na obiekt, powiedziałam do niego:

– Widzi pan, znienawidziłam ten sąd, a teraz beze mnie

czysto mieć nie będą.

Co jakiś czas widywałam na korytarzu pana mecenasa w biegu, więc wymienialiśmy tylko grzeczności:

- Witam, pani Ano!
- Dzień dobry, panie Sewerynie!

I każde szło dalej swoją stroną.

Byłam na sędziowskich pokojach. Popracowałam tam przez tydzień, a w drugim tygodniu już zaczęło mi się podobać. Sędziowie byli zadowoleni z mojej pracy, nawet pani dyrektor wyrażała się pochlebnie o mnie, dlatego też, gdy zbliżał się kolejny przetarg, pani dyrektor zaznaczyła, że ja i Ania z serwisu porannego mamy przejść razem z obiektem. Zatem zostałam tam na kolejne dwanaście miesięcy. Poznałam wszystkich panów sędziów i panie sędzie od innej, mniej formalnej strony. W każdym pokoju wisiała toga, bo nie mieli ich cały czas na sobie. Do wszystkich sędziów i sędzi odnosiłam się *per pan/pani*. Zawsze zwracałam się do nich z kulturą, bo znałam swoją rolę w tym miejscu. Rozpoznawałam ich po numerach pokoi, gdyż trudno mi było spamiętać wszystkie imiona czy nazwiska pracowników w zakwaterowanym gabinecie.

Było siedemnaście gabinetów na piętrze zamkniętym i jeszcze sześć gabinetów Wydziału Pracy oraz dwie toalety. W sumie dwadzieścia pięć pomieszczeń począwszy od dużych gabinetów przez małe jednoosobowe pomieszczenia, a skończywszy na łazienkach. Gdy już rozplanowałam, co po kolei robić, to szło mi całkiem szybko. Zaczynałam od pokoju pani Dyrektor Sądu Rejonowego. Zawsze staram się

pracować dokładnie. Ma być tak, że gdy osoba zajmująca dany gabinet wchodzi, to od razu widzi, że byłam tu i sprzątałam. Lubiłam słuchać pochwał typu:

– Pani Ano, a gdzie pani była? Od razu widać, kiedy pani jest, a kiedy nie.

Lubiłam sprzątać pokój pani Kasi. Na półkach stały w nieładzie książki o prawach człowieka, słowniki itd. Układałam je równiutko, od największego do najmniejszego, by wyglądały estetycznie. Pani Kasi bardzo się to podobało i wyglądało to praktycznie.

Inna pani sędzia lubiła mieć wszystko poukładane na biurku.

Pamiętam też pokój jednego z sędziów. Codziennie sprzątałam pokoje, więc wiedziałam, gdy kogoś nie było w pracy, jeżeli zastałam gabinet w takim stanie, jak poprzedniego dnia. Pewnego dnia weszłam do gabinetu sędziego, aby tam posprzątać, zorientowałam się, że sędzia wrócił, bo na biurku były rozłożone dokumenty. Oczywiście posprzątałam i postanowiłam napisać grzecznościowo karteczkę:

Witamy po urlopie Panie Sędzio

I wyszłam. Następnego dnia pracowałam jak zwykle i właśnie byłam na końcu długiego korytarza, gdy sędzia wyszedł z gabinetu, spojrzał na mnie i krzyknął:

– Dziękuję pani bardzo, pani Ano. Nawet nie wie pani, jaką mi radość sprawiła. Nikt mnie nie powitał, gdy wróciłem z długiego urlopu, a tu taka niespodzianka. Dziękuję, jest

pani wielka!

– Cieszę się, że sprawiło to panu radość. Mała rzecz a cieszy, prawda?

I tyle. Z tym panem sędzią czasem wymieniałam kilka luźnych zdań, gdy nie było osób postronnych. Na przykład:

– Dzień dobry, fajna koszula.

– Dzień dobry, powiem żonie.

TEŚĆ

Moja księżniczka, nasza córeczka Zuzia, skończyła już trzy latka. Posłaliśmy ją do przedszkola położonego zaledwie dwadzieścia metrów od naszego budynku. Było nam Iżej; rano odprowadzałam córkę do przedszkola, a w tym czasie Grzegorz wracał z pracy, kąpał się, jadł śniadanie i kładł się spać. O czternastej czterdzieści pięć dzwoniłam do niego, aby go obudzić, żeby mógł odebrać Zuzię z przedszkola. Jedzenie było już przygotowane, więc podawał je Zuzi po powrocie do domu. Ja pracowałam od dwunastej do dziewiętnastej lub nieco krócej, gdyż chciałam, aby Grzesiek położył się jeszcze na chwilę przed pracą.

Zawsze wracałam z pracy piechotą i po dziesięciu minutach byłam w domu. Podczas spaceru dzwoniłam do teściów i opowiadałam o Zuzi:

– Tato, nie uwierzysz co Zuzia dziś zrobiła. Ty wiesz, że ona...

Gdy zdawałam relację teściowi, słyszałam w jego głosie niezmiernie szczęście. Był bardzo dumny ze swojej jedynej wnuczki. Wiem, że opowiadając o Zuzi sprawiałam mu wielką radość. Tata Grzegorza czuł się dzięki temu bardziej obecny w naszym życiu, razem z mamą byli dla nas bardzo pomocni. Teściowie byli dla mnie bliżsi niż moi rodzice, ale tylko dlatego, że miałam ich bliżej. Mieszkali szesnaście kilometrów od nas, podczas gdy moich rodziców miałam o dwadzieścia sześć kilometrów dalej. Z moimi rodzicami też byłam w stałym kontakcie, głównie telefonicznym.

Teść miał samochód – Renault 19. Nadaliśmy mu nazwę *Czesio*. Kupił go w dzień narodzin Zuzi i od razu przyjechał po nas do szpitala, a następnie zawiózł nas do domu. A po urodzeniu Zuzi przyjeżdżał po nas co weekend i zabierał nas do siebie. Wsiadałam wtedy za kierownicę i ćwiczyłam jazdę, bo własnego samochodu nie miałam, a nie chciałam zapomnieć tego, czego nauczyłam się na kursie na prawo jazdy. Czułam się szczęśliwa mogąc prowadzić samochód. Gdy teść odwoził nas do domu, również pozwalał mi poprowadzić. Uwielbiałam to auto, mogę powiedzieć nawet, że *Czesio* miał duszę, czułam to.

Z teściem rozmawiałam przez telefon prawie codziennie. Zawsze pytałam, czy wszystko u niego w porządku, jak się czuje, a on wymieniał mi, co go boli.

Podczas rozmowy teściu miał zwyczaj siadać sobie na korytarzu przy maszynie do szycia, w jednej ręce trzymał papierosa, a w drugiej komórkę, którą mu podarowałam na Święta Bożego Narodzenia. Zachwycał się moimi

opowieściami o Zuzi. Nieraz słyszałam, jak krzyczał do mamy:

– Jadzia, a ty wiesz, co nasza księżniczka dziś zrobiła?

Słyszałam przez słuchawkę, jak relacjonował wszystko mamie.

Któregoś dnia w drodze z pracy jak zwykle zadzwoniłam i usłyszałam, że teść źle się czuje. Powiedział mi, że wszystko go boli, po chwili jednak zmienił temat i zaczął wypytywać o Zuzię:

– No to opowiadaj, co nasze maleństwo dziś przeszkrobało?

Ja zaczęłam się dopytywać o jego stan zdrowia, ale teść powiedział:

– Ana, masz tu mamę, ja się pójdę położyć, bo ciężko mi siedzieć na krześle.

Oddał słuchawkę teściowej. Teściowa powiedziała mi, że coś złego dzieje się z ojcem, bo wszystko go boli. Dopytywałam, czy zadzwoniła do lekarza rodzinnego. Teść nie miał jednej nerki. Została usunięta, ponieważ przestała funkcjonować i wyschła. Oprócz tego miał silną cukrzycę i brał insulinę w zastrzykach. Był pod stałą opieką lekarza rodzinnego.

Teściowa opowiedziała mi, że przyjechała pani doktor, która leczyła tatę od lat i znała całą historię jego choroby. Podobno spojrzała na tatę i powiedziała:

– Panie Czesiu, pan ma tyle chorób, że nie wiadomo dokładnie, co panu jest.

Przepisała witaminy na wzmocnienie, środki przeciwbólowe

i pojechała. Zdenerwowałam się, gdy usłyszałam, jak lekceważąco potraktowała teścia. Powiedziałam mamie, żeby dzwoniła do mnie o dowolnej porze, gdyby coś się działo. Dotarłam już do domu, więc pożegnałam się i rozłączyłam. Następnego dnia około dwudziestej zobaczyłam, że ktoś do mnie dzwoni z numeru teścia. Gdy odebrałam, usłyszałam głos teściowej, która oznajmiła, że teściu źle się czuje, że coś go zatyka i ma trudności z widzeniem oraz że widzi konie biegające po pokoju. Ze strachu popuścił w łóżko. Zapytałam stanowczo:

– Mamo, dzwoniłaś po karetkę?

– Tak.

– Przyjedzie?

Powiedziała, że opisała rozmówczyni przyjmującej zgłoszenie ogólną sytuację zdrowotną teścia: że nie ma nerki, choruje na cukrzycę, majaczy i nawet zabrudził całe łóżko, bo dostał biegunkę. W odpowiedzi usłyszała:

– To niech mu pani poda lek na zatrzymanie. Nie wyślę karetki, bo nie widzę takiej potrzeby.

Wtedy teściowa zdenerwowała się i od razu zadzwoniła do mnie. Postanowiłam, że sama do nich zadzwonię, ale natychmiast mi zabroniła, tłumacząc:

– Nie, bo ty tylko pogorszysz wszystko, jak zaczniesz drzeć się na nich.

– Mamo, zadzwoń jeszcze raz i powiedz, że jeżeli nie przyjadą do obłożnie chorego, to będzie ich wina, gdy się wykończy.

Dodałam jeszcze, że gdy już mama zadzwoni ponownie na pogotowie, to od razu ma mi dać znać, czy przyjadą po niego. Wykąpałam małą i położyłam ją spać. O dwudziestej drugiej zadzwoniłam na komórkę taty i spytałam:

– Mamo, i co, przyjechała ta karetka czy nie?

Usłyszałam w słuchawce cichutki, spokojny głos taty, który powiedział:

– Aniu, ja już jestem w szpitalu. Jutro do ciebie zadzwonię, dobrze?

– Dobrze, tylko tato powiedz mi jeszcze, czy zrobili ci jakieś badania?

Usłyszałam cichutkie *nie* i rozłączył się. Wtedy powiedziałam do Grześka:

– Tata jest w szpitalu, nie wiem którym, bo nie powiedział, nie miał siły rozmawiać. Jutro wszystkiego się dowiem.

Tyle było z rozmowy. Do teściowej nie chciałam dzwonić, bo było już późno:

– Nie będę ich budzić, bo pewnie Tomek już śpi. Skoro tata jest w szpitalu, to ktoś udzieli mu pomocy.

Spokojniejsi położyliśmy się spać. Nad ranem około szóstej zadzwoniła teściowa i łamiącym głosem przekazała mi straszną wiadomość:

– Tata nie żyje.

– Co? Jak to?

– No tata nie żyje, nie słyszysz co mówię?!

– Jak to?

– Zadzwonił do mnie o piątej trzydzieści jakiś facet

i powiedział: *Ten pan co go wczoraj przywieźli nie żyje*. To ja się pytam, *ale jaki pan?* Padła odpowiedź; *ten co go wczoraj wieczorem przywieźli do szpitala*. Prosiłam aby podał dane, ale facet się rozłączył.

Wściekłość mnie ogarnęła, ale opanowałam emocje i powiedziałam do słuchawki:

– Mamo, my zaraz z Grześkiem mamy pociąg, uszykujemy się i zaraz będziemy. Czekać na nas.

Odłożyłam słuchawkę i powtórzyłam wszystko Grzegorzowi. Jednocześnie szykowałam Zuzie, zapakowałam to, co najpotrzebniejsze i pojechaliśmy. Gdy teściowa nas zobaczyła, poczuła się nieco swobodniej. To twarda kobieta. Przywitaliśmy się i od razu wróciłam do tematu rozmowy telefonicznej:

– I co, ten gościu tak powiedział i się rozłączył? A mówił w ogóle, z którego szpitala jest?

Okazało się, że z Kostrzyna.

– Mamo, biorę auto taty, pojedziemy z Grześkiem i dowiemy się wszystkiego. Niech Zuzia zje śniadanko.

Gdy dotarliśmy do szpitala, weszliśmy na Izbę Przyjęć. Byłam bojowo nastawiona, szłam jako pierwsza przez korytarz. W jednym z pomieszczeń zobaczyłam dwóch ratowników medycznych. Nie wiedziałam, czy to byli ci sami, którzy przyjechali wczoraj do teścia, ale chciałam zadać im kilka pytań:

– Wczoraj został przywieziony mężczyzna, lat sześćdziesiąt cztery. Gdzie on teraz jest?

- Nie wiemy, ale na pewno został zabrany na oddział wewnętrzny, niech pani spyta na pierwszym piętrze.

Nie pytałam o więcej, tylko spojrzałam na Grześka i spytałam:

- Wiesz gdzie to jest?

Grzesiek wskazał mi kierunek:

- Chyba tędy.

Weszliśmy po schodach i zauważyliśmy napis *Oddział Wewnętrzny*. Weszliśmy tam. Nie licząc ledwo słyszalnych dźwięków, na korytarzu panowała cisza. Podeszłam do pokoju dyżurnego i powiedziałam do pielęgniarki:

- Wczoraj został przywieziony mężczyzna, lat sześćdziesiąt cztery. Chciałabym się dowiedzieć, co się z nim dzieje.

Kobieta spojrzała na mnie:

- Ale ja nic nie wiem, dopiero przejęłam zmianę. Karta informacyjna została zabrana, a kolega nic mi nie przekazał.

Podniosłam głos:

- Jak to, przejmuje pani zmianę i nie wie, że wczoraj mój tato prawdopodobnie umarł?!

Czułam, jak wszystko się we mnie gotuje. Dodałam:

- Dzwoni do nas jakiś gościu i mówi, że ten pan, którego wczoraj przywieźli, nie żyje, nie zna nawet danych zmarłego pacjenta. Co za syf! Chcę się dowiedzieć, czy chodzi o mojego tatę, bo dane nie zostały podane i nawet nie wiemy, czy to on!

Odpowiedziała z przerażeniem na twarzy:

- Nic nie mogę pani powiedzieć, bo karta została już

zabrana.

Patrząc na nią, w głowie miałam gonitwę myśli: *A może się pomylili, taki tu mają bałagan, że może to nie tato? Ale będziemy się razem śmiali, jak mu to opowiem.*

Ta myśl ukołysała mnie nieco, dlatego spokojniej, lecz nadal stanowczo, dodałam:

– Zróbmy inaczej, niech pani mi pokaże, gdzie tu są pokoje pacjentów. Ja się przejdę i ich zapytam.

Kobieta pokazała mi palcem sale, w których przebywali mężczyźni. Poszłam w tym kierunku, weszłam do czteroosobowego pokoju i rozejrzałam się. Teścia tam nie było. Zapytałam obecnych:

–Wczoraj wieczorem został tu przywieziony karetką mężczyzna, lat sześćdziesiąt cztery. Wiedzą coś panowie?

Pacjenci zaprzeczyli, więc przeszłam do kolejnego pokoju, ale i tam nie było teścia. Grzesiek stał przy pokoju pielęgniarskim i rozmawiał z pielęgniarką, a ja biegałam po oddziale z myślą, że zastanę teścia żywego i wszystko będzie w porządku, ale gdy mijałam pokój pielęgniarek znajdujący się na środku oddziału, Grzesiek chwycił mnie za rękę i powiedział cichym głosem, odsuwając mnie na bok:

– Ana, to o tatę chodzi, widzę po rzeczach. Stoją w kącie pokoju.

Zobaczyłam łzy w jego oczach i zalał mnie zimny pot; trzymałam jednak nerwy na wodzy. Weszłam do gabinetu i wskazałam na reklamówkę z rzeczami teścia. Jednocześnie spojrzałam na pielęgniarkę. Zadałam pytanie:

- To są rzeczy mojego taty, gdzie jest telefon?

Rozejrzała się po szafkach w gabinecie i znalazła aparat. Natychmiast podała go Grześkowi. Byłam już pewna, że chodzi o mojego teścia, więc po cichu powiedziałam do Grześka:

- Ale co się stało? Jaka jest przyczyna jego śmierci? Przecież wczoraj z nim rozmawiałam o dwudziestej drugiej.

Pielęgniarka usłyszała moje i słowa i wtrąciła się:

- Ja nie wiem, jaka jest przyczyna śmierci. Przykro mi, ale karta pacjenta została zabrana, dowiedcie się państwo czegoś więcej w poniedziałek, jak będzie ordynator oddziału.

Grzesiek zabrał rzeczy ojca i skierowaliśmy się do wyjścia. Idąc zobaczyłam kobietę rozwożącą śniadanie, więc podbiegłam do niej i spytałam:

- Pani kochana, niech mi pani powie. Wczoraj przywieźli tu mojego tatę, zadzwonili do nas, że nie żyje, a teraz nic nie wiedzą. Może pani coś wie?

Kobieta spojrzała na mnie i wskazała mi pokój, w którym leżały kobiety:

- Ja nie wiem kto, nie wiem co się stało, ale wczoraj sprzątałam łóżko w tym pokoju”.

Weszłam do tej sali. Były tam dwie kobiety. Pierwsza - starsza i bardzo chora, tak przeraźliwie chuda, że nie miałyby siły odpowiedzieć na pytanie. Druga - około pięćdziesięcioletnia - siedziała na łóżku, towarzyszył jej mężczyzna. Podeszłam do jej łóżka:

- Pani kochana, niech pani mi coś powie o moim tacie,

ponoć został tu przywieziony wczoraj. Jak to się stało, bo przecież nikt nic nie wie?

Kobieta jadła akurat śniadanie. Trzymała w ręku talerz z zupą mleczną. Spojrzała na mnie, odłożyła talerz na stolik i zaczęła mówić:

– Wczoraj przywieźli pana Czesia...

I wtedy cała nadzieja uleciała, a ja poczułam ogarniającą mnie rozpacz. Słuchałam jednak dalej:

– ...z dołu z Izby Przyjęć, przywieźli go na łóżku. Pielęgniarki krzyczały do niego, by zaczął coś do nich mówić, ale nic się nie odzywał. Miał już podłączoną kroplówkę. Po kwadransie pan Czesiu zaczął mówić. Opowiadał, że zna tu wszystkich lekarzy, że był tu już tyle razy. Mówił, że ma piękną wnusię Zuzię, że jest taki dumny z niej...

Kroplówka zaczęła działać – pomyślałam.

– ... ale około drugiej w nocy zaczął pokastywać, miał trudności z oddychaniem. Słyszałam to, bo też nie mogłam spać. W końcu pan Czesiu zaczął tak kaszleć, że nie mógł złapać oddechu. Pielęgniarki przybiegły i to był już koniec.

Po tych słowach łzy same mi popłynęły, a w gardle miałam taką kluchę, że jeszcze trochę, a sama bym się udusiła. Kobieta zobaczyła moją reakcję, dlatego dodała:

– Bardzo mi przykro, moje kondolencje. Ale niech pani wie, że kobiety zaglądały do niego co chwilę.

Wydusiłam przez łzy:

– Dziękuję, życzę zdrowia.

I udałam się w kierunku wyjścia, gdzie teraz stał Grzegorz.

Obserwował mnie podczas rozmowy z pacjentką i widział mój płacz i utratę nadziei. Już wiedziałam, że się domyślił. Gdy podeszłam do niego zobaczyłam łzy w jego oczach, ale odwrócił się do okna, by ukryć to przede mną.

Chwilę później wyszliśmy z budynku. Żadne z nas nie mogło zdobyć się na choć jedno słowo, bo rozpacz chwilowo odebrała nam mowę. Wsiadliśmy do samochodu.

Grzesiek w końcu odezwał się:

– Co ci powiedziała?

Ale ja nadal nie mogłam wymówić ani słowa, tylko zanosłam się od płaczu. Musiałam poczekać, aż emocje mi opadną, bo musiałam przecież kierować samochodem. Powiedziałam tylko:

– Ja im tego nie popuszczę. Obiecuję ci tato, popamiętają mnie.

Gdy już nieco się uspokoiłam, poczułam ogromną wolę walki o to, by ukarać tych, którzy przyczynili się do tego, że mój teściu nie otrzymał właściwie udzielonej pomocy. Co ciekawe, ta chęć walki poprawiła mi nastrój. Powiedziałam tylko:

– Jedziemy do domu.

Grzegorz nawet nie dopytywał. Wiedział, że gdy się uspokoję, to sama mu powiem. Odpaliłam *Czesia* i ruszyliśmy w drogę. Po przejechanym kawałku łatwiej było mi skupić się na drodze i wtedy odezwałam się do Grzeška:

– Kuźwa, gdyby ta pani doktor skierowała go wcześniej do szpitala, miałby podłączoną kroplówkę. Wszystko byłoby

w porządku, bo zaczął mówić, jak ją dostał, jak zaczęła działać. Chwalił się nawet Zuzią.

Poprzysięgam, że nie odpuszczę tej pani doktor. Znała choroby teścia, wiedziała, że nie ma nerki, o cukrzycy też wiedziała, i tak go zostawiła...

Dojechaliśmy do domu. Na mój widok teściowej napłynęły łzy do oczu. Zaczęłam jej wszystko opowiadać, ale starałam się mówić jak najdelikatniej, by złagodzić jej ból. Wreszcie skwitowałam całą sytuację jednym zdaniem:

– Nikt tam niczego nie wiedział, tylko tyle, że nie mógł złapać oddechu i to był koniec.

Teściowej zaczęła się trząść broda z emocji, nadal miała łzy w oczach, ale myślę, że przeżywała to bardziej, niż mogłam wyczytać z jej twarzy. Ona nie okazuje bezsilności czy żalu, tak już ma.

Poprosiłam ją, aby na spokojnie opisała całą sytuację, gdy teść poczuł się gorzej. Zaczęła opowiadać o tym, że najpierw przybył lekarz rodzinny – kobieta z pobliskiej wsi. Zbadała teścia, ale nie postanowiła diagnozy. Nazajutrz jego samopoczucie pogorszyło się jeszcze bardziej. Teściowa nie bardzo wiedziała, co zrobić w tej sytuacji, więc zadzwoniła na pogotowie, żeby zawiozło go do szpitala, gdzie miałyby fachową opiekę i badania. Ona sama nie dałaby rady opiekować się nim, a poza tym musiała zajmować się niepełnosprawnym Tomkiem. Kobieta z pogotowia początkowo odmówiła wysłania karetki.

Ostatecznie karetka przybyła po około dwudziestu minutach, ale nie było w niej lekarza, tylko dwóch medyków.

Spytałam teściową, czy zbadali teścia, i odparła, że jeden z nich zdawkowo stwierdził, że nie widzi potrzeby zabierania go do szpitala, zaś drugi milczał jak grób.

Na tę informację poczułam, że wzbiera we mnie gniew.

Teściowa tłumaczyła obu panom, że poprzedniego dnia teść był badany przez lekarza, a potem jego stan uległ pogorszeniu, ale ona nie ma pojęcia, co może być przyczyną, a nie da rady opiekować się dwiema osobami, więc ostatecznie zgodzili się zabrać teścia do szpitala. Ale najpierw trzeba było znieść go na dół, ponieważ teściowie mieszkali na piętrze domu jedno-rodzinnego, a schody na piętro były zbyt ciasne [zdjęcie jest poniżej], aby medycy mogli znieść chorego na noszach. Zaproponowali, aby sam zszedł po schodach, ale teściowa wybiła im to z głowy. Teść był zbyt słaby, by w ogóle ustać na własnych nogach, i miał zawroty głowy, wobec tego ona pomagała mu zejść krok po kroku – stopień za stopniem. W tym celu przewiesiła go przez poręcz schodów i powoli schodzili. A panowie z karetki czekali z noszami na dole.



Z relacji teściowej wynikało, że panowie postawili teścia przed karetką, by zrobić w środku miejsce dla niego. Cała sytuacja miała miejsce w styczniu, a ponieważ karetka przyjechała po dwudziestej pierwszej, na zewnątrz było bardzo zimno.

Ze łzami w oczach i łamiącym się głosem opowiadała:

– A on nawet skarpet na stopach nie miał, zapomniałam mu ubrać. Coś tam tylko na niego narzuciłam w ostatniej chwili, bo w piżamie samej tylko był.

Zabrali go i pojechali do szpitala. Z tego co wiem, ten szpital ma najgorszą opinię, ale stamtąd wysłali karetkę. Może dlatego, że tak było najbliżej?

Powiedziałam teściowej, że pojedziemy z Grześkiem do tego szpitala, żeby porozmawiać z ordynatorem i poznać przyczynę śmierci teścia, a potem przedstawimy całą sytuację z naszej strony. Powiemy o narażeniu pacjenta na przeziębienie i o lekceważącej postawie personelu. Następnie skontaktujemy się z zakładem pogrzebowym.

Pożyczyłam od teściowej samochód, żeby sprawniej załatwić sprawy, a w pracy wzięłam jednodniowy urlop.

W poniedziałek zostawiliśmy Zuzię pod opieką teściowej po to, by nie siedziała sama w domu i żeby miała zajęcie, a sami pojechaliśmy do szpitala. Musiałam w końcu poznać odpowiedzi na pytania, które mnie dręczyły.

Zapytałam ordynatora:

– Proszę mi powiedzieć, jaka jest przyczyna śmierci mojego taty?

– Zapalenie płuc.

– Panie doktorze, tata źle się czuł, więc wezwaliśmy lekarza rodzinnego. Pani doktor, która znała całą historię choroby taty, przepisała mu witaminy wzmacniające i tyle. Gdy został przywieziony karetką do was i podłączyliście mu kroplówkę, zaczął rozmawiać i kojarzyć. Gdy tu przyjechał, rozmawiałam z nim przez telefon. Jasność umysłu wróciła. Gdyby lekarz rodzinny wysłał go wcześniej do szpitala, to czy by przeżył?

Lekarz zaczął się miotać:

– Pan Czesiu był schorowany już i młody też nie był.

Powtórzyłam pytanie bardziej stanowczym tonem:

– Przeżyłby?

Lekarz spojrzał na mnie i powiedział:

– Może by się udało...

To mi wystarczyło.

Byłam tak wściekła, że dłużej go nie słuchałam. Zaczęłam obmyślać plan, jak ukarać lekarkę, medyków oraz kobietę,

która przyjęła zgłoszenie od teściowej. Tym bardziej, że to nadal lekarz rodzinny teściowej i Tomka. Co, jeżeli ich też tak zlekceważą, gdy oni będą prosić ją o pomoc? O nie!

Gdy tylko wyszliśmy z gabinetu ordynatora, powiedziałam do Grześka:

– Wiem, że nie przywrócę tacie życia, ale ta baba i inni popamiętają mnie.

Gdyby stanęła przede mną ta lekarka ojca, to niech mnie ręka boska broni! Nie panowałabym nad sobą. Wyzwałabym ją od najgorszych i to publicznie.

Gdy dotarliśmy do domu teściów, oświadczyłam teściowej:

– Nie odpuszczę im!

Wyjaśniłam jej, że niewiele zdziałam w tej sprawie, bo w celu szukania dowodów zaniedbań należy zrobić sekcję zwłok, a tego chciałam uniknąć. Ale chcę, by lekarka i kobieta z pogotowia miały świadomość, że zrobiły coś złego. Gotowa byłam zrobić z tego aferę, rozdmuchać to w mediach.

Gdyby zwykły pracownik zaniedbał swoje obowiązki, mógłby dostać upomnienie albo stracić pracę, ale lekarz, z winy którego odszedł ktoś dla kogoś ważny, to nic takiego, bo przecież lekarz ma prawo się mylić? Otóż nie dla mnie! Nie pozwolę by to ucichło, nie umiałabym żyć z myślą, że nic w tej sprawie nie zrobiłam. Miałabym myśleć, że na to pozwoliłam? Przecież można było mu pomóc, gdyby lekarka wcześniej zareagowała. Nawet sama przyjechałabym pociągiem i zawiozłabym go do szpitala. Wtedy nie zmarłby podczas przewozu, nie nabawiłby się zapalenia płuc i żyłby

nadal. Ale nie ma go, nie żyje, a winę ponoszą osoby, które go zlekceważyły.

Nawet się nie pożegnałam. Mieliśmy porozmawiać na drugi dzień, a tymczasem ostatnie zdanie, które wypowiedział do mnie, brzmiało:

– Ana, zadzwonię do ciebie jutro, dobrze?

Trzeba też pamiętać, co powiedziała lekarka rodzinna:

– Panie Czesiu, pan ma tyle chorób, że nie wiadomo co panu jest.

No przepraszam! Co to ma być?! Z winy tych ludzi nie żyje mój teść, dobry człowiek, który zawsze pomagał innym. Ludzie go uwielbiali, ja byłam z niego dumna. Kochał swoją wnusię bardzo mocno; wiem o tym, bo widziałam jego radość. A teraz już nie mogę patrzeć na szczęście, jakie było od mojej córeczki, gdy odwiedzała swojego dziadka Czesia.

Oświadczyłam teściowej, że zgłoszę sprawę do prokuratury i za jakiś czas ona na pewno będzie przesłuchiwana. Mama nie chciała być ciągnana po sądach, ale wyjaśniłam jej, że do tego nie dojdzie. Jej po prostu było przykro, że nie otrzymała pomocy kiedy potrzebowała jej najbardziej. Nie mogła tego zrozumieć, ale nie chciała ich ukarać.

Teść zmarł dwunastego stycznia dwa tysiące trzynastego roku o drugiej dziesiątej, czyli w nocy z piątku na sobotę. W weekend nie dało się niczego załatwić, bo wszystkie urzędy i instytucje państwowe były zamknięte, więc musiałam przetrwać z natłokiem myśli przez cały weekend, a w poniedziałek z samego rana poszłam do prokuratury.

Trafiłam tam na panią mecenas, którą znam z widzenia i czasami w sądzie pozdrawialiśmy się wzajemnie. Niestety, jako synowa nie mogłam wiele zdziałać, więc złożyłam swoje zeznania jako świadek. Grzegorz – jako syn – złożył donos. Najpierw przesłuchali mnie, potem jego, a kilka dni później teściową. Zależało mi na zatrzymaniu nagrania rozmowy, podczas której teściowa wzywała pogotowie. Prokuratura od razu się tym zajęła. Zatem wiedziałam, że ta pani przyjmująca zgłoszenia będzie brana pod uwagę w dochodzeniu, ale to było dla mnie za mało.

Skontaktowałam się z wybranym przeze mnie reporterem Gazety Lubuskiej. Opisałam mniej więcej całą sytuację i wymieniłam zaniedbania kolejnych osób ze służby zdrowia, które doprowadziły do śmierci mojego teścia, a kilka dni później otrzymałam informację zwrotną i umówiłam się na rozmowę w cztery oczy. Podczas tej rozmowy poinformowałam reportera, że cała sprawa jest już w prokuraturze i że nagranie rozmowy telefonicznej jest w posiadaniu prokuratora. Reporter poinformował mnie, że pojedzie do szpitala i porozmawia z panią doktor. No! Teraz już byłam zadowolona, że zacznie się nagonka na tę kobietę, że będzie czuła strach.

Ktoś z zakładu pogrzebowego skontaktował się z teściową w sprawie dokumentów potrzebnych do pogrzebu, więc przed pracą pojechałam po nią i zawiozłam ją do zakładu. Naprzeciwko znajdowała się przychodnia lekarska, w której przyjmowała pani doktor, która nadal była lekarzem rodzinnym teściowej i Tomka. Teściowa miała na ten dzień

wyznaczoną wizytę u tej lekarki, bo skończyły się leki potrzebne Tomkowi, więc musieliśmy się z nią spotkać. Tomek, mój szwagier, też choruje na epilepsję, ale on ma silniejsze ataki i dzięki Depaginie ma je tylko dwa-trzy razy w roku.

Gdy czekałyśmy przed gabinetem na swoją kolej, zapytałam teściowej:

– Mamo, może ja wejdę tam z tobą, co?

Teściowa zareagowała stanowczo:

– A po co ty mi tam? Nie bój się, nic nie będzie gadać, a jeśli już, to jej powiem, co myślę.

– No dobrze.

Przyszła kolej na teściową, więc weszła do gabinetu pani doktor. Po pięciu minutach lekarka wyszła z gabinetu, a ja zajrzałam do środka i zobaczyłam, że teściowa siedzi na krześle i najwyraźniej czeka na coś. Zatem oparłam się o ścianę i czekałam, aż pani doktor wróci do gabinetu, a wiedziałam, że będzie musiała mnie minąć. Pełna determinacji czekałam na jej powrót, bo chciałam bezczelnie spojrzeć jej w oczy tak, by zapamiętała mnie na długo. W końcu pojawiła się w zasięgu mojego wzroku. Niosła jakieś papiery, zauważyła mnie i spojrzała na mnie uśmiechając się przy tym niezdarnie, ale wiedziałam, że to błagalny, przeprasający uśmiech. Wbiłam w nią wzrok nie odwzajemniając uśmiechu, bo chciałam zaznaczyć, że będę ją bacznie obserwować i dbać o to, by już nikogo z moich bliskich nie skrzywdziła. Patrzyłam tak długo, aż zniknęła za drzwiami swojego gabinetu. Nienawidziłam jej w tamtej

chwili.

Po wyjściu teściowej z gabinetu zadałam jej pytanie:

– Mówiła coś o tacie? Tłumaczyła się?

– Ana, stało się i już nie ma co tego ciągnąć.

Byłam przekonana, że rozmawiały o tym, ale teściowa już nie chciała mi nic powiedzieć. Wiedziała, że gdyby nie spodobało mi się to, co powiedziała lekarka, wróciłabym i powiedziała jej, co o niej myślę. Teściowa była w szoku, że dostała skierowania na wszystkie badania, właściwe leki i że ogólnie pani doktor była dla niej bardzo miła. Dała teściowej do zrozumienia, że jest jej bardzo przykro z powodu tego, co się stało z teściem. Teściowa zaś dała mi do zrozumienia, że ona chce o tym zapomnieć. Powtarzała:

– Ana, nie ma sensu nic robić przeciwko niej, bo nadal leczy mnie i Tomka.

POGRZEB TEŚCIA

Zawiozłam mamę do domu i pojechałam do pracy do sądu. Tamtego dnia winda znowu się zacinała i było słychać dzwonek alarmowy. Sędziowie zrezygnowali wtedy z używania windy. Gdy widzieli mnie stojącą przy windzie z wózkiem, oznajmiali, że nie będą ryzykować i wolą pójść schodami, więc odpowiadałam tylko:

– No, ja nie mam wyjścia, wózka na plecy nie wezmę.

Niektórzy sędziowie na moim piętrze zostawali dłużej w swoich gabinetach i przygotowywali się do spraw, więc czasem omijałam dany pokój i potem wracałam do niego. Bywało też tak, że mówili mi, bym robiła swoje, a oni nie będą mi przeszkadzać. I tak jakoś zaczęłam rozmawiać z jedną panią sędzią. Dopytywała mnie, dlaczego mam grupę inwalidzką, więc opowiedziałam jej o wypadku i śmierci klinicznej. Bardzo ją to zainteresowało i przyznała mi się, że wierzy w takie rzeczy. Zachęcała mnie, abym opowiedziała jej wszystko ze szczegółami, więc opowiadałam i jednocześnie sprzątałam. Gdy skończyłam, powiedziała do mnie:

– Cieszę się, pani Ano, że jest pani z nami z powrotem.

To było bardzo miłe.

Wzięłam urlop okolicznościowy, aby wziąć udział w pogrzebie teścia. Ania z Javim już przylecieli z Hiszpanii do mamy. Z Kruszwicy przyjechali brat oraz siostry teścia. Na co dzień byli oddaleni od siebie o niecałe trzysta kilometrów, ale dzwonili do siebie prawie codziennie. Na pogrzebie wspominali, jak bardzo Czesiu był dumny ze swojej wnusi Zuzi. Wiedzieli o tym, że to ona była serduszkem teścia. Zwykle najpierw ja dzwoniłam do niego chwając się osiągnięciami małej, a teść z tego szczęścia przekazywał nowinki dalej.

Nadeszła pora rozpoczęcia ceremonii pogrzebowej. Weszliśmy do kościoła. Ciało teścia leżało w trumnie przed ołtarzem. Podeszłam do niego, by przywitać się z nim. Był taki zimny i sztywny, bo jego dusza już uleciała, ale ja

wiedziałam, że on jest obecny w tym kościele. Czułam, że jego duch unosił się w górnym lewym rogu pod sklepieniem i dzięki temu było mi łatwiej przeżyć tę ceremonię.

Za życia, teść pomagał każdemu, kto poprosił go o pomoc. Jako że miał samochód – *Czesia* – woził sąsiadów, dokąd chcieli o każdej porze dnia i nocy. W myślach rozmawiałam z nim:

– Widzisz tato? Ania z Javim przylecieli do ciebie. Zobacz, tylu ludziom pomagałeś, a nawet nie przyszli na twój pogrzeb.

I wyczuwałam odpowiedź:

– Bo to za szybko wszystko, połowa ludzi nie wiedziała nawet, kiedy odbędzie się moja ceremonia. To dlatego, Ana.

To prawda, klepsydra była wywieszona na wiosce zaledwie kilkanaście godzin przed pogrzebem.

Podczas mszy obok mnie był Grzegorz, Ania, teściowa i Javi. Pod koniec ceremonii pogrzebowej ksiądz poprosił, aby pożegnać się z ciałem przed zamknięciem trumny. Podeszłam do taty i pogroziłam mu palcem:

– Tato! Ty musisz zawsze być obok nas i pilnować naszej rodziny, by nie wydarzały się jakieś nieszczęścia. Jesteś najlepszym teściem na świecie. Do zobaczenia, tato.

Pożegnałam się, pocałowałam swój kciuk i zrobiłam na czole teścia znak krzyża, mówiąc jeszcze raz:

– Do zobaczenia, tato.

Gdy usłyszałam pierwsze tony marsza żałobnego, po policzku pociekły mi łzy.

Po pogrzebie wróciliśmy na obiad do domu, porozmawialiśmy z rodziną, po czym rozjechaliśmy się do swoich domów. Zostawiliśmy teściową z córką i Javim, więc nie była sama. Choć zawsze będę powtarzać, że to najtwardsza kobieta, jaką znam.

Życie płynęło dalej, ale nie było już w nim ważnej dla mnie osoby. Praca i rodzina pozwalały mi na oswojenie się z tą myślą. Miałam *Czesia* i jeździłam z Zuzią do teściowej co weekend. *Czesiu* był zadbanym autem, to była prawa rączka teścia.

CZESIO

Pewnej soboty postanowiłam dać się Grześkowi porządnie wyspać. Oznajmiłam, że jadę z Małą do teściowej. Na dworze było ciepło i sucho. Jestem dobrym kierowcą i za kółkiem czuję się naprawdę niesamowicie i odpręża mnie to. Zatem jechałam do teściowej, Zuzia była zapięta w foteliku za mną, żebym mogła mieć na nią oko w lusterku. Zostało mi dziesięć kilometrów do domu teściowej. Właśnie minęłam znak *koniec terenu zabudowanego* jednej z wiosek i wyjechałam na prostą, więc przyspieszyłam do dziewięćdziesięciu kilometrów na godzinę. Przede mną jechał tir. Po chwili jazdy przygotowałam się do skrętu w lewo, który jest kilometr dalej, więc zaczęłam hamować. Wcisnęłam pedał hamulca, ale nie było żadnej reakcji! Wcisnęłam ponownie i znowu nic

- samochód jechał ze stałą prędkością. Zrobiło mi się gorąco. Kolejne próby hamowania też nic nie dały, pedał wchodził w podłogę i nie reagował. Do skrętu było coraz bliżej, a ja zaczęłam wpadać w panikę. Spojrzałam w lusterko – za mną była pusta droga – ale przede mną cały czas był tir. Zawołałam:

- Jezu, nie! Co teraz?! Tato! Pomóż mi, nie wiem, co się dzieje! *Czesiu*, proszę cię, nie rób mi tego!

Sprzęgło działało, więc zredukowałam bieg i zaczęłam hamować hamulcem ręcznym. Dzięki Bogu samochód zaczął zwalniać i jechałam teraz na niskim biegu. Zaczęłam szybko analizować sytuację, starałam się wyprzedzać fakty: sto metrów za zakrętem jest przejazd kolejowy; jeżeli będzie opuszczony szlaban, to znak, że pociąg się zbliża. Już chciałam w biegu wyskoczyć z pojazdu i zatrzymać pojazd, nawet odpięłam pas bezpieczeństwa. Na szczęście szlaban był podniesiony, więc miałam wolną drogę. Odetchnęłam z ulgą.

Gdy dojechałam pod dom teściowej na miejsce, wysiadłam z samochodu. Cała dygotałam, a nogi mi się trzęsły jak galareta. Zaczęłam skakać w miejscu, żeby rozluźnić mięśnie. Akurat przyjechał Paweł, syn cioci Krysi i kuzyn Grzegorza. Stał na podwórku, więc podszedł do bramki, żeby się przywitać. Powiedziałam do niego jeszcze przerażona:

- Wyobraź sobie, że nie mam hamulca, a byłam rozpędzona prawie do stówy. Wciskam hamulec, a tu zero reakcji!

- Co ty gadasz?

Wsiadł do *Czesia* i uruchomił silnik. Ruszył, po czym

wcisnął hamulec i auto zahamowało tak, jak powinno. Stwierdził:

– Przecież wszystko jest w porządku.

–To niemożliwe, nie działał! Ja nie zwariowałam, byłam świadoma. Nie ściemniam. Czekaaj!

Wsiadłam, włączyłam silnik, wrzuciłam jedynkę i ruszyłam, a po chwili wcisnęłam hamulec. Zadziałał normalnie.

– Co jest? O co tu chodzi? – pomyślałam – Tato, co to miało znaczyć?

Muszę to sprawdzić u jakiegoś mechanika, przecież nie wymyśliłam sobie tego.

Po całym dniu spędzonym u teściowej trzeba było wracać do domu. Opowiedziałam jej o całym incydencie z hamulcem i stwierdziłam, że chcę wrócić jeszcze za dnia. Zatem wróciłyśmy w miarę wcześnie i nie miałyśmy po drodze żadnych problemów. Następnego dnia pojechałam do pracy autem. Zajechałam do mechanika na terenie sądu. Powiedziałam o niesprawnym hamulcu i zostawiłam samochód do sprawdzenia. Po trzech godzinach wróciłam do zakładu mechanicznego i usłyszałam, że wszystko jest w porządku, nawet ilość płynu hamulcowego jest w normie. Mechanicy stwierdzili, że układ hamulcowy mógł się zapowietrzyć. Pierwszy raz słyszałam o czymś takim: niby samochód był sprawny, a jednak to się zdarzyło. Przecież jechałam z dzieckiem!

Do dzisiaj zastanawiam się, jak to możliwe i drzę na samą myśl, że mojej córeczce mogłoby się stać coś złego. I myślę

sobie, że drugi raz uciekłam śmierci spod kosy, ale ona nie pozwala mi o sobie zapomnieć. Czy o to chodzi?

Wróciłam do codziennych obowiązków: praca, dom, odwiedziny u teściowej. Mając *Czesia* byłam bardziej mobilna i dyspozycyjna, mogłam w razie potrzeby pojechać po pieluchy dla Tomka lub na zakupy z teściową albo odwiedzić moich rodziców na wsi oddalonej od Gorzowa o dwadzieścia sześć kilometrów. Poza tym uwielbiam to uczucie prowadzenia samochodu, pełne odprężenie. Czasem z przemęczenia miewam ataki epilepsji, wtedy trzęsą mi się nogi i w takiej sytuacji muszę uspokoić się, zwolnić tempo i poczekać na ustanie objawów. A gdy wsiałam do *Czesia*, zmęczenie znika jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki, wraca dobry nastrój i chęć do działania.

Pewnego dnia miałam wizytę u lekarza z Zuzią. Podjechałam pod poradnię samochodem, zaparkowałam i poszłam na wizytę. Wróciłam po godzinie i zauważyłam wgniecenie w tylnych drzwiach po tej stronie, gdzie Zuzia siedzi w foteliku dziecięcym. Starłam się przypomnieć sobie, gdzie tak uderzyłam, ale nic mi nie przychodziło do głowy. Po chwili podszedł do mnie kierowca taksówki i opowiedział mi o całym zdarzeniu. Widział, jak ktoś zawracał i uderzył w mój samochód, a następnie wysiadł ze swojego pojazdu, rozejrzał się wokół i widząc, że taksówkarze go obserwują, wyciągnął kartkę, zapisał coś na niej i włożył za wycieraczkę mojego samochodu. Panowie obserwujący go zapisali numer rejestracyjny jego pojazdu. Taksówkarz podał mi kartkę z numer rejestracyjnym, a ja wyciągnęłam drugą kartkę z za

wycieraczki i zadzwoniłam pod zapisany na niej numer telefonu. Wybierałam numer kilkakrotnie, ale bez skutku, więc zadzwoniłam na policję, w skrócie opisałam incydent i na koniec zapytałam:

– Co mam zrobić? Mam opuścić miejsce zdarzenia? Jestem z małym dzieckiem.

Kazali mi przyjechać na komendę, która akurat była niedaleko. Pojechałam, funkcjonariusz spisał moje zeznania, wykonał kilka zdjęć i powiedział, że zadzwoni do mnie, gdy znajdą sprawcę. Wróciłam do domu, a po godzinie zadzwonił policjant i podał mi numer polisy ubezpieczeniowej sprawcy. Zadzwoniłam od razu do firmy ubezpieczeniowej i zażądałam odszkodowania. Kilka tygodni później pojawił się likwidator szkód, oszacował straty i wycenił odszkodowanie na kwotę tysiąca trzystu złotych. Otrzymałam te pieniądze nieco później.

Od tego momentu *Czesiu* zaczął się psuć. Kilka razy zerwała się linka sprzęgła, ale na szczęście nie podczas jazdy. Wsiadałam do samochodu, wciskałam pedał sprzęgła, pedał wchodził cały w podłogę i nic. Miałam szczęście, bo raz to zdarzyło się pod sądem, więc sama popchałam samochód do mechanika. Innym razem szwagier ściągnął *Czesia* z ulicy. Ciągnął mnie wtedy za sobą i akurat przejeżdżał przez skrzyżowanie, wykonał skręt i był już za skrzyżowaniem, gdy nagle zerwała się linka holownicza i mój samochód utknął na środku skrzyżowania. Bez zwłoki wyskoczyłam z samochodu i zepchnęłam go na bok, żeby nie blokować ruchu, a szwagier w tym czasie ponownie zaczepił linkę. Obok przechodziła

grupa przedszkolaków i jedna z opiekunek postanowiła wykorzystać naszą sytuację jako dobry przykład dla dzieci, które obserwowały nas z nieskrywaną fascynacją. Odezwała się do nich:

– Widzicie dzieci, pani zepsuł się samochód, a pan jest tak dobry, że jej pomaga. Trzeba udzielać pomocy innym.

Dzieci z wypiekami na twarzy pytały:

– Co się stało? Dlaczego się zepsuł?

Zaczęliśmy się śmiać ze szwagrem, że będziemy w przedszkolu tematem numer jeden i przykładem pomocy drogowej.

Szwagier zaciągnął mnie pod warsztat, gdzie mechanik stwierdził po obejrzeniu samochodu, że trzeba kupić nowy pedał i linkę. Zaproponował, żeby zostawić samochód na noc i dodał, że mogę iść na pobliski złom i kupić te rzeczy taniej, więc poszłam dowiedzieć się, czy mają taką część i ile kosztuje. Okazało się, że mają jakiś egzemplarz Renault 19, ale trzeba wymontować ten pedał sprzęgła. Poprosili, abym przyszła na drugi dzień i jeżeli znajdą chwilę, ktoś wykręci tę część.

Następnego dnia przyszłam z samego rana i zapytałam:

– Czy jest już jakaś osoba, która mogłaby wykręcić pedał sprzęgła z Renault 19?

Pani siedząca za szybą oznajmiła, że zaraz przyjdzie jakiś mechanik, ale trzeba czekać i nie wiadomo jeszcze, czy znajdzie dla mnie czas. Czekałam dobre dwadzieścia minut, ale nikt się nie pojawił, więc zaczęłam się denerwować.

Wtedy pojawił się mężczyzna w skórzanej kurtce i pomyślałam, że to ten pan, na którego czekam. Spojrzał na pedał, który trzymałam w dłoni i zapytał:

– A pani co chce zrobić z tą częścią?

Zrobiłam zakłopotaną minę:

– Potrzebuję wykręcić z Renówki taką samą. Mógłby pan to zrobić?

Mężczyzna uśmiechnął się do mnie i powiedział:

– Dobrze, już.

I ruszył w alejkę ze stertą starych aut, a ja szłam za nim:

– A pan się nie ubrudzi? Niech pan skórę chociaż ściągnie, ja potrzynam.

Mężczyzna zaśmiał się, przystanął, spojrzał na mnie i odparł:

– Ja mam od tego ludzi.

Ups! Trafiłam na samego szefa. Podeszliśmy do robotnika, który właśnie rozbierał na części jakiś samochód. Szef powiedział do niego:

– Panie Zbyszku, pan zostawi wszystko teraz i wykręci tej pani pedał do skrzyni biegów z Renault 19.

Odszedł uśmiechając się do mnie. Podziękowałam i czekałam, aż pan Zbyszek skończy. Zapłaciłam sześćdziesiąt złotych i poszłam zadowolona do mechanika, u którego był mój samochód. Mechanik akurat pracował nad innym samochodem i zaproponował, aby przyszła jutro, ale ja nie chciałam znowu czekać. Usłyszałam w odpowiedzi, że ten samochód, który robią z kolegą, może zająć im jeszcze

godzinę i nie ma sensu, bym tam stała. Nalegałam, że poczekam i żeby się nie spieszyli. Posiedziałam w *Czesiu* pół godziny i usłyszałam, jak mechanik o imieniu Michał mówi do kolegi wskazując na pojazd, który właśnie naprawiali:

– Chodź Krzysiek, wypchniemy na razie to auto i założymy pani ten pedał i linkę.

Ucieszyłam się ogromnie i bardzo wylewnie podziękowałam.

Panowie wepchnęli *Czesa* na kanał i zajęli się wymianą pedału sprzęgła. Po godzinie skończyli i pan Michał usiadł za kierownicą, przekręcił kluczyk w stacyjce i wtedy usłyszałam dźwięk silnika. Ten dźwięk mnie bardzo ucieszył. Mechanik chciał włączyć bieg, ale jedyne co uzyskał, to przeraźliwy hałas, coś jakby głośne tarcie. Pan Michał spojrzał na mnie i powiedział:

– To skrzynia biegów jest do wymiany. Linkę sprzęgła założyłem, ale to skrzynia nie działa.

Spojrzałam na niego z przerażeniem i zaczęłam się zastanawiać, skąd wezmę pieniądze na naprawę. Spytałam:

– I co teraz?

– Niech pani wezwie lawetę albo niech ktoś panią zaciągnie pod dom.

Nogi ugięły się pode mną. Lawetę?! Przecież ja nie mam kasy na lawetę! Jest jeszcze wczesnie, na koncie w telefonie mam za mało, by kogoś ściągnąć, a do tego pewnie nikt nie znajdzie czasu. Zadałam pytanie:

– A dojadę pod swój blok?

Pan Michał stwierdził, że jest szansa, jeżeli będę jechać na najniższym biegu. Dał mi swój numer telefonu, żebym skontaktowała się z nim, gdy już zdobędę pieniądze na wymianę skrzyni biegów, a on ją zamówi i wymieni. Zapytałam o koszt i natychmiast tego pożałowałam, gdy usłyszałam, że to aż pięćset złotych. Przecież mnie nie stać! Wsiadłam do *Czesia*, wrzuciłam jedynkę, a samochód zaczął ryczeć. Spróbowałam zmienić bieg na wyższy i usłyszałam jeszcze donośniejszy ryk. Mechanik wrzucił mi jedynkę i ruszyłam. Jechałam bardzo powoli. Tak się wlokłam, że chyba pieszo byłoby szybciej. Wjechałam na rondo i kierowcy zaczęli trąbić na mnie. Zero wyrozumiałości! Zaczęłam rozmawiać z samochodem:

– *Czesiu*, zabierz mnie pod dom szybszym ruchem.

Wrzuciłam dwójkę, a potem trójkę, i problem nagle ustąpił, samochód przestał wyć. Zatrzymałam się na światłach, potem ruszyłam normalnie, w końcu dotarłam pod blok i zaparkowałam. Wróciłam do rozmowy z samochodem:

– *Czesiu*, pięknie było, cudowny jesteś. Może mechanik się nie zna? Może chciał mnie tylko naciągnąć? Dobra, to może się uda i jeszcze do sądu mnie zawieszysz, co?

Włączyłam wsteczny bieg i koszmar wrócił. Wcisnęłam pedał sprzęgła i usłyszałam okropny huk. Pedał wpadł w podłogę, bo linka znowu się zerwała, a silnik zgasł. Dotarło do mnie, że to koniec i rozplakałam się jak dziecko:

– *Czesiu*, i co teraz? Wiesz, że cię kocham, spróbuję coś załatwić. Nie wiem skąd, ale spróbuję, kupię ci te części. Dziękuję za tę jazdę.

UTRATA KOCHANEGO SAMOCHODU

Wysiadłam z samochodu i zaczęłam się zastanawiać, od kogo mogłabym pożyczyć pieniądze. Weszłam do mieszkania i powiedziałam o wszystkim Grzegorzowi. Odparł:

– Kochanie, nie stać nas na utrzymanie *Cześka*. Nie mamy tyle pieniędzy, by płacić za ubezpieczenie. Niby opłatę rozłożyliśmy na dwie raty, ale to i tak dużo. Poza tym trzeba wlać paliwo do baku, a nie zawsze mamy kasę. Zbliża się przegląd samochodu. Drzwi są wgniecione, linka sprzęgła się zrywa, do tego zapowietrza się hamulec. To nie na nasz portfel. Musimy go oddać na złom. To stary rocznik. Jak naprawimy jedno, zaraz zepsuje się coś drugiego. Zaczniemy ładować w niego kasę, której nie mamy.

Wiedziałam, że ma rację, a ja nie miałam innego pomysłu. Ponadto zostało kilka dni do terminu płatności raty ubezpieczenia.

W trakcie naszej rozmowy odwiedził nas Hiena. On i Grzegorz zajęli się szukaniem firmy zajmującej się złomowaniem pojazdów. Aby zerwać umowę ubezpieczeniową, potrzebny był dokument potwierdzający fakt zezłomowania pojazdu, a także dokument potwierdzający wyrejestrowanie pojazdu. Chłopaki zaczęli wydzwaniać po złomowiskach, a szukali takiego, w którym można jeszcze coś dostać za samochód. Chcieliśmy też, by

przyjechali po niego lawetą, bo przecież *Czesiu* już nie ruszy. W końcu umówili się ze skupującym właścicielem i rano ktoś miał po niego przyjechać. Umówili się, że gdy pracownik będzie już pod blokiem, to zadzwoni do Grzegorza.

Następnego dnia kazałam Grzegorzowi zabrać wszystko z samochodu. Nie chciałam już do niego wsiąść ani przekręcać stacyjki. Serce mi pękało na samą myśl, że to koniec. Rano przed pracą zrobiłam *Czesiowi* ostatnie zdjęcie. Stał na parkingu wśród innych wozów, ale on był najpiękniejszy.



Poszłam do pracy, zaszłam do bufetu ze łzami w oczach i usłyszałam od pani Ali:

– Matko! Co się stało?

Gdy jej powiedziałam o samochodzie, zaczęła mnie pocieszać i tłumaczyć, że tak będzie lepiej. Po tych słowach

ulżyło mi trochę, bo potrzebowałam potwierdzenia, że dobrze zrobiłam.

Pracownik złomowiska pojawił się z lawetą w sobotę, więc miałam wolne i byłam w domu. Grzegorz poszedł na parking, a ja stwierdziłam, że nie pójdę, bo na pewno się rozkleję patrząc, jak zabierają *Czesia*. Mam jego zdjęcie i to mi wystarczy. Wspaniała maszyna.

Gdy Grzegorz wrócił, opowiedział mi, jak wciągali *Cześka* na lawetę. Samochód był tak zardzewiały, że cały spód opadł. To oznaczałoby kolejne koszty, problemy z przeglądem, pewnie jakieś dodatkowe nieprzewidziane problemy i wydatki. Chyba podjęliśmy dobrą decyzję. *Czesiu* to rocznik dziewięćdziesiąt cztery, miał prawo się sypać. Ale to był mój samochód! Miał duszę.

Trzeba było się pogodzić z tym, że go straciliśmy i iść naprzód.

DŁUG

Po miesiącu lub dwóch, gdy nadal pracowałam w sądzie, otrzymałam pocztą zawiadomienie o zaległych ratach kredytu, który zaciągnęłam dla Krystyny. Ponoć najpierw płaciła raty nieregularnie, a potem przestała spłacać, przez co bank wypowiedział mi umowę kredytową. Nie wiedziałam, co się dzieje, więc zadzwoniłam szybko do Kryśki i usłyszałam od niej:

- Ana, przecież płaciłam! Dobra, może spóźniłam się z ratą, ale wpłacałam. Na pewno zaszła jakaś pomyłka.

Czyli to jednak była prawda. Strasznie mnie to wkurzyło. Dlaczego milczała? Straciłam do niej zaufanie, ale wciąż w nią wierzyłam. Niepewna jej intencji, poszłam do banku, aby osobiście dowiedzieć się w jakiej jestem sytuacji za sprawą mojej koleżanki i dowiedziałam się tam, że zalegam z dwiema ratami. Bank dał mi trochę czasu na uregulowanie zaległości.

Pojechałam do Krystyny zdenerwowana. Chciałam się dowiedzieć, dlaczego nie płaci rat i aby oddała mi zaległe pieniądze. Gdy stanęłam w jej drzwiach, powiedziałam:

- Co ja mam teraz zrobić? Przecież wiesz, że ja nawet nie mam z czego wpłacić, Kryśka!

Zaczęła mi opowiadać, że pokłóciła się ze swoim partnerem, gdy stracił pracę. Mieli kryzys finansowy, ale teraz on znowu pracuje jako kierowca, choć nadal nie rozmawiają ze sobą. On już nie daje jej pieniędzy, chyba że na jedzenie dla ich synka. A kwaciarnia przestała przynosić zyski.

Płakała strasznie, gdy mi to opowiadała. Było mi jej żal, ale co ja miałam teraz zrobić? Bardzo mnie przepraszała, że musimy to przechodzić przez nią. Wie o tym, że nam też jest ciężko. Mówiła, że coś wymyśli i prosiła mnie, bym dała jej jeszcze kilka dni na spłatę zaległości.

Wyszłam od niej z mieszkania. Wiedziałam, że nasza przyjaźń została wystawiona na ciężką próbę i bardzo źle się z tym czułam. W życiu nie powiedziałabym o niej złego

słowa, a tu taki zawód. Najwidoczniej ona nie miała podobnego zdania o mnie, skoro mnie okłamywała.

Po kilku dniach otrzymałam pismo od komornika, że zajmuje mój rachunek bankowy. Natychmiast zadzwoniłam do Kryśki, ale nie odbierała. Potem pisałam wiadomości na portalu społecznościowym i wtedy się zaczęło. Zaczęła zrzucać winę na mnie i stwierdziła, że jestem naiwna i że nie wzięła tyle, ile ja twierdzę, że wzięła. Pisała też, że wzięłam sobie trzydzieści pięć złotych z kredytu, chociaż należało mi się trzysta pięćdziesiąt, a pisała to wszystko bardzo elokwentnie, dyplomatycznie, by pokazać, że jest lepiej wykształcona ode mnie i że po prostu nie umiem liczyć.

Napisałam jej smsa o treści *Proszę wpłać mi ratę za kredyt, bo z naszych pensji ledwo starcza nam na życie* dostałam odpowiedź od Heńka, jej faceta: *Nie będzie pieniędzy to już teraz mówię.*

Pisałam do nich kolejne wiadomości, by zrozumieli, że stawiają mnie pod murem. Napisałam w końcu, że jeżeli nie oddadzą zaległości, to Grzegorz ich wymelduje i otrzymałam odpowiedź, że jeżeli będę im grozić, to pójdą na policję i oskarżą Grzegorza o coś. *Coś się wymyśli.*

To już był szczyt bezczelności! Grzegorz stwierdził *Jak Kuba Bogu, tak Bóg Kubie* i wymeldował ich następnego dnia. Dotarło do mnie, że nie oddadzą tych pieniędzy. Było mi z tym bardzo źle, bo nie mogłam pogodzić się z faktem, że przez blisko trzy lata Krystyna mną manipulowała. Jak ja mogłam dać się tak zrobić?

Jeżeli chodzi o pomoc bliskim, to zawsze pomogę i nie

patrzę wtedy na konsekwencje, jakie mogę ponieść udzielając komuś wsparcia. Właśnie tak było w ich przypadku.

Po kilku dniach Krystyna napisała mi sms: *Przestań fisiować, spłacę Ci to. Ja dotrzymuję słowa.* Pocieszające, tylko że bez dalszego ciągu, ponieważ nie mam z nią kontaktu od trzech lat. Zapadła się pod ziemię i został mi po niej dług, który sama spłacam. Ale jestem pełna nadziei, że dotarło do niej, jaką jest fałszywą osobą i że tacy ludzie są samotni, bo szacunek wobec bliźniego jest skarbem, którego tacy ludzie nie rozumieją.

Zaczęłam myśleć nad tym, co teraz mogę zrobić, by nie ponosić wysokich kosztów, bo nawet nie mam z czego płacić. Szukałam wszelkich informacji, a nawet prosiłam o poradę panią sędzię, która rozpatrywała tego typu sprawy:

– Co ja mogę teraz zrobić? Jakie konsekwencję poniosę, jeżeli nie będę płacić?

Podpowiedziała mi tylko, że muszę dogadać się z wierzycielem, wobec tego zadzwoniłam do banku, gdzie zaciągnęłam ten kredyt i opisałam, jak do tego doszło. Wiedziałam, że Krystyna już jest im winna pieniądze, bo powiedziała mi o tym w samochodzie – wtedy, gdy nie chciała pójść ze mną do placówki banku. Oświadczyłam bankowi, że zdaję sobie sprawę, że to ja zaciągnęłam ten kredyt i ja muszę go spłacić, ale nie jestem w stanie wpłacać tak wysokich rat. Poprosiłam o zmniejszenie raty do stu dwudziestu złotych miesięcznie, bo tyle mogłam płacić. Bank się zgodził, ale oczywiście wydłużył okres spłaty.

Potem przedstawiłam komornikowi ugode między mną a bankiem. Po opłaceniu należnej mu prowizji, komornik odstąpił od dalszych czynności, a kredyt spłacam do dzisiejszego dnia. Wszyscy mówią mi, że mogę teraz założyć sprawę koleżance, by mi oddała całość długu, ale jak miałabym to zrobić, skoro nie mogę jej namierzyć. Nie wiem gdzie przebywa, więc nie wiem, dokąd miałyby iść zawiadomienia czy jakakolwiek inna korespondencja. Co ciekawe, do dziś przychodzą na mój adres przesyłki adresowane na jej nazwisko, ale nie odbieram ich. Gdy Krystyna była u mnie zameldowana, wszędzie posługiwała się moim adresem. Byłam bardzo naiwna, ale przecież uważałam ją za swoją przyjaciółkę i do głowy by mi nie przyszło, że mnie oszuka, a tu proszę... Nie wiem, czy od początku miała na celu nadużywanie mojej dobroci. Już niczego nie jestem pewna.

Jest mi jej bardzo żal. Ona jest zepsuta i samotna. Nie rozumiem tylko, dlaczego właśnie jej mamę widziałam na bramie i dlaczego to akurat ona na mnie czekała przed wejściem do Nieba. Do dzisiejszego dnia zgaduję, czy jedno ma jakiś związek z drugim, czy w niebie zaprzyjaźniłabym się z jej mamą i czy byłaby mi wdzięczna za to, że pomogłam jej córce za życia, a jej samej byłoby wstyd za to, jak postąpiła? Nie wiem, stało się, czasu nie cofnę.

Jestem osobą, która nie przeżywa długo swoich porażek. Nie wpadałam w panikę, nie chodziłam zadumana czy załamana. Po prostu dałam się oszukać i teraz ponoszę za to konsekwencje, więc po co się zadręczać?

PRZYGODA W WINDZIE

Było lato, więc na moim piętrze na poddaszu było bardzo gorąco, a na domiar złego nie działała klimatyzacja. Ja źle znoszę taką duchotę, więc ubierałam się w koszulki tylko na ramiączkach, żeby nie prowokować omdlenia, choć wiedziałam, że tak nie wypada, bo pracowałam w takim miejscu, gdzie trzeba było się godnie prezentować. Pracowałam wtedy na drugiej zmianie, więc od dwunastej zaczynałam już coś robić. Pokój ze sprzętem mieliśmy na pierwszym piętrze. Gdy już uszykowałam wszystko, ruszyłam na swój rejon. Wjechałam wózkiem do środka i wybrałam trzecie piętro. Minęłam już drugie piętro, gdy nagle winda zatrzymała się między piętrami. Nie panikowałam, tylko zaczęłam krzyczeć:

- Ej, Halo... Zacięłam się! Niech ktoś tam wezwie chłopaków z ochrony. Halo!

Nikogo akurat nie było na korytarzu, co prawie nigdy się nie zdarza. Minęło prawie dziesięć minut, ale nadal nikt nie przechodził korytarzem. Wyciągnęłam z kieszeni telefon i sprawdziłam, czy mam numer telefonu do pokoju ochroniarzy, ale nic z tego, więc czekałam dalej. Z nudów zaczęłam sobie robić zdjęcia telefonem. Zrobiłam pięć ujęć i nagle winda ruszyła. Zjechała na sam dół. Ochroniarz Marian mnie ściągnął. Wyszłam z tej windy, a on powiedział:

– Masz szczęście, że winda nie spadła.

Zrobiłam wielkie oczy:

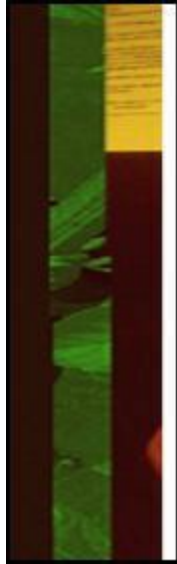
– Jak to: nie spadła?

A on dodał, że kiedyś spadła z drugiego piętra, ale na szczęście wtedy nikogo w niej nie było. Rzekomo urwała się lina trzymająca kabinę. Powiedziałam:

– Boże, dziękuję Ci, że nic takiego się nie stało.

Przecież miałam wózek z całym sprzętem! Gdybym spadła, mógłby mnie zmiażdżyć albo, co gorsza, kij od szczotki mógłby się we mnie wbić. Ciarki mnie tylko przeszły i wróciłam do pracy. Zostawiłam sprzęt na korytarzu w piwnicy i resztę musiałam obejść schodami, bo winda była już unieruchomiona. Trzeba było wezwać fachowców od wind. W budynku sądu zajmowali się tym konserwatorzy Rysiu i Zbysiu. Wspaniali panowie! Zawsze pracowici i uczynni. Oni brudzą, ja sprzątam – tak się śmiejemy z naszych ról. Gdy mam urlop i odwiedzam budynek sądu, zawsze witam się z oboma panami i rozmawiamy przez chwilę o najzabawniejszych usterkach, które usuwali w pracy.

Gdy wróciłam do domu, zrzuciłam zdjęcia z telefonu na komputer i doznałam szoku oglądając je. Nie mogłam uwierzyć w to, co widzę, gdy spojrzałam na zdjęcie, które zrobiłam w windzie. Widać na nim cienki pionowy pasek, a w nim postać trzymającą kawałek deski lub kołka. Widać też dłoń lewej ręki i jakieś liście. Ta postać jest postury mojego teścia, który był niski, ale umięśniony, i ma na sobie bluzę strażaka. Zbliżałam i przycinałam to zdjęcie



i cały czas widzę tę postać, która tak jakby podpira tym
drażniem kabinę windy, w której byłam. Może trzymał ją, bym
nie spadła i aby nie doszło do tragedii? Nie dowierzałam w to,
co widzę.

To zdjęcie mam do dzisiejszego dnia. Pokazywałam je
koleżankom i kolegom. Pytałam ich niczego nie sugerując:

– Co widzisz na tym zdjęciu? A dokładnie w tym zielonym
pasku?

Jedni odpowiadali:

– Widzę liście.

a inni:

– Widzę postać trzymającą kołek w dłoni.

Nawet pani sędzia też zobaczyła postać trzymającą kołek
w lewym ręku.

To nie mogło być zdjęcie nałożone na jakieś inne zdjęcie,
bo wtedy musiałabym mieć w pamięci telefonu zdjęcie kogoś
z kołkiem w dłoni, a nie miałam. A poza to nie jest tak, że
jedno zdjęcie nachodzi na drugie z któregoś boku. Po prostu

tam jest i nie umiem tego wyjaśnić. To nie jest fotomontaż, bo nawet nie umiałabym tego dokonać i nie mam takiego sprzętu ani oprogramowania.

Dla mnie to zdjęcie jest dowodem, że ta postać mnie ratuje i pilnuje. Wierzę, że to ręka mojego teścia. Jego ręka trzyma drąg, który podtrzymuje kabinę, w której ja się znajdowałam.

Dziękowałam teściowi za opiekę odmawiając kilka razy przed snem modlitwę za jego duszę, by za ten czyn trafił jak najbliżej Pana. Teściu odszedł do raju w styczniu, a jego dusza była jeszcze wśród nas i dokonała cudu ratując mi życie. Zdarzenie miało miejsce latem, mniej więcej w lipcu, czyli sześć miesięcy po pogrzebie. Na ceremonii pochowania ciała, żegnając się z nim po raz ostatni wypowiedziałam te słowa:

- Tato! Ty musisz zawsze być obok nas i pilnować naszą rodzinę, by nie wydarzały się jakieś nieszczęścia. Jesteś najlepszym teściem na świecie. Do zobaczenia tato.

Jestem pewna, że to jego dusza jest na tym zdjęciu. Spełnił moją prośbę, za którą będę mu dziękować po wieczność. Niech mu ziemia lekką będzie.

Potem nadal jeździłam tą windą i robiłam to, co do mnie należało. W sądzie było kilka takich zdarzeń, ale takie ważne, jak z windą, było jeszcze jedno. Byłam wtedy na przerwie śniadaniowej w bufecie u pani Ali. Wypiłam kawę i zjadłam bułeczkę, a potem musiałam pójść po coś na piętro do mojego pomieszczenia gospodarczego. Gdy szłam po schodach, mijałam się z bardzo zdenerwowanym mężczyzną. Mówił coś do siebie, a zwróciłam na niego uwagę, bo

myślałam, że mówi do mnie, ale raczej nie, bo chyba kogoś wyzywał pod nosem. Pomyślałam, że pewnie rozprawa sądowa poszła nie po jego myśli. Gdy mijałam bramkę na wejściu do budynku, nikogo tam nie było. Chyba zmieniali wartę. Poszłam na górę i przez długi czas nie schodziłam, bo coś robiłam, a gdy już zeszłam z powrotem, pani Ala była rozdrażniona i roztrzęsiona. Gdy tylko zobaczyła mnie w drzwiach, powiedziała do mnie z wyrzutem:

– Ana, musiałaś uciec akurat wtedy?

– Ale co się stało?

Pani Ala zaczęła opowiadać:

– Wleciał mi tu jakiś wariat z nożem w rękę i zaczął się drzeć, że wszystkie baby sądowe by wyrznął tym nożem. Jak można rodzinę rozdzielać? Przecież to chore jest. Coś tam krzyczał jeszcze, ale dzięki Bogu żadna kobieta nie naszła wtedy, bo nie wiem, co by zrobił.

– Pani Alu, to może dobrze, że mnie tu nie było, bo bym od razu zareagowała i pewnie skończyło by się to tragicznie, gdybym się z nim zaczęła szarpać. Jak się to skończyło?

Powiedziała, że zaraz potem wbiegli policjanci i zatrzymali agresora.

Gdy to powiedziała, pani mecenas przyszła po wodę. Usłyszała, co się stało i powiedziała nam po cichu, że to ojciec dzieci, których sprawę rodzinną ona prowadzi. Podczas przesłuchania jego dwunastoletniej córki okazało się, że jej ojciec dopuszcza się wobec niej czynów zakazanych. Nic więcej nie musiała mówić, domyśliłyśmy się.

PRZEMĘCZENIE

Pamiętam, że to był okropny okres w moim życiu. Dopiero co straciłam dwóch Czesiów: teścia, który miał tak na imię, i samochód, który sama tak ochrzciłam na cześć jeszcze wtedy żyjącego teścia. Do tego sprzątając w sądzie zostałam poproszona o sprzątanie również Sądu Ksiąg Wieczystych. Nie było tam kobiety do sprzątania, więc nasz kierownik poprosił nas – kobiety z naszej firmy pracujące na terenie sądu – o wspólne zadbanie o ten obiekt do czasu zatrudnienia dodatkowej osoby. Było lato, więc było gorąco, a powietrze było suche. Na domiar złego na poddaszu, gdzie sprzątałam, wciąż była zepsuta klimatyzacja, a otwieranie wszystkich drzwi i okien nie dawało żadnej ulgi. Nadal było duszno. Któregoś dnia, gdy szłam do pracy, już czułam się źle. Było mi ciężko i czułam się osłabiona. Bolała mnie głowa, a tabletki przeciwbólowe uśmierzały ból tylko na chwilę. Mówiłam do siebie w myślach pełna obaw:

– Obym nie dostała ataku.

W trakcie pracy, gdy posprzątałam kilka gabinetów, nagle zaczęły mi się nogi trząść. Trudno było mi oddychać, czułam suchość w gardle, ale jak zawsze miałam przy sobie coś do picia. W pewnym momencie zrobiło mi się słabo i straciłam czucie w nogach. Nie wiedziałam, co się ze mną dzieje. Oparłam się o ścianę, po czym zjechałam po niej i usiadłam

na podłodze. Miałam spowolnione ruchy. Siedziałam tam i popijałam wodę, by zmniejszyć suchość w gardle. Po chwili pani sędzia zauważyła mnie i szybko podbiegła do mnie:

– Co się stało, pani Ano? Wszystko dobrze?

Nie mogłam wymówić ani słowa, a broda zaczęła mi drżeć i łzy napłynęły mi do oczu. Patrzyłam na sędzię i widziałam przerażenie w jej oczach, więc podniosłam rękę i wyszeptałam:

– Zaraz mi przejdzie...spokojnie...

Zapytała mnie, czy ma wezwać ochronę, ale zaprzeczyłam ruchem głowy i powtórzyłam:

– Zaraz mi przejdzie...

Po kilkunastu minutach mogłam już normalnie rozmawiać i nabrałam sił. Czułam się dobrze, więc wróciłam do pracy – początkowo ostrożnie, a potem już w zwykłym tempie.

Niektórzy mówią, że czasem jestem nadpobudliwa. Wtedy zasłabłam z przemęczenia, stresu i nerwów. Najwidoczniej w moim organizmie skumulowały się negatywne emocje, bo przecież biorę tabletki na epilepsję, żeby nie mieć ataków.

PAN ZERO

Któregoś dnia wstałam rano, ale Grzegorz jeszcze nie wrócił z pracy. Zaprowadziłam Zuzię do przedszkola, a gdy wróciłam do domu, to Grzegorz już był, ale zaczął ubierać się

do wyjścia, więc zapytałam:

– Dokąd idziesz? Co się stało?

– Na policję.

– A po co?

– Słuchaj, jestem na nocnej zmianie, a na sklep wpada pijany albo naćpany znany mi gach. Nazwaliśmy go Pan Zero z kolegami, bo on do niczego się nie nadaje.

– Kto? Jaki Pan Zero?

– Ten facet to chłopak czy nawet alfons Roksany. Ten, co tyle dzieci narobił i nie płaci alimentów.

– No i co z nim?

– Darł gębę na cały sklep wiedząc, że ludzi w nim nie ma. Wyzywał mnie od pedofili. Groził mi, że jak wyjdę z pracy to, żebym się rozglądał, bo nawet nie będę wiedział, z której strony mnie zaatakuje. Połamie mi kości, a to wszystko za to, co zrobiłem jego dziewczynce.

– Idź z tym na policję. Nawet się nie zastanawiaj!

– Właśnie tam idę, przecież ci mówię.

Ubrał się i wyszedł, a ja już wiedziałam, że mam popsuty dzień. Znowu ta gówniara?

Gdy byłam w pracy, nie mogłam się skupić, więc zadzwoniłam do Grzegorza:

– I co? Złapią go?

– Już go mają, bo był naćpany i jeszcze zaczął skakać do ochroniarza, więc ten wezwał policję. Wrócisz do domu to pogadamy.

Gdy usłyszałam, że go mają na komisariacie, byłam spokojniejsza. Gdy wróciłam do domu, poprosiłam Grzegorza, by opowiedział mi całą sytuację. Zaczął:

– Komisariat znajdował się sto metrów od marketu, więc dwie minuty po zgłoszeniu oni już byli na miejscu.

Gdy Grzegorz wszedł na komisariat, by złożyć doniesienie przeciwko temu człowiekowi, podał tylko jego dane, a dyżurny kazał mu czekać, po czym wykonał telefon. Po chwili przyszedł funkcjonariusz zajmujący się sprawą Pana Zero i zapytał Grzegorza:

– Pan ma coś jeszcze na Pana Zero?

– Tak.

Opisał w skrócie, z czym przyszedł, a policjant odparł:

– Dorzucimy mu kolejne zarzuty, a potem odbędzie się sprawa i pójdzie siedzieć.

Tak też się stało. Postawili mu zarzuty, ale co z tego, skoro i tak go wypuścili, gdy tylko środki odurzające przestały działać, bo w tej sytuacji człowiek nie stanowi zagrożenia dla społeczeństwa. Ale sprawa i tak została przekazana do prokuratury.

Po kilku dniach Grzegorz zagał do mnie wieczorem:

– Zgadnij, kto nas dzisiaj odwiedził na sklepie?

Zaczęłam wymieniać naszych najbliższych znajomych, aż w końcu mi przerwał i skwitował:

– Pan Zero!

– Co? Jak to?

– No tak. Był trzeźwy i grzeczny. Nawet na mnie nie

patrzył.

Grzegorz nie wiedział, czy on mu przyszedł się pokazać, że jednak jest na wolności i tym samym ostrzec go, że ma uważać? Czy po prostu robi zakupy, bo mieszka niedaleko? Nie umieliśmy go rozgryźć. Tak czy inaczej Grzegorz chodził do pracy oglądając się za siebie, czy z ciemnego zaułka nie wyskoczy zaraz Pan Zero i nie wbije mu noża w plecy. A ja czekałam, aż przyjdzie wezwanie na rozprawę i czułam, że proces będzie się odbywać właśnie w moim sądzie.

Miałam rację, ponieważ po kilku tygodniach przyszło do Grzegorza wezwanie do sądu w charakterze pokrzywdzonego.

W dniu rozprawy Grzegorz wziął sobie wolne, więc nie musiałam prowadzić Zuzi do przedszkola. Miał dotrzeć z Zuzią do mnie do pracy, czyli do sądu. Wiedziałam, o której godzinie będzie rozprawa, więc czekałam pod telefonem, aż Grzegorz się odezwie. Zeszłam już sobie na bramkę przed wejściem i rozmawiałam ze znajomymi policjantami. Nie pamiętam, kto miał wtedy służbę, ale jak zwykle żartowaliśmy sobie trochę, gdy nagle zauważyłam z daleka Roksanę z około półtoraroczną dziewczynką z jednej strony i z Panem Zero idącym o kulach z drugiej. Wiedziałam już wcześniej, że była w ciąży. A Pan Zero udawał chorego, bo pewnie myślał, że mu to pomoże. Żałosne...

- Nieźle się dobrali - pomyślałam - szkoda tylko tego dziecka, bo niczemu winne. Matka prostytutka, a ojciec alfons.

Ale i tak mną trzęsło, gdy ją zobaczyłam. Patrzyłam się na

nią tak długo, aż mnie minęła. Czuła na sobie mój wzrok i nie wiedziała, jak ma się zachować. Była w szoku, że rozmawiam na luzie z policjantami.

Zuzia i Grzegorz dotarli w końcu do sądu. Wzięłam mojego szkraba i pojechałam do bufetu na trzecie piętro, aby pochwalić się córeczką przez znajomymi. Zuzia dostała tyle komplementów, że ho ho! Potem wróciłyśmy na parter przed salę rozpraw. Roksana stała na samym końcu korytarza. Po chwili wyszła kobieta z sali rozpraw i wezwała na salę. Spojrzałam na nią i powiedziałam tylko Cześć, bo przecież znałam się z dziewczyną. Grzegorz i Pan Zero weszli na salę, a ja zostałam na korytarzu z Zuzią, Roksana i jej dzieckiem. Usiadłam na krześle stojącym z boku, a moja Zuzia zaczęła biegać po korytarzu. Roksana usiadła na krześle w tym samym rzędzie, ale na samym końcu. Gotowałam się w środku i już chciałam wstać, ale Zuzia podbiegła, więc siedziałam dalej. Po chwili usłyszałam, jak Roksana mówi do swojej córeczki *Zuzia*. Gdy to usłyszałam, spojrzałam na Roksana i powiedziałam:

– Jeszcze to potrafiłaś mi ukraść, gówniaro?!

Myślałam, że z nerwów się poryczę. Musiałam wstać i pochodzić, aby się uspokoić, bo jeszcze chwila i stałoby się coś złego. Chodziłam po korytarzu i mówiłam do siebie:

– Ana! Uspokój się, tu są dzieci. Uspokój się.

Ale czułam się, jakbym miała za chwilę eksplodować. Mówiłam szeptem:

– Ty szmato! Jeszcze to? Dałaś na imię swojemu dziecku, tak samo, jak ma na imię moja córka???

Nie wiem, czy to słyszała, ale miałam to gdzieś. Po chwili usiadłam. Moja Zuzia zaczęła się bawić jakąś swoją zabawką na krześle obok mnie i nagle podeszła do niej mniejsza Zuzia. Co miałam zrobić? Dziecko przecież niewinne, nieświadome.

Dobrze, że rozprawa nie trwała długo. Grzegorz wyszedł z sali, wzięłam za rękę Zuzię i odeszliśmy od nich. Pan Zero dostał skazany na sześć miesięcy bezwzględnego pozbawienia wolności. Kara miała być wykonana po dwóch miesiącach. Zapytałam Grzegorza:

– Jak to? Nie od razu?

– Dobrze, poczeka, jeszcze bardziej to go zdołuje. A pójdzie dopiero wtedy, gdy miejsce się zwolni w zakładzie karnym, bo przepełniony jest takimi, jak on.

– Ale do tego czasu to ci nóż w plecy wbije?

– Nie, teraz to on do mnie nie podejdzie, bo już na samą myśl, że tam pójdzie, przepraszał. Sąd nie miał skrupułów. Pan Zero miał już wyroki, lecz dostawał je zawsze w zawieszeniu. Jest ojcem dziewięciorga dzieci, każde z inną. Więc musiał pracować, by alimenty im płacić. Choć z tego, co wiem, nie płacił w ogóle. Ale teraz był w wielkim szoku, jak usłyszał wyrok skazujący.

Przyznaję, że nawet to nas ucieszyło.

Wyszłam na chwilę na zewnątrz z Zuzią i Grzegorzem. Żegnając moją księżniczkę widziałam, jak wychodzą z sądu Pan Zero i Roksana z córeczką. Czy czułam satysfakcję? Nie, bo to nie ona została skazana. Mój i Grzegorza kolega

powiedział nam, że zna tego osobnika i wie, że to jest damski bokser, ale nie wiem, czy krzywdził Roksanę. Los jej sprzyjał i znów jej się udało, bo jej partner – i prawdopodobnie jej kat – zostanie osadzony w więzieniu. Nie czuję się z tym dobrze, nie chcę, by ta chora psychicznie manipulantka zbliżała się do mojej rodziny.

Zapomnieliśmy już o tym, ale po pewnym czasie kolega, który znał dobrze Pana Zero, powiedział Grzegorzowi, że Pan Zero nie żyje – ponoć zmarł w celi, ale nie wiadomo, z jakich przyczyn. Wiem to od osób trzecich, ale potwierdzenia nie mamy. Słyszeliśmy, że miał dużo wrogów. Nie wiem, co mogło się stać. Były plotki, że to zawał.

Do dzisiaj widuję na ulicy Roksanę z małą Zuzią, ale udaję, że jej nie widzę. Sama doprowadziła do tego, że ma takie życie, a nie inne. Sama odpowiada za swoje czyny. Dla mnie ona nie istnieje.

WYDZIAŁ KSIĄG WIECZYSTYCH

Pracowałam nadal na trzecim piętrze, gdzie było strasznie gorąco i miałam dużo pokoi do sprzątania. Byłam osłabiona i miałam ataki. Powiedziałam o tym mojemu przełożonemu. Prosiliśmy go o dodatkową osobę, byśmy nie musiały biegać pomiędzy dwoma budynkami. Nie widziałyśmy końca, ale powtarzano nam tylko, że to już niedługo i że damy radę, *bo to tylko kilka pokoi razem wszystkie szybko oblecimy*. Ja, nie

czekając już dłużej, poszłam do pani kierownik i poprosiłam, by mi pomogła. W mojej obecności zadzwoniła do pani koordynator i powiedziała:

– Ja nie dzwonię ze skargą. Ale proszę zatrudnić jeszcze jedną osobę do pracy, by nie przeciążać naszych pań, które mają swoje piętra.

Gdy wyszłam z jej gabinetu, nie zdążyłam jeszcze dojść do naszego pomieszczenia gospodarczego, gdy dostałam wiadomość od pani dyrektor firmy, w której byłam zatrudniona:

Godziny drugiej zmiany wynoszą od czternastej do dwudziestej drugiej.

Pomyślałam, że teraz mi się dostanie, ale zadzwoniłam do pani dyrektor i powiedziałam:

– Pani dyrektor, czy ja mam już sobie szukać innej pracy? Ja z panią mam umowę, że pracuję od godziny dwunastej do dziewiętnastej, bo wymieniam się z mężem, który pracuje na nocne zmiany.

– Pani Ano, nie donosi się na własną firmę – odparła zawiedzionym tonem pani dyrektor.

– Było inaczej, ja wcale nie doniosłam. Nigdy bym tak nie zrobiła – broniłam się.

Pani dyrektor powiedziała, że dowie się, jak to było i na drugi dzień da mi odpowiedź, co ze mną będzie. Pomyślałam sobie:

– No pięknie, po co ja się odzywałam w ogóle? Mogłaby przyjechać karetka pogotowia, zabraliby mnie do szpitala.

Tylko żeby mnie wtedy na obserwacji nie zatrzymali, bo co ja wtedy z Zuzią zrobię, jak Grzegorz musi iść do pracy?

No i znowu zacznie się szukanie pracy, brak ciągłości w dochodach. I na co mi to było? Zamartwiałam się trochę tą sytuacją, ale mówiłam głośno sama do siebie:

– Boże, jeżeli mam znowu pójść na inny obiekt, to niech tylko będzie blisko i w porządnej firmie.

Nazajutrz przyszła do mnie pani koordynator i oznajmiła:

– Pani dyrektor przenosi panią na inny obiekt.

Ręce mi odpadły. Kobieta dokończyła:

– Przenosi panią na Wydział Ksiąg Wieczystych.

Odetchnęłam z ulgą, bo to tylko budynek obok – właśnie tam, gdzie brakowało osoby do pracy.

Skorzystałam z okazji i wyjaśniłam zaistniałą sytuację, żeby oczyścić siebie z zarzutu sabotowania własnej firmy:

– Wie pani co? Następnym razem niech pani uważniej słucha i przekazuje to, co pani się mówi. Byłam przy tym, jak pani kierownik dzwoniła do pani i prosiła o dodatkową osobę, by nas nie przeciążyć i mówiła na wstępie, że nie dzwoni ze skargą, ale pewnie pani przekazała, że to była skarga?

– Ja z panią nie będę rozmawiać na ten temat. Koniec, przekazałam pani, co zarządziła pani dyrektor i tyle. Do widzenia.

W kolejnym tygodniu zaczęłam pracę na nowym obiekcie. To nieco mniejszy budynek od mojego poprzedniego miejsca pracy. W budynku były dwie sale rozpraw. Nie męczyłam się tam tak bardzo, jak wcześniej. Tam też pracowali

sympatyczni ludzie i panowała miła atmosfera.

Na początku odwiedzałam panią Alę i spotykałam znajomych sędziów, którzy mnie pytali:

– Gdzie pani jest? Dlaczego pani nas zostawiła?

Pani sędzia Kasia nawet powiedziała do mnie:

– Widać, że to nie pani sprzęta, nie jest już tak samo.

Ale zgodnie życzyli mi powodzenia, co było bardzo miłe. Do dziś, gdy tam pójdę, pozdrawiamy się wzajemnie.

Pamiętam, jak Złoty i Mały pytali mnie:

– Co ty zrobiłaś? Czemu cię zabrali stąd?

Żartowali nawet, że zadzwonią do mojej firmy i zażądadzą mojego powrotu, że beze mnie nie jest już tak fajnie. Było mi trochę żal, że tak to się potoczyło.

W Wydziale Ksiąg Wieczystych pracowałam przez cztery miesiące. Początkowo musiałam się wprawić i ustalić swój tryb pracy. Najpierw sprzątałam pokoje na górze, potem na dole, a na końcu sale rozpraw. W tym budynku pracowała Natalia, którą poznałam już wcześniej w poprzednim budynku, ale w międzyczasie została tu przeniesiona. Dzięki niej było mi tu różnie. Z Natalią pracowała Gosia, której wcześniej nie znałam, a także pani Ewa. Na przerwie chodziłam do ich pokoju. Przez jakiś czas dokarmiałyśmy pająka, który na parapecie upłócił pajęczynę, a Natalia opowiadała mi, ile muszek sobie upolował. To był rodzaj ich odskoczni od pracy. Chwilami bywało naprawdę zabawnie.

Poznałam tam piękną panią sędzię, która opowiadała mi, że ma podobne ataki do moich. Opowiadałyśmy sobie

wzajemnie o przebytych atakach i o tym, jak rozpoznać nadchodzący atak, jak sobie z tym radzić, a najlepiej zapobiegać. Kiedy indziej opowiadałam o mojej córeczce, a wtedy w przedszkolu akurat był organizowany bal przebierańców i pani sędzia zaproponowała, że przyniesie mi strój aniołka po swojej najmłodszej córeczce, bo jej już nie jest potrzebny. I kilka dni później faktycznie przywiozła strój, ale nie chciała nic w zamian. Ja nie umiem nie odwdzińczyć się za przysługę, dlatego podarowałam jej pyszną czekoladę.

Był też Tomasz – informatyk – oraz Jakub, który pracował w obsłudze klienta, i oczywiście Lucjan, który najwięcej mi pomagał. Gdy czegoś nie wiedziałam, szłam po informacje właśnie do niego. Był zawsze opanowany i cierpliwy. Zarzucałam go pytaniami tak długo, aż zrozumiałam.

Był tam też przystojny i zawsze elegancko ubrany mężczyzna, niewiele starszy ode mnie. Zaraz po przejściu na ten budynek zaczęłam stawiać wózek ze sprzętem do sprzątnięcia w toalecie męskiej, żeby nie dźwigać go po schodach, więc przebrałam się do pracy i poszłam w kierunku tej toalety, nacisnęłam klamkę, ale nie mogłam otworzyć drzwi. Użyłam klucza – działał bez zarzutu – więc ponownie spróbowałam otworzyć drzwi, ale i tym razem bezskutecznie, zatem zaczęłam siłować się z drzwiami, gdy nagle po chwili otworzyły się same i stanął w nich ów elegancki mężczyzna i krzyknął:

– Spokojnie!

Po czym uśmiechnął się i powiedział:

– Dzień dobry.

Jaki wstyd! Nie pomyślałam w tamtej chwili, że tam ktoś może być. Przeszło mi przez myśl, że to on trzymał drzwi, bym nie weszła, a ja bezmyślnie szarpałam. Ale było mi głupio! Spojrzałam na niego z uśmiechem i odpowiedziałam:

– Przepraszam. Myślałam, że się drzwi zacięły. Dzień dobry.

I wzięłam się do pracy.

Na koniec dnia zamiatałam schody, gdy ten sam mężczyzna zbiegał po schodach z wielką torbą wypchaną dokumentami. Domyśliłam się, że to sędzia. Spojrzałam na niego i uśmiechnęłam się, bo przypomniałam sobie poranną niezręczną sytuację. Odezwałam się:

– Do widzenia.

On spojrzał na mnie z uśmiechem i odpowiedział:

– Pa.

– Do zobaczenia – odpowiedziałam.

A on znowu:

– Pa.

I tak stał patrząc na mnie z uśmiechem i czekając, aż odpowiem tak samo, więc nie zwlekałam dłużej:

– Pa.

I dopiero wtedy ruszył do wyjścia. To było całkiem zabawne i miłe. No i już tak zostało. Gdy tylko widziałam pana Kacpra wychodzącego z pracy, zawsze w biegu krzyczał mi *Pa*, a ja też mówiłam mu *Pa* i zwykle nikogo wtedy nie było obok, zupełnie tak samo, jak w poprzednim budynku, gdzie sprzątałam pokoje sędziowskie. Tam zwracałam się do

sędziów per Pan/Pani, gdy nie mieli na sobie togi, lub panie/pani sędzio, ale z nikim się nie spoufalałam.

Szybko się przyzwyczaiłam do nowego miejsca. Rozłożyłam sobie zadania i szło mi nawet szybko. Sprzątałam najpierw pokoje na górze, potem schody, biura i sale rozpraw na dole. Zawsze miałam przy sobie telefon z radiem i słuchałam muzyki, bo przecież bałam się ciszy. Około godziny siedemnastej robiłam sobie przerwę, wychodziłam na zewnątrz i paliłam papierosa.

Pewnego dnia w trakcie pracy zaczepiła mnie starsza pracownica. Zaczęłyśmy o czymś rozmawiać. Stałam przodem do niej, ona coś zaczęła do mnie mówić i wtedy zobaczyłam za jej plecami pana Kacpra kierującego się do wyjścia. Wbiegł na schody, zobaczył mnie i krzyknął do mnie głośno słowo *Pa!*, a ja odpowiedziałam *Pa!* bez wielkiego namysłu, bo słuchałam tego, co mówiła ta kobieta. Wtedy nagle przerwała, spojrzała na mnie, a potem na sędziego, a wreszcie ucięła rozmowę i odeszła. Nie przejęłam się tym i kontynuowałam pracę.

BOHUN

Wieczorem po pracy lubię zrelaksować się przed komputerem. Gdy już położę Zuzię spać, włączam komputer i odwiedzam portale społecznościowe, zaglądam na profile członków rodziny i znajomych, a poza tym surfuję po

różnych stronach internetowych.

Weszłam kiedyś na międzynarodową stronę internetową z grami, na której można spotkać osoby wielu narodowości, a rozmawia się głównie po angielsku. Wybrałam bilard i dostałam losowo wybranego gracza, który okazał się Polakiem, co jest rzadkością w tym serwisie. Pochodzi z Rzeszowa, jest w moim wieku i ma na imię Romek oraz ma ksywę Bohun. Bardzo ucieszyłam się, że będę mogła zagrać i porozmawiać w moim języku ojczystym. Zagraliśmy kilka razy w bilard, a potem odszukaliśmy się w portalu społecznościowym i zaczęliśmy opowiadać o sobie wzajemnie. Wiedział, że mam rodzinę i nie przeszkadzało mu to. Mówił, że zależy mu na pewnej dziewczynie, a ja rewanżowałam się poradami, jak mógłby jej zaimponować. Bohun jest kucharzem wojskowym, był kilkakrotnie w Afganistanie i opisał mi wiele swoich przeżyć; niektóre były zabawne, ale były i poważniejsze, jak wtedy, gdy pocisk świsnął tuż nad jego głową. Poza tym rozmawialiśmy o wielu różnych sprawach, czasem pocieszał mnie, gdy miałam gorszy dzień. Nigdy nie spotkaliśmy się fizycznie.

Po jakimś czasie Bohun zniknął na półtora roku i kontakt z nim był bardzo sporadyczny. Po tym okresie ponownie spotkałam go na portalu z grami: znowu bilard losowo wybrał dla mnie gracza i znowu on! Nasza rozmowa wyglądała tak:

Ja: O proszę, kogo moje oczy widzą?

On: Graj!

Ja: No powiedz mi, czemu zniknąłeś tak nagle, nawet się nie pożegnałeś, nieładnie.

On: To skomplikowane.

Ja: No to słucham.

On: Mam dziewczynę i synka Dawidka.

Ja: To gratulacje, ja też mam córeczkę Zuzię i Grzegorza.

Od tamtego momentu na nowo codziennie rozmawialiśmy. On ponownie pytał mnie o zdanie w sprawach damsko-męskich, a ja udzielałam mu rad z perspektywy kobiety. Rozmawialiśmy także o naszych dzieciach, np. ja mu mówiłam o problemach zdrowotnych Zuzi, a on zalecał, bym żywiła ją rybami, ponieważ są zdrowe. Wysyłał mi zdjęcia poszczególnych produktów spożywczych z komentarzami, gdzie można je kupić. Podawał też ciekawe przepisy kuchenne.

Ja z kolei wysyłałam jemu i jego synkowi kartki okolicznościowe, np. zabawną kartkę ze świecącą żyrafą, która sprawiła Dawidkowi dużo radości.

Bohun powiedział mi pewnego dnia, że jego dziewczyna chce wyjechać na trzy miesiące do Holandii w celach zarobkowych. Ostrzegałam go, aby jej nie puszczał, ale – jak stwierdził – ona już podjęła decyzję i nie mógł nic z tym zrobić. Wyraziłam obawę, że rozłąka źle wpłynie na ich związek, poza tym nie mieściło mi się w głowie, że ona zostawi swoje dziecko. Dostałam odpowiedź od Bohuna:

– Ty jesteś inna, jesteś prawdziwą matką, ale ona tego nie rozumie. Z drugiej strony, jeżeli pojedzie, może będzie tęsknić? Może wtedy zrozumie, że naprawdę nas kocha?

Pojechała i przez pierwsze tygodnie dzwoniła i pisała smsy,

w których zapewniała o tęsknocie. Potem dzwoniła coraz rzadziej, ale nadal pisała. W końcu Bohun podjął decyzję, że nie będzie jej dawał syna do słuchawki, gdyż nie chciał, aby dziecko cierpiało. Zgodnie z umową dziewczyna miała wrócić po trzech miesiącach, ale stwierdziła, że nie opłaca się jej przyjeżdżać, bo – jak twierdziła – nie będzie miała potem do czego wracać. Bohun uwierzył w jej słowa, ale ja byłem sceptyczna w tej kwestii. Mówiłam mu, że coś jest nie tak, a on przesyłał mi wiadomości od niej, bo nie był pewien, co ona chce mu przekazać. Wywnioskowałam od razu, że dziewczyna chce go zostawić, że jeszcze się nie wyszalała, że na zakładanie rodziny jest dla niej za wcześnie, a urodziła Dawida w wieku dwudziestu trzech lat. Twierdziła, że lepiej będzie, jeżeli się rozstaną. Planowała, że będąc co jakiś czas w Polsce chciałaby choć na godzinkę zobaczyć małego. Byłam wściekła na nią za tak niedojrzałe postępowanie. Co za nieodpowiedzialna gówniara! Jak można traktować własne dziecko jak zabawkę?! Przecież dziecko ma uczucia, a wielu spraw jeszcze nie rozumie. Ona nie może ot tak sobie zniknąć z życia dziecka, a potem przyjechać na godzinę, przytulić je, po czym ponownie zniknąć. Nie znałam jej osobiście, ale nienawidziłam jej.

Bohun dowiedział się od siostry dziewczyny, że przyjechała do Polski, ale nie skontaktowała się z nim. Potem próbowała zobaczyć się z dzieckiem i ostrzegła go, że jeżeli będzie jej utrudniał, to przyjdzie do niego z policją. Oboje szukaliśmy sposobu, by nie doszło do tego spotkania. Zaangażowałam się w jego sytuację i przeżywałam wszystko razem z nim.

Czasem wspólnie płakaliśmy podczas rozmowy telefonicznej, a potem pocieszaliśmy się i szukaliśmy rozwiązania problemu. Bohun znał dokładny termin przyjazdu dziewczyny do miasta, więc staraliśmy się wspólnie przewidzieć jej kroki.

W dniu przyjazdu Bohun zaczął się w pobliżu dworca. Na bieżąco wymienialiśmy się smsami. Prosiłam, aby był rozsądny i nie ulegał emocjom, bo wtedy mógłby zrobić coś bardzo głupiego. Za każdym razem, gdy przez dłuższą chwilę nie odpowiadał na moją wiadomość, bałam się, że właśnie popełnił jakiś błąd. W pewnej chwili napisałam kilka wiadomości z rzędu i dopiero po chwili dostałam tyle samo odpowiedzi:

– Czekam na nią przed dworcem.

– Tak, ukryłem się.

– Tak, będę uważał.

– Nic nie zrobię, uspokój się.

– Tak, wiem, że mogą wydalić mnie z wojska. Ana, rozumiem to, spokojnie.

– Ana odezwę się wieczorem, bo nie mogę się skupić patrząc na telefon i na wejście, ok? Nie martw się, będzie dobrze! Do później, pa.

I już nie odezwał się do końca dnia. Pomyślałam, że dam mu na chwilę spokój, bo może rozmawia z nią i ustalają coś odnośnie dziecka. Nie zadzwonił do mnie przez dwanaście godzin ani nie odpisał na smsy. Miał wyłączony telefon. Naprawdę zaczęłam się martwić, że zaczął ją śledzić albo zrobił coś gorszego, np. awanturę. Podejrzywałam, że on

nadal coś do niej czuje i gdy ją zobaczy, na nowo zapragnie z nią być. Tak się denerwowałam, że nie mogłam się skupić na pracy.

Odezwał się chyba na drugi dzień. Opowiadał mi całe zajście, ale czułam w jego głosie, że nie mówi mi wszystkiego. Zaczął się gubić w tym, co mówił, aż w końcu mu przerwałam:

– Bohun, przestań ściemniać! Czuję, że kręcisz. Mów prawdę albo rozłącz się, bo kłamstwa nie zniosę.

W słuchawce zapanowała cisza. Po dłuższej chwili odezwał się:

– Dobra, jak chcesz prawdę, to słuchaj...

Zaczął od tego, że ma wyrok w zawieszeniu za jazdę pod wpływem alkoholu i za to, że wdał się w bójkę z kierowcą innego pojazdu. Zabrali mu za to prawo jazdy na rok. Miał samochód, ale musiał kupić jakieś części zamienne, bo pojazd nie był całkiem sprawny, dlatego prosił znajomych, żeby podwieźli go na dworzec, gdzie miała przyjechać matka jego dziecka. Niestety nikt nie miał wtedy czasu, dlatego pojechał własnym samochodem, co oczywiście było błędem, ale potem już było coraz gorzej, bo okazało się, że dziewczyna przyjechała do kogoś innego. Gdy Bohun zobaczył ich razem, coś w niego wstąpiło. Jakby tego było mało, miał w samochodzie kilka puszek piwa, które sączył w trakcie jazdy rzekomo dla rozluźnienia. Gdy nieznajomy mężczyzna i dziewczyna ruszyli z dworca, Bohun zaczął ich śledzić. Początkowo trzymał się kilka pojazdów dalej, ale w pewnym momencie samochody rozjechały się na boki

i Bohun był teraz bezpośrednio za nimi. Zauważył, że dziewczyna zaczęła panikować, i podjechał bliżej, aż zaczął ich popychać, a potem uderzać w bagażnik ich samochodu.

Wpadłam w popłoch i zaczęłam go wypytywać gorączkowo:

– Co zrobiłeś? Na pewno było coś dalej! Co zrobiłeś, Bohun?

Odparł, że kierowca wysiadł z samochodu, więc i on wysiadł i zaczęli się bić na ulicy. Dziewczyna nie wiedziała, co ma robić, bo знаła Bohuna i wiedziała, że on nie da za wygraną. Podejrzewała też, że jej nowy partner nie ma większych szans z żołnierzem, dlatego zadzwoniła na policję. Policja zabrała go do aresztu. Wyrzucałam mu:

– Na bank się wykłócałeś jeszcze z policją, no bo ty przecież nie popuścisz!

Wiedziałam, że Bohun nie lubi policji, bo *oni nie znają się na prawie*, jak stale podkreślał podczas naszych rozmów. Jeżeli do tego kłócił się z funkcjonariuszami policji, to to nic dobrego nie wróżyło. Nie wiem, czy nie obrażał ich, ale dzięki Bogu nadal myślał logicznie i był świadomy faktu, że nie może pozwolić sobie na kolejny wyrok, bo to ukróci jego karierę w wojsku. Podczas przesłuchania zeznał, że kolega przywiózł go jego autem i zostawił Bohuna, żeby ten mógł spokojnie załatwić swoje sprawy rodzinne. Kolega miał czekać na telefon od niego, żeby wrócić i odwieźć go do domu.

Po całej akcji jego dziewczyna, teraz już była dziewczyna, nie chciała nawet się spotkać z synem, nie pytała o niego, a matka przecież tak się nie zachowuje. Dopiero dwa dni

przed powrotem do Holandii obudził się w niej instynkt macierzyński i wysłała mu wiadomość, że chce zobaczyć syna choć na chwilę, żeby go przytulić. Zaproponowałam mu, aby wyjechał gdzieś do czasu, aż ona wyjedzie z powrotem do Holandii, żeby uniknąć konfrontacji z policją, gdyby jednak ją wezwała. Bohun wiedział, na co może sobie pozwolić. Jako żołnierz, również służy Polsce, co stawia go na równi z policjantem. Ale, przykro to mówić, stawiałby się, a nie wiadomo na jakiego policjanta by trafił. To mógłby być funkcjonariusz, który trzyma się litery prawa, ale też mógłby trafić na takiego, który za wszelką cenę chciałby pokazać, *kto tu rządzi*. Tak czy inaczej, Bohun postanowił, że nie wpuści nikogo bez nakazu. Ja i tak twierdziłam, że policja nie przyjmie zgłoszenia od jego byłej dziewczyny, bo co ona powie? Że ojciec nie pozwala matce spotkać się z synem? Wyśmialiby ją. No chyba, że małemu dziecku działałaby się krzywda, wtedy muszą przyjąć takie zgłoszenie. Muszą zareagować. Powtarzałam mu, że w takiej sytuacji powinien wpuścić tylko policjanta, żeby ten mógł sprawdzić, czy dziecko jest całe i zdrowe, i czy normalnie się zachowuje, a matka dziecka powinna poczekać przed domem. Serce mi pękało na myśl o tym, co to dziecko mogłoby przeżywać. Nie wiedzieliśmy, co ta dziewczyna wykombinuje, więc chcieliśmy być o krok przed nią. Wykorzystałam fakt, że pracuję w Sądzie Rejonowym, gdzie jest Wydział Rodzinny i Cywilno-Karny. Znałam tam kilka osób, które potrafiły mi wytłumaczyć pewne sprawy lub podpowiedzieć, jak załatwić to i owo szybciej, dlatego postanowiłam zasięgnąć informacji,

jakie dokumenty trzeba złożyć i gdzie, aby zawnioskować o ograniczenie praw rodzicielskich dla tej kobiety. Co prawda Bohun chciał całkowicie pozbawić ją praw, ale to byłoby bardziej skomplikowane, bo byłiby wymagani świadkowie, wydłużyłby się czas rozpatrzenia sprawy, a przede wszystkim musiałyby być niepodważalne dowody na to, że ona jest złą matką. Zatem poszłam do osób zajmujących się tego typu sprawami, a nawet poszłam do sędziego, by mi powiedział, jakie Bohun ma prawa jako żołnierz. Zapukałam do drzwi (sędzia był akurat w wydziale cywilnym). Spytałam go:

– Panie sędzio, czy znalazłby pan dla mnie chwilkę? Chciałabym się czegoś od pana dowiedzieć.

Sędzia spojrzął na zegarek, potem na kobiety siedzące za biurkami, i odpowiedział mi:

– Pani Ano, przykro mi, ale naprawdę nie mam czasu. Zaraz wokandę mam, przykro mi. Potem to nawet pół dnia będę miał tylko dla pani.

Ja wiedziałam, że to żart, ale nie jestem pewna, czy panie obecne w biurze wiedziały o tym. Tak naprawdę chodziło o to, że ja po południu sprzątam pokój sędziego, a on czasem przebywa tam nawet kilka godzin.

Odparłam:

– Ok. Rozumiem.

I wyszłam z jego gabinetu, ale zależało mi na czasie, bo Bohun czekał na jakieś wskazówki ode mnie, a sam nie wiedział, jakie powinny być jego dalsze kroki. Podeszłam do windy, ale zatrzymałam się w pół drogi i wróciłam, po czym

zastanawiałam się, czy jest tu jeszcze inna osoba, która mogłaby mi udzielić wskazówek. Gdy tak stałam na środku korytarza, z gabinetu wyszedł pan sędzia, którego przed chwilą zaczepiłam, i przeszedł do innego gabinetu, ale zauważył, że coś mi nie daje spokoju. Gdy wyszedł z gabinetu, nadal tam stałam, więc odezwał się do mnie:

– Dobra, pani Ano! Widzę, że panią coś gryzie. O co chodzi? Mam dla pani pięć minut. Niech pani je wykorzysta, słucham.

– Dziękuję.

Przedstawiłam pokrótce zarys całej historii: że Bohun to żołnierz, który służył w Afganistanie; zaatakował chłopaka, ale pod wpływem emocji; ma już na koncie wyrok w zawieszeniu za pijaństwo i bójki. I wreszcie zapytałam, czy jest jakieś prawo, które zwraca uwagę na to, w jakiej sytuacji on się znalazł i że był świadkiem zdrady? Wiem, że nie ma ulgi nawet dla takich ludzi, ale próbowałam.

Sędzia po chwili odparł:

– Nic nie da się zrobić. Musi odpowiedzieć za swój czyn. Lepiej, żeby miał obrońcę, bo sam nie da rady zatrzymać dziecka przy sobie. Albo chociaż niech wskaże sam innego opiekuna dla małego.

Nie to chciałam usłyszeć. Oburzyłam się:

– Przecież to żołnierz, walczył za nas na wojnie, a nasze państwo nie może mu pomóc teraz, gdy życie mu się wali?

W tym momencie sędzia podniósł głos, ale bardzo kulturalnie i dlatego, że wiedział, że mnie nie urazi:

- Pani Ano, tak będzie i koniec. Pójdzie siedzieć! To on dokonał wyboru i koniec. Jedynie może mieć jakiegoś obrońcę, który zmniejszy wyrok.

Nie poddawałam się jednak:

- Ale dlaczego? Czemu tak? To niesprawiedliwe!

Pracownicy sądu przechodzący obok nas byli bardzo zdziwieni wzburzeniem sędziego i tym, że w ogóle ze mną rozmawia. Witali się z nim, po czym spoglądali na mnie ze zdziwioną miną, a następnie szybko chowali się za drzwiami pokoi, do których wchodzili.

Sędzia był bardzo cierpliwy wobec takiego uparciucha, jak ja. Wytrwale powtarzał z sympatią w głosie:

- Pani Ano, nie można tak i koniec.

Na koniec podał mi dłoń i dodał:

- Mam nadzieję, że pomogłem, pani Ano, powodzenia.

I wrócił do swojego gabinetu. Nie mogłam się pogodzić z tym, co usłyszałam od sędziego, ale przekazałam odpowiedź Bohunowi. Spodziewał się tego. Postanowił działać w sprawie ograniczenia praw rodzicielskich matki Dawida i wtedy, gdyby przyszła po małego z policją, Bohun mógłby pokazać pismo, że proces ograniczania praw już ruszył, a wtedy funkcjonariusze inaczej by spojrzeli na sprawę i nie pozwoliliby na kontakt z matką.

Codziennie o siedemnastej lub nawet kilka minut wcześniej, gdy robiłam sobie przerwę w pracy, dzwonił do mnie Bohun i mówił:

- No koleżanko, nie przemęczaj się, czas dymka zapalić.

Wyłaż na dwór, to ci opowiem, co dzisiaj mi się przydarzyło...

Wtedy wychodziłam na palarnię i rozmawialiśmy. Śmialiśmy się, żartowaliśmy, a na koniec mówiłam:

– Ty, piętnaście minut minęło, koniec przerwy.

A on jeszcze dorzucił:

– Ok, jak wyjdiesz z pracy, puść bzyka, a zadzwonię.

I czasem tak robiliśmy. Wydawał mi się bardzo bliski, choć ja byłam w Gorzowie, a on w Rzeszowie.

Nieco później postanowiłam poprosić koleżankę o pomoc w napisaniu pozwu sądowego o ograniczenie praw rodzicielskich. Poszłam do jej gabinetu i opowiedziałam z grubsza o tym, że wojskowy przyłapał matkę swojego dziecka na zdradzie i że ona przyjechała na chwilę z Holandii i chce zobaczyć się z dzieckiem, zanim znowu wyjedzie. Kryspina napisała treść pozwu i przesłała Bohunowi e-mailem, po czym on wydrukował wniosek i zaniósł do biura podawczego w swoim sądzie. Byłam już spokojniejsza, bo miał potwierdzenie.

Następnego dnia poszłam do pracy pewna tego, że Bohun odezwie się do mnie około siedemnastej. Zorganizowałam sobie pracę tak, aby zakończyć ją wcześniej. Zebrałam śmieci z pokoi, miałam już wypełniony jeden studwudziestolitrowy worek, a gdy dochodziła siedemnasta, ubrałam kurtkę i wyszłam do kontenera. Oczekiwałam na telefon od Bohuna. Tego dnia nie zadzwonił, a miał włączony telefon, bo próbowałam dzwonić i słyszałam sygnał wołania. Wysyłałam też smsy, ale nie odpowiedział na nie. Nie wiedziałam, co się

dzieje. Czy coś się stało? Może on jej coś zrobił? Albo ona zabrała mu dziecko i Bohun się załamał i nie chce z nikim rozmawiać? Może ten nowy chłopak tej kobiety zemścił się i z kolegami napadł na niego? Gdy wracałam do domu po pracy, miałam w głowie tysiące myśli, byłam niespokojna, ale miałam nadzieję, że w końcu Bohun odezwie się do mnie i wyjawi mi przyczynę swojego milczenia. Przeżywaliśmy wspólnie jego sprawy i nagle cisza! Nigdy mu nie wybaczę, że zrobił mi coś takiego.

Bohun nie odezwał się już więcej. Pokazał, że jest egoistą, wykorzystując moją ufność i poświęcenie. Gdy pomogłam mu, poczuł się lepiej, gdyż dysponował opinią prawną, więc już nie byłam mu potrzebna. Starłam się zrozumieć jego durne zachowanie, aż w końcu postanowiłam zapomnieć o nim, choć przyznam, że dziś męczy mnie to, że nie znam przyczyny jego zachowania i to najbardziej boli. Mam też nadzieję, że jest w nim trochę ludzkich uczuć i że jego też to męczy. Wierzę, że kiedyś przyjdzie taki dzień, gdy będzie błagał mnie o przebaczenie. Wiele razy zastanawiałam się, jak będzie to wyglądać i jak zareaguję na to. Wyzywałam go wtedy w myślach i poprawiało mi to nastrój. Z jednej strony starałam się wymazać go z pamięci, ale z drugiej bardzo tęskniłam i nie umiałam się pogodzić z tym, że zniknął bez słowa. Nie pozostało mi nic innego, jak przestać myśleć o nim i szukać innych celów w życiu, a to było trudne.

PAN V

Gdy wracałam do domu, zajmowałam się ukochaną córeczką. Grzegorz szykował się do pracy i zwykle mówił do mnie:

– Nie siedź długo przy komputerze.

Wiedział, że to mnie uspokaja. Wiedział też, że mam kolegów z daleka i rozmawiam z nimi. Nawet udzielał mi rad w sprawie Bohuna, bo jest wykształconym człowiekiem.

Siadałam przy komputerze i rozmawiałam z moim drugim internetowym przyjacielem – *Panem V*. To trzydziestoletni przystojny brunet. Wiem, że mieszka w Warszawie, ale nie wiem, czym się zajmuje. Chyba pracuje w pionie IT jednego z banków, ale pewności nie mam.

Poznaliśmy się, gdy zaczęłam pracować jako *skoczek* na biurach PKS i w Telewizji. To ja pierwsza do niego napisałam. Jego profil zawierał sentencję w języku włoskim:

Lasciate ogne speranza voi ch'entrate.

Porzućcie wszelką nadzieję, wy, którzy wchodzicie.

Zapytałam go, co to znaczy. Czy to wejście do Nieba czy do Piekła? Odpowiedział mi, że bardziej chodzi o wejście do Piekła. Pamiętam to, bo na początku nie mogłam go przekonać do tego, że Bóg istnieje, a dusza po śmierci opuszcza ciało i trafia do Nieba. Pan V początkowo był niedowiarkiem, ale słuchał, pytał i chciał zrozumieć. Tłumaczyłam mu, że tu na Ziemi jest czyściec. Kościół Katolicki nam mówił o tym. Zastanawialiśmy się wspólnie, dlaczego trafiłam od razu na bramę, a nie do Czyśćca?

Dlaczego potem Szatan do mnie przyszedł, skąd te słowa i co znaczyły? Na podstawie moich własnych doświadczeń wierzę, że odkupić winy można tylko tu, na Ziemi. Tutaj dokonujemy wyboru, dokąd po śmierci ciała trafi nasza dusza.

Pan V to tajemniczy i niezwykle stanowczy człowiek. Do tego uparty. Gdy nie chciał czegoś ujawnić, to milczał, choćbym go błagała czy nawet szantażowała, że się już więcej nie odezwę.

Wiedział wszystko o moim wypadku i o doświadczeniach poza ciałem. Opowiadałam mu, jakie potwierdzenia udało mi się zdobyć, i wspólnie doszukiwaliśmy się znaczenia. Albo raczej: ja wierzyłam w to, co widziałam, i starałam się udowodnić to Panu V, aby i on uwierzył.

Pokazałam mu zdjęcie w windzie. Razem zastanawialiśmy się, jak to możliwe. Przesłałam mu też zdjęcie teścia, żeby miał porównanie. Mówił mi, że to ta sama postura. Na początku twierdził, jak inni, że pewnie jedno zdjęcie nałożyło się na inne, ale oboje wpatrywaliśmy się w tę moją fotografię i dostrzegliśmy tam drzwi windy i to coś. Ten pasek jest na moim zdjęciu w środku fotografii.

Pan V jest moją podporą duchową. Pomaga mi zrozumieć sytuacje, które mnie spotykają. Jest osobą, która wie, że w naszym świecie istnieją zjawiska nadprzyrodzone, których dotąd nie wyjaśniono, i szuka dowodów. Razem staramy się zbadać, czy takie rzeczy dzieją się naprawdę. Mówi mi, że przydarza mi się dużo ciekawych i zastanawiających zdarzeń. Lubi mnie słuchać. Szanuję jego zdanie, bo zawsze trafnie mi doradza. To jemu powiedziałam, że spotkałam się

z dziennikarzami, którzy węszyli na temat Grzegorza. Mówiłam mu, że oni też w to nie wierzyli, a jedynie szukali materiału, bo na tym polega ich praca.

Pomagał mi opanować emocje i pocieszał, mówiąc:

– Ana, stało się. Temat jest już zamknięty, pamiętasz? Teraz tylko do przodu.

Był przy mnie, gdy pracowałam w Zakładzie Rentowym. Opowiadałam mu, co się tam dzieje. Był również przy mnie, gdy dowiedziałam się, że mam pracować w Sądzie Rejonowym, od którego wszystko się zaczęło i do którego nie chciałam się zbliżyć, ale on i Grzegorz namówili mnie, bym przyjęła tę propozycję. To on mnie wspierał i dodawał odwagi:

– Może nie będzie tak źle, jak myślisz?

To właśnie Pan V zastanawiał się razem ze mną, że może tam wydarzy się coś ważnego, a ja będę tego świadkiem, oczywiście nie w sensie prawnym. Śmiał się, że podam mu wtedy wiadomości z *pierwszego kliknięcia*. Z nim czułam się odważniejsza. Wiedział o tym, że poznałam Bohuna, bo mu mówiłam o jego czynach, ale nie chciał o nim rozmawiać. Początkowo myślałam, że był zazdrosny, ale później uznałam, że po prostu należy do grupy osób, których nie interesują problemy innych, tylko swoje – a w tym przypadku również moje. Był ze mną, gdy przeżywałam rozstanie z Bohunem. Pocieszał mnie i tłumaczył:

– Może musiał tak zrobić? Może coś się stało, ale odezwie się i wszystko ci wytłumaczy.

Czuł, że jest mi z tym źle. Przynurkował, że sam tak nie zrobi, a jeżeli będzie chciał lub musiał odejść, to wcześniej przygotuje mnie do tego.

Na co dzień dużo rozmawialiśmy, ale nie tylko o moich sprawach. Czasem pytał mnie, co ma zrobić w danej sytuacji z dziewczyną albo co zrobić, gdy śmieciarka uderzyła na parkingu w samochód jego taty i kierowca uciekł. Podpowiedziałam mu wtedy, co ja zrobiłam, gdy ktoś uderzył w mojego *Czesia* i również uciekł. Przecież trzeba sobie pomagać.

Niewidzialna i strzegąca mnie Intuicja – to właśnie jest Pan V. On wzbudził we mnie ostateczną chęć napisania książki. To jemu chciałam opisać to wszystko, co pamiętałam z wypadku. Chciał znać każdy szczegół, a ponieważ nie mieściło się to w wiadomości na portalu, to wysłałam mu pocztą elektroniczną plik tekstowy i otrzymałam odpowiedź, która mnie zaczarowała:

– Kobieto, ty pisz tę książkę! Będzie niesamowita. Nie przejmuj się błędami, to się poprawi. Pisz!!!

Nie wiedziałam jak zacząć. Był akurat piątek trzynastego, więc na tym dniu się skupiałam. Zaczęłam od wyjaśnienia, dlaczego to tak ważny dla mnie dzień. I tak poruszyłam lawinę. Pisałam o tym, co czułam i co przeżywałam. Nie ma w niej żadnego kłamstwa za wyjątkiem zmienionych nazwisk i imion osób, które poprosiły mnie o to. Myślę, że nikogo w niej nie uraziłam. Piszę tutaj o osobach, które zasłużyły na to, aby o nich opowiedzieć, czy to w kontekście pozytywnym, jak Pan V, czy negatywnym, jak Roksana.

ASTMA

Gdy wróciłam po pracy do domu, moja Zuzia zaczęła kaszleć. Zrobiłam jej syropek z cebuli, jaki moja mama zwykła mi robić, gdy miałam kaszel, ale nie pomogło. Zuzia była rozpalona, więc robiłam jej zimne okłady. Potem kaszel tak się wzmógł, że zaczęła wymiotować. Jezu, nie wiedziałam, co mam robić? Bałam się. Zuzia zanosila się od kaszlu i chwilami robiła się czerwona od wysiłku. Kaszel nasilał się coraz bardziej. Byłam zła na siebie za to, że nie mam pojęcia co robić. Zaczęłam się modlić:

– Ojcze, proszę pomóż jej, dodaj mi sił, bym umiała jej pomóc. Boże, nie opuszczaj mnie.

Położyłam ją na poduszce bardzo wysoko, by oddychało jej się lepiej. Bałam się, że gdy zasnę, to nie usłyszę, gdy zabraknie jej oddechu. Przytulałam ją mocno do siebie. Leżałyśmy przy zapalonym świetle i śpiewałam jej po cichu piosenki religijne.

Następnego dnia pojechałam do lekarza, który zdiagnozował u Zuzi zapalenie oskrzeli i przepisał antybiotyki. Dobrze, że Grzegorz chodził na nocki, bo miałam z kim ją zostawić w ciągu dnia, gdy szłam do pracy, a tam pracowałam najszybciej, jak tylko mogłam, i uciekałam do domu. Rozpisałam Grzegorzowi pory i dawki leków do podania Zuzi. Nie było mnie tylko kilka godzin. Miałam

dotatkowe zmartwienie na głowie, ale dla niej, dla mojej małej, rzuciłabym wszystko.

Zuzia po urodzeniu miała problemy ze skórą. Miała plamki na skórze, które na szczęście zniknęły półtora roku później. Poza tym chcieliśmy sprawdzić, czy nie jest na coś uczulona, ale musieliśmy czekać, aż ukończy trzy lata, żeby wykonać testy pokarmowe. Wynik testów na szczęście był negatywny. Ale po dwóch latach pojawił się u niej tak uporczywy kaszel, że aż chwilami nie mogła złapać oddechu. Cztery razy kończyło się to wizytą na ostrym dyżurze, bo dusiła się flegmą, która zebrała się w oskrzelach. I za każdym razem ta sama diagnoza: zapalenie oskrzeli i znowu antybiotyki. Latem nie kaszlała tak bardzo, ale jesienią i zimą koszmar powracał. W końcu trafiłyśmy na dobrego lekarza, który metodycznie kierował na kolejne badania, by ostatecznie postawić właściwą diagnozę. Okazało się, że Zuzia choruje na astmę oskrzelową.

Kupiłam jej inhalator, krople i tabletki do ssania na rozrzedzenie wydzieliny. Pani doktor powiedziała mi, że mogę dać jej tylko jedną dawkę leku wziewnego i jeżeli nie uda się tego dobrze zrobić, to nie wolno próbować ponownie, ponieważ to jest lek sterydowy, który co prawda rozrzedza wydzielinę w oskrzelach, ale jednocześnie obkurcza komory w sercu.

Wróciłam z pracy i chciałam podać Zuzi kolację, ale nie chciała nic zjeść, a bez kolacji nie można podać lekarstw. Godzinę po posiłku miałam jej podać tabletkę do ssania, a po kolejnej godzinie jedną dawkę leku wziewnego i jeszcze

jedną przed snem. Ale nie udało się, bo była malutka i nie umiała na zawołanie zrobić głębokiego wdechu. Z tego powodu znowu zaczęła tak mocno kaszleć w nocy, że wymiotowała flegmą. Noc zarwana, ja cała w nerwach, bo nie wiem, co mam robić, jak jej pomóc, a malutka usiadła na łóżku, spojrzała na mnie smutno i powiedziała cichutko:

– Mamusiu, przepraszam, że zarzygałam łóżko...

Mała płakała cicho, a ja tuliłam ją do siebie i całowałam. Błagałam Boga, by wszystko dobrze się skończyło. Miałam okropne myśli. Jej lekarz prowadzący – pulmonolog – przyjmował dwa razy w tygodniu i to wtedy, gdy powinnam być w pracy. Miałam nadzieję, że mi wszystko wytłumaczy. Boże, dodaj mi sił, bym mogła jej pomóc, wyleczyć ją z tego. Myślę tylko pozytywnie. Rano szłam z Zuzią do lekarza, a potem do pracy, ale cały miałam przy sobie telefon, żeby Grzegorz mógł szybko skontaktować się ze mną. Zwariować można było! Ale moja córeczka była bardzo dzielna. Chodziła do przedszkola i uwielbiała spędzanie czasu z innymi dziećmi. Jest bardzo mądra, jak na swój wiek. Raz przyszła z przedszkola z dumą na twarzy, bo pani wręczyła jej nagrodę *Dzielnego Przedszkolaka*. Jestem z niej taka dumna i kocham ją najmocniej na świecie!

MOJE STAŁE MIEJSCE

Za cztery miesiące miała wygasnąć umowa na sprzątanie

Wydziału Ksiąg Wieczystych Sądu Rejonowego, gdzie pracowałam. Kilka dni przed wyznaczonym dniem przetargu na nowy okres przyjechał do mnie mój koordynator, pan Piotr, i zapytał, czy w razie przegranej zostaję w Sądzie, czy odchodzę z nimi. Odparłam:

– Panie Piotrze , zależy mi na tym, by być na tym obiekcie, jest mi tu dobrze, więc zobaczymy jak to będzie.

Kilka godzin później dowiedziałam się, że nasza firma przegrała przetarg, wygrała zaś ta, która zaproponowała swoje usługi za mniejszą kwotę. Pomyślałam, że przejdę z obiektem do nowej firmy tak, jak rok wcześniej, a zamiast tego spotkała mnie przykra niespodzianka. Zjawił się koordynator z nowej firmy i zaproponował mi sprzątnięcie całego budynku w cztery godziny za sześćset złotych. Przecież to niemożliwe! Ja nie mogłam wyrobić się z pracą mając cały etat, a on chce to jeszcze zredukować? Moje koleżanki, które pracowały w Sądzie Rejonowym, czyli Monika, Iza, Marzenka i Tereska zostały potraktowane podobnie. Jak można taki obiekt posprzątać w cztery godziny i za połowę dotychczasowej stawki? Przecież to tragedia! Pewnie dałoby się tylko wymienić kosze z wszystkich pokoi i pozamiatać, ale tylko, gdyby czas na to pozwolił. Odmówiłam z miejsca i zostałam na lodzie, bo opuściłam dotychczasową firmę i jednocześnie nie przyjąłam warunków nowej firmy. Monika, koleżanka z pracy, była w identycznej sytuacji. Napisała do mnie smsa:

– Ana, co my teraz zrobimy?

Odpisałam jej:

- Spokojnie, pójdziemy do pani dyrektor naszej byłej firmy. Porozmawiamy z nią, będziemy błagać, by nas przyjęła z powrotem.

Tak też zrobiliśmy. Ja poszłam pierwsza na rozmowę:

- Pani Aniu, czy znalazłoby się miejsce dla mnie u pani w firmie?

- Nie wiem, pani Ano. Wie pani, że mam do pani żal, za tę skargę na firmę?

- Ale ja mówiłam tyle razy mojemu koordynatorowi, że mam ataki, że nie mogę tak ciężko pracować, bo źle się czuję. Sędziowie martwili się o mnie, bo przy nich padałam na podłogę. Wcześniej miałam jeden atak na rok, bo biorę leki, a tu cztery w ciągu dwóch miesięcy?

Pani Ania spojrzała na mnie ze zdziwieniem:

- Jakie ataki? Dlaczego ja nic o tym nie wiem?

- Pani Aniu. Pani wie, że mi zależało na tym obiekcie. Chciałam zostać na sądzie, bo dobrze mi się tam pracowało.

- A czy pani wie, że była na panią skarga? Dostałam telefon z sądu, że się pani spoufala z pracownikami. Tak nie wolno, wie pani o tym?

- Słuuuuucham? - zrobiłam wielkie oczy.

- Jakaś kobieta zadzwoniła do mnie, że pani się spoufala z pracownikami sądu, a nie pracuje.

Zatkało mnie, gdy to usłyszałam. Jak nigdy, nie wiedziałam, co mam powiedzieć. Pani Ania zaśmiała się:

- Dobrze, pani Ano. Niech pani teraz wykorzysta urlop, jaki pani został, a ja pani znajdę jakiś obiekt, na który panią

obsadzę.

Wtedy już wiedziałam, że będzie dobrze, więc dodałam:

– Pani dyrektor, ale w takiej samej sytuacji są moje dziewczyny, które też zostały bez pracy.

Pani Ania nie dała mi dokończyć:

– To pewnie zaraz i one tu będą? Niech się pani nie martwi, je też gdzieś umieszczę, spokojnie.

Podziękowałam pani Ani za wyrozumiałość i wyszłam. Nie mogłam pojąć, że jest na mnie skarga, i to jeszcze taka! Że się spoufalam! No nie mogłam tego zrozumieć. Przecież ja taka już jestem. Nie umiem przejść obojętnie obok znajomej osoby i nie odezwać się czy nawet powiedzieć *dzień dobry*. No chyba, że znam kogoś tylko z widzenia, ale to inna sprawa.

Następnego dnia poszłam do sądu po swoje rzeczy. Zaszłam najpierw do mojej pani Alusi i powiedziałam, że już nie chcę mnie w sądzie. Żartowałam, że mój czas tutaj już się skończył. Początkowo nienawidziłam tego obiektu, a teraz go uwielbiam. Pani Ala kazała mi przyrzec, że będę do niej zaglądać co jakiś czas oraz że powiem jej, dokąd trafiłam i czy jestem zadowolona z nowego miejsca. Wyściskałyśmy się i poszłam do siebie, czyli *na Księgi*. Zaczęłam się żegnać z każdym z osobna. Kobiety całowały mnie życząc powodzenia i nalegały, abym czasem odwiedziła je.

W trakcie urlopu zrobiłam porządki w domu, jeździłam z Zuzią i Grześkiem do teściowej. Zastanawiałam się, gdzie będzie mój nowy obiekt. Czy tam będzie fajnie?

Gdy już kończył mi się urlop, zadzwoniła do mnie pani

Ania i powiedziała mi, że mam przyjść do biura i stamtąd pan Piotr zawiezie mnie na nowe miejsce, ale nie chciała zdradzić, dokąd. Nie pytałam jej nawet, bo przecież nie miałam wyjścia.

Podjechaliśmy pod stary, ponemiecki budynek po remoncie generalnym. W budynku mieściły się głównie biura instytucji państwowych oraz kilka biur firm prywatnych. Pracownicy biur wiedzieli, że pojawi się nowa osoba do sprzątnia i przyjęli mnie bardzo ciepło. Byłam mile zaskoczona.

Na miejscu poznałam nowych ludzi. Najpierw zapoznałam się z panią Janeczką, która wprowadziła mnie na obiekt. Jest osobą nastawioną entuzjastycznie do swojej pracy. Widać było po niej, że traktuje swoją pracę jak przyjemność, a nie przykry obowiązek. Potem poznałam pana Zdzisława – *złotą rączkę* na tym obiekcie. Nie było usterki, której by nie naprawił. Kolejne moje nowe znajomości to Asia, Agnieszka, Kamil, Bartek, Szymon, Krzysiek, Dawid, Magda, druga Asia i inni, których nie zdołam tu wymienić. W tym miejscu czułam pozytywną atmosferę pracy. Ludzie znali zakres swoich obowiązków i po prostu robili to uczciwie. Nikt nie narzekał na swój biurowy los, wokół panowała uprzejmość i życzliwość.

Mój dzień pracy zaczynał się wtedy, gdy oni kończyli, i wtedy wkraczałam do akcji.

Gdy pewnego dnia sprzątałam biuro Szymona i Dawida, zauważyłam kartkę przyklejoną do monitora na biurku Szymona.

Pomyślałam od razu, że to dla mnie w geście powitania

i bardzo się ucieszyłam, a nawet zrobiłam zdjęcie. Podbiegłam do pani Janeczki, żeby się pochwalić odkryciem, ale ściągnęła mnie na ziemię:

– Przykro mi, to Szymon z Aleksandrą lubią robić sobie takie psikusy. Gdy przyjdzie rano do pracy i zobaczy taką niespodziankę, to dzień będzie lepszy. To przyjaciele, oni tak zawsze.



I wtedy zrobiło mi się przykro. Ale po kilku tygodniach, było coś specjalnie dla mnie od Krzysztofa, który akurat świętował urodziny i z tej okazji przyniósł smakołyki dla wszystkich. Zostawił dla mnie na swoim biurku garść cukierków, obok których leżała karteczka z napisem *Proszę się poczęstować*. Było mi miło, bo chyba uznał, że też należę do grupy pracowników tego obiektu. Co prawda wykonuję inny charakter pracy, ale *inny* nie oznacza gorszy.

W wolnych chwilach rozmawiałam z Asią i Agnieszką. Opowiadałam im o wypadku. Słuchały mnie z uwagą i nawet same dociekały przyczyn. Asia powiedziała do mnie:

– Czyli Święty Piotr już wtedy wiedział, że uratujesz życie drugiej osobie po dziewięciu latach od swojego wypadku i właśnie dlatego nie opłacało mu się brać do Nieba twojej duszy, bo musiałby wtedy wziąć dwie?

– Właśnie tak.

Opowiadałam o moich planach wydania książki. Wspomniałam, że już nawet wysłałam swojemu przyjacielowi kilka stron tekstu w formie elektronicznej, więc i one poprosiły o próbkę, bo też chciały to przeczytać. Spełniłam prośbę i przyniosłam im plik tekstowy. Sama byłam ciekawa ich reakcji. Wiedziałam już, że Panu V spodobał się mój tekst i gorąco namawiał mnie do kontynuacji, ale teraz chciałam poznać kobiecą opinię, gdyż cenię kobiety za ich krytyczne spojrzenie na wiele spraw. Ku memu zadowoleniu dziewczyny były zachwycone:

– Świetnie, że chcesz o tym świecie opowiedzieć, Ana. To bardzo ciekawe i tragiczne zarazem, co cię spotkało. Może to jest twoje przeznaczenie, by świat się dowiedział, że jest coś dalej?

BLOG

Zapaliłam się bardzo do pisania książki. Wspólnie

z dziewczynami myślałyśmy, co będzie, gdy już skończę ją pisać. Śmiałam się, gdy dziewczyny mówiły, że jestem pisarką, bo przecież ja tylko spisałam to, co mnie spotkało i tyle. Zgadywałyśmy, że trzeba zdobyć sponsora, który sfinansuje wydanie, a potem zorganizować dystrybucję.

Wtedy narodził się pomysł założenia bloga internetowego, na którym mogłabym publikować fragmenty książki zachęcając tym samym przyszłych czytelników do zakupu, a przedtem dać się poznać przyszłemu wydawcy. Wcześniej się tym nie interesowałam, bo nie było takiej potrzeby, więc dziewczyny pokazały mi przykładowe blogi.

Klamka zapadła: blog powstanie. Ale jak to zrobić? Szukałam kogoś, kto mi pomoże. Nadzieja była w znajomych informatykach, ale kogo bym nie spytała, nie miał o tym pojęcia. Nawet Pan V powiedział mi, że się na tym nie zna, ale obiecał, że spyta swoich kolegów. Niestety nikt nie miał czasu. Ja pytałam ludzi w Gorzowie i też nic. W końcu postanowiliśmy wspólnie spróbować. Oboje szukaliśmy porad o tworzeniu bloga i ostatecznie dowiedziałam się, jak to zrobić. Skonsultowałam moją nowo nabytą wiedzę z Panem V, po czym zasiadłam przed komputerem i zaczęłam klikać trochę na wyczucie. Wyobrażałam sobie blog w lekko mrocznej tonacji, na którym byłyby fragmenty mojej książki, ale i wydarzenia z mojego życia okraszone fotografiami i opisami ludzi, który spotykam na co dzień. Trafiłam w internecie na zdjęcie, które idealnie pasowało do mojej historii. Nosi tytuł *Tajemnicza wędrówka* i przedstawia postać na tle rozgwieżdżonego nieba idącą w kierunku ogromnego

Księżycyca. Od razu mi się spodobało. Potem dodałam inne elementy bloga i małymi krokami utworzyłam go. Udało mi się!

A zatem miałam bloga.

Zaczęłam wklejać fragmenty z książki i obserwowałam, czy jest jakieś zainteresowanie. Ludzie zaczęli reagować na moje wpisy, a to mnie zmotywowało do dalszych wysiłków. Dziewczyny komentowały moje pierwsze wpisy. Wspólnie przeżywałyśmy moje pierwsze kroki na blogu. Analizowałam wszystkie miejsca, w które Bóg mnie posłał, a także to, co spotkało mnie i Grzegorza, i jak zmieniłam swoje przeznaczenie. Najpierw coś zostało mi odebrane, a potem doprowadziłam do tego, by osoba, która mi to zabrała, również poznała smak straty. Mam tu na myśli Roksanę, która odebrała mi najważniejszy dla mnie dzień, bo to przez nią mój narzeczony spędził prawie półtora miesiąca w areszcie zamkniętym, a cztery lata później role się odwróciły. To dzięki zarzutom Grzegorza ojciec jej dziecka trafił do więzienia. Potrafię wybaczyć każdemu oprócz niej, zepsutej nastolatce, która z premedytacją zniszczyła mój świat. Ale to już przeszłość, zamknięty rozdział naszego życia, który odszedł razem z nią.

Teraz chciałam głośno opowiedzieć o niesprawiedliwości i poczułam, że to jest dobry moment, by o tym napisać. Dlatego powstała niniejsza książka. Jestem bardzo z niej dumna.

Chętnie wstawałam wcześniej, żeby spisywać moje wspomnienia. Przez pewien czas byłam skupiona tylko na

pisaniu, pracy i domu. I Zuzi, rzecz jasna. Do pracy przychodziłam chwilę przed czasem, żeby porozmawiać przy kawie z panem Zdzisławem, który bywa na obiedzie tylko trzy razy w tygodniu. Potem przebierałam się i brałam się do sprzątanía, a na przerwę ponownie szłam do pana Zdzisława na dalszą pogawędkę. Pan Zdzisław jest już niemłodym mężczyzną. Opowiadał mi o swoich przeżyciach z młodości. On i pani Janeczka motywowali mnie do pisania książki jeszcze bardziej, niż dziewczyny i Pan V. Dzięki wspólnej pracy zawiązała się między nami nić porozumienia.

Czasem odwiedzałam znajomych w Sądzie Rejonowym, ale czysto prywatnie. Było mi niezmiennie miło, gdy pracownicy Sądu, w tym sędziowie mijani na korytarzu, mówili:

– Dzień dobry, pani Ano. Wraca pani do nas? Kiedy pani wraca?

Głównie odwiedzałam Anię i panią Alę. Pochwaliłam się, że zaczęłam pisać książkę. Chciałam, by zawierała istotne zdjęcia i wpadłam na genialny pomysł, żeby umieścić w niej zdjęcia z wypadku, które są dostępne w aktach sprawy, a akta są tutaj w sądzie. W książce piszę tylko prawdę, więc gdy pokażę fotografie wraku samochodu, moja historia stanie się bardziej wiarygodna. Poszłam zatem do biura podawczego i złożyłam pismo o wgląd do akt. Podałam numer sprawy. Teraz trzeba było czekać na informację, że już można obejrzeć dokumenty.

ZASTĘPSTWO W SĄDZIE

W międzyczasie Ania, koleżanka z porannego serwisu w sądzie, z którą się przyjaźnię, miała wyjechać do sanatorium i ktoś miał przyjść na zastępstwo za nią. Kilka dni przed jej wyjazdem zadzwonił do mnie pan Piotr – koordynator – i poprosił, abym to ja ją zastąpiła, ponieważ doskonale znam ten obiekt. Zgodziłam się, ale od razu zastrzegłam:

– Po tym czasie wracam na swój obiekt.

Pan Piotr zapewnił, że tak.

Nawet cieszyłam się, że tam pójdę, bo stęskniłam się za wieloma osobami, które tam pracują. Wiedziałam, że ucieszą się widząc mnie zamiast jakiejś obcej kobiety.

Swoją drogą, po czterech miesiącach mojej pracy w starej-nowej firmie okazało się, że firma, która wygrała przetarg na sprzątnięcie w Sądzie Rejonowym, została przegnana z obiektu, bo się nie sprawdziła. W ten sposób moja aktualna firma wróciła na stary obiekt.

Gdy poszłam rano do pracy, w kiosku była jakaś inna osoba – pani Halinka. Zadałam pytanie:

– Nie ma mojej pani Ali?

Spojrzała na mnie ze zmartwioną miną:

– Nie, nie będzie już pani Ali tutaj. Ja przejęłam jej działalność.

Od razu zrobiło mi się słabo:

– Boziu! Co się stało? Gdzie jest pani Ala?

– W szpitalu. To silna kobieta. Niech tu szybko wraca, bo

mi się tu wcale nie podoba.

Widziałam po pani Halince, że za chwilę się rozpłacze. Powiedziałam do niej:

– Ja tylko zrobię tajne pomieszczenia i przelecę pierwszy rejon i zaraz będę, to porozmawiamy, dobrze?

Pani Halinka tylko machnęła ręką ledwo powstrzymując się od płaczu.

No kurczę, co tu się dzieje?

Zrobiłam to, co zawsze z rana, a na przerwę zbiegłam do pani Halinki, by się dowiedzieć czegoś więcej:

– Co się stało pani Ali, że w szpitalu jest?

– Ala nie chce nikomu powiedzieć. Ale my się domyślamy. Pani Ala zachorowała na raka.

Matko! Gdy to usłyszałam, zaniemówiłam. Taka kochana, cudowna kobieta i teraz walczy o swoje zdrowie. Boże, oby jej tylko udało się pokonać to choróbsko. Nic nie mogłam zrobić w tej sprawie. Pani Halinka powiedziała, że też została postawiona przed faktem dokonany, gdyż pani Ala powiedziała do niej:

– Przecież mi tego nie zrobisz! Musisz teraz przejąć bufet za mnie.

Było mi tak ciężko pogodzić się z tym, że w bufecie nie ma za ladą mojej pani Ali, tylko ktoś całkiem obcy. Gdy przychodziłam rano do pracy, zawsze dopytywałam o jej zdrowie i czy są jakieś zmiany:

– Jak się pani Ala czuje?

Ale pani Halinka za wiele nie wiedziała, bo nie chciała

męczyć chorej telefonami, więc cierpliwie czekałyśmy na wiadomości.

AKTA Z WYPADKU

W międzyczasie dostałam informację, że już mogę obejrzeć akta z mojego wypadku. Poszłam do biura podawczego, gdzie pan Lucjan wręczył mi dokumenty. Nie był świadom tego, że dotyczą mojego wypadku. Ja sama nigdy wcześniej ich nie widziałam, a już minęło trzynaście lat od tego zdarzenia. W głowie miałam tylko ślady wspomnień. Byłam wtedy wzywana na policję. Brat wnosił mnie do komisariatu na rękach, a policjanci pokazywali mi zdjęcia miejsca zdarzenia, ale wtedy miałam w głowie zupełną pustkę.

Teraz, po tylu latach miałam świadomie już spojrzeć na to, jak to wyglądało. Usiadłam przy stoliku, ściągnęłam gumkę z teczki i otworzyłam ją. Ujrzałam zdjęcia:



Patrzyłam na te zdjęcia i nie mogłam uwierzyć, że to wyglądało aż tak makabrycznie. Wpatrywałam się w nie przez dłuższą chwilę, po czym sfotografowałam je

z zamiarem umieszczenia ich w książce. Potem zapoznałam się z dokumentami tekstowymi i zwróciłam szczególną uwagę na zeznanie kierowcy drugiego samochodu. Mężczyzna wyszedł z samochodu o własnych siłach i był w pełni przytomny. Zeznał:

Będąc przed tym zakrętem w pewnym momencie na moim pasie ruchu zauważyłem Fiata 126p jadącego z kierunku przeciwnego. Pojazd ten jechał prosto na mnie. Po sposobie jazdy tego auta ja nie mogę określić, aby ten pojazd był w poślizgu lub by w niego wpadł. To były ułamki sekundy i nastąpiło zderzenie.

Właśnie wtedy ja z Oskarem wyprzedzaliśmy samochód Valdiego, bo chcieliśmy tylko pokazać gestem ręki, by zjechał na parking, który był za cmentarzem. Widzieliśmy, że na przeciwległym pasie nie ma żadnych samochodów. Mieliśmy długie, czyste pole widzenia.

karalność za fałszywe zeznania w/g oświadczenia nie karany.
(Kody i przed jak sąd oraz na jaką kartę sądowniczą)

stosunek do stron obcy.

Pouczony zostałem o odpowiedzialności karnej wynikającej z art. 233§1 k.k. oraz zapoznany zostałem z treścią art. 183§1 k.p.k. i zeznaję co następuje: Do wypadku drogowego doszło w piątek, 02 marca 2001r. około godz. 09.30 na drodze relacji Stare Polichno- Lipki Wielkie. Ja kierowałem samochodem osobowym marki [REDAKTOWANE]. Jechałem sam w kierunku Siedorzyny. W trakcie jazdy warunki były trudne. Wcześniej padał śnieg i z tego powodu jeźdźnia była śliska a w miejscu zaistnienia wypadku drogowego oblodzona. Ja przed wypadkiem jechałem z prędkością w granicach 70-80 km/h. Ja jechałem na prostym odcinku drogi od zbliżałem się do delikatnego zakrętu w lewą stronę. Będąc przed tym zakrętem w pewnym momencie na moim pasie ruchu zausażyłem Fiata 126p jadącego z kierunku przeciwnego. Pojazd ten jechał prosto na mnie. Po sposobie jazdy tego pojazdu ja nie mogę określić, aby ten pojazd był w poślizgu lub by w niego wpał. To były ułamki sekund i nastąpiło zderzenie. Nie straciłem przytomności. Następnie wysiadłem z pojazdu i nadjechały inne osoby postronne. Ktoś powiadomił pogotowie i policję. We Fiatcie 126p były dwie osoby- kierowca i pasażerka. Kierowca był przytomny. Ja z nim nie rozmawiałem. Jego pasażerka była nieprzytomna. Jako pierwsza na miejsce przybyła straż połączona. Oni rozcinali Fiata 126p w celu wydobywania kobiety. Po jakimś czasie na miejsce przybyła załoga policji drogowej a później karetka pogotowia. Ja na miejscu policjantom opowiedziałem przebieg zdarzenia. Sprawdzano stan mojej trzeźwości- wynik 0,00. Następnie oba pojazdy zostały zabezpieczone do dalszych badań a ja zostałem zwolniony do domu. Po zderzeniu oba pojazdy na moim pasie ruchu niezauważalnie obrócone. Uderzenie nastąpiło czołowo.....

Moim zdaniem do wypadku drogowego doszło tylko i wyłącznie z winy kierującego Fiatem 126p.....

To wszystko co mam do zeznania w tej sprawie.....

ASYSTENT

Dotarło wówczas do mnie, że ja widziałam i zapamiętałam to wszystko. Wiem, że się to wydarzyło naprawdę, a zeznania tego mężczyzny potwierdzają moją wersję. Zastanawiał się, co my robimy na jego pasie, skoro swój mieliśmy wolny.

Zrobiłam zdjęcie sporządzonego zeznania mężczyzny, w którego uderzyliśmy.

Przeglądałam też dokumenty z dochodzenia przeciw Oskarowi. Był pytany, dlaczego jego samochód był na przeciwległym pasie, ale nie mówił nic o tym, żebyśmy kogokolwiek wyprzedzali. Ja jestem pewna, że na naszym pasie przed nami jechał Valdi swoim czerwonym samochodem z ciemnymi szybami, dlatego Oskar zjechał na przeciwległy pas, aby wyprzedzić Valdiego.

Oddałam teczkę, a następnie zadzwoniłam wtedy do mamy i powiedziałam jej, że właśnie widziałam akta z mojego wypadku. Ona akurat nie mogła ze mną rozmawiać, bo była w pracy, ale poprosiła, abym wieczorem przesłała jej kilka zdjęć. Chciała je zobaczyć, ponieważ nie widziała faktycznego wraku, bo gdy jechali do mnie do szpitala, to już go nie było na drodze.

Wróciłam do pracy i pochłonięta obowiązkami zapomniałam na chwilę o tym, że przed chwilą widziałam zdjęcia wraku. Gdy wróciłam do domu, włączyłam komputer i przeniosłam zdjęcia na dysk twardy. Potem pokazałam je Grzegorzowi, ale spojrzał tylko raz i nie chciał dokładniej im się przyglądać. Potem przesłałam zdjęcie wraku Ani, przyjaciółce z Sądu. Odpisała mi później:

– Cudem jest, że z tego wyszłaś.

Wieczorem, gdy już miałam chwilę dla siebie, przesłałam mamie kilka zdjęć. Pamiętam, że bacznie się im przyglądałam. Nie wiem, czego szukałam. Po prostu patrzyłam. To ostatnie zdjęcie zbliżyłam, aby zobaczyć siłę uderzenia. To była taka siła, że fotel, na którym siedziałam, wgniotło do środka.



Wysyłając mamie to zdjęcie dopisałam komentarz:

– Mamo, zobacz jak wgniotło fotel, na którym siedziałam.

Mama odpisała mi po chwili:

– To zobacz teraz na drzewa, widzisz Krzyż?

Przyjrzałam się i zobaczyłam nie tylko Krzyż, ale też Bicz, czyli wizerunek Dobra i Zła. Czy to tak miało być? Ja miałam przyczynić się do tego? Byłam ofiarą? Nie wiedziałam, jak mam to sobie tłumaczyć, ale miałam to uchwycone na zdjęciu. Nie wymyśliłam sobie tego przecież. Stało się, czasu nie cofnę. Życie po prostu biegło dalej. Jestem starsza o trzynaście lat. Mam rodzinę i teraz muszę żyć dla tych, których kocham. No i trzeba pracować, by mieć pieniądze na przetrwanie. Nie brałam tego tak bardzo do siebie, no bo co bym zmieniła?

OSKAR

Postanowiłam zaprosić Oskara do swoich znajomych na portalu społecznościowym. Widziałam, że ma konto, ale jeśli on mnie unika i nie chce ze mną rozmawiać to nie będę się narzucać. Mógł odrzucić zaproszenie, ale przyjął je, więc może jednak chciał ze mną rozmawiać, ale nie wiedział, jak zacząć.

Któregoś wieczoru był dostępny, więc napisałam do niego pierwsza. Spytałam, czy może mi opowiedzieć, co pamięta z wypadku, ale odparł, że to było dawno i że nie chce już do tego wracać. Nie dałam się spławić i pytałam dalej, ale odpisał, że nie pamięta wypadku. Kompletnie nic – czarna dziura. Pytałam, czy pamięta, jak mówił, że Valdi jeszcze nie wyjechał z domu i że chce umówić się z nim na ryby, to stwierdził, że tak nie mogło być. Nie wierzył w to, co mu pisałam, i obstawał przy tym, by każdy wierzył w swoją wersję.

Zapytałam też:

– Dlaczego mnie nie odwiedziłeś gdy byłam w szpitalu, czy wtedy jak dochodziłam do siebie w domu?

– Bałem się, wszyscy winili mnie za wszystko, więc rozumiesz? Było, minęło, każdy wierzy w swoje racje i niech tak zostanie.

Na tym skończyliśmy rozmowę.

KRUSZYŃKA JEST CHORA

Od kilku dni czułam się fatalnie. W jednej chwili było mi gorąco, a zaraz potem zimno, miałam duszności, ale musiałam chodzić do pracy. Nie chciałam, by ktoś musiał mnie zastępować, tym bardziej, że to ja zastępowałam Anię podczas jej pobytu w sanatorium. Wmawiałam sobie, że dam radę, bo wkrótce weekend i odpocznę w domu, ale nie wzięłam pod uwagę tego, że mogę zarazić moją małą księżniczkę. Gdy tylko zauważyłam nasilenie objawów u niej, co skutkowało nieprzespaną nocą, na drugi dzień z samego rana pojechałyśmy do lekarza rodzinnego, który rozpoznał jej stan jako infekcję i przepisał nowe lekarstwa.

Gdy wróciłam z pracy, stan córeczki się pogorszył. Zuzia miała tak mocny kaszel, że aż wymiotowała co chwilę. Nie mogła zasnąć, bo kaszel nie pozwalał. Robiłam inhalacje, ale było jeszcze gorzej, do tego dostała gorączki, a potem zwróciła lek przeciwzapalny, więc robiłam jej zimne okłady. Od kaszlu zupełnie opadła z sił, więc posadziłam ją na łóżku, żeby zmniejszyć kaszel i w końcu zasnęła na siedząco. Ja byłam czujna i w efekcie nie przespałam kolejnej nocy i do pracy szłam resztkami sił. Miałam nawet wrażenie, że to bardziej wiatr pchał mnie do przodu, ale mówiłam sobie: przetrwaj! W trakcie pracy dzwoniłam do męża i pytałam o samopoczucie naszej Kruszyńki: jak się czuje, czy podał leki, czy jest jakaś poprawa. Wieczorem jej stan znowu się pogorszył, wrócił silny kaszel i duszność. Nie było jak podać

jej leku wziewnego, bo każdy wdech skutkował kaszlem.

Nie wiedziałam, co robić, a musiałam jej pomóc, żeby się nie udusiła. O wpół do drugiej w nocy zadzwoniłam na pogotowie i opisałam stan Zuzi. Dodałam, że choruje na astmę i zaczyna się dusić. Po drugiej stronie była zaspana kobieta:

– Jakie leki pani podała teraz?

– Teraz nie mogę żadnego jej podać leku, bo nie może przestać kaszleć!

– A pani pijana nie jest?

Gdy to usłyszałam, myślałam, że szlag mnie trafi! Podniosłam głos:

– Niech pani wyśle do mnie jakiegoś pediatrę, bo nie wiem, co mam robić!

– Pojedzie pani na szpital.

Po czym rozłączyła się, ale wysłała karetkę. Przyjechali i zabrali nas na SOR, a tam trafiłyśmy na bardzo fajną młodą lekarkę. Z ulgą przyjąłem informację, że jest lekarzem dziecięcym. Po wywiadzie doszła do wniosku, że lek, który Zuzia zażywa, źle na nią działa, więc lekarka przepisała inny i o wpół do czwartej wróciłyśmy do domu. Z moim Aniołkiem było już lepiej. Już z rana było widać poprawę. Zuzia obudziła się uśmiechnięta i wyznała:

– Dzień dobry! Mamo, ja już nie rzygałam ani nie kaszlę, widzisz?

Kocham moją małą mądralińską.

Poszłam do pracy ponownie niewyspana, ale spokojniejsza

o Zuzię. Gdy zrobiłam pierwszy obchód, schowałam się w pokoju dla sprzątaczek, a wtedy zadzwonił do mnie pan Zdzisław:

– Kiedy wracasz?

– Jeszcze trochę.

Dzwoniłam do pani Janeczki. Słyszałam, że kobieta, która mnie zastępuje, nie radzi sobie i sypią się skargi na firmę. Wtedy do mnie dotarło, że na innych obiektach nie czułam takiego zrozumienia, a tu tęsknili za mną. Poczułam, że znalazłam *swoje miejsce*. Chciałam tam wrócić jak najszybciej i już nie mogłam się doczekać. Gdy wreszcie wróciłam, wszyscy powitali mnie z radością. To było naprawdę miłe i poczułam, że jestem wśród swoich. Pracownicy są bardzo mili, ale tu chłopaki nawet pomagają. Ostatnio dostarczono mi nowy zapas środków czystości. Dużo tego było: pięciolitrowe pojemniki z płynem do mycia, kartony z ręcznikami itd., a ciężko mi było wnosić to wszystko po schodach na drugie piętro, dlatego poszłam poprosić pracowników o wniesienie. Bartosz, Dawid, Kamil i Krzyś od razu przerwali swoje czynności i ruszyli z pomocą. Wymieniam konkretne imiona, aby wiedzieli, że doceniam ich pomoc i aby następnym razem też pomogli, choć już teraz wiem, że zawsze mogę liczyć na ich pomoc.

Postanowiłam dać mamie na Boże Narodzenie drugi rozdział mojej książki, dlatego poprosiłam Szymona, aby wydrukował mi treść rozdziału, a jego kolega oprawił kartki i tak oto miałam gotowy prezent dla mamy. Cieszyłam się i byłam dumna z tego prezentu, a moja mama była

zachwycona!

PANI ALA

Nadszedł weekend. Wieczorem zadzwoniła do mnie Ania z porannego serwisu z sądu i oznajmiła:

- Nasza Ala nie żyje.
- Co ty mówisz?

Gdy powtórzyła, nie mogłam wydobyć z siebie słowa. W końcu odparłam:

- Jutro zadzwonię do ciebie i pogadamy, bo nie mogę teraz rozmawiać, dobrze?

Rozłączyła się, a ja powiedziałam do siebie na głos:

- Boże, dlaczego jej nie pomogłeś? Przecież to cudowna kobieta.

Było mi tak przykro! Mojej pani Alusi nie ma z nami, nie zobaczę jej już w Sądzie. Płakałam jak dziecko, że jej się nie udało. Byłam zła, że Ojciec jej nie pomógł. Przecież cuda się zdarzają, tak? Nie mogłam tego zrozumieć.

Umówiłam się z Anią na pogrzeb. Przyszło dużo ludzi z sądu. Poznałam wreszcie dzieci pani Ali, o których dużo opowiadała mi na przerwach. Wiem, że bardzo je kochała. Wspominała też o swojej wnusi. Dzieliłyśmy się wspólnie naszymi przeżyciami. Będę ją zawsze bardzo miło wspominać i modlić się o jej duszyczkę, by była jak najbliżej Pana, bo

zasługuje na miejsce w Niebie.

Przez kilka dni nie mogłam się pozbierać, ale na szczęście pani Halinka jest taka kochana, jak pani Ala, dlatego łatwiej było mi się oswoić z odejściem pani Ali do Raju. Wtedy poczułam, że powinnam napisać o tym w książce. Mam nadzieję, że czytelnicy uwierzą, że jest Ojciec, stwórca. Może nawet zmienią swoje nastawienie do życia?

Miałam nadzieję, że w moim życiu zapanuje już tylko błogi spokój i że będę teraz cieszyć się życiem bez zatargów i wątpliwych przygód z policją. Co innego miła rozmowa z kolegami, gdy wpadniemy na siebie.

TORBĘ MI UKRADLI!

Był czwartek, godzina szesnasta. Już posprzątałam biura i został mi korytarz. Zeszłam do ochroniarza, który poinformował mnie, że trwa jeszcze jakieś spotkanie. Kurczę – pomyślałam – ciekawe, ile im to zajmie? A potem już na głos do ochroniarza:

- W czwartek? Przecież zajęcia są od piątku!
- To jakieś spotkanie dyrekcji.

Żeby nie czekać beczynn timer, wzięłam się za sprzątanie korytarza. Już kończyłam, gdy nagle na drugim końcu korytarza z gabinetu wyszła pani dyrektor oraz sekretarki i spojrzały na mnie z uśmiechem. No trudno, poprawię zaraz – pomyślałam. Chwilę później skończyłam pracę, zaniósłam

cały sprzęt do pokoju gospodarczego i przygotowałam się do wyjścia z pracy. Przewiesiłam przez ramię moją czarną torbę, wzięłam do ręki czerwoną reklamówkę z moimi rzeczami i wychodząc poprosiłam jeszcze panią Janeczkę, aby sprawdziła, czy ktoś nie pobrudził w międzyczasie korytarza i żeby ewentualnie poprawiła. Pożegnałam się i wyszłam. Założyłam słuchawki i poszłam na przystanek tramwaj słuchając muzyki. Czułam się trochę zmęczona. Miałam na sobie ciut za ciepłą kurtkę, co potęgowało uczucie zmęczenia.

Wsiadłam w tramwaj linii numer 1, poszłam na sam koniec wagonu i usiadłam na pojedynczym miejscu przy oknie. Wtedy zrobiło mi się jeszcze cieplej, więc zdjęłam kurtkę i włożyłam ją do reklamówki. Jednocześnie zwróciłam uwagę na ludzi wysiadających w pośpiechu z wagonu, a potem zauważyłam motorniczego wydającego jakieś komendy, ale przez słuchawki nie słyszałam jego głosu. Tak czy inaczej zerwałam się z siedzenia i też wysiadłam, a następnie wraz z innymi pasażerami udałam się na przystanek autobusowy. Po chwili nadjechał autobus linii 124. Wsiadłam tylnymi drzwiami i stałam przy drzwiach podczas jazdy. Na kolejnym przystanku wsiadło czterech mężczyzn. Usiedli blisko drzwi na poczwórnych siedzeniach. Jeden z nich, około trzydzieści pięć lat, miał na sobie wojskowe spodnie Usiadł przodem do mnie, a drugi, przodem do niego, czyli tyłem do mnie. Nagle drzwi zaczęły się zamykać i otwierać, ale okazało się po chwili, że to ja blokowałam odjazd autobusu, więc przesunęłam się nieco i wtedy drzwi się zamknęły i autobus ruszył. Mężczyzna siedzący przodem do mnie wstał na chwilę

i powiedział coś do kolegi stukając dłonią w swój pas, a potem usiadł. Po chwili jeden z nich, około dwadzieścia sześć lat, stanął obok mnie i zaczął objąć się o mnie, chyba na skutek hamowania pojazdu. Miał przy prawej nodze wysoką torbę podróżną na dwóch kółkach. Autobus zbliżał się do przystanku, więc ustawiłam się bokiem do tego chłopaka i przodem do drzwi, a gdy pojazd się zatrzymał i drzwi się otworzyły, poczułam, że nie mam torby. Krzyknęłam:

– Jezu, nie mam torebki, Boże, moja torba!

Szybko spojrzałam na autobus, który jeszcze stał z otwartymi drzwiami, stanęłam przy nich i starałam się odnaleźć wzrokiem torbę, ale drzwi zamknęły mi się przed nosem i autobus odjechał. Spanikowałam! Całą sytuację widział jakiś chłopak, który podszedł do mnie i wskazał mi tablicę rozkładu jazdy:

– Niech pani szybko dzwoni na MZK do dyżurnego. W autobusie są kamery. Niech zatrzymają autobus.

Podbiegłam do ławki, położyłam reklamówkę i wybrałam numer z tablicy:

– Zgubiłam torebkę! Niech pan zobaczy na monitoringu, czy w autobusie 124 nie leży z tyłu moja torebka. Albo w tramwaju 1, który miał awarię. Siedziałam na samym końcu, ostatnie siedzenie.

Słyszałam, jak dyżurny zadał przez CB-Radio moje pytanie kierowcy z tramwaju, po czym wrócił do mnie z odpowiedzią:

– NIE! Nie ma.

– A 124?

- 124 kierowca się nie odzywa.

- Dobra, dziękuję.

Rozłączyłam się widząc, że po drugiej stronie jedzie autobus 124. Przebiegłam przez ulicę i wskoczyłam do niego z zamiarem powrócenia na przystanek, na którym wsiadałam, gdyż miałam nadzieję, że może sprzączka się urwała i torba opadła na ziemię. W autobusie zadzwoniłam do pani Janeczki:

- Pani Janeczko. Jak wychodziłam, to miałam torbę na sobie, prawda?

- Tak, miałaś, a co się stało?

- Nie mam torby, kurde ukradli mi.

I wtedy przypomniałam sobie tego chłopaka z dużą torbą przy nodze, który obijał się o mnie. Mógł mi przeciąć pasek i wrzucić moją torbę do swojej! Przecież tamten kolega pokazywał mu chyba, jak ma to zrobić. Przecież miałam torbę, daje sobie rękę obciąć.

Dotarłam do przystanku i zobaczyłam radiowóz po przeciwnej stronie ulicy. Policjanci akurat spisywali jakąś kobietę. Rozłączyłam się, wybiegłam z autobusu, podbiegłam do krawędzi ulicy i krzyknęłam do policjanta:

- Niech pan tam stoi, już do pana idę!

Policjant zza kierownicy spojrzął się na mnie, potem na kolegę i wrócił do pisania. Musiałam dobiec do pasów, bo jeszcze bym dostała mandat. Dobiegłam do radiowozu i powiedziałam:

- Skradziono mi torebkę.

– Jak to się stało? – zapytał jakby od niechcienia.

Zacząłam od tego, że choruję na epilepsję, co przykuło uwagę policjanta. Wsiadł z samochodu, podszedł do mnie i otworzył drzwi paki mówiąc:

– Niech się pani uspokoi, czy ma pani leki?

– Nie, są w tej torbie.

Tak naprawdę były w domu i nie wiem, dlaczego tak odpowiedziałam.

Kobieta się odezwała:

– To zaraz będzie miała pani atak.

– Nie, mam nadzieję, że nie.

Policjant zaprosił mnie do środka. Nagle zrobiło mi się bardzo sucho w ustach i zaczęłam głębiej łapać powietrze. Czułam, że wpadam w panikę i mówiłam na głos do siebie:

– Jezuuu, wody, pić!

Zacząłam szukać po reklamówce: nie ma! Pomyślałam szybko:

– Mam picie w torbie, którą mi skradziono! Jezu...

I odezwałam się do policjanta:

– Ma pan wodę, coś do picia? Słabo mi, szybko niech pan mi coś poda do picia.

Podał mi jakiś napój w kartonie. Przetarłam ustnik dłonią i się napiłam. Ulga!

Po chwili funkcjonariusz poprosił mnie o szczegóły kradzieży torebki, więc zaczęłam:

– Wyszłam z pracy. Poszłam na tramwaj, a ten miał

awarię...

W tym momencie ruszyliśmy, ale policjant zawrócił w kierunku ronda. Zdziwiłam się:

– A dokąd my jedziemy?

– Zobaczymy, czy w koszach nie ma pani torby, dokumentów.

– Przecież oni jechali ze mną autobusem!

Chcieli sprawdzić, czy do śmietnika nie wyrzucili torebki? Stanęliśmy koło przystanku, jeden z policjantów wysiadł i poszedł bardzo powoli wzdłuż krawężnika do pasów dla pieszych, a ja zostałam z drugim policjantem w radiowozie i usłyszałam przed CB-radio:

– Gdzie wy jesteście?

– Zaraz, mamy tu kobietę, której skradziono właśnie torebkę.

– Pouczcie ją i wypuście.

– Słucham??? – wtrąciłam się – Panowie, pojedźmy pod Katedrę, oni wysiedli pod łaźnią, rozpoznam ich.

Policjant wrócił do radiowozu i oznajmił:

– Nie ma, zawieziemy panią na komisariat, tam pani ktoś pomoże. My tylko interwencją jesteśmy.

– Kurczę, a ja to co? – nie dawałam za wygraną, ale zrozumiałam, że niewiele wskóram, bo i tak ruszyli w kierunku komisariatu. Gdy jestem zdenerwowana, mam słowotok, więc po drodze cały czas coś mówiłam.

Dotarliśmy do znanego mi z przeszłości komisariatu. Wysiadłam z radiowozu, pobiegłam na recepcję, ale nie było

tam ani jednej osoby. Miałam przed sobą tylko wielkie lustro weneckie. Zaczęłam krzyczeć:

– Halo, przepraszam, jest tu ktoś?

Po chwili pojawił się postawny policjant i zapytał:

– Słucham, co się stało?

– Ukradli mi torebkę.

Nie zrobiło to na nim wrażenie, więc dodałam:

– Choruję na epilepsję i mam w niej leki.

Zaczął słuchać, więc poszłam za ciosem:

– Chłopak lat dwadzieścia sześć ukradł mi torbę w autobusie. Wsiadł ze mną na przystanku, wiem, jak wygląda. Może jeszcze tam się gdzieś kręca, rozpoznam ich! Dajcie mi jakiegoś policjanta, niech pojedzie ze mną.

– Zaraz – mruknął funkcjonariusz i wrócił za szybę, a ja zaczęłam chodzić w tę i z powrotem. Byłam taka wściekła, że to mi się przydarzyło. Po chwili pojawił się drugi policjant i podał mi kartkę z numerem telefonu mówiąc:

– Niech pani od razu zablokuje karty do bankomatu.

Zaczęłam wybierać numer wpisując go w telefon. Po chwili zjawił się kolejny policjant i wskazując mi wyjście powiedział:

– Pojedzie pani ze mną.

Ucieszyłam się. Gdy szliśmy do radiowozu, zapytał mnie, co się właściwie stało i zaczęłam mówić, ale po chwili przerwałam:

– Poczekaj pan, tylko zablokuję karty.

Zajęłam się procedurą blokowania kart, gdy zorientowałam

się, że jedziemy nie tam, gdzie powinniśmy:

– Gdzie my jedziemy?

– Zawiozę panią na pierwszy komisariat, tam pani pomogą.

– Co? Odsyłacie mnie? Dobra, ale jedźmy koło Katedry, może ich przyuważę jeszcze?

– Muszę jechać tędy, przykro mi.

Zaczęłam prosić, by pojechał okreśną drogą, ale usłyszałam tylko:

– Nie mogę, przykro mi

W tym momencie odezwał się konsultant i rozpoczęliśmy procedurę blokowania kart płatniczych i dowodu osobistego.

Podjechaliśmy pod komisariat. Szybko poszłam do recepcji i od nowa opisałam zaistniałą sytuację: wyszłam z pracy, miałam na sobie torbę przez ramię, wsiadłam do tramwaju; po chwili on uległ awarii, przesiadłam się do autobusu 124 i na następnym przystanku dosiadło się czterech mężczyzn; potem jeden z nich stanął obok mnie, otarł się o mnie raz czy dwa razy; miał obok swojej nogi wysoką torbę; może to on przeciął mi ramięczko i wrzucił moją torbę do swojej; nic nie czułam, nie wiem; trzeba ich znaleźć, wysiedli ze mną na przystanku w mieście; jak wysiadłam, dotarło do mnie, że nie mam torby, zaczęłam panikować i nie wiem, w którą stronę poszli, ale kierowali się chyba w stronę centrum. Niech pan mi kogoś da, to może ich złapiemy jeszcze?

A policjant do mnie:

– Przyjechała pani z policjantem radiowozem, to nie szukaliście ich?

- Nie! On przywiózł mnie ze swojego komisariatu do was!

Policjant zaśmiał się, wziął za słuchawkę, wybrał numer i powiedział:

- Chodź tu do mnie, pojedziesz z panią, rozejrzysz się po mieście, bo pani mówi, że ukradli jej torebkę. Była na naszym ulubionym komisariacie, ale ci przywieźli ją do nas.

Zjawił się policjant po cywilnemu, ustalił kilka kwestii z dyżurnymi nakazał mi iść za nim. Dołączyła do nas policjantka w mundurze. Pojechaliśmy na miasto, szukaliśmy na PKS, PKP, sprawdziliśmy wąskie uliczki, ale bez powodzenia i po godzinie wróciliśmy na komisariat, gdzie policjanci sporządzili protokół i na tym zakończyło się dochodzenie.

Po wyjściu z komisariatu pomyślałam o sąsiadce Ani z mojej miejscowości rodzinnej, która pracuje w MZK. Zadzwoiłam do niej w nadziei, że wskóra coś więcej, niż policja. Po raz kolejny opisałam całe zdarzenie, ale wtedy już nie byłam taka pewna swojej wersji. Ania powiedziała mi stanowczo:

- Ana, spokojnie!

Dopytała mnie, gdzie i o której godzinie to wszystko miało miejsce. Gdzie siedziałam, jak jestem ubrana. Byłam pod wrażeniem, jak metodycznie podeszła do sprawy. Potem poprosiła, abym poczekała dziesięć minut, a ona popyta i wróci do mnie z odpowiedzią. Krótco potem oddzwoniła:

- Dobra, już wprowadziłam kolegę w temat, jutro sprawdzi na monitoringu, jak to rzeczywiście było, bo zanim policja

wystąpi do nich z pismem, minie tydzień. A tu kolega powie ci, czy miałaś torbę czy nie. Czy ktoś ci ją ukradł czy zgubiłaś. Jutro rano będziesz wiedzieć, bo monitoring z komunikacji ściągany jest dopiero o północy. Musisz czekać do rana, kochana.

Jezu! Takiej konkretnej babki potrzebowałam, a nie policji, która odsyłała mnie od jednego komisariatu do drugiego. Od razu poczułam się pewniej. Straciłam wszystkie dokumenty, tablet, router mobilny, klucze od domu, pieniądze, perfumy. Nawet nie mogę się poryczeć, żeby sobie ulżyć. Mimo wszystko jestem pełna nadziei, że to się jakoś wyjaśni. Weszłam do domu i powiedziałam mężowi i Zuzi, co się stało, a moja córeczka zapytała:

- Mamo, a kupiłaś mi jajo?
- Tak, ale jest w torbie, którą złodziej mi ukradł.
- Ojej...

Ania podała mi dane kolegi z pracy, pana Marcina. Odezwałam się do niego na portalu społecznościowym już na wstępie dziękując mu za zajęcie się moją sprawą. Poprosiłam, aby sprawdził, czy w autobusie 124 o godz. 16:40 w miejscu, gdzie wsiadałam, miałam torbę przewieszoną przez ramię, bo gdy wysiadłam z autobusu w centrum, już jej nie miałam. Wiadomości nie były odczytane, bo użytkownik był niedostępny. Byłam tak zmęczona, że nie widziałam już na oczy, a moja córeczka poprosiła, abym położyła się na chwilę obok niej. Zrobiłam to i zasnęłam w ubraniu. Przebudziłam się o północy, ochłonełam i ponownie próbowałam przypominać sobie, jak to było. Byłam pewna

tęgo, że w tramwaju ściągnęłam kurtkę, potem wyszłam w ogólnym popłochu z tramwaju i doszłam do wniosku, że nie dam głowy, że przewiesiłam torbę przez ramię. Miałam w ręku reklamówkę, słuchawki w uszach i chyba jednak zostawiłam ją w wagonie tramwaju. Wstałam, włączyłam komputer i napisałam do pana Marcina, że chyba zostawiłam torbę w tramwaju, a nie, że ktoś mi ją ukradł. Boziu, a ja oskarżałam niewinnego chłopaka. Co by było, gdybyśmy go znaleźli? Miałyby przeze mnie problemy, a przecież nie chciałam tego! Chciałam tylko odzyskać moje rzeczy. Położyłam się z powrotem do łóżka i przespałam całą noc. Obudziłam się o szóstej rano, moja córeczka też się obudziła, spojrzała na mnie i zapytała:

– Mamusiu, znalazłaś już złodzieja?

– Jeszcze nie, kochanie, ale może on będzie tak uczciwy, że odda mi moje rzeczy, tablet i dokumenty.

– I moje jajo?

Roześmiałam się i od razu usiadłam do komputera. Pan Marcin odczytał już w międzyczasie moje wiadomości. Pomyślałam:

– Już niech pan Marcin powie mi, że zostawiłam w tramwaju tę torbę. Nie chciałam, by policja skupiała się na niewinnym chłopaku.

W końcu dostałam odpowiedź:

– Nie miała pani torby w autobusie

– A w tramwaju? Siedziałam na końcu.

Dostałam wiadomość, że teraz muszę poczekać, bo dysk

z tramwaj ubędzie miał dopiero za dwie godziny. Odpisałam, że poczekam.

Mówię do Grzegorza:

– Nawet, jeśli okaże się, że zostawiłam torbę przez nieuwagę czy pośpiech, a ktoś wziął sobie i nie zaniósł do motorniczego, czyli przywłaszczył sobie, to jest to karalne tak, jak kradzież. No chyba, że wziął, aby oddać mi zgubę osobiście.

Pan Marcin wrócił z informacją:

– Zostawiła pani na siedzeniu i wyszła już bez torebki. Dwa przystanki dalej wsiadł mężczyzna w wieku około trzydziestu lat i zabrał ją. Więcej to już policja musi wystąpić z nakazem, by mogła pani to zobaczyć.

I zaraz po tej wiadomości zadzwonili do mnie z komisariatu dopytując o szczegóły. Więc powiedziałam, że ochłonęłam, przemyślałam i chciałam zmienić moje zeznania, że to ja zostawiłam torbę w tramwaju, a nie, że została mi skradziona. A pan policjant do mnie:

– Czy torbę oddali motorniczemu?

– NIE!

– Czyli została wyniesiona z tramwaju i pani jej jeszcze nie ma? Więc to już jest kradzież albo przywłaszczenie, czyli kontynuujemy dochodzenie.

Poszłam na komisariat skorygować zeznania. Cały czas miałam nadzieję, że ten młody mężczyzna będzie na tyle uczciwy, że mi odeśle moje rzeczy, ale się przeliczyłam. Nie dość, że miał w portfelu gotówkę w kwocie sto pięćdziesiąt

złoty, to jeszcze w różnych sklepach dokonywał zbliżeniowo płatności moją kartą bankową. Mówi się, że to niebezpieczna usługa, bo nie trzeba podawać PINu i właśnie takie coś mi się przytrafiło, ale ja błyskawicznie zablokowałam kartę. Bank przyjął późniejszą reklamację i oddał mi kwotę, która została wydana po zablokowaniu karty. Miałam wgląd w historię płatności, więc miałam dokładną listę adresów, gdzie była użyta karta. Co prawda policja prowadziła dochodzenie, ale ja nie potrafię siedzieć bezczynnie i nie chciałam czekać, skoro złodziej ukradł moje rzeczy, a teraz będzie się chciał ich pozbyć. Policja ma swoje procedury i na wszystko trzeba czekać.

Denerwowałam się, że nic się nie dzieje, zatem wzięłam ze sobą listę operacji z adresami sklepów i pytałam o to, kto płacił moją utraconą kartą. Miałam wgląd do nagrań z monitoringu i zrobiłam zdjęcia kadrów, w których był uchwycony złodziej. W jednym ze sklepów był już nawet policjant prowadzący dochodzenie w mojej sprawie. Policja miała zdjęcie, na którym dobrze było widać twarz złodzieja. Na tamtym wydawał się wysoki, a w telefonie inaczej to wyglądało. Kobieta kilka razy się przyglądała, aż w końcu przypomniała sobie tego faceta i stwierdziła nawet, że chyba zna go osobiście. Mówiła, że pamięta tą sytuację z kartą, bo nie chciała mu przejść zbliżeniowo, więc zapytała o PIN, ale on skłamał, że to karta jego mamy. Przypomniała sobie również jego nazwisko i podała mi mniej więcej dokładny adres, bo nie była pewna, czy on nadal tam mieszka. Zaznaczyła, że nie chce posądzić kogoś niewinnego, ale była

pewna, że żaden inny klient nie był tak podobny do niego. To już jakiś trop. Przecież policja może pojechać pod wskazany adres i sprawdzić człowieka.

Z tymi informacjami pojechałam na policję. Spotkałam się z panem sierżantem prowadzącym moje dochodzenie, ale wcale się nie ucieszył, gdy mnie zobaczył. Powiedziałam mu, czego się dowiedziałam, ale z emocji podałam mu niewłaściwe nazwisko i podałam przypuszczalny adres zamieszkania. Policjant powtarzał, że mam dać im pracować i żebym nie przychodziła co chwilę. Powiedziałam grzecznie, że chcę im tylko pomóc w swojej sprawie, na co odparł, że oni już coś wiedzą, ale nie może udzielić mi na razie żadnej informacji. Kazał mi iść do domu i czekać na wieści albo na telefon, że już można przyjść po odzyskane rzeczy.

I co ja mogłam zrobić? Tylko czekać. Z chęcią wskoczyłabym do złodzieja na mieszkanie. Nazwisko mam, przybliżony adres też, i zdjęcie. Przeszukałabym mu mieszkanie, żeby tylko znaleźć swoje rzeczy, ale wtedy całe dochodzenie weźmie w łeb, a mnie jeszcze oskarżą o włamanie do mieszkania. Nie wiedziałam, co mam robić.

Po tygodniu zadzwonił do mnie funkcjonariusz, który prowadził moją sprawę, i powiedział:

- Niech pani przyjdzie po tablet na komisariat.
- Naprawdę? Odzyskaliście moje rzeczy? – nie ukrywałam radości.
- Nie, tylko tablet, inne rzeczy wyrzucił, nie były mu potrzebne. Dowie się pani więcej, jak pani przyjdzie.

Poszłam szybko na komisariat, bo miałam niedaleko i pan policjant powiedział mi, że proces w sprawie kradzieży moich rzeczy odbędzie się w Sądzie Rejonowym. To wszystko, co mogli dla mnie zrobić. Przekazali wszystko do prokuratury i tyle odzyskali.

Może gdyby wcześniej pojechali na to mieszkanie, to udałoby się więcej odzyskać? Mężczyzna nie wiedział, że miałam w tej torebce przenośny router, który jest dużo warty. No trudno, stało się. Jestem zwyczajną osobą, której przydarzają się takie sytuacje. Musiałam się z tym pogodzić. Później odbyła się rozprawa sądowa, ale nawet nie poszłam, bo nic bym nie osiągnęła, a moich rzeczy już nie odzyskam. Sprawca kradzieży i tak odpowie za swoje czyny.

Wiem, że w życiu wszystko może się zdarzyć, ale potrafię poradzić sobie chyba w każdej sytuacji.

NAPAD

Minęło już dwa lata, odkąd pracuję na stałym miejscu. Któregoś dnia szłam na tramwaj w drodze do pracy, gdy nagle usłyszałam krzyk kobiety:

– Na pomoc, ratunku, Policja!

Gdy podbiegłam bliżej, zauważyłam kobietę szarpiącą się z mężczyzną, a obok dwóch kolejnych szarpiących się mężczyzn. Nie zastanawiałam się ani chwili, tylko ruszyłam na pomoc kobiecie. Rzuciłam się na tego, z którym walczyła

kobieta. Nie wiedziałam na początku o co chodzi, ale gdy zobaczyłam, że z rąk mężczyzny sypie się biżuteria, dotarło do mnie, że to napad na sklep jubilerski! Próbowaliśmy zatrzymać jednego z mężczyzn do czasu przyjazdu policji. Uderzył czy odepchnął tę kobietę, a wtedy ja wykorzystałam moment i wskoczyłam mu na plecy. Miałam nadzieję, że pod moim ciężarem przewróci się. Podczas mojej *bohaterskiej* szarży wypadła mi komórka i usłyszałam, jak telefon się roztrzaskuje na kawałki: bateria tu, klapka tam. Pomyślałam szybko, że nie to jest teraz ważne, podniosę ją potem. Wszystko działało się tak szybko. W tej szarpaninie facet zaczął wymachiwać rękami. Pochylił się, więc myślałam, że w końcu upadnie, ale odzyskał równowagę, po czym wyrwał mi się i uciekł. Chciałam poskładać telefon, ale została tylko bateria i klapka. Krzyknęłam głośno:

– Nie mam telefonu, ukradł mi go!!!

Wpadłam w panikę, zaczęłam szukać telefonu na chodniku i w krzakach. Nie ma! Jakaś kobieta zaczęła pomagać mi go szukać. Nie zauważyłam, dokąd pobiegli napastnicy, bo straciłam ich z oczu szukając mojego telefonu, ale stojąca na balkonie kobieta pokazała nam kierunek. Szukaliśmy, ale bez skutku i wróciliśmy do tego sklepu jubilerskiego. Tam roztrzęsione kobiety spytały mnie:

– Znalazła pani?

– Nie.

Doradziły mi, abym od razu poszła do punktu obsługi operatora sieci komórkowego zablokować kartę SIM, a zaraz będzie tu policja. Poszłam i poprosiłam o blokadę, a przy

okazji od razu dostałam nową kartę.

Gdy wróciłam do jubilera, to panowie z policji już tam byli. Podpisałam protokół zdarzenia i pojechałam do pracy. Gdy wróciłam do domu, opowiedziałam, co się stało, a moja córeczka zaproponowała:

– Mamo, jak chcesz, to możesz wziąć mój.

Kiedyś daliśmy Zuzi telefon, który wprawdzie działał, ale nie do końca był sprawny. Był problem ze stykami karty SIM i nie dało się zapisać na niej kontaktów. Policja zadzwoniła po kilku dniach od zdarzenia z pytaniem, czy znam numer IMEI mojego aparatu, bo to przyspieszyłoby wyśledzenie sprzętu, ale wątpię w to, by ci złodzieje w ogóle go włączyli. Byli dobrze przygotowani, bo skoro napastnik zabrał telefon leżący na ziemi, mając mnie na plecach, to pewnie nie jest tak głupi, żeby zostawiać ślady. Zabrał mój, bo myślał, że to jego aparat. Telefon już był stary, miałam go od czterech lat, ale najważniejsza była dla mnie karta SIM, bo miałam tam zapisane numery telefonów ważnych dla mnie osób. Po tym wszystkim pomyślałam, że to dobrze, że na wszelki wypadek spisałam sobie numery na kartce. Niestety, były one w portfelu, który z kolei był w torebce, którą zabrał złodziej. Co za niefart!

Znajomi chwalili mnie za odwagę, ale część z nich uznała, że to było niepoważne, bo ten złodziej mógł mieć pistolet lub nóż i mógł mi zrobić krzywdę, ale ja wtedy nie myślałam o tym, tylko próbowałam pomóc kobiecie. Nie mogłabym postąpić tak, jak robi to większość przechodniów: przejść obojętnie. Nie umiałabym z tym żyć, ale czasu się nie cofnie,

żeby spróbować drugi raz. Dziękuję Bogu, że wyszłam z tego cało. Telefon to tylko rzecz nabyta. Ważne dla mnie było to, że pomogłam.

Przyznaję, że miałam cichą nadzieję, że właściciel sklepu jubilerskiego podaruje mi jakiś telefon w ramach wdzięczności. No, ale się nie doczekałam. Teraz żartuję sobie z tego, że złodziej nie ukradł biżuterii wartiej tysiące złotych, bo mój telefon był dla niego więcej wart.

PODSUMOWANIE

Jest wielu ludzi, którzy też powrócili *stamtąd*. Nie mówią, że byli w miejscu, gdzie trzeba odkupić swoje winy, które nazbierały się na Ziemi za żywota. Mówią od razu o Niebiosach, o pięknej zielonej łące czy tunelu, ale nikt nie mówi o grzechach i oczyszczeniu. Bynajmniej ja o tym nie słyszałam. Ja opowiadam o tym, co naprawdę mi się zdarzyło. Być może Czytelnik uwierzy, że dusza ulatuje z ciała po jego śmierci i podąża do miejsca, które zależy od tego, co czyniliśmy w naszym życiu. A to oznacza, że każdy człowiek, póki żyje, ma szansę na zmianę swojego postępowania. Może dzięki temu, co mi się przydarzyło, uwierzy i będzie chciał, by jego dusza trafiła właśnie do Nieba. Aby tam trafić, wystarczy jedynie być dobrym człowiekiem.

Ciągle czuje, że muszę o tym mówić. Czasem spotykam

osoby, które są tym zainteresowane. Ja sama nie zaczynam tego tematu, ale to ludzie wokół ciągną mnie za język. Zwykle zaczynają od pytania, dlaczego mam grupę inwalidzką, a wtedy odpowiadam, że choruję na epilepsję. Wtedy zadają kolejne pytanie: dlaczego? I choć chciałabym ograniczyć się do jednego wydarzenia, nie potrafię, bo zaczynam się plątać, a nie chcę, by uznali mnie za kłamczuchę, więc opowiadam wszystko od początku. Teraz, po kilku latach widzę wyraźnie, że moja opowieść jest spójna. Wypadek jest początkiem, a po kilku latach pojawia się wyjaśnienie. Zebrane dowody potwierdzają istnienie niewytłumaczalnych zjawisk.

Opowiadam o moim wypadku samochodowym, który zakończył *Stareżycie* i rozpoczął *Nowe*. Pamiętam go dokładnie, ale wspomnienia już nie sprawiają mi bólu. Widzę wszystko wyraźnie klatka po klatce, a potem przedstawiam dowody na potwierdzenie, że jednak widziałam rzeczy, których widzieć nie mogłam, ponieważ byłam w śpiączce przez jedenaście dni.

Opowiadałam moją historię już setki razy. Na początku trudno było mi o tym mówić, bo bardzo to przeżywałam, ale byłam świadoma, że muszę się dzielić tym, co mnie spotkało. Nawet czasem zastanawiałam się, czy nie po to dostałam *Nowe Życie* i jeżeli nie będę tego robić, to może Bóg zechce zabrać mnie z powrotem.

Nadal brzmią mi w uszach słowa Świętego Piotra: *Jeżeli wezmę jedną duszę, będę musiał wziąć jeszcze jedną*. Wiem, że muszę opowiadać o Bogu; o tym, co tam widziałam;

o tym, że zdanie wówczas wypowiedziane potwierdziło się po kilku latach, a przecież wcześniej nie było możliwości, bym знаła zakończenie.

Mówiąc o tym nie tylko znajomym, ale i obcym, którzy mnie słuchali, widzę w ich oczach, że pragną wierzyć. Czasem podchodzą do mnie i sami opowiadają o podobnych przeżyciach. Trudno im uwierzyć w to, że w ich życiu pojawiał się On i uchylił im rąbka tajemnicy. Różnie to odbierali: nie wierzyli, starali się wyjaśnić to na swój sposób, lecz nie zawsze trafny, albo po prostu wypierali to zdarzenie ze świadomości. W trakcie rozmowy słyszę czasem *widziałem to* czy *spotkało mnie tamto*. Czuję wtedy, jak budzi się w nich wiara i zrozumienie. Otwierają się na poznanie.

Od wieków uczono nas tego, że nie jest możliwe, byśmy to zobaczyli za życia. Pomagamy sobie, chcemy zrozumieć.

Niektórzy moi znajomi zarzucają mi, że jestem przewrażliwiona i wymyślam czarne scenariusze, ale od wypadku nie umiem inaczej. Często budzą się we mnie wątpliwości i obawy, a wtedy mówię o nich głośno w ramach przestrogi przed nierozsądnym zachowaniem. Robię to wszystko z troski o bezpieczeństwo moich bliskich i moje. Nie próbuję zbawić świata, tylko proszę o zachowanie ostrożności. To wszystko.

Dlatego od dnia wypadku opowiadam, co mi się przydarzyło. Po to powstała ta książka. Zupełnie szczerze i otwarcie przedstawiam w niej fragment mojego życia.

To wszystko ma sens. Jest to przekaz. *Człowiek dokonuje Wyboru*. Od Czytelnika zależy, czy uwierzy i czy zmieni

swoje postępowanie tu na Ziemi, żeby jego dusza miała miejsce u Pana Boga w Niebie.

Ja tylko opowiedziałam swoją historię.

KONIEC

*Dziękujemy za skorzystanie z oferty naszego wydawnictwa
i życzymy miło spędzonych chwil przy kolejnych naszych
publikacjach.*

Wydawnictwo Psychoskok

